

AFRYKA

w WARSZAWIE

Dedykujemy Mokpokpo Dravi
w podziękowaniu za inspirację,
która posłużyła do napisania tej książki ...

AFRYKA w WARSZAWIE

Dzieje aFRYKAŃSKIEJ DIASPORY nad Wisłą

POD REDAKCJĄ
PAWŁA ŚREDZIŃSKIEGO
MAMADOU DIOUFA

FUNDACJA
AFRYKA
inaczej

Redakcja naukowa:
prof. dr hab. Barbara Stępniewska-Holzer

Adiustacja językowa:
Ewa Nofikow

Tłumaczenia:
Cecylia Beresińska

Projekt okładki:
Mateusz Kasprzak, Emilia Zalewska

DTP / realizacja:
 Agencja Wydawniczo-Edytorska EkoPress
Andrzej A. Poskrobko, tel. 601 311 838

Zdjęcia:
Ambasada RPA w Warszawie, Fotorzepa, Fundacja „Afryka Inaczej”,
Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie,
Narodowe Archiwum Cyfrowe, Studio Filmowe OKO, Urząd ds. Kombatantów
i Osób Represjonowanych, Muzeum Pałac w Wilanowie



MIASTO
STOŁECZNE
WARSZAWA



Publikacja powstała
dzięki wsparciu finansowemu
Miasta Stołecznego Warszawy

Collegium Civitas Projekt wsparto finansowo Collegium Civitas

Szczególne podziękowania:
Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum
Wojska Polskiego w Warszawie, Danuta Ostrowska,
Anna Penkala, Eugeniusz Rzewuski, Urząd do Spraw
Kombatantów i Osób Represjonowanych

copyright © by: Fundacja „Afryka Inaczej”
Warszawa 2010

ISBN 978-83-62179-01-5

Wydawca:
Fundacja „Afryka Inaczej”
www.afryka.org/fundacja



Spis treści

Przedmowa (Paweł Średziński)	7
Wprowadzenie (Barbara Stępniewska-Holzer)	9
Afryka w Warszawie (Mamadou Diouf)	11
Początki afrykańskiej diasporы nad Wisłą (Krzysztof Wittels)	13
Ira Aldridge w Warszawie (Paweł Średziński)	33
Afryka i Afrykanie w XIX wieku na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” (Michał Gołaszewski)	35
Afrykańczycy w Warszawie między wojnami (Krzysztof Wittels)	47
Konflikt włosko-abisyński na łamach „Kuriera Warszawskiego” (Krzysztof Wittels)	61
Liga Morska i Kolonialna w Warszawie (Krzysztof Wittels)	85
Powstaniec z Nigerii (Zbigniew Osiński)	97
Lotnicy południowo-afrykańscy na pomoc walczącej Warszawie (Krzysztof Wittels)	100
Afrykańczycy w Warszawie w latach 1945–1975 (Paulina Codogni)	114
Rok 1955: Festiwalowe spotkanie z Afryką (Paulina Codogni)	131
Generał, szoferak, bohater – czarni warszawiacy w powieściach Gąsiorowskiego i „Wiecha” (Paweł Średziński)	153
Co się stało z Mokpokpo Dravi? (Paweł Średziński)	171
Ulica Lumumby (Paweł Średziński)	177

Konaré w Warszawie (tłum.: Cecylia Beresińska) **179**

Afrykańscy biskupi na Bródnie (Paweł Średziński) **187**

Moje 27 lat w Warszawie (Mamadou Diouf) **188**

Ambasadorki RPA w Warszawie (Paweł Średziński) **201**



My, warszawiacy:

Desire Rasolomampionona (Madagaskar) **210**

Dramane Samaké (Mali) **217**

Stephano Sambali (Tanzania) **226**

Daniel Oware (Ghana) **233**

Tobia Hiwot (Etiopia) **240**

Mamadi Kourouma (Gwinea) **242**

Autorzy **250**

Indeks **252**

Pomysł na powstanie tej książki narodził się kilka lat temu. Zapytany o przeszłość Afrykanów w Warszawie nie potrafiłem wskazać publikacji, w której zagadnienie to byłoby odrębnie i wyczerpująco omówione. Brakowało wiele na temat dziejów afrykańskiej diasporы nad Wisłą. W kilku publikacjach przywoływano przykłady żyjących w Polsce Afrykanów, ale brakowało tekstu, które zostały poświęcone wyłącznie Warszawie i jej afrykańskim mieszkańców. Niewiele wiedzieliśmy chociażby o Mokpokpo Dravi, odtwórcy roli Jumbo w filmie *Cafe „Pod Minogą”*, czy też o tym, że na powstańczych barykadach pojawił się Nigeryjczyk, który dużą część swojego życia spędził właśnie nad Wisłą. Zapomnieliśmy też o doskonałych powieściach „Wiecha” o przygodach ferajny Maniusia Kitajca, z afrykańskim warszawiakiem Janem Karaluchem, znany również jako Jumbo Johnson. Nie pamiętaliśmy również postaci Władysława Jabłonowskiego. Dlatego postanowiłem przekonać do pomysłu stworzenia tego typu publikacji instytucje i ludzi, którzy chcieliby wziąć udział w odkrywaniu historii warszawskich Afrykanów. Udało się!

Książka *Afryka w Warszawie* jest rezultatem pracy zespołu warszawianistów i afrykanistów oraz Afrykanów, czynnie zaangażowanych w powstanie książki o ich historii w stolicznym mieście nad Wisłą. Udało się nam dotrzeć do Mokpokpo Dravi, do zdjęcia nigeryjskiego powstańca, do wspomnień Alpha Oumara Konare. W książce znalazło się również wiele innych, interesujących opowieści i postaci, związanych z historią Afrykanów nad Wisłą.

Dziś już wiemy, że obecność osób pochodzenia afrykańskiego w stolicy nie jest niczym nowym. Docierali oni do Polski różnymi drogami, w zależności od okresu w dziejach Warszawy, w którym się pojawiali. Chociaż *Afryka w Warszawie* nie wyczerpała tematów związanych z dziejami afrykańskiej diasporы w stolicy, mam nadzieję, że stanie się inspiracją do kolejnych badań nad tym niezwykle ciekawym, ale i trudnym do zgłębienia wątkiem stołecznych dziejów. Podejmujemy, że wciąż jest wiele do odkrycia.

Fundacja „Afryka Inaczej” ma zamiar kontynuować gromadzenie informacji na temat przeszłości Afrykanów żyjących w Warszawie i w Polsce. Wszyscy, którzy chcą włączyć się w archiwizowanie afrykańskiej historii naszego kraju i naszej stolicy, są zaproszeni do współpracy i bezpośredniego kontaktu z Fundacją.

Uwaga!

Masz ciekawe zdjęcia, materiały archiwalne dotyczące Afrykanów w Warszawie i w Polsce? Skontaktuj się z nami: fundacja@afryka.org !



Afrykańscy studenci w Warszawie.
Inedes przyjechała z Kongo-
Brazzaville Mameky pochodzi z Angoli.
© Fundacja „Afryka Inaczej”

Barbara Stępniewska-Holzer

wprowadzenie

Afrykanie w Warszawie to temat rzadko podejmowany w opracowaniach, a niewątpliwie wart zainteresowania. Prawda, że Warszawa to nie wielkie stolice europejskie, które przyciągały swymi możliwościami poddanych z kolonii czy też z zamorskich departamentów.

Lektura prezentowanych artykułów skłania do kilku refleksji; można w nich wyraźnie dostrzec przemiany; przemiany patrzenia na świat warszawian i, co się z tym wiąże, zmiany w postrzeganiu Afrykanów w Polsce. Wiedza o Afryce jako kontynencie podlegała stałym przekształceniom. Polska, tak jak inne kraje europejskie, ulegała od czasów kolonialnych podbojów mitom nieznanych i najczęściej wrogich istot zasiedlających Afrykę, a zwłaszcza jej wybrzeża. Wyobrażenia żyjących tam chimer, wypuszczonych z bestiariuszy, psiogłowców, stworów bezrękich i jednonganowych, ożywiały wyobraźnię, ale nie były w stanie zahamować podjętych prób podbojów. Europejczykami kierowały różnorodne motywacje. Nierzadko, poza wieloma ideologiami, które towarzyszyły podbojom Afryki i innych kontynentów, ważne miejsce zajmowała ciekawość odległych lądów i ludzi.

Tak dla mieszkańców stolicy i nie tylko wyłaniała się z mgły mitów, przesądów i stereotypów część wiedzy o Afryce. Wiedza Polaków o tym kontynencie nie odbiegała w znaczący sposób od wiedzy mieszkańców innych państw, zwłaszcza niezaangażowanych w pierwsze próby budowania fortów i faktoriów na dalekich kontynentach. W świadomości funkcjonowały te same idee dzikich i brutalnych „tubylców”, których należy oświecić, wychować, ucywilizować. Pojawiał się też niekiedy związany z tą misją mit „dobrego dzikusa”. Ciekawe, że niewiele było prób odtworzenia obrazu, jaki w oczach czarnej ludności zyskiwali biali, pojawiający się u wybrzeży Afryki, a następnie tysiące kilometrów w głąb kontynentu. O tym, kogo oni widzieli w tych „szlachetnych zdobywcach”, opowiada teraz afrykańska literatura piękna.

Z ideami tymi zmagali się nasi narodowi pisarze. Obraz zagubionych białych dzieci w okrutnym morzu powstania Mahdiego wyciskał łzy z oczu wielu małym czytelnikom, nie dawał też rozumienia świata żyjącego ponoć wedle „filozofii Kalego”. Stereotypy nierozumnych, nielogicznych mieszkańców Afryki, całego

kontynentu (co już jest nadużyciem intelektualnym), pokutowały długo, za długo. Refleksy tego postrzegania świata i obcych możemy dostrzec w postawach Polaków w okresie międzywojennym. Czarodziejska idea o własnej, choćby malej, polskiej kolonii w Afryce intrygowała wiele tysięcy Polaków. Nie było najważniejsze, czy będzie to Liberia czy Madagaskar. Nie stawiano sobie także pytania, jakie będą koszty i zyski. Liczło się, aby szybko zostać właścicielem kolonii. Ulegano kolejnemu mirażowi – wielkomocarstwości.

Aspekty historii Afrykanów w Warszawie są w tej pracy często opisywane. Mowa jest też o zaangażowaniu czarnych obywateli Warszawy w momentach kryzysowych, jak choćby o udziale Afrykanina w powstaniu warszawskim i dzieleniu wojennej codzienności z resztą obywateli stolicy.

Cennym jest w pracy cały zespół wspomnień i relacji Afrykanów dłużej mieszkających w Warszawie. Wzruszające są pełne żaru wspomnienia o V Kongresie Młodzieży w Warszawie. Impreza, która miała być jeszcze jedną formą propagandy socjalistycznej głoszącej więź z tzw. Krajobrazem Świata, uchylała warszawiąnom rąbka innego świata – wolnego. Pomijając aspekt wymiany kulturowej, oglądunia warszawskiej rzeczywistości czy wreszcie wymiany genów, spotkanie to wywarło duży wpływ na społeczeństwo rok przed Październikiem 1956.

Obraz, jaki wyłania się ze wspomnień afrykańskich, dotyczących okresu przed transformacją, jest pełen otwartości, szczerzy i – co ważniejsze – prawdziwy. Afrykańczycy, podobnie jak warszawianie, uczyli się nowych reguł życia w systemie niedoboru rynkowego. Skomplikowane systemy wymiany walut, sieci redystrybucji reglamentowanych towarów nie tylko wykracały poza wiedzę wcześniej im dostępna, ale – podobnie jak mieszkańcom stolicy – wydawały się niemal wyjęte ze skeczów satyrycznych. Wielu Afrykanów udzielających wywiadów miało wyraźnie poczucie uczestniczenia w świecie surrealistycznym, niepodobnym do warunków w krajach, w których wzrastali, ani w wielkich metropolach europejskich, które wielu z nich dobrze знаło.

Warszawa, a także i inne miejsca w Polsce, były ośrodkami, w których kształciły się przyszłe elity niepodległych państw afrykańskich, jak choćby zdobywający archeologiczne wykształcenia w Warszawie i Szczecinie późniejszy prezydent Republiki Mali. Pełne dobrych wspomnień są wywiady osób, które wraz z pobytom w Polsce uzyskały wykształcenie, a niekiedy także rodzinę. Nie znaczy to jednak, że oszczędzone im były złe doświadczenia, związane niekiedy z poczuciem zagrożenia osobistego. Ci, którzy udzielają odpowiedzi, starają się oswoić w sobie te czasem traumatyczne dla nich wydarzenia. Nie przeczytamy opinii o Warszawie tych, którzy wyjechali z powodu aktów rasizmu i przemocy. Nie byłyby one przyjemne.

I ostatnia wreszcie uwaga. Wielu Afrykanów uważa, co bardziej już krzepi, że warszawianie stają się społeczeństwem bardziej otwartym. Na ulicach już nie wprawia w osłupienie kolor skóry, a członkostwo w Unii Europejskiej czyni Warszawę przyjazną przybyszom, niezależnie od kręgu kulturowego czy rasowego.

Mamadou Diouf

Afryka w Warszawie

Afryka w Warszawie! Czy brzmi to pretensjonalnie? Czy to nadużycie? Nawet cała Europa jest za mała, by gościć stary afrykański kontynent. Na Saharze też byłoby ciasno. A jednak! Warszawa afrykańska jest rzeczywistością, wcale nie od wczoraj.

Dobrze znamy datę przybycia pierwszego Europejczyka do wybrzeży Afryki Zachodniej. Było to w latach 70. XV w., kiedy Portugalczycy pojawiли się na horyzoncie Atlantyku. Tak podają kroniki.

A kiedy pierwszy Afrykanin odetchnął nadwiślańskim powietrzem? To pytanie nurtuje mnie od pierwszego spotkania naszej Fundacji w warszawskim Wilanowie.

Skoro pradziadek Puszkina trafił z okolic dzisiejszego Kamerunu przez Turcję do Rosji jako niewolnik, ale dzięki mądrości i odwadze stał się ulubieńcem cara Piotra I i otrzymał szlachectwo, dlaczego z innych rejonów Starego Lądu ktoś nie miałby zakończyć swojej wędrówki na Mazowszu? I to w dawnych czasach.

Czy żaden polski król nie miał przyjemności przywitać poselstwa z Afryki? Może jeszcze przed nieszczęśliwym okresem zaborów Afrykanin spacerował po kraju mlekiem i miodem płynącym? W Polsce międzywojennej interesowano się Afryką. W latach 30. XX w. Liga Morska i Kolonialna próbowała zdobyć kolonie dla Polski. Myślano o Madagaskarze, Kamerunie, Mozambiku, Togo i Liberii. Liberia zwróciła się podobno do Ligi z propozycją nawiązania współpracy. Stąd obecność honorowego konsula Polski w Monrovii. Polska lat 30. bardzo chciała do Afryki, tylko nie bardzo wiedziała, jakim sposobem można się tam dostać.

Oglądałem film *Cafe „Pod Minogą”*. U boku mojego ulubionego aktora, Adolfa Dymyszy, grał Afrykanin, Mokpokpo Dravi. Sympatyczny Mokpokpo był jedynym przedstawicielem Afryki w Warszawie lat 50.

Już w latach 70. coraz więcej afrykańskich studentów przyjeżdżało na polskie uczelnie. Można powiedzieć, że ta diaspora była studencka w 100% i skupiała się w akademikach. Afrykanie studiowali przeważnie rolnictwo, medycynę oraz kierunki techniczne. PRL, jak inne państwa bloku wschodniego, dawał stypendia krajom Trzeciego Świata, „uciśnionym” według socjalistycznej nomenklatury.

Przed 20 laty przez Europę Wschodnią przetoczyła się pokojowa rewolucja, która doprowadziła do upadku bloku wschodniego. W 1988 r. były jeszcze w Polsce kartki na żywność, ale pieriestrojka robiła już karierę. Późną jesienią 1989 r. upadł mur berliński. Świat zapamiętał głównie to wydarzenie z tamtego gorącego czasu. My, w Polsce, wiemy jednak, co było wcześniejszym sygnałem zmian. Komunizm chwiał się w posadach, a pierwsze wybory w tej części Europy odbyły się w Polsce 19 dni przed moimi kolejnymi urodzinami, 4 czerwca 1989 r. Ogronna grupa studentów z Afryki była świadkiem uzgodnień Okrągłego Stołu i pamiętnych wyborów.

Od tamtej pory moja Warszawa zmieniała się w zaskakującym tempie. Spędziłem w niej 27 lat. Nigdzie nie mieszkałem tak długo. Akademiki SGGW na Ursynowie, Mokotów, Praga Północ, Powiśle, obecnie Ochota. Czuję się niczym miejski nomada, zmieniając tak często miejsce zamieszkania.

Kiedy przybył do Warszawy pierwszy Afrykanin? Jak wyglądała obecność Afryki w Warszawie? Czy Warszawa pamięta afrykańskiego kamerdynera Kościuszki – Jana Lapierre'a?

Czy pierwszy czarny aktor obsadzony w rolach szekspirowskich – Ira Aldridge, który w 1867 przyjechał do Łodzi, żeby zagrać w jednym z teatrów rolę Otella, zahaczył o Warszawę? Kim był afrykański powstaniec z Warszawy? Są to pytania, na które warto szukać odpowiedzi.



Początki afrykańskiej diasporы nad Wisłą

Krzysztof Wittels

Związki Polski i Polaków z Afryką i Afrykańczykami mają wiele różnych historycznych kontekstów. Trudno dziś określić moment, kiedy po raz pierwszy informacja o kontynencie afrykańskim i jego mieszkańców dotarła nad Wisłę. U progu czasów nowożytnych wiedza geograficzna na temat Afryki była wypadkową informacji czerpanych z Pisma Świętego, wiedzy pochodzącej od pisarzy starożytnych (Herodota, Arystotelesa, Strabona, Pomponiusza Meli, Klaudiusza Ptolemeusza), których rzadko czytano w oryginale, informacji podawanych przez odkrywców i pisarzy średniewiecznych (Kosmas Indikopleustes, św. Izydor z Sewilli) i przez uczestników wypraw krzyżowych oraz handlowych (Genueńczycy, Wenecjanie, Portugalczyści). Na to wszystko nakładano własne, często najbardziej fantastyczne, wyobrażenia o świecie.

Wizerunek Afrykańczyka znajdujemy już na pergaminowej karcie psałterza floriańskiego (k. XIV). Udział w wyprawach krzyżowych oraz podróżach do Ziemi Świętej i Egiptu pozwoliły mieszkańcom naszego kraju postawić nogę na kontynencie afrykańskim. Informację o Afryce znajdujemy u wybitnego polskiego historiografa, Jana Długosza (1415–1480), który w powstałym w poł. XV w. dziele *Chorographia Regni Poloniae*, obok informacji geograficznych o Rzeczypospolitej, wymienia także „wrzącą skwarem słoneczną Afrykę”. Wzrost wiedzy o Afryce i jej mieszkańcach nastąpił na skutek wielkich odkryć geograficznych, zapoczątkowanych w połowie XV w. wyprawami Portugalczyków wzdłuż zachodnich wybrzeży kontynentu. Przypomnijmy, że portugalscy żeglarze już w 1483 r. dotarli do ujścia Kongo, a w 1488 r. do Przylądka Dobrej Nadziei. Ich wyprawy pozwoliły Vasco da Gamie na odkrycie w latach 1497–1498 drogi morskiej do Indii¹. Wiedza

¹ Po przybyciu do Indii poznał, przybyłego tam wcześniej drogą lądową, pochodzącego z Poznania, portugalskiego podróżnika, Gaspara da Gamę.

o tych i innych odkryciach docierała przecież nad Wisłę. Rzeczpospolita, mimo swojego peryferyjnego w Europie położenia, zawsze była otwarta na nowinki płynące z Europy Zachodniej, ale też czerpała wiedzę za pośrednictwem swojego sąsiada – Imperium Osmańskiego, które w pierwszej połowie XVI w. opanowało część Afryki Północnej. Informacje o Afryce przywozili ci, którzy wyjechali na studia „do Europy” (w szczególności do Włoch) lub jako posłowie służyli na dworach innych monarchów. Wiemy, że wzdłuż wybrzeża kontynentu afrykańskiego do Indii płynął Erazm Kretkowski (ok. 1508–1558) – kasztelan gnieźnieński i poseł Zygmunta Augusta. W jego epitafium, które znalazło się na grobie w Padwie, Jan Kochanowski napisał:

Tutaj grób Kretkowskiego, tu port jego nawie,
Gdy wszystką niemal ziemię zwędrował ciekawie –
Niezmordowany pielgrzym, ciekawy, ochoczy,
Był, gdzie Dniepr szumnie pędzi, gdzie się Ganges toczy.
Widział Istr dwuramienny, Ren i Tangus sławny,
Oglądał przy źródłisku Nil siedmiorekawy.²

Jednym z pątników, którzy dotarli do Ziemi Świętej i Egiptu był książę Mikołaj Krzysztof Radzwiłł „Sierotka” (1549–1616), autor diariusza *Podróż do Ziemi Świętej, Syrii i Egiptu 1582–1584*. Gruntownie wykształcony pisarz nadał swej książce kształt literacki, a w opisach zawarł wiele interesujących, kulturowych i geograficznych realiów – opisy piramid, handlu niewolnikami, zwyczajów i codzienności egipskiego życia. Wokół Afryki do Indii płynął w 1596 r. kupiec krakowski, Krzysztof Pawłowski (zm. 1603), który w liście do nieznanego bliżej adresata podał m.in., że zatrzymał się w Mozambiku³.

Szerszą informację o Afryce znajdujemy u Marcina Bielskiego (1495–1575) w *Kronice wszystkiego świata*, wydanej po raz pierwszy w 1551 r. Zawiera ona obszerne omówienie dotychczasowych wyników wielkich odkryć geograficznych.

2 Za: A. Kuczyński, *Polskie Opisanie Świata. Studia z dziejów poznania kultur ludowych i plemiennych*, t. 1.: *Azja i Afryka*, Wrocław 1994, s. 265. Wzmianka o źródłach Nilu oznacza najprawdopodobniej, że Kretkowski dotarł do miejsca, gdzie rozpoczęła się delta rzeki i gdzie Nil dzieli się na siedem odnóg, ewentualnie do źródła Nilu Błękitnego w Etiopii odwiedzanej w XVI w. przez poselstwa portugalskie.

3 Ibidem, s. 266–268.

Ma w sobie Afryka wielką życzliwość i urodzaj zboża, gdzie ludzie mieszkają, zwłaszcza przy rzece Nilus koło Egiptu" oraz „(...) tej części świata jest większa połowica pustej, częścią dla wielkiego gorąca, częścią też dla zwierząt jadowitych, które się tam rodzą w pustyniach, jako są lwowie, wsłoniowie, kokodryle, padrowie, małpy, osłowie rogaci i rozmaity naród smoków, takież wężów, które całe lato nie piją, bo tam wody nie masz lada gdzie, przeto są jadowite jako piszą, iż tam więcej ludzi zemrze jadem zwierzęcym niż wrzodem, a śmiercią przyrodzoną, zwłaszcza gdzie torrida zona w pośrodku Afryki. Przeto ta część świata nie była dobrze znajoma pierwej starym kosmografom przez wielkie pustynie, aż dzisiejsi żeglarze lepiej przewidzieli.⁴

W zbiorach Biblioteki Narodowej znajduje się atlas morski *Geographicae tabvlae in charta pergamena*, wykonany w 1583 r. przez Antonia Millę, najprawdopodobniej admirała pochodzącego z greckiej wyspy Milos⁵. Na jednym z ośmiu pergaminów znalazła się mapa Afryki, nie tylko bardzo szczegółowo przedstawiająca linię brzegową kontynentu wraz z wyspami i archipelagami, ale i podająca wiele nazw geograficznych i politycznych afrykańskiego interioru. Nie wiemy niestety, w którym roku zbiór, wykonany najprawdopodobniej w Wenecji, trafił do Biblioteki Ordynacji Zamoyskiej. Należy przypuszczać, że podobne opracowania kartograficzne pojawiały się nad Wisłą w XVI i XVII w., wzbogacając prywatne biblioteki arystokracji i bogatego mieszczaństwa.

W 1609 r. w Krakowie ukazało się *Relatiae powszechne*, czyli tłumaczenie na polski syntezy ówczesnej wiedzy geograficzno-historycznej – *Relazioni universali* włoskiego geografa Giovanni Botero (1540–1617). W pierwszej w języku polskim geografii powszechnej na 70 stronach omówiono Afrykę, jej poszczególne organizmy polityczne, najważniejsze miasta. Botero podaje przede wszystkim informacje geograficzne, ponadto polityczne, historyczne, przyrodnicze. Państwa, które opisuje encyklopedia w poszczególnych rozdziałach, to m.in.: Egypt, Nubia, Ethyopia, Abbassia (Państwo Popa Jana), Mozambiche, Zangvebar, Congo, Cafala, Angola, Sierra Leone, Sanga, Gambea, Mauritania, Królestwo Marocchii, Prowincja Karthagenska, Tuniska.

4 Za: ibidem, s. 261.

5 *Atlas nautyczny Antonina Milla z 1583 r.*, Warszawa 2008.



August II z Murzynkiem, ok. 1737 r.
Pałac w Wilanowie
© Muzeum Pałac w Wilanowie, Z. Reszka

LOANDA, CHEZZEMA

Na przeciwko od południowej strony królestwa Congo, kedy granicz y z Angola, siedzi Loanda, wysepka wzdłuż na 4 mile nasze, a wszerz nawiecy na mile Włoska: Miedzy ktora iest zawarcie, y nalepszy port tamtego Oceanu. Przedaa około tey Insyly bardzo wiele balen: łowia też tam pewne ślimaki, ktore vdai miasto pienidzy w Congo, y w pobliskich kraiach. Studnie tey Insuly maia wody takie, iż gdy morze vstepuie, tedy sa słone: a kiedy wzbiera, bywaia słodziuchne. Na tey Insule Portugalczycy maie edne Colonia, skad ieźdża na handle do Congo, y do Angole: a miedzy inszemi bogactwy, dostaia tam na każdy rok do 5. tysiecy niewolnikow: cło od nich, wedle starych umów, należy koronie Portogalskiey.⁶

Wokół Afryki płynęli polscy misjonarze, udający się do dalekiej Azji. Jednym z nich był jezuita Michał Boyme (1612/4–1659), badacz Chin. Gdy podczas pierwszej podróży do Azji w 1644 r. statek, którym płynął, zatrzymał się dłużej w Mozambiku, misjonarz odbył parę wycieczek po okolicy i sporządził rysunki napotkanej flory i fauny, które wraz z opisem kraju przesłał w liście do zakonu jezuitów w Rzymie. Boyme wspomina m.in. o państwie Monomotapa, które wówczas jeszcze istniało. Przedstawił obyczaje, sposób polowania, wymiar sprawiedliwości i zabiegi magiczno-medyczne czarnych mieszkańców krainy Kafrów.

Również kupcy gdańscy, utrzymujący szerokie kontakty handlowe, chętnie zbierali nowinki ze świata, czasem sami uczestniczyli w dalekich wyprawach. W niejednej mieszkańców bibliotece znajdowały się dzieła podróżnicze oraz mapy. Ponadto Polacy nierazadko zgłaszały się do służby we flocie portugalskiej i holenderskiej. Ze swoich podróży przywozili niezwykłe opowieści, których chętnie słuchano i które przekazywano dalej. Interesującą postacią był pochodzący z Poznania Jan Bocian, żeglarz zarządzający kilkoma portugalskimi statkami, który w końcu XVI w. płynął wokół Afryki do Indii. Wśród innych polskich żeglarzy pozostających na zagranicznym żołdzie warto także wymienić Teodora Anzelma Dzwonkowskiego (1764–1850), który w latach 80. XVIII w., zaciągnawszy się na holenderską fregatę „Zephyr”, odbył 5-letnią podróż z Amsterdamu, wzdłuż Afryki, aż do Archipelagu Indonezyjskiego. O wyprawie tej czytamy w jego pamiętniku, znale-

6 *Theatrum Świata wszystkiego Iana Botera Benesiva* (pod takim tytułem ukazała się trzecia edycja dzieła Botera, która cieszyła się ogromną popularnością), ze zbiorów cyfrowej biblioteki elbląskiej.

zionym w 1976 r. w zbiorach rodziny Komornickich. Pamiętnik zawiera wiele interesujących obserwacji poczynionych przez młodego autora.

Zdaje się, iż ten kraj zamieszkały niegdyś był jedynie przez Hotentotów, Kafrów i Buschmenchów, z których najpierwsi dotychczas jeszcze pod przewodnictwem swego własnego narodu kapitana (którego Kompania Wschodnioindyjska ryngrafem mosiężnym i wielką laską z gałką także mosiężną ozdobionego im nadaje) z miejsca na miejsce przechodzą, żadnej jednak nikomu nie czyniąc szkody, utrzymują się połowem ryb i zbieraniem owoców, tudzież paszeniem swych owiec zatrudniają się, które są wcale inne od naszych, gdyż nie mają wełny, tylko sierść kozią, ogony zaś po kilkanaście funtów samej tłustości ważące. Sami Hotentoci są ekstra szpetni, zółtawii, włosów na głowie afrykańskich, to jest murzyńskich, kędzierowatych, twarzy płaskiej, wargów szerokich, nosa wcale od płaskości nie znać, tylko dziury, mowa ich nie jest opisaną, gdyż kląskaniem i krząkaniem tylko rozumieją się. Niewiasty wyżej macierzyństwa swego mają jakowyś flak, który podczas bawienia się niejako zmarszcza i wolnego wnijścia dozwala, wszyscy zaś w krzyżu niby są przełamani i nadzwyczajnie śmierdzą, dlaczego podobno od wilków pojedynczo napadani bywają i pożerani. Z tym wszystkim dla Europejczyków są ekstra szczerzy, a osobliwie dla rządu, gdyż wszystkich zbiegów w najodleglejszych pustyniach ukrytych wyszukują i oddają. Odzieży oni nie potrzebują, jedynie tylko dwiema skórami baranimi z przodu i z tyłu pokrywają się. Kafry są zaś ekstra ogromnego ciała, czerniawi i kształtniejsi, prawie do Murzynów podobni, powyższych przydatków wcale nie mający i do społeczeństwa, jako też wszelkich robót zdatniejsi. Co się tyczy Buschmenchów, ci trzy stopy wzrostu swego ledwie tylko mają, lecz są najdzikszym narodem, mają swego wynalazku łuki, z których nigdy nie chybią, biegają po kraju małymi kupami i co tylko gdzie napadną, zabierają i w najdalsze pustynie upro-wadzić zwykli.⁷

W latach 1779, 1784 i 1791 odbył trzy krótkie wyprawy do Afryki Północnej (Tunis, Egipt i Maroko) Jan Potocki (1761–1815), autor *Rękopisu znalezionego w Saragossie*. Zaowocowały one publikacjami o dużych walorach poznanawczych, w których autor w barwny sposób przekazał informacje dotyczące geografii, klimatu, przyrody, a nade wszystko ludności i stosunków społeczno-politycznych. W XVIII w. zaczęły się w Polsce ukazywać wydawnictwa encyklopedyczne, których autorzy starali się zawsze całość wiedzy

7 T.A. Dzwonkowski, *Pamiętniki czyli Pamiątka po ojcu Józefy z Dzwonkowskich Komornickiej*, wydali z rękopisu S. i T. Komorniccy, Warszawa 1985, s. 70–71.

geograficznej. W latach 1745–1746 ukazała się pierwsza polska encyklopedia autorstwa ks. Benedykta Chmielowskiego (1700–1763), *Nowe Ateny*. Chmielowski szeroko omawia stosunki panujące na innych kontynentach, historię tamtejszych plemion i państw oraz obyczaje.

O OBYWATELACH ABYSSYŃSKICH

OBYWATELE Abyssyńscy generalnie zowią się Aethiopes od Etyopa Wulkanowego Syna. Przodkiem ich był Chus Syn Chama. Które słówko Chus znacząc z Hebrajskiego czarnego człowieka, dało okazję, że tamta ziemia, Murzyńska, alias czarną rzeczoną. (...) Kircher świadczy, że Królowa tutejsza Saba, inaczej Makeda albo Nikayla nazwana, przybyła do słuchania Mądrości Salomona, z nim miała Syna Melicha, albo Dawida, który w Murzyńskim Państwie po tym rządy wykorygował. Po nim nastąpiło 22 Królów aż do Narodzenia Zbawiciela Świata. Panowała tu zaraz po Narodzeniu Pańskim Judytha, inaczej Kandacis Królowa, od Eunucha swego, wprzód przez Ś. Filipa Ap. ochrzczonego, do Chrztu Ś. przyprowadzona. Ta Kościół na górze Sion Najś. PANNY wybudowała. Po tej Apostołce nastąpił Apostoł i Ewangelista Mateusz, całej Murzyńskiej Ziemi Oświeciciel, Ewangelii Hebrajskim językiem dla nich Scriptor. Język bowiem oni mają z Chaldejskiego, Hebrajskiego i Syryjskiego złożony. Mają swego Patriarchę Murzyńskiego. (...) Mnisi Post Wielki odprawują dni 50 o chlebie i wodzie, inni na kozronkach, inni nie sypiąją, 'w wodzie siedząc po brodę zanurzeni. Kapłani są żonaci, częste Processye i puryfikacje czyniący. Do Kościołów Duchowne Osoby, dopieroż świeckie bosemi tylko wchodzą nogami, tam nie plują, żadnego nie wpuszcza zwierzęcia, dlatego mury dają wysokie koło domów Bożych. Obrzezują się jak Żydzi, chrzczą jak Chrześcijanie, i to tylko w dni Niedzielne i Sobotnie. Mężczyźni się chrzczą aż w dni 40, albo 50 po obrzezaniu, in memoriam Ś: Ducha w dni 50 po Resurrekcji Pańskiej zesłanego. Białogłowom Chrzest Ś. dają aż w dni 60, a co mirandum, że etiam faemmae circumciduntur. Na Świętych Trzech Królów zawsze się kąpią, że CHRYSTUS od Ś: Jana wodą Jordanową był polany, i że wodę w wino przemienił. Po Chrzcie Ś: Najświętszy SAKRAMENT zaraz dają dzieciom. Spowiadają się stojąc, nie przestrzegając sekretu, i komunikują także stojąc, idąc do Stołu Pańskiego z podniesionemi przed sobą rękami, otwartemi dłoniami.⁸

8 B. Chmielowski, *Nowe Ateny*, ze strony <http://literat.ug.edu.pl/ateny/>.



Giuseppe Rossi, „Murzynek z Papugą”,
XVIII w., Pałac w Wilanowie
© Muzeum Pałac w Wilanowie, A. Indyk



Kamienica „Pod Murzynkiem”, Warszawa
© J. Szybińska

Encyklopedia zawiera jednak nieco bałamutnych stwierdzeń w odniesieniu do mieszkańców Afryki. Stwierdza na przykład, że „lud tamtejszy jest czarny, kosmaty, grubiański, okrutny, bestialski”, „im dalej od morza, tym dalej od Boga i rozumu”, „w murzyńskiej ziemi ludzie z wargami dolnymi długimi na łokieć, które sobie solili, od korupcji prezerwując”.

Wiele interesujących informacji zawiera także opracowanie o charakterze encyklopedycznym *Świat we wszystkich jego częściach...* (1740) Władysława Łubieńskiego (1703–1767), późniejszego arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa Polski, który pisał:

Afryka ma cztery religie – pogąńska najobszerniejsza, mahometńska obszerna, chrześcijańska bardzo szczupła i żydowska znajduje się. Są także ludzie bez Boga i bez wiary. Afrykanie generalnie są mocni, ale bestialscy i prostacy, w scjencjach żadnych ani kunsztach nie są biegli, nie wojenni, wyjawszy pograniczych medyterańskich z przyczyny bliskiej Europy, są źli, niewierni, okrutni, niestateczni i daleko odmienniejsi od dawnych Augustynów i Annibalów. Dawni tylko niektóre części Afryki widzieli, Barbaryją, Suare, Egipt, Nubią i wyższą Etiopię, o inszych nie wiedzieli rozumiejąc, że to kraje puste z przyczyny ciepła nieznośnego. Afryka żywia wielbłądy, słonie, tygrysy, lwy, krokodyle, rysie, jednoróżce, smoki, bazyliuszki, które spojrzeniem każdego zabijają i węże wielkie; przeciw jednemu wężowi, historia rzymiska nadmienia, Attilius Regulus wojsko sprowadził, którego długość miała być na 120 kroków geometrycznych; prócz tak wielu zwierząt najokrutniejszych i najzjadliwszych Afryka wydaje z siebie stada koni, słonie, małpy i dzikie kozy. Rzeki pryncypialniejsze Afryka ma w sobie: Nil i Niger. Nil początek swój bierze od 12 fontann z między gór Abisyńskich i wpada w Medyterrany przez 7 wpadków rozzielonych na wiele rzek, który formułują trójkąt zwany Delta Egipska. Niger zaczyna się od jeziora tegoż imienia w Etyopii i oblawszy Gwineę, wpada w Ocean Atlantycki sześcią odnogami zwanymi Rio Grande, Rio S. Domingo, Rio Casamanca, Rio Dos Ostros, Rio Gambia i Rio Senega.

Jak wynika z tego krótkiego przeglądu, informacje o kontynencie afrykańskim i jego mieszkańcach docierały nad Wisłę w okresie nowożytnym. Prawdopodobnie wiedza o Afryce wśród zwykłych mieszkańców była nikła, czytelnictwo nie obejmowało szerokich kręgów społecznych. Jak uważa Janusz Tazbir, zainteresowanie Afryką w Polsce nie miało aspektu praktycznego, bowiem szlachta polska, inaczej niż hiszpańska czy portugalska, nie widziała potrzeby kolonizowania tego kontynentu. Naturalnym terenem polskiej ekspansji był bowiem wschód – przede wszystkim tereny dzisiejszej

Ukrainy⁹. Jednak byli i tacy, którzy chętnie chłonęli nowinki ze świata i tacy, którzy wzbogacali prywatne biblioteki w dzieła opisujące egzotyczne kraje. W szkołach prowadzonych przez wspólnoty luterańskie, kalwińskie i braci czeskich wcześniej wprowadzono do programu nauczania wiadomości o odkrytych kontynentach. W XVII w. już niejedna szkoła średnia, nie wspominając o krakowskim uniwersytecie, była wyposażona w mapy, atlasy oraz globusy.

Można tylko przypuszczać, że w odniesieniu do Afrykańczyków dominovalo postrzeganie stereotypowe, wiążące się z przeświadczeniem o wyższości cywilizacyjnej Europejczyków. Myślenie to sięgało korzeniami Pisma Świętego, które z jednej strony Afrykańczyków wiązało z potomstwem Chama, syna Noego, a z drugiej – z jednym z tajemniczych królów, którzy oddali poklon narodzonemu Jezusowi. W różnych opracowaniach znajdujemy stereotypowe informacje na temat mieszkańców Afryki, podkreślające ich „dzikość”. Są to swoiste kurioza w rodzaju: „Murzyni żyją bez Boga i jakiekolwiek wiary”, „żon u nich tyle, że trudno ustalić, które Murzyniątko do kogo należy”, „Murzyn nigdy się nie myje, dlatego jest czarny”, „największym przysmakiem murzyńskich królów jest mięso swych poddanych”. Z czasem tego typu stereotypy zastąpiły informacje bardziej obiektywne. Wiele wniosło tu Oświadczenie, wraz z którym pojawił się „mit dobrego dzikusa”, inaczej zaczęto postrzegać człowieka żywiącego w zgodzie z naturą, pozostającego poza obrębem cywilizacji. Ze współczuciem o straszliwej niedoli czarnych niewolników, stanowiących przedmiot handlu, pisali między innymi Ignacy Krasicki, Julian Ursyn Niemcewicz, Stanisław Staszic, ks. Dominik Szybiński, a Tadeusz Kościuszko przeznaczył część swojego majątku na uwolnienie i poprawienie losu sprowadzonych do Stanów Zjednoczonych afrykańskich niewolników.

Na koniec trzeba wspomnieć postać Maurycego Augusta Beniowskiego (zm. 1786), podróżnika i awanturnika, autora głośnych pamiętników. Jego przygody rozbudzały wyobraźnię współczesnych mu i potomnych. Beniowski został zesłany na Kamczatkę, a po ucieczce z niej przybył do Francji, gdzie przyjęto go do służby w stopniu pułkownika. Został wysłany (1773) na Madagaskar, aby założyć kolonię. Plan skolonizowania Madagaskaru jednak się nie powiodł. W pamiętnikach Beniowski twierdzi, że został obwołany przez naczelników i królów wyspy naczelnym władcą wyspy, tzw. Ampanskabe. Ponieważ Francja nie chciała uznać jego polityki madagaskarskiej, starał się nią zainteresować Anglię, Austrię, w końcu Amerykę. Powrócił na wyspę wsparły przez Amerykanów, zginął jednak zastrzelony w potyczce

9 J. Tazbir, *Rzeczpospolita szlachecka wobec wielkich odkryć*, Warszawa 1973, s. 134–135.

z Francuzami. Pozostał po nim czterotomowy pamiętnik *Historia podróży osobliwszych zdarzeń Maurycego-Augusta hrabi Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego*, wydrukowany w 1790 r. w Anglii, a następnie wielokrotnie wydawany w różnych językach. Stanowi on cenne źródło w opisywaniu realiów kulturowych i geograficznych XVIII-wiecznego świata.

W Polsce przełom XVIII i XIX wieku to najpierw czas rozbiorów, a następnie nadziei wiązanej przez Polaków z generałem Bonaparte. Uczestnikami jego wyprawy do Egiptu byli m.in. generałowie: Feliks Łazowski i Józef Zajączek, a także oficerowie: Józef Szumlański i Józef Grabiński oraz Józef Sułkowski, który zginął w 1798 r. podczas walk ulicznych miejscowej ludności z armią napoleońską w Kairze.

AFRYKAŃCZYCY NAD WISŁĄ

Afrykańczyków spotykali Polacy nie tylko podczas wypraw krzyżowych, pielgrzymek, wypraw kupieckich, służby czy wizyt na obcych dworach. Również mieszkańcy Afryki trafiały nad Wisłę – najczęściej byli to niewolnicy zakupieni w czasie zagranicznych podróży lub pozyskani w charakterze wojennego łupu. Pełne opracowanie tego tematu wymaga szczegółowej kwerendy w dokumentach archiwalnych i wykracza poza ramy niniejszej publikacji. Tu ograniczymy się do wskazania tych informacji, które znane są już z opracowań historycznych.

Afrykańczyków i nawet pewną modę na „murzyńskość” spotykamy przede wszystkim na dworze królewskim. Antoni Kuczyński wspomina o „Murzynach” uświetniających wesele Zygmunta III z Anną Habsburżanką (1592); z kolei zaślubiny Jana Zamoyskiego z Gryzeldą Batorową (1583) miał uświetnić poczet ubrany na „murzyńską” modłę, jadący na trzech wielbłdach. Trzymali złotem tkane baldachimy¹⁰. W 1651 r. Jana Kazimierza witał gdański cech kuśnierzy w strojach „murzyńskich” (głowy mieli okryte skórami baranimi, w ręku zaś każdy trzymał strzałę [sic!])¹¹. Czarnego lokaja posiadał, wśród kilku innych równie „egzotycznych” służących, król Jan III Sobieski. Wiemy to z jego listu do Marysieńki, w którym – nazajutrz po wiedeńskiej wiktoria – pisał:

10 A. Kuczyński, op. cit., s. 262.

11 J. Tazbir, op. cit.

Już się tu z nami śmierci tak spospolitowały, iż nie patrzymy na nic, jeno na śmierć swoich albo nieprzyjaciół. Mnie prawie wszyscy chłopcy poginęli. Golański onegdy z choroby umarł. Owego Murzyna Józefa Holendra Turcy, w ręku już mając go, ścięli. Miałem także Węgrzynka, co kilka języków umiał; i ten zginął. Ale z Kałmukiem małym co się stało, racz Wó uważyć, że kiedy w polu, to równo z charty na koniu zająca uganiał, a teraz ujśc nie mógł, kiedy mnie P. Bóg salwował. Nie wiem tedy, jakim to szczczęściem, że go Turczyn, nie ściąwszy, wziął żywcem.¹²

Nie był to jedyny Afrykańczyk w Rzeczypospolitej czasów Jana III Sobieskiego. Zwycięska kampania wojenna przeciwko Turcji dała bogate łupy, wśród których byli też czarni niewolnicy. Turecka broń, szaty, srebra, kobierce i sprzęt, które trafiły do Polski w końcu XVII w. przyczyniły się do naglej orientalizacji gustu polskiego. Jednym z jej objawów była moda na murzyńską egzotykę. Waclaw Potocki, w wierszu na cześć Jana III Sobieskiego, zapewne nieco przesadnie napisał:

Rozmnożyłeś wielbłady z Turek w ziemi naszej,
A Murzyn nieznany lud pospolity straszy.¹³

Król August II z dynastii Wettynów miał kapelę janczarską złożoną z „Murzynów”¹⁴. Na zachowanym w zbiorach Pałacu w Wilanowie, pochodząącym ze zbiorów rodziny Potockich portrecie z ok. 1737 r. monarcha został przedstawiony w pełnej zbroi, z narzuconym na ramiona płaszczem podbitym gronostajami, którego koniec podtrzymuje „Murzynek”. Nawet jeżeli czarny lokaj nie miał przedstawiać konkretnej postaci i był raczej przejawem barokowego *decorum*, to jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że malarz¹⁵ jako pierwotzoru użył prawdziwego „Murzynka”, być może przebywającego na królewskim dworze. Król wprawdzie znaczną część czasu spędzał w Dreźnie, jednak kiedy przyjeżdżała do Warszawy, podążał za nim cały dwór. Również w spisie wydatków dworu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego „Tabella expensy generalnej” z lat 1764–1767 znajdujemy wśród osób zatrudnionych „Murzyna” – Jeana Ledoux. Warto wspomnieć,

12 *Listy do Marysieńki*, list z dnia 10 X 1683. Za: literat.ug.edu.pl

13 J. Tazbir, op. cit. s. 46.

14 Ibidem.

15 Obraz jest warsztatową repliką płótna znajdującego się w Dreźnie, a namalowanego przez Silvestre'a w 1737 r.

że Bernardo Bellotto (Canaletto) umieścił na swoim obrazie postać czarnego sługi przechadzającego się po tarasie Zamku Królewskiego (1773).

Jak pisze Antoni Kuczyński: „Murzyn usługiwał na dworach ówczesnych polskich władców, ubarwiał magnackie rezydencje, dworskie bale i maskardy nie pogardały afrykańskimi motywami – strojono się więc w różne dziewaczne stroje, malowano ciała na czarno, przyozdabiano w pióropusze, wystawiano sztuki o afrykańskiej tematyce.”¹⁶ Z połowy XVIII w. pochodzą również potwierdzone informacje o Afrykańczykach będących na służbie w dobrach arystokracji. Na zamku w Przemyślu miał trzymać kilku „Murzynów” Jerzy Ignacy Lubomirski¹⁷. W lutym 1752 r. do Białej (Białej Podlaskiej) dotarł transport 12 niewolników afrykańskich, zakupionych w Londynie przez księcia Hieronima Floriana Radziwiłła. Jego skarbnik skrupulatnie odnotował, że na zakup wydano 2000 zł. Sam transport z Londynu i wyżwienie kosztowało 440 zł. Oprócz tego, angielski strażnik, który eskortował „nabytek”, dostał 34 zł.¹⁸ Podczaszy i chorąży wielki litewski, Hieronim Radziwiłł, który zyskał miano największego okrutnika Rzeczypospolitej, sprowadził sobie niewolników, by uświetnili jego menażerię. Pod koniec XVIII w. pojawiła się moda na podmiejskie arkadie, jedną z najślymniejszych urządziła w podwarszawskim Mokotowie marszałkowa Izabella z Czartoryskich Lubomirska. Spis wydatków tej rezydencji z 1787 r. wyszczególnia pozycję „Murzyn Ambroży”. Można więc przypuszczać, że również księżna posiadała czarnego lokaja¹⁹.

Oprócz anonimowych lub znanych wyłącznie z imienia albo nazwiska czarnych służących, którzy „zdobili” pałacowe wnętrza i ogrody oraz zabawiali króla lub arystokrację, w I Rzeczypospolitej znanych było kilku Afrykańczyków, zapamiętanych ze względu na ich cechy osobowe.

Walerian Nekanda Trepka w XVII-wiecznym rejestrze *Liber generationis plebeianorum* podaje informację, z której wynika, że wśród służby biskupa krakowskiego znajdował się „Murzyn”, Aleksander Dynis, późniejszy starosta we wsi Koziegłowy w Siewierszczyźnie. Ożeniony z chłopką, jedną z liczniego potomstwa z nieprawego łożą pana Chlewickiego, miał z nią dwóch synów i córkę.

16 A. Kuczyński, op. cit., s. 262.

17 J. Tazbir, op. cit.

18 J. Barua, *Niewolnicy Rzeczypospolitej*, „Newsweek” z 14 września 2003.

19 Ibidem.

Dynis Aleksander, Murzyn, sługa biskupa krakowskiego. Temu zasługi dał był biskup... Ze starostą w Koziegłówach był w Siewierszczyźnie. Żyw był i Anno 1633. Pojął był bękartkę pana Chlewickiego, co jej brat, też bękart, zwała się Rudnickim; o tym pod R. Z tą miał dwóch synów i dziewczę. Był służka, syn Formana z Koziegłów. Żyw byli rodzice oba jego i 1633, na przedmieściu folwark mieli. Ten syn uczył się pierwej kuśnierstwa, a służąc Dynisowi, za szlachcica udawał się.²⁰

Jeden z jego synów, Rodacki, „chłop czarny, wysoki, dorodny, duży”, brał udział w wojnie 30-letniej, jego również wspomina Trepka.

(...) Wychował się u Dynisa, potem wyprawiał go na żołnierską z lisowczyki kilka razy i anno 1622. Zaś nadslugował p. Leśniowolskiemu, staroście zatorskiemu, i anno 1631. Chłop czarny, wysoki, dorodny, duży, miał lat w tem to roku ze 40 kilka. Potem od r. 1632 u pana starosty lełowskiego Szyszkowskiego nadslugiwał. Bawił i przy ojcu Dynisie. Rodawski drudzy go chłopi tak zwali. Tego, gdy z cesarskiej przyjechał anno 1637, zabił ktoś i pobrał od niego pieniądze i rzeczy. (...)²¹

Na polskich dworach z czasem zaczęły się rodzić dzieci, które miały po części afrykańskie rysy. Szczególne miejsce należy tu poświęcić postaci Władysława Franciszka Konstantego Jabłonowskiego (1769–1802), generała brygady wojsk polskich i francuskich, działacza emigracyjnego. Urodzony w Gdańsku Władysław był synem Marii Franciszki Delaine zamężnej z Konstantym Aleksandrem Jabłonowskim, generałem-adjutantem wojsk koronnych i inspektorem mennicy królewskiej. W rzeczywistości Władysław pochodził prawdopodobnie z nieprawego łożą, a na skutek „cech murzyńskich” w wyglądzie był nazywany „Murzynkiem” lub „Czarnym”. Kształcił się w szkole kadetów w Paryżu, gdzie uczył się m.in. z Napoleonem Bonaparte; brał udział w powstaniu kościuszkowskim, odznaczył się, broniąc Saskiej Kępy podczas szturmu wojsk gen. Suworowa na Pragę (4.11.1794 r.). Po upadku powstania uczestniczył w próbach budowy polskich sił zbrojnych poza granicami Polski (m.in. w Konstantynopolu, Bukareszcie), walczył

20 N.W. Trepka, *Liber generationis plebeianorum (Liber chamorum)*, oprac. R. Leszczyński, Wrocław 1995.

21 Ibidem, s. 340.

w polskich legionach we Włoszech, wziął udział w wojnie francusko-neapolitańskiej. W końcu zaczął robić wojskową karierę w wojskach francuskich, m.in. w trakcie wojny Francji z Austrią. Przejściowo objął dowództwo Legii Nadzduńskiej, ostatecznie zgłosił się na wyprawę na San Domingo, gdzie zaraził się żółtą febrą i umarł w 1802 r.²²

Niezwykłą postacią był także czarny Jan Lapierre, słynny lokaj Tadeusza Kościuszki. Ze względu na fakt, że bywał nazywany „Domingo”, historycy wiążą jego pochodzenie z francuską kolonią na Saint Domingue (Haiti)²³. Kościuszko był bardzo przywiązany do Lapierre'a. Kiedy dostał się do niewoli po klęsce pod Maciejowicami, jego adiutant Fiszer w liście do gen. Zajączka pisał w imieniu rannego Kościuszki: „Naczelnik wczoraj przecie zaczął znowu mówić. Rany jego odjęły mu były zupełnie przytomność. Teraz mówił mi, żebym do WPD napisałem, abyś mu p. Maigniena [generalnego sztabschirurga wojska koronnego od 3 lipca 1794 r.], Murzyna [kamerdynera Jana Lapierre] i kucharza, tudzież te rzeczy, o które wczoraj pisałem, jak najspieszniej przysłał.”²⁴ Lapierre rzeczywiście przyjechał, potem towarzyszył Kościuszce na zesłaniu do twierdzy Pietropawłowskiej, następnie uczestniczył w jego tułaczce przez Petersburg do Sztokholmu i w końcu do Ameryki. Lapierre jednak wrócił do Polski, o czym pisze Jan Pachoński: „Nastręczono księciu [Dominikowi Radziwiłłowi] do usług Murzyna Lapierre'a, który wysoki stopień w związku masoństwa posiadał [!], a którego książę szczególnie cenił z tej przyczyny, iż on dzielił więzienie Kościuszki w twierdzy św. Piotra i Pawła i towarzyszył mu do Ameryki Północnej; autor-pamiętnikarz nazywa Lapierre'a kasjerem księcia Dominika Radziwiłła.”²⁵ W *Pamiętnikach dziecka Warszawy* K.W. Wójcicki wspominał również o Lapierze w tych słowach:

Właśnie bawił u nas na folwarku Lapierre, Murzyn ze dworu księcia Dominika Radziwiłła, który miał należności w masie Radziwiłłowskiej. Zajmował on pierwszy pokój od wchodowej sieni. Był to człowiek oczytanym i otartym w świecie, mówił kilku językami i nieźle po polsku; wysokiego wzrostu, składny i zręczny, umiał zjednywać sobie wzgłyby pięknych kobiet.

Było to pod jesień, gdy szlachcic pijany jechał ze swoją żoną, która się zdrzyła około północy, koń zaś zamiast na mostek wciągnął bryczkę w bród, w którym dalej iść nie mógł dla większej wody. Budzi się szlachcianka, budzi się i

22 PSB, T. X., z. 44, s. 244.

23 A. Storozynski, *The Peasant Prince. Thaddeus Kościuszko and the Age of Revolution*, St. Martin's Press 2009, , s. 199.

24 J. Lubicz-Pachoński, *Kościuszko po Insurekcji 1794–1817*, Lublin 1986, s. 25.

25 L. Rodziewicz, *Upadek fortuny Radziwiłłowskiej oraz informacje Janusza Iwaszkiewicza [za:] ibidem*, s. 201.



Portret Dominga (Jana Lapierre'a)
stużącego Kościuszki
© Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie, Jan Józef Sikorski

szlachcic; trzeźwi, jak może, męża i z wielkim kłopotem sama wydostaje się na drogę. Zobaczywszy światełko w oknie dworskim, śpieszy z żądaniem pomocy. Właśnie Lapierre czytał jakąś powieść francuską, gdy usłyszał mocne kołatanie do drzwi wchodowych z ganku do sieni. Mając związaną główkę białą chustką, w krótkiej koszuli, zrywa się co przedzej z łóżka i drzwi otwiera, trzymając w ręku świecę. Szlachcianka, która była najpewniejsza, że ich diabeł zaprowadził w błoto, na widok Murzyna, którego oczy błyszczą jak u kota, z okropnym okrzykiem: „Wszelki duch Pana Boga chwali!”, padła zemdcona. Lapierre wylaniem karafki wody otrzeźwia ją, ale ta na widok schylonego Murzyna, pewna, że się znajduje w szponach diabła, mdleje napowrót. Lapierre przywołał ludzi, sam się musiał oddalić, a gdy z wielkim trudem otrzeźwiono biedną kobietę, pomoc wysłana wydobyła ich z błota.²⁶

Rzecz działa się w roku 1812 w majątku Sławacinek na Podlasiu, który ojciec autora dzierżawił od Dominika Radziwiłła. W latach 1827–1830 Jan Lapierre pojawił się w Warszawie, był sekretarzem do korespondencji francuskiej w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu. Choć nie mamy pewności, czy była to postać identyczna z Murzynem Kościuszki, nie jest to wykluczone.²⁷ Portret „Dominga” (Jana Lapierre), służącego Kościuszki, autorstwa Jana Józefa Sikorskiego znajduje się w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Na podstawie tego krótkiego przeglądu stwierdzić można, że Afrykańczycy, choć nieczęsto, trafiały jednak do Polski. Większość to dziś postacie anonimowe, odnotowane jedynie w królewskich lub magnackich księgach rachunkowych, czasem pojawiające się również na obrazach. Na tym tle zdecydowanie wyróżniają się takie osobowości, które dzięki wyjątkowym cechom charakteru oraz umiejętnościom i wiedzy zapisały się w pamięci współczesnych i potomnych – jak na przykład „Murzyn” Aleksander Dynis czy Jan Lapierre. Do tego grona należy doliczyć Władysława Jabłonowskiego. Odmienny wygląd budził wśród ludzi – i to nie tylko prostych – zabobonny lęk, był źródłem uprzedzeń i stereotypów, których reminiscencje odnajdujemy w sztuce ludowej. Z drugiej strony afrykańscy służący byli oznaką zamożności, ozdobą pałacowego wnętrza i wystawnego orszaku, o którym z przekąsem pisał Ignacy Krasicki: „Przy karcie: cijadą, ciskaczą, ci idą, Kozak z spiszą, z kołczanem Murzyn, Tatar z dzidą”²⁸.

26 K.W. Wójcicki, *Pamiętniki dziecka Warszawy i inne wspomnienia Warszawskie*, Warszawa 1974, , s. 77–78.

27 J. Lubicz-Pachoński, op. cit., s. 201–202.

28 Ignacy Krasicki, *Podróż pańska. Do księcia Stanisława Poniatowskiego*.

Trudno stwierdzić, czy i jak zmieniał się stosunek do czarnych przybyszów wśród Polaków na przestrzeni wieków XV–XVIII. Sądzić raczej można, że ich miejsce było z góry określone. A jednak nie przeszkodziło to jednostkom wybitnym w osiągnięciu sukcesu w kraju nad Wisłą. Wiedza o Afryce i jej mieszkańcach, choć z pewnym opóźnieniem w stosunku do Europy Zachodniej, trafiała nad Wisłę. Można przypuszczać, że jednak jej upowszechnianie następowało bardzo powoli. Wyraźną zmianę mentalnościową obserwujemy w epoce Oświecenia, czego przejawem jest m.in. zainteresowanie losem afrykańskich niewolników, które wykazywały elity końca XVIII wieku. Czytając już XIX-wieczne artykuły prasowe, odnieść można wrażenie, że ich autorzy na równi przejmowali się losem czarnych niewolników w Ameryce, co dolą polskiego chłopa zniewolonego pańszczyzną. Warto na koniec zacytować fragment testamentu Tadeusza Kościuszki (1746–1817), który swój majątek w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej przeznaczył na uwolnienie i poprawienie losu sprowadzonych tam z Afryki czarnych niewolników. Ów czyn, jaki wówczas, a także i potem nie był codziennością, zyskał szeroki rozgłos, również nad Wisłą. Warto dodać, że tuż przed śmiercią Kościuszko nakazał także uwolnienie chłopów pańszczyźnianych w swoim majątku w Siechnowicach.

Prosiłem pana Jeffersona, żeby w razie mojej śmierci, bez wyrażenia ostatniej woli lub testamentu, wykupiła za moje pieniądze tylu Murzynów i uwolnił ich, aby pozostała suma wystarczyła na zapewnienie im wykształcenia i utrzymania. Każdy z nich powinien przedtem poznać obowiązek obywatela w wolnym Państwie bronienia swego Kraju przeciw obcym i wewnętrznym wrogom, którzy chcieliby zmienić Konstytucję na gorszą, co by ich [Murzynów] uczyniło w rezultacie znowu niewolnikami. Każdy z nich powinien mieć dobre i ludzkie serce, czułe na cierpienia innych. Każdy z nich powinien być żonaty oraz otrzymać 100 akrów ziemi, narzędzi i żywy inwentarz do uprawy roli, wiedzieć, jak się z tym obchodzić, umieć gospodarować, a także powinien umieć współżyć z sąsiadami: być zawsze dobrym i gotowym do pomocy oraz skromnym wobec nich. Każdy powinien dzieciom dać dobre wykształcenie, kochać swój kraj i spełniać obywatelskie obowiązki, by w ten sposób – zachowując dla mnie wdzięczność – czynić siebie samego możliwie najszczęśliwszym.²⁹

Tadeusz Kościuszko, 20 kwietnia 1798

29 G. B. Nash, G. Russell, G. Hodges, *Przyjaciele wolności: Tadeusz Kościuszko, Thomas Jefferson, Agrippa Hull*, przeł. J. Mikos, Warszawa 2009, s. 182.

BIBLIOGRAFIA:

- Atlas nautyczny Antonina Milla z 1583 r.*, 2008, BN, Warszawa.
- Baker J.L., 1959, *Odkrycia i wyprawy geograficzne*, Warszawa, PWN.
- Barua J., 2003, *Niewolnicy Rzeczypospolitej*, „Newsweek” z 14 września 2003.
- Chmielowski B., *Nowe Ateny*, <http://literat.ug.edu.pl/ateny/>.
- Długosz Z., 2002, *Historia odkryć geograficznych i poznania Ziemi*, Warszawa.
- Dzwonkowski T.A., 1985, *Pamiętniki czyli Pamiątka po ojcu Józefy z Dzwonkowskich Komornickiej*, Wydali z rękopisu S. i T. Komorowiccy, Warszawa.
- Historia Poznania Afryki*, 1977, PIW, Warszawa.
- Kuczyński A., 1994, *Polskie Opisanie Świata. Studia z dziejów poznania kultur ludowych i plemiennych. Tom 1. Azja i Afryka*, Wrocław.
- Lubicz-Pachoński J., 1986, *Kościuszko po Insurekcji 1794–1817*, Lublin.
- Listy do Marysieńki*, list z dnia 10 X 1683.
- Łoziński W., 1978, *Życie Polskie w dawnych wiekach*, Kraków.
- Nash G.B., Russell G., Hodges G., 2009, *Polski Słownik Biograficzny*, Warszawa.
- Storozynski A., 2009, *The Peasant Prince. Thaddeus Kosciuszko and the Age of Revolution*, St. Martin's Press.
- Tazbir J., 1973, *Rzeczpospolita szlachecka wobec wielkich odkryć*, Warszawa.
- Theatrvm Świata wszystkiego Iana Botera Benesivsa.
- Trepka N.W., 1995, *Liber generationis plebeianorum („Liber chamorum”)*, w oprac. R. Leszczyńskiego, Wrocław.
- Wójcicki K.W., 1974, *Pamiętniki dziecka Warszawy i inne wspomnienia Warszawskie*, PIW, Warszawa.



Ira Aldridge na scenie

Ira Aldridge w Warszawie

Ira Frederick Aldridge był znanym, afroamerykańskim aktorem, który święcił swoje największe sukcesy na europejskich scenach w rolach granych w sztukach szekspirowskich. Chociaż pochodził z Ameryki, przedstawiano go jako Afrykanina z Senegambii. Na ziemiach polskich, które znajdowały się wówczas pod zaborami, przebywał sześć razy. W Warszawie występował w 1862 r.

Urodzony w Nowym Jorku w 1807 r., Aldridge zrobił największą karierę dopiero w Europie. Na ziemi polskie przyjechał po raz pierwszy w 1853 r. Wystąpił wtedy w kilku miastach znajdujących się pod panowaniem Prus, m.in. w Poznaniu i we Wrocławiu. Wszędzie, gdzie się pojawiał, towarzyszyło mu ogromne zainteresowanie, a reporter „Kuriera Warszawskiego” donosił po wrocławskim przedstawieniu z udziałem czarnego aktora, że dotrza on wkrótce do Warszawy ze swoim zespołem. Brytyjski zespół Aldridge'a został jednak rozwiązany po *tournée* w 1853 r. i odtąd aktor występował z zespołami teatrów, na których deski był zapraszany. Rok później jego talent mogła podziwiać krakowska publiczność. Do Warszawy miał dotrzeć dopiero w 1862 r.¹

Wraz z pojawiением się Aldridge'a na ziemiach polskich utrwała się informacja o jego afrykańskim pochodzeniu. Winę za to ponosiła pierwsza biografia artysty z 1849 r. Przedstawiono w niej ojca Aldridge'a, Daniela, jako Afrykanina, który odebrał wychowanie w duchu protestanckim i wrócił do Afryki, aby wyzwolić ojczystą ziemię spod panowania złego władcy, lecz został zdradzony i znów musiał uciekać. W Afryce Południowej miał urodzić się Ira, a Daniel z żoną i synem, po dwóch latach tułaczki, znalazł statek płynący do Nowego Jorku, gdzie został pastorem. Do dziś nie ma pewności, czy biografia Aldridge'a powstała za jego wiedzą i zgodą. Wiemy na pewno, że utrwała wersję o jego afrykańskim pochodzeniu.²

1 O Ira Aldridge'u powstała niedawno jego polska biografia autorstwa Krystyny Kujawińskiej Courtney *Ira Aldridge. Dzieje pierwszego czarnoskórego tragika szekspirowskiego*, wydana w Krakowie w 2009 roku.

2 Kujawińska-Courtney K., *Ira Aldridge. Dzieje pierwszego czarnoskórego tragika szekspirowskiego*, Kraków 2009, s. 136–139.

Rok 1862 był wyjątkowo niesprzyjający występom Aldridge'a. W Warszawie trwała żałoba narodowa, która poprzedziła wybuch powstania styczniowego, zaś warszawskie teatry miały świecić pustkami. Aldridge mógł być potraktowany również nieufnie z racji tego, że przyjeżdżał nad Wisłę z Rosji. Mimo tej atmosfery, w maju 1862 r., w warszawskiej prasie ukazały się zapowiedzi występu tego aktora w dramacie Williama Szekspira *Otello*. Aldridge miał wystąpić z polskimi aktorami i jako jedyna postać na scenie odegrać swoją rolę w języku angielskim. Nie zmieniało to faktu, że warszawska publiczność mogła po raz pierwszy poznać polski przekład *Otella*. Z myślą o niej powstało nawet libretto tytułowej roli, zagranej przez Aldridge'a w jego rodzimym języku³.

Aldridge wystąpił w Teatrze Wielkim w dniach 23, 24 i 26 maja 1862 r. Pomimo żałoby narodowej, dziennikarze warszawskich gazet wykazali spore zainteresowanie tym niecodziennym aktorem. Upowszechniła się też informacja jakoby Aldridge w roli Otella miał zwykłą mordować aktorki grające Desdemonę. Kujawińska-Courtney opisała w swojej ksiązce poświęconej Aldridge'owi również karykatury z „Kuriera Niedzielnego” ukazujące aktora jako straszliwego dzikusa w skąpym odzieniu.

Po raz kolejny Aldridge pojawił się na ziemiach zaboru rosyjskiego dopiero w 1866 r. Wystąpił wtedy w Lublinie, a w następnym roku zagrał na scenie w Radomiu, Warszawę zaś tylko odwiedził. Później miał wystąpić w Łodzi, ale wkrótce po przyjeździe do tego miasta źle się poczuł i zmarł w dniu 7 sierpnia 1867 r. Tam też został pochowany.

3 O występach na ziemiach polskich pod zaborami najwięcej informacji znajduje się we wspomnianej biografii aktora autorstwa K. Kujawińskiej-Courtney, s. 234–260.

Afryka i Afrykanie w XIX wieku na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”

Michał Gołaszewski

Doskonałym źródłem informacji o tym, co o Afryce i Afrykanach mogli wiedzieć warszawianie w drugiej połowie XIX wieku, jest lektura „Tygodnika Ilustrowanego” – najważniejszego pisma w Królestwie Polskim, wydawanego w Warszawie, nieprzerwanie od 1859 do 1939 r., a adresowanego głównie do mieszkańców Królestwa, jak również Polaków w Cesarstwie Rosyjskim. Liczba prenumeratorów wynosiła początkowo 3 tys., by na początku XX wieku zbliżyć się do 19 tys. W „Tygodniku” publikowane były relacje z najważniejszych wydarzeń mijającego tygodnia, a także korespondencje zagraniczne, głównie z takich krajów, jak Francja, Prusy, Rosja i Szwajcaria. Do autorów, których teksty regularnie ukazywały się na łamach czasopisma, należeli Bolesław Prus i Maria Konopnicka. Swoje powieści w odcinkach publikowali tu także Henryk Sienkiewicz i Eliza Orzeszkowa. Pismo słynęło nie tylko z warstwy tekstowej, ale również graficznej – często ukazywały się w nim reprodukcje dzieł najwybitniejszych malarzy i grafików epoki, m.in. Juliusza Kossaka, Aleksandra Gierymskiego czy Juliana Fałata. Oprócz działalności popularyzatorskiej, redakcja „Tygodnika Ilustrowanego” angażowała się w liczne inicjatywy społeczne, m.in. zbiórkę pieniężną na rzecz budowy pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie w stulecie jego urodzin: opublikowano odezwę komitetu budowy pomnika, a także w każdym numerze wymieniano z imienia i nazwiska wszystkich darczyńców.

AFRYKA – DZIKO, GORĄCO I DALEKO

W pierwszych latach ukazywania się periodyku tematy afrykańskie gościły na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” niezmiernie rzadko. Wyjątkiem jest biografia Maurycego Augusta Beniowskiego zamieszczona w numerze 239 z 23 kwietnia 1864 r. Beniowski był postacią niezwykle barwną i fascynującą ówczesnych czytelników. Żołnierz w służbie francuskiej, w 1773 r. trafił na Madagaskar i przez 3 lata pełnił tam funkcję zarządcy. Dzięki licznym przymierzom zawieranym z tamtejszą ludnością nie tylko zdołał utrzymać się na tym stanowisku, ale również został przez tubylców uznany za Ampanasakabę, czyli „najwyższego rządcę”: „Gdy Beniowski (czego się łatwo domyśleć) przyjął te życzenia narodu, wykonano wzajemną przysięgę, zasadzającą się na tem, że obranemu Najwyższemu Rządcy rozcięto brzytwą skórę na lewem ramieniu, a każdy z przytomnych zbliżając się wysywał po kropli krwi tego, którego panem swoim obrał. Niema przekleństw, których by podówczas nie rzucano na wiarołomcę, aby ślubom swoim poważył uchybić.”¹.

Poza biografią polskiego zarządcy Madagaskaru, Afryka – i to przede wszystkim Afryka Północna, zamieszkana głównie przez ludność arabską – na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” pojawia się w drobnych wzmiankach. Notatki te dotyczą np. plagi szarańczy atakującej uprawy zbóż i zagrażającej rolnictwu europejskiemu, algierskich upraw pokrzywy białej wykorzystywanej do produkcji tkanin czy też planów budowy telegrafu elektrycznego, który miałby dotrzeć do Przylądka Dobrej Nadziei. W relacjach z podróży do egzotycznych miejsc, które znajdziemy w ówczesnych numerach „Tygodnika Ilustrowanego” królują Galicja, Huculszczyzna oraz Serbia i Czarnogóra. Afryka pojawia się, jako synonim miejsca odległego (np.: „nie ziarna z Sycylii i Afryki potrzeba nam”²), gdzie panują wysokie temperatury, np.: „Wkrótce dżdżysta jesień, a za nią nieubłagana zima, zakończy te lube chwile, skwarne może zanadto, palące afrykańskim żarem, ale pełne jeszcze zieleni, poezyi i życia”³. Warunki, w których przyszło żyć niewolnikom z Afryki, posłużyły autorowi poematu *Handel białemi niewolnikami* do opisania sytuacji polskich chłopów wysyłanych do pracy na wschód Królestwa Polskiego z Wielkopolski. „Na wybrzeżu w dyby skuta czerń murzynów stoi, / Trzech z Bengueli czarnych wodzów zasiadło wśród tłumu; / Przybył handlarz, człek bez serca, diabla się nie boi, / I targuje ludzkie mięso, a nie szczędzi rumu, / I nim błysły pierwsze zorze, wszystkie łodzie pełne. / Już za strzelby, noże,

1 „Tygodnik Ilustrowany” 1864, nr 239 z 23 IV, s. 150.

2 „Tygodnik Ilustrowany” 1861, nr 80 z 6 IV, s. 127.

3 „Tygodnik Ilustrowany” 1861, nr 96 z 27 VII, s. 31.

kule, za beczułki wódki, / Tysiąc Negrów w zamian idzie białym siać bawełnę, / Tysiąc Negrów kują majtki na dnie statku w kłodki. / Tak wciąż idzie targ ten sprośny, mimo ludzkich krzyków, / Ha! Bo zacnym plantatorom trzeba niewolników.”⁴. Odnieś można wrażenie, że artykuły, w których autorzy ciepło wyrażają się na temat Afrykanów, podkreślając ciężkie warunki życia niewolników wysłanych do obydwu Ameryk, mogły powstać na fali zainteresowania opinii publicznej trwającą w Stanach Zjednoczonych wojną secesyjną. Wynik tego konfliktu, relacjonowanego na bieżąco przez prasę codzienną, spowodował, że zaczęto zajmować się kwestią wolności mieszkańców Afryki, których do niedawna traktowano bardziej jak towar niż ludzi. W Królestwie Polskim ta sympatia do ludzi zniewolonych, żyjących w poniżeniu, wynikać mogła również z odczuwanego podobieństwa do warunków, w jakich żyli Polacy po upadku powstania styczniowego.

PIERWSZE WYPRAWY – ZACHWYT BOGACTWEM AFRYKI

Znacznie więcej Afryki pojawia się w „Tygodniku Ilustrowanym” w latach 70. XIX wieku. Wówczas w czasopiśmie publikowane są obszerne relacje z wypraw oraz opisy obyczajów panujących wśród tubylców. Jednym z takich artykułów był list Davida Livingstone'a – najsłynniejszego podróżnika drugiej połowy XIX wieku – do wydawcy dziennika „New York Herald”. Livingstone – szkocki misjonarz, którego celem była głównie praca wśród ludności tubylczej – wpisał się na stałe w historię odkryć geograficznych. Najważniejszymi osiągnięciami jego podróży w głąb Afryki (w latach 1865–1873) była wyprawa wzduż biegu rzeki Zambezi, ustalenie działów wodnych między rzekami Kongo i Zambezi, a także odkrycie wielkiego wodospadu nazwanego przez odkrywca na cześć panującej królowej angielskiej Wodospadem Wiktorii. Livingstone w swoim liście opisuje podróż w rejonie jeziora Tanganika, nie szczędząc przy tym obserwacji oraz opisów miejsc, które odwiedzał w trakcie ekspedycji. „Na południo-zachód od brzegów jeziora Tanganyika, w odległości około dziewięćdziesięciu kilometrów, leży wieś naczelnika Chitimby. Przebywałem na południowem wybrzeżu jeziora, podczas gdy wojna wybuchała między pokoleniem Arabów, liczącym do sześciuset strzelib, i naczelnikiem obwodu leżącego na zachód od Chitimbya. (...) Koniec jeziora leży w głębokim parowie, kształtu kielicha, którego pionowe ściany wznoszą się w kilku miejscach na dwa tysiące stóp nad powierzchnię wody. Z pod bujnej roślinności przeglądają tu i owadzie skały z czerwonego łupku gliniastego, ze szczytu urwisk pędzą wspaniałe

4 „Tygodnik Ilustrowany” 1862, nr 143 z 21 VI, s. 249.

wodospady. Ten prześliczny krajobraz ożywiają stada słoni, bawołów i antylop, a warowne wioski, ukryte nad brzegiem wody w gajach palmowych, dopełniają obrazu, urzeczywistniającego raj Ksenofonta. (...) Palisada wioski Chitimba ciągnie się nad brzegiem niewielkiego strumienia. Z jednej strony, dokoła źródła wzrosły się gaj gęsty z drzew niebotycznych, z drugiej równina dość starannie uprawiona. Klimat jest zimny, bo cała okolica leży około czterech tysięcy siedmiuset stóp nad poziomem morza. Lasy są tu obfite, a w dali widać kilka łańcuchów pagórków.⁵ W czasie swojej pracy misyjnej Livingstone wielokrotnie stykał się z ludnością zamieszkującą Afrykę południowo-wschodnią, dzięki czemu miał okazję poznać zwyczaje tam panujące. Czytelnicy „Tygodnika” mogli, za jego pośrednictwem, zapoznać się m.in. z afrykańskimi metodami wychowawczymi: „Rodzice nie wyczerpują wątpliwy sił swojego potomstwa, jak to czynią w Anglii ceglarze, hutnicy, kowale itd.”⁶, sposobami przygotowania posiłków: „Skoro ziarno wyschło, tłucze się je lekko w dużym stepie, dla oddzielenia łuski, którą następnie oddala się przesiewaniem potłuczonego ziarna przez palce, a czyste ziarno trze się między dwoma okrągłemi kamieniami.”⁷, tamtejszą dietą: „Murzyni rzadko kiedy jedzą mięso, zwykłym ich pokarmem jest zupa z mąki, do której dla smaku dodają liście pewnych roślin dzikich lub uprawnych, albo też orzechy ziemne starte na mąkę.”⁸ Livingstone chwalił również zdolność tubylców do uprawy roli, czy też innych prac ręcznych: „Murzyni znają się wyborne na rolnictwie i umieją bardzo stosownie wybierać pola, odpowiednie tej lub owej roślinie. (...) Jeden z towarzyszących (...) misjonarzy wyuczył się koszykarstwa przed wyjazdem z Anglii, w zamiarze niesienia praktycznej przysługi dzikim, których miał nawracać, ale zobaczywszy wyroby Murzynów, doszedł do przekonania że lepiej postąpi jeśli wcale popisywać się nie będzie ze swoją umiejętnością.”⁹

Równocześnie z relacją Livingstone'a czytelnicy „Tygodnika” zapoznać się mogli z cyklem artykułów poświęconych angielskim koloniom w Afryce Zachodniej, a w szczególności Złotemu Wybrzeżu (obecnie Ghana). Pretekstem do publikacji była prowadzona przez Anglików wojna z zamieszkującym te tereny ludem As-hanti. Redakcja zadbała nie tylko o to, by czytelnicy poznali skomplikowaną sytuację polityczną tamtejszych księstw i wzajemne zależności między nimi oraz przebieg działań wojennych, ale także, aby mieli wyobrażenie, w jakich warunkach te wydarzenia zachodzą: „Kraj cały lasami poroszy. Tuż nad brzegiem mało jest wysokopiennej roślinności, a wielkie

5 „Tygodnik Ilustrowany” 1874, nr 340 z 4 VII, s. 14, 15.

6 „Tygodnik Ilustrowany” 1874, nr 341 z 11 VII, s. 32.

7 Ibidem.

8 Ibidem.

9 Ibidem.

drzewa są po większej części obrąbane, tak iż zupełnie przed słońcem nie chronią. Po obu stronach drogi ciągnie się tu nieprzebyta gęstwinia, która nie dopuszcza swobodnego przewiewu powietrza. Wązką, parę stóp zaledwie szerokości mającą ścieżką, stanowiącą drogę, jeden chyba człowiek iść może wygodnie. (...) Czasami znów idzie się lasem tak mocno zbitym, że ciągle się trzeba zasłaniać ręką, żeby twarz od podrapania ochronić. Niebawem atoli pojawią się las wysokopienny; olbrzymie drzewa niby słupy, stoją koło drogi, a z rozrastających się gałęzi i gęstego liścia tworzą dach, przez który nie widać ani nieba ani słońca. Dołem tymczasem, przynajmniej w suchej porze roku, gdy pnące się rośliny poschną, po obu stronach ścieżki na jakie trzydzieści kroków widzieć wszystko można. (...) Rzek jest dużo, ale ani jednej nie ma spławnej. (...) Olejne palmy, ziemne orzechy, owoce, jarzyny wybornie się tutaj udają, równie jak pieprz, imbier, kawa i inne podzwrotnikowe płody. Złoto dałoby się prawdopodobnie w większych wydobywać ilościąch, gdyby do jego eksploatacyi używano lepszej metody od pierwotnego prawdziwie sposobu, stosowanego przez krajowców.”¹⁰

Autor relacji chwalił kunszt rzemiosła tubylców, jednak wierzenia i wygląd zewnętrzny poddane były przez niego mało wyszukanej krytyce: „Ashantowie są nizcy, brzydci, chuderlawi; obok tego rzęczni, umiarkowani, odważni, wojownicze usposobienia, ale niesłychanie ograniczeni, zaboboni i brudni. (...) Lubo Ashantowie nie mają wielkiego do rzemiosł zamiłowania, posiadają w nich jednak niepospolitą zręczność. Złote ich wyroby odznaczają się nader kunsztowną i wyborną ornamentacyją, której to sztuki prawdopodobnie od Arabów się wyuczyli. Wyborni też z nich kowale; wyrabiają bardzo dobre noże, miecze i narzędzia rolnicze. Niemałe także zalety posiadają garnkarskie wyroby, wąskie bawełniane i jedwabne tkaniny, zwykle 4 cale szerokości mające, ale wybornie farbowane, mianowicie na czerwono, niebiesko, żółto i zielono; wreszcie nader piękne i delikatne są ze znakomicie wyprawnej skóry.”¹¹

Czytelnicy „Tygodnika Ilustrowanego” zaznajomieni byli nie tylko z geograficzno-przyrodniczo-polityczną specyfiką Afryki. Informowano ich także o zwyczajach mieszkańców tego kontynentu. W relacjach podróżników opisywano obrzędy, mogące być dla ówczesnych Europejczyków co najmniej wyrazem egzotyki, jeśli nie „dzikości” czy zacofania. Przykładem tego jest opis święta ku czci bóstwa Mali w Zimbabwe. „Trwało święto dni trzy. Przybywał na nie arcykapłan z pomocnikami swymi, dwiema dziewczynami, dwiema młodemi kobietami i jednym młodzieńcem. Witano go klaskaniem w dlonie. Przechodził wśród tłumów nie patrząc na nie, z oczyma

10 Ibidem, s. 30, 31.

11 Ibidem, s. 31.

wlepionemi w ziemię, jakby nieprzytomny, i wstępował na góre. Za nim wieziono dwa woły i młodą krowę (jałowice), czarne i bez żadnej wady. Jałowiec przywiązywano do nałożonego wprzódy stosu drewna i palono ją żywcem na ofiarę. Jeden wół zabity służył zgromadzonym za pożywienie, drugiego ciągano z góry, pędzanooko murów, w pewnym oddaleniu zabijano, a mięso rzucano dla ptasów i rozbójników, włóczęcych się po okolicy. Zabawiano się pod górą przez dni kilka i powracano do domów.”¹²

Motywacje do wyruszenia w głąb kontynentu afrykańskiego były tak różnorodne, jak różne były biografie podróżników. Livingstone chciał prowadzić działalność misjonarską wśród ludów zamieszkujących Afrykę Wschodnią. Celem wyprawy Georga Augusta Schweinfurtha w latach 1868–1871 było wzbogacenie wiedzy z zakresu botaniki, natomiast Samuel Baker w latach 1869–1873 stanął na czele misji, której zadaniem było zwalczanie handlu niewolnikami wzdłuż Nilu. Czytelnicy „Tygodnika Ilustrowanego” otrzymali relacje z tych wypraw.

Wyprawa Schweinfurtha ruszyła z Chartumu wraz z handlarzami kości słoniowej i niewolników. W jej efekcie podróżnik uzyskał bogate zbiory z zakresu fauny i flory, a także: „zaznajomił się z Dyooram, Dinkasami i Bongosami, którzy w porównaniu z ludożercami na południu mieszkającymi, są niemal ludźmi cywilizowanymi, umieją bowiem obrabiąć żelazo, mają mieszkania stałe i trzody.”¹³ Był także świadkiem, jak sam to nazwał, „przeeglądu wojskowego” urządzonego przez miejscowych: „Trudno o coś śmieszniejszego w oczach Europejczyka, nad to przedstawienie. Ludzie Aboo-Sammata podzieleni byli na grupy, według plemion do których należeli, a on sam, przebierając się kolejno we wszystkie im właściwe stroje, zaczął tańczyć już z tarczą w jednej i kopią w drugiej ręce, już uzbrojony łukiem i strzałami, bez odpoczynku, od rana aż do wieczora. Ktoby widział te choreograficzne popisy Nubijczyka, musiałby sobie mimowolnie przypomnieć poetyczne uniesienia Dawida. U ludów afrykańskich taniec jest językiem poetów i rycerzy, którzy mają ten przywilej, że go rozumieją wszyscy i wszyskie. Rycerski, waleczny i rozumny Aboo-Sammat przemawiał nim do przyjaciół, do nieprzyjaciół a może i do samego siebie.”¹⁴

Dalsza część wyprawy wiodła Schweinfurtha do kraju Niam-Niam i Monbuttoo: „Gdyśmy przybyli między Niam-Niamów – lud ten z najeżonymi czarnymi włosami, z czubami dziwacznymi i ze świńskimi ogonami, zdobiącymi jego głowy, zdawał się nam należeć do innego świata.”¹⁵ Z tej wyprawy

12 „Tygodnik Ilustrowany” 1873, nr 298 z 13 IX, s. 130.

13 „Tygodnik Ilustrowany” 1875, nr 392 z 3 VII, s. 15.

14 Ibidem.

15 „Tygodnik Ilustrowany” 1875, nr 393 z 10 VII, s. 31.

również udało się badaczowi przywieźć imponujący zbiór afrykańskiej flory. Wyprawa, albo jak nazywa to autor artykułu – kampania wojenna, pod dowództwem Samuela Bakera miała doprowadzić do zniesienia handlu niewolnikami wzdłuż Nilu. Powodowało to bardzo duży opór wśród lokalnej administracji, gdyż proceder ten stanowił tam poważne źródło dochodu. Po czterech latach od rozpoczęcia Baker zakończył swoją wyprawę, nie osiągając założonego celu.

Pod koniec lat 70. XIX wieku, w „Tygodniku Ilustrowanym” zamieszczono relację z wyprawy do wcześniej nieopisywanego regionu Afryki – kraju Zulusów leżącego na jej południowym krańcu. Jej autor przedstawia tubylców jako odznaczających się „piękną, silną budową ciała, potężnym rozwińciem muskułów i umysłowemi zdolnościami, jakimi mało który ze szczepów afrykańskich poszczycić się może.”¹⁶ Ale już o sąsiadujących z Zulusami ludach pisze: „zbliżeni do zwierzęcia Buszmeni, głupi Koranna i Namaque.”¹⁷

Oczywiście, wyprawy do Afryki miały służyć nie tylko poznaniu dotąd nieodkrytych rejonów kontynentu, ale przynieść również pragmatyczne efekty. W większości krajów europejskich zaczęły powstawać towarzystwa naukowe, których zadania polegały na koordynacji wypraw odkrywczych w głąb kontynentu afrykańskiego, a także na maksymalizacji zysków z eksploatacji tamtejszych bogactw naturalnych czy też szlaków komunikacyjnych. Wizja nieograniczonych bogactw Afryki spowodowała swoisty wyścig podróżników, reprezentujących państwa kolonialne. Tutaj również „Tygodnik” nie zawiódł swoich odbiorców, relacjonując śmiały plan wytyczenia szlaku komunikacyjnego wzdłuż rzeki Kongo. Przedsięwzięcie to, finansowane przez rząd Belgii, było także polem rywalizacji między Pierrem de Brazza a Henrym Stanleyem – odkrywcami reprezentującymi dwa wiodące państwa kolonialne – Francję i Wielką Brytanię. Pierwszy z odkrywców był założycielem francuskiej kolonii nad rzeką Kongo, znanej później jako Kongo Francuskie. Drugi był odkrywcą źródeł Nilu, a także opłynął jezioro Wiktorii i tym samym udowodnił, że jest to jeden akwen, a nie – jak uważano wcześniej – zespół pięciu jezior. Rywalizacja między dwoma odkrywcami, toczona w salach towarzystw podróżniczych i na łamach prasy, przeradzała się chwilami w otwarty konflikt. Przejawem tego były wzajemne blokady i uniemożliwianie przepraw przez Kongo. Tylko dzięki interwencji miejscowych wodzów utarczki te nie przerodziły się w krwawe starcia.

W XIX wieku opinię publiczną elektryzowały doniesienia o ludożerczych praktykach mieszkańców Afryki. Ówczesne gazety naglaśniały przypadki

16 „Tygodnik Ilustrowany” 1879, nr 184 z 5 VII, s. 14.

17 Ibidem, s. 14.

kanibalizmu, m.in. przy okazji opisu konfliktu między kolonistami niemieckimi a autochtonami z Afryki Południowo-Wschodniej: „najstarsza tameczna osada niemiecka dostała się w ręce krajowców, a mieszkańców jej Murzyni wymordowali i zjedli.”¹⁸

POLACY W AFRYCE

W latach 80. XIX w. do grona założycieli kolonii zamorskich dołączył Stefan Szolc-Rogoziński, marynarz i podróżnik. Zainspirowany swoją wcześniejszą podróżą dookoła świata, zaplanował wyprawę do Kamerunu, która

miała być pierwszym tego typu polskim przedsięwzięciem. Jej celem była eksploracja nieznanych dotąd obszarów w Afryce Zachodniej, a także: „założenie polskiego, niezależnego skupiska osadniczego”.¹⁹ W przygotowanie podróży zaangażowało się wielu przedstawicieli polskiego społeczeństwa, między innymi Henryk Sienkiewicz (przeznaczył na ten cel całkowity dochód z kilku publicznych odczytów), mecenas nauk przyrodniczych, hr. Konstanty Branicki czy Bolesław Prus. Mimo tak szerokiego poparcia, podróż doszła do skutku głównie dzięki wkładowi własnemu poniesionemu przez podróżnika. Wyprawa wyruszyła z francuskiego portu Havre 13 grudnia 1882 r. na pokładzie lugra „Łucja Małgorzata”. Skierowano się na południe. Jeszcze na wodach kanału La Manche wciągnięto na maszt banderę z herbem Warszawy. Ze względu na sztorm

Stefan Szolc-Rogoziński - podróżnik, badacz Afryki i Kamerunu.
Fotografia pozowana w atelier w stroju podróżniczym, © NAC

i uszkodzenia poniesione przez „Łucję Małgorzatę” podróżnicy musieli zatrzymać się na Maderze, gdzie – dzięki wsparciu hrabiego Benedykta Tyszkiewicza – naprawiono zniszczenia. Szolc-Rogoziński, wraz z współtowarzy-

18 „Tygodnik Ilustrowany” 1888, nr 303 z 20 X, s. 254.

19 W. Śląbczyński, *Polscy podróżnicy i odkrywcy*, Warszawa 1988, s. 198.

szami podróży, dotarł do celu, czyli do hiszpańskiej wyspy Fernando Po (obecnie Bioko) 16 kwietnia 1883 r. W swojej relacji tak opisuje jej mieszkańców, zwanych przez siebie Bubisami: „Ciemno brunatnej cery te postacie, dość silnie zbudowane i o dość regularnych rysach twarzy, czynią zupełnie odrebnne wrażenie na widzu, niż inni krajowcy zachodniego brzegu. Sprawiają to włosy, u innych Murzynów najczęściej krótkie, barankowate, u Bubisów zaś rozczesane i najeżone, przedstawiające jakby kołtun, którego niezbędną częścią jest słomiany kapelusz własnej roboty, przypinany drewnianą szpilką do włosów. (...) Całe ciało jest zwykle pomalowanem czerwoną farbą, otrzymywaną z jednej z roślin leśnych, i rzadko kiedy napotyka się Bubisów zupełnie czystych, bez owej czerwonawej powłoki. Resztę ubioru stanowiła aż do lat ostatnich (...) przepaska, częstokroć z potłuczonych muszli, przedstawiających pieniądze Bubisów, noszona naokoło bioder, z kawałkiem skóry, zamiast staroklasycznego liścia, lub bardzo często bez niczego. Naszyjniki i bransoletki najczęściej bywają z owych drobnych nawlekanych kawałków muszli; (...) Niezbędna wreszcie rzeczą dla całości sylwetki Bubisa jest saha, ich kij góralski, strugany z niezmiernie twardego drzewa, mający plecioną gałkę u góry i takąż obrączkę, o dwie stopy niżej gałki, dla oparcia ręki przy schodzeniu z gór. Tatuowanie tych krajowców szpeci niezwykle ich przyjemne z natury rysy twarzy; są to liczne, nieforemne nacięcia na policzkach, idące w kierunku od ucha do ust.”²⁰ Celem wyprawy Szolc-Rogozińskiego była eksploracja Kamerunu, a także założenie tam polskiej kolonii. Efektem wypadów wzduż rzeki Kamerun były liczne odkrycia geograficzne oraz obserwacje etnograficzne żyjących tam ludów. Jednak ewentualne założenie polskiej kolonii w tamtym rejonie Afryki uniemożliwiło przejęcie Kamerunu przez Niemcy w 1884 r.

Również z wyspy Fernando Po pochodzi relacja spisana przez innego podróżnika – Aleksandra M. Jawornickiego, zawierająca ciekawy opis zabawy mieszkańców wyspy: „Zdala dolatuje nas hałas i krzyki: to czarni bawią się po pracy. W ciasnej, ciemnej izbie zasiada kołem ze trzydziestu ludzi, wrzeszcząc co sił piersiom starczy; każdy trzyma przed sobą to blaszaną miednicę, to pustą skrzynkę od dżinu, to choćby deskę jaką, bijąc w te zaimprovizowane muzyczne narzędzia pięcią lub kawałkiem drewna. Powstaje ztąd hałas ogłuszający, zdolny umarłego w grobie poruszyć. W miarę przedłużania się zabawy, uczestników jej szal powoli ogarnia; zapalają się właściwym swoim krzykiem, piersi dyszą ciężko ze zmęczenia, czarne ciała pot kroplisty pokrywa. W dzikim tym śpiewie na próżno szukać jakiejkolwiek melodyi. Jak szum wody monotonny, posiada jednak pewny rytm, miarowy spadek i podnoszenie się głosu. Słuchając, dziwnego doznaje się uczucia:

20 „Tygodnik Ilustrowany” 1885, nr 137 z 15 VIII, s. 111, 112.

oszałamia, powoli odrętwienia ducha i ciała, traci się czucie, świadomość miejsca i czasu. (...) Tekst i muzyka jest improwizacyją: przodujący podaje motyw lub zwrotkę jakąś, zgromadzenie powtarza ją za nim, i tak bez końca.”²¹ Jawornicki w swoich *Listach z podróży po Afryce*, publikowanych cyklicznie w „Tygodniku”, zamieszcza również taki opis lasu na wyspie: „W pół-mroku, w pół-świetle, w nieprzebytych gąszczach, niby starce wśród młodszych pokoleń, stoją w gęstym zwartym szyku olbrzymie cedry, to dęby rosochate z korą pooraną w brózdy i głębokie blizny; dalej gładkie pnie paproci, smagle jak gotyckie kolumny, wybiegają w niebo, podpierając z zielonych łuków sklepienia. (...) A jaka tam cisza, a jakie mroki tajemnicze rozlane w powietrzu z balsamicznem tchnieniem ziół i kwiatów, jakby jakaś senność, odrętwienie rokoszy ogarnęły te leśne przestworza!”²²

O rośliności afrykańskiej czytelnicy „Tygodnika Ilustrowanego” mogli dowiedzieć się też z fragmentów opisu wyprawy Henryka Sienkiewicza przez Egipt do Zanzibaru i do środka Afryki. Relacja publikowana przez „Tygodnik” była streszczeniem mającej się wkrótce ukazać książki Sienkiewicza pt. *Listy z Afryki. Pisarz „zabrał” czytelników m.in. na sawannę*: „Trawy wokoło nas są tak bujne, że przenoszą nasz wzrost i chwilami zasłaniają nam widok. W niektórych miejscach zastępuje je jeszcze wyższa trzcinina, w innych mimozy, chwytające kolcami za ubranie. (...) Ale wkrótce wszystko to niknie nam z oczu – i gdzie nie spojrzeć, wszędzie jedno: trawy i krzaki, krzaki i trawy: nad tem kopuła nieba, niezmiernie głęboka i z powodu niskiego horyzontu rozleglejsza, niż gdzie indziej. Tu i ówdzie na wyniesieniu potężne drzewo, stojące samotnie, jak nasze małkowe grusze w polu – i pustka!...”²³ O samej ludności afrykańskiej autor nie wypowiada się zbyt pochlebnie: „Murzyni bowiem nie lubią pracy i nie chcą pracować ponad własną potrzebę. Murzyn mahometanin sądzi, że praca poprostu mu uwłacza.”²⁴

W wielu relacjach Afryka jawi się jako kontynent kuszący różnorodnością oraz obfitością roślinności i zwierząt. Stąd też w prasie codziennej mnogość relacji z wypraw myśliwskich. Wśród nich znaleźć możemy opis podróży hr. Józefa Potockiego, który nie dbał o odkrywanie nieznanych obszarów środkowej Afryki, ale skupiał się na polowaniu na dziką zwierzynę. Efektem jego trzymiesięcznego pobytu w Somalii były *Notatki myśliwskie*, których fragmenty pod tytułem *W kraju Somalisów* opublikował „Tygodnik Ilustrowany”. Jak podsumował swoją wyprawę sam Potocki, łup myśliwski stanowiło: „siedem lwów, trzy słonie, ośm nosorożców, pięć lampartów, około

21 „Tygodnik Ilustrowany” 1888, nr 295 z 25 VIII, s. 123.

22 „Tygodnik Ilustrowany” 1888, nr 310 z 8 XII, s. 362.

23 „Tygodnik Ilustrowany” 1892, nr 123 z 7 V, s. 294.

24 Ibidem, s. 292.

200 antylop i drobniejszej zwierzyny”²⁵. W *Notatkach myśliwskich* znajduje się również opis Somalisa – Alikhara, który mimo że przygnieciony przez lwa, nie odniósł z tego powodu żadnych ran: „Na jego szczęście, lew miał jedną łapę zdruzgotaną mym nocnym strzałem i tem samem ubezwładnioną; drugą wpił w płócienne odzienie, którym się Somalisi w pół ciała owijają, i poszarpał mu je w drobne szmatki, lecz ciała nie naruszył; od kłów i paszczy zasłonić się zdołał tarczą ze skóry nosorożcowej i obronił dzidą, którą lew pogryzł i pogiął w swej szczęście potężnej. Darował mi Alikhar tę dzidę, i zachowam ją sobie na wieczną pamiątkę odwagi Somalisa i szczęśliwego dla mnie ratunku z krytycznej sytuacji.”²⁶

CO WARSZAWIANIN MÓGŁ WIEDZIEĆ O AFRYCĘ?

Na przestrzeni XIX wieku sposób opisywania Afrykanów, a także samej Afryki w „Tygodniku Ilustrowanym” ulegał zmianie. Początkowo rzadziej pisano o samej Afryce i jej mieszkańców, częściej natomiast o czarnych niewolnikach w kontekście wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych i warunków życia afrykańskich niewolników w obydwu Amerykach. Pojawiające się z rzadka wzmianki o Afryce akcentowały przeważnie oddalenie od Europy, ekstremalny dla Europejczyków klimat, egzotykę, a także bogactwo zasobów naturalnych. Charakterystyczne dla tego okresu jest ambiwalentne podejście autorów afrykańskich relacji wobec Afrykanów. Świadczy o tym chociażby stwierdzenie pochodzące z *Kartek z podróży* z 1866 r.: „Dla wielu Europejczyków wstrętnym jest widok Murzyna; we mnie zaś ci biedni czarni nie uczucie wstrętu, lecz politowania i symptai budzą. Zarzucają im ogólnie nienawiść ku białym, charakter skryty, podstępny i mściwy.”²⁷ Ambiwaleンja w stosunku do niewolnictwa obecna jest również w późniejszych latach – kolejni podróżnicy, badający afrykański interior, z jednej strony brzydzą się procederem handlu ludźmi, z drugiej – stwierdzają, że: „Tutaj w Europie, pracując spokojnie w swoim gabinecie, łatwo rzucać klatwy na niewolę; ale w dolinie Nilu, człowiek, któryby nie chciał mieć do czynienia z handlarzami niewolników i ich ofiarami, byłby zarówno szalony jak ten, aby chciał mieszkać w Londynie, a nie oddychać dymem węglowym.”²⁸

Stopniowo, wraz z coraz większą wiedzą o ludach afrykańskich, zmieniał się sposób ich przedstawiania. Nie jest to już bezkształtna masa

25 „Tygodnik Ilustrowany” 1898, nr 6 z 5 II, s. 115.

26 Ibidem, s. 115.

27 „Tygodnik Ilustrowany” 1866, nr 333 z 10 II, s. 72.

28 „Tygodnik Ilustrowany” 1875, nr 392 z 3 VII, s. 15.

zamieszkałą sawannę. Pojawiają się nazwy konkretnych ludów, podkreślając ich odrębność względem sąsiadów. „Tygodnik Ilustrowany” towarzysząc warszawianom przez ponad pół wieku, zaspokajał ich ciekawość świata. Przybliżał swym czytelnikom odległe kultury, wyjaśniał tajemnice wynalazków, a także relacjonował wydarzenia nie tylko z „najbliższego podwórka”, ale również z najodleglejszych zakątków globu. Redaktorzy periodyku, zgodnie z panującymi wówczas ideałami pozytywizmu, za celstawiali sobie edukację społeczną, wskazywanie problemów i piętnowanie niedoskonałości ówczesnego społeczeństwa. Tak więc w jednym numerze mogły znaleźć się obok siebie recenzja z premiery teatralnej, opis warunków życia na Powiślu (który w tym czasie był dzielnicą slumsów i nędzy), ale również relacja z wyprawy w „tajemnicze głębie nieznanego lądu afrykańskiego”²⁹. „Tygodnik Ilustrowany”, dzięki swej różnorodności, ukazuje nam ówczesne społeczeństwo, z jego wadami, troskami, ale również nadziejęmi na przyszłość. Taka lektura pozwala nam spojrzeć nie tylko na to jacy byliśmy, ale również jacy jesteśmy.

BIBLIOGRAFIA:

- Długosz Z., 2002, *Historia odkryć geograficznych i poznania Ziemi*, Warszawa.
- Kmiecik Z., 1989, *Prasa warszawska w latach 1886–1904*, Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk, Łódź.
- Kuczyński A., 1997, *Polskie opisanie świata. Studia z dziejów poznania kultur ludowych i plemiennych*, t. 1, Azja i Afryka, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław.
- Słabczyński T., 2004, *Encyklopedia odkryć i odkrywców*, Warszawa.
- Słabczyński W., 1998, *Polscy podróżnicy i odkrywcy*, Warszawa.
- Słabczyński W., Słabczyński T., 1992, *Słownik podróżników polskich*, Warszawa.
- „Tygodnik Ilustrowany”, lata 1859–1900.

29 „Tygodnik Ilustrowany” 1882, nr 341 z 8 VII, s. 30.

Krzysztof Wittels

Afrykańczycy w Warszawie między wojnami

O obecności Afrykańczyków w Warszawie w XX-leciu międzywojennym nie wiemy zbyt wiele. Jednak nawet na podstawie nielicznych relacji można z całą pewnością stwierdzić, że do Warszawy przedstawiciele Afryki nie tylko przyjeżdżali, ale że miała też przedwojenна stolica kilku obywateli afrykańskiego pochodzenia. Dla porządku dodajmy, że wówczas nie używano określenia „Afrykańczyk”, lecz w powszechnym użyciu było, dziś postrzegane jako negatywne, słowo „Murzyn”. Tym mianem określano nie tylko przybyszów z Afryki, ale również z Ameryki, często ich nie rozróżniając. Dlatego obok relacji o gościach z Afryki, zamieszczano również informacje o przybywających do Warszawy Afroamerykanach.

TAJEMNICZY JÓZEF DIAK I INNI CZARNI WARSZAWIACY

Trudno dziś dociec, kto był pierwowzorem postaci czarnego Jumbo Johnsona, jednego z bohaterów legendarnej powieści Stefana Wiecheckiego „Wiecha” *Cafe „Pod Minogą”*. Sam autor mówi na ten temat niewiele: „(...) Murzyn Jumbo, jeden z bohaterów tej powieści, również był postacią podpatrzoną z życia. Kiedyś dawno przed wojną na rogu Złotej i Zielnej spotkałem dziwną parę. Ona mała pulchna blondynka, on wysoki barczysty Murzyn. Teraz taki widok nie stanowi żadnej sensacji, wówczas budził ogólne zainteresowanie. Murzyna mieliśmy w Warszawie tylko jednego, najwyżej dwóch. Para spotkana przeze mnie była najwyraźniej pokłócona, on szedł z ponuro opuszczoną głową, a ona miała do niego tak zwaną mowę. Wreszcie Murzyn zatrzymał się i zawała: – A dajże ty mnie, do wielkiej cholery, spokój! Było to powiedziane najczystszą warszawską polszczyzną z wyraźnym akcentem z okolic Kercelaka. To mnie naprowadziło po latach na pomysł ukazania w powieści Murzyna władającego pięknie klasyczną warszawską gwarą. Szkoda, że w filmie, jaki powstał na tle Minogi, nie udało się tego odtworzyć. Miły student z Ghany, krejący tę rolę, nie zdołał na tyle

opanować polskiej mowy, żeby przedstawić nam postać prawdziwego warszawskiego Murzyna. Reżyser nie zgodził się na dubbing, czyli podłożenie innego głosu, a polszczyzny owego studenta wystarczyło może na zdobycie dyplomu inżyniera Politechniki Warszawskiej, było jej jednak za mało dla stworzenia postaci warszawskiego cwaniaka urodzonego w Afryce.”¹

Z samej powieści niewiele się dowiemy o prawdziwym Jumbo. Jej fabuła, choć osadzona w realiach, jest przecież czystą fantazją „Wiecha”. Kiedy poznajemy czarnego bohatera, nazywanego również „Szuwaksem”, zostaje on nam przedstawiony, jako szofer dyrektora pewnej firmy, który jeździ służbowym Packardem. W rodzinie Palów, związanej z przedwojenną firmą chemiczną „Dobrolin”, znanej choćby z produkcji pasty do butów, przetrwała historia, która wiąże Jumbo z czarnym szoferem rodzinnego zakładu. Późniejszą Fabrykę Przetworów Chemicznych „Dobrolin” F. A. i G. Pal założył w 1908 r. Ferdynand Adolf Pal, który do spółki włączył swych braci – Gustawa i Oskara. Wyjątkowo ważne dla firmy wydarzenia miały miejsce w 1927 r., kiedy to rozpoczęto budowę nowoczesnego zakładu przy ul. Wolskiej 157/159, a jednocześnie zakład otrzymał za swoje wyroby Grand Prix na wystawie przemysłowej w Paryżu. Podobno Ferdynand Adolf Pal, podczas związanego z wystawą pobytu w stolicy Francji, zaproponował poznanemu tam Afrykańczykowi posadę szofera firmy. Diak – bo tak według rodzinnych przekazów miał mieć na imię czarny szofer „Dobrolinu” – jeździł po ulicach Warszawy eleganckim samochodem fabryki, wywołując zdumienie wśród mieszkańców stolicy, ponieważ Afrykańczyków było wówczas nad Wisłą niewielu. Na masce była ponoć umieszczona statuetka Murzynka czyszczącego buty.

Tymczasem w czerwcu 1939 r., w cyklu *Warszawa egzotyczna*, zamieszczono reportaż na temat czarnych mieszkańców Warszawy. Pojawił się wśród nich pracownik jednej z warszawskich kawiarni, Józef Diak. Pochodził on z Sudanu, z plemienia Faszoda. Do Polski miał go przywieźć, jako małego chłopca, rosyjski hrabia, a rzecz najpewniej miała miejsce przed uzyskaniem przez Polskę niepodległości w 1918 r. Jego historia zupełnie więc nie pasuje do historii kierowcy firmy „Dobrolin”.

1 Wiechecki S. „Wiech”, *Skąd się wziął Maniuś Kitajec* [w:] *Piąte przez dziesiąte*, PIW, 1970, s. 120.

Warszawa egzotyczna. Murzyni

Białe jak słoniowa kość zęby, płomienne lśniące oczy, potężna gibka postać o przystojnej i b. dobrodusznej twarzy – tak wygląda p. Józef Diak, Murzyn z plemienia Faszoda. Czarna, jego połyskująca twarz malowniczo się odcina na tle kremowych ścian modnej kawiarni, w której p. Diak pracuje, jest bowiem z zawodu portierem. Świeśnie mówi po polsku – przebywa w Polsce od 1914 r., kiedy to pewien hrabia rosyjski przywiózł małego murzynka – służącego z dalekiego Sudanu.

– Wtedy wojna się zaczęła – mówił p. Diak – zostawił mnie tutaj, i tak zostałem na zawsze. Służyłem podczas wojny 1920 r. w wojsku polskim w 12 eskadrze 1 pułku lotniczego. Ożeniłem się z Polką, pracuję, jakoś mi się powodzi.

– A jak tam w Sudanie? Nie ma pan ochoty powrócić do domu, zobaczyć rodzinę?

– Mój dom to Polska – mówi p. Diak machnąłwszy ręką – tamto się skończyło, nie mam po co wracać. Pisałem do rodziny, ojciec – matka nie żyją, siostry powychodziły za mąż, do kogo mam wracać i po co? Czułbym się obco, tu jestem w domu, tyle przecież lat mieszkam w Polsce, prawie całe życie! Jestem polskim obywatelem, walczęłem za Polskę, czuję się Polakiem, tu jest moja ojczyzna!

– Czy wielu pana współplemieńców tu mieszka?

– Na stałe to mało. Jeden murzyn z angielskich kolonii, jest tancerz i śpiewak, przed kilku laty ożenił się też z Polką, ma dwoje małych dzieci, bardzo ładne mulaciki, tylko teraz jego żona mieszka w Krakowie, a on jeździ po kraju. I jeszcze jeden murzyn z francuskiego Kongo, Sam Salvano, też podobno ożenił się z Polką i nawet miał jakiś czas własny lokal w Warszawie, teraz jest gdzieś na prowincji. A całkiem niedawno jeden murzyn Hamilton przyjechał na występy do Polski, zakochał się, ożenił i osiadł na stałe. Więcej w Polsce nie ma murzynów. (...)

„Kurier Warszawski” 1939, nr 173 z 25 czerwca, s. 17.

Być może to właśnie Józefa Diaka spotkała kiedyś moja babcia, Marta Jurowska-Wernerowa. W 1934 lub 1935 r. – jako kilkuletnia dziewczynka – poszła na obiad z mamą i wujostwem do znanej restauracji Simona i Steckiego. Po obiedzie, na „coś słodkiego”, towarzystwo udało się do „Hotelu Europejskiego”. W drzwiach hotelowej kawiarni stał, w charakterze szwajcara, „Murzyn ubrany w liberię, czarny jak heban i ogromnie wysoki” – według słów babci Marty. Wyciągnął rękę i odebrał od dziewczynki płaszczek. Mała Marta scenę tę zapamiętała na całe życie, ponieważ był to pierwszy czarny człowiek, jakiego widziała.

Z przytoczonej przez Diaka relacji wynika także, że oprócz niego w Warszawie mieszkało w końcu lat 30. XX w. jeszcze trzech innych czarnych. Pierwszym wymienionym jest, nieokreślony z imienia i nazwiska, „Murzyn z angielskich kolonii” z zawodu tancerz i śpiewak, ożeniony z mieszkającą w Krakowie Polką, który jednak z Warszawą związany jest tylko częściowo. Drugim – Kongijczyk, Sam Salvano, również ożeniony z Polką, właściciel bliżej nieokreślonego lokalu w Warszawie, który jednak ze stolicą wyjechał. Z innej relacji wiemy o nim, że, jako perkusista grał w zespole „Karasinski & Jazz Kataszek – Tango Orchestra”. Grupa ta, powstała w 1923 r., uważana jest za pierwszy polski zespół jazzowy. W składzie oprócz Sama Salvano grali również: Zygmunt Karasiński (saksofon), Szymon Kataszek (multiinstrumentalista, kompozytor, aranżer) i Jerzy Petersburski (pianino)². Zespół grywał w popularnych nocnych klubach i teatrach rewiowych (np. w „Morskim Oku”), a także odbywał zagraniczne *tournée*. Trzecim – pochodzący z Ameryki, z Filadelfii, Hamilton, który jako muzyk przyjechał na występy do Warszawy, tu ożenił się z Polką i osiadł na stałe. To właśnie jego i jego teściów mieszkanie, znajdujące się w oficynie przy ul. Browarnej, odwiedza autorka kolejnego reportażu zamieszczonego w „Kurierze Warszawskim”.

Z okna parterowego mieszkania w oficynie przy ul. Browarnej, wyrywają się na podwórze dźwięki stepa, nagrywanego na gitarze. Skocznej melodii towarzyszy szybka „tupanka” i b. miłe nucenie męskiego głosu. W sieni stoi kilka kumoszek, które na zapytanie, czy tu mieszka p. Hamilton, z jawną przyjemnością informują: »To tu, psze pani, a jakże, już od roku tu mieszka. Nawet po polsku się nauczył mówić, żona go nauczyła. Teraz to i dzień dobry powie po chrześcijańsku i dowidzenia, bo to jak się żenił, na katolicką wiarę przeszedł.« W niewielkim, oślepiająco czystym mieszkanku, witają nas pp. Hamilton. Ona – młodziutka blondyneczka, on – niewysoki murzyn o czekoladowej twarzy, łagodnej jak u dziecka. Pp. Hamilton mieszkają u rodziców pani, młodych jeszcze ludzi o humorze typowych warszawian. Poznali się w lokalu, gdzie p. Hamilton występował w trio ze swymi braćmi po przyjeździe z Paryża, zaś pani była jedną z pięciu girls.

– Od razu zwrócił uwagę na mnie, chociaż nas aż pięć było. Jeszcze do mnie słowem nie przemówił, bo i nie umiał po polsku, a już dowiedział się jak się nazywam i napisał piosenkę „Wanda” i tak wzruszająco śpiewał! Jak ze mną mówił,

2 Za historią polskiego jazzu – www.polishjazz.com. D. Michalski w *Powróćmy jak za dawnych lat...* powołując się na wspomnienia Mieczysława Kleckiego, pisał, że Sam Salvano był udającym Murzyna Arabem, którego do programu na otwarcie warszawskiej Adrii w 1929 r. zaangażował, ściągając go z Wiednia, zarządzający tym lokalem Franciszek Moszkowicz.

to wyszukiwał sobie w słowniku słowa i tak jakoś porozumieliśmy się. I pewnego dnia poszukał, poszukał w słowniku i powiedział: „ślub”. No i pobraliśmy się. Co kłopotu z tym ślubem było!

– A tak – wtrąca teściowa p. Hamiltona – Wanda pojechała na występy, tośmy z Harrym wszędzie razem chodzili, bo już wtedy u nas mieszkał – i wszystko załatwialiśmy. Trzeba było papiery sprowadzać aż z Ameryki, a potem metryki nie było, to konsulat amerykański dał zaświadczenie, że nie jest żonaty.

– I trzeba go było chrzcić, takiego dorosłego mężczyznę – przerywa córka, bo nie mieliśmy metryki chrztu. A ślub braliśmy w kościele św. Antoniego na Senatorskiej. Cóż za piękny ślub był! A ludzi. Rany Boskie, skąd się tego zwaliło! Z Sochaczewa przyjechali, Wawra, żeby to chodź znajomi, to obcy byli! A kolegów naschodziło się!

– Tak – mówi z pewną dumą i rozrzewnieniem teściowa – żonę sobie wziął z biednego domu, ale cóż, odrazuśmy mu mówili, że Wanda nic nie ma, to się uparł, nie i nie, to niech teraz pokutuje.

– Co tam, pojedziemy zagranicę na występy, zarobimy dużo pieniędzy, jeszcze sobie kamienicę w Alejach kupimy – mówi p. Hamiltonowa i czule patrzy na męża, który tymczasem tylko łagodnie się uśmiecha do otoczenia. Z pewnym trudem wysławia się po polsku, niemniej powiedzieć trzeba, że jak na tak krótki okres pobytu w kraju zrobił wielkie postępy.

– Przyjechał z Filadelfii. Tam skończył elementary school. Ma siostry, braci. Bracia w Paryżu. Tańczą, śpiewają. Ja też tańczę, śpiewam. Nie uczony. Od siebie. U nas wszyscy śpiewają. I jeszcze wieczorem, po pracy. Potem jechali do Europy. Potem tournée. Przyjechał do Polska. I married here. Bardzo zadowolony. Teraz duet z Wanda. Pojedziemy tournée zagranica.

– A dobrze się panu tu żyje? Lepiej, niż w Stanach?

– Colored people niedobrze there. Europa dobrze. Wszyscy dobrze. Polska dobry kraj, I love it.

Ukośne promienie słońca zatapiają niewielki pokój, padają na haftowane serwetki na stołach, rodzinne fotografie, błękitno-różową gipsową Madonnę, przed którą czerwienią w wazoniku papierowe róże i strzepią się kolorowe pióra. Cicho tu, przytulnie, spokojnie... A swoją drogą, że akurat do tego warszawskiego mieszkańców na Powiślu musiały zagnać losy młodego murzyna z Filadelfii!

Ach, sądzę, że istotnie p. Harry Hamilton dużo lepiej musi się czuć tutaj, gdzie z takim zachwytem, z taką miłością patrzy na niego młoda jasnowłosa kobietę i gdzie wszyscy są dlań tacy dobrzy, niż w dalekiej Filadelfii, gdzie ‘murzyn Smith’ nie może się zakochać w angielskiej miss’...

Gdy opuszczamy przytulne domostwo, znów dochodzą do nas melodyjne dźwięki gitary, a przyjemny baryton śpiewa:

»Wanda, the girl of my dreams
There's no one else for me it seems
She is sweet and so petite
and always dresses nice and neat...
(...)
I.H.«

„Kurier Warszawski” 1939, nr 173 z 25 czerwca, s. 17.

Rzadki to przypadek, kiedy możemy poznać tak obszerną, przedwojenią relację na temat czarnego warszawiaka. Harry Hamilton, muzyk pochodzący z Filadelfii, przez Paryż przyjechał do Warszawy, a ożeniwszy się z jedną z „girls” zespołu, z którym koncertował, trafił na warszawskie Powiśle. Z przytoczonego wywiadu wynika, że mimo stosunkowo krótkiego pobytu w Polsce i słabej znajomości języka polskiego czuje się tu już zadowiony i jest chyba akceptowany przez otoczenie.

Krótki reportaż „Kuriera Warszawskiego” z czerwca 1939 r. stanowi swoistą stop-klatkę. Nie wiemy, jak potoczyły się losy czarnych warszawiaków podczas niemieckiej okupacji stolicy, czy pozostały w mieście, wyjechali czy przeżyli... Jedyna udokumentowana historia Afrykańczyka przebywającego w Warszawie w czasie okupacji dotyczy Augustusa Agbali, Nigeryjczyka, perkusisty jazzowego, który trafił do Polski na początku lat 20. XX w. i osiadł w Warszawie, zakładając tu rodzinę. Jego losy szerzej opisuje Zbigniew Osiński w tekście *Powstaniec z Nigerii*. Wspomnijmy tylko, że Agbala brał czynny udział w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r. oraz w powstaniu warszawskim, w batalionie „Iwo”. Po wojnie powrócił do Warszawy.

BO TO MURZYN GRA!

W maju 1931 r. gazeta „Robotnik” zamieściła notkę o przyjeździe do Warszawy grupy „autentycznych Senegalczyków, którzy, zagospodarowawszy się w Luna-Parku, urządzyli tam prawdziwą wioskę murzyńską i demonstrowią codzienny tryb życia czarnego obywatela skwarnej Afryki.”³ Tę lakoniczną, ale jakże wymowną informację uzupełnia zdjęcie, na którym widzimy grupkę czarnych, z których jeden gra na balafonie. Trudno dziś odtworzyć program artystyczny gości z Senegalu, możemy natomiast stwierdzić z dużą pewnością, że opisywane wydarzenie miało miejsce w Parku Praskim,

3 „Robotnik” 1931, nr 173 z 13 maja, s. 6.

w którym już wówczas działał Lunapark (oficjalne otwarcie Lunaparku „Sto Pociech” nastąpiło w sierpniu 1933 r.). Notka wspomina również o występie „trupy murzyńskiej” w teatrzyku „Qui Pro Quo”. Rzeczywiście, od końca kwietnia do końca maja 1931 r., w programie „Czarne na białym?”, w popularnym stołecznym kabarecie występowała gościnnie „murzyńska trupa Louisa Douglasa i „Hot Coffe Jazz Girls” w dixielandowej operetce pt. *Louisiana*. Obok egzotycznych gości, których występ wzburdził zachwyty widzów, wystąpili m.in.: Leo Fuks oraz słynny chór Dana. Był to czas, gdy jazz, który dotarł do Warszawy w latach 20. XX w. nie był już żadną nowinką, ale stał się muzyką szalenie popularną, grywaną w restauracjach, nocnych klubach i teatrach rewiowych.

Nie zawsze jednak występy czarnych muzyków spotykały się z żywiołowym przyjęciem, o czym możemy przeczytać w artykule *Ciemne typy na jasno oświetlonych salach. Jak się „bawi” Warszawa?* opublikowanym w „Rzeczpospolitej” w grudniu 1929 r.⁴ Trudno powiedzieć, co tak naprawdę przeszka-dza autorowi tego tekstu – nowoczesny sposób grania, motyw muzyczny, w którym odnajduje szowinistyczną melodię niemiecką czy po prostu fakt, że muzyk nie jest Polakiem? Czytamy: „Na estradzie ukazuje się oryginalny »importowany« czarny »twarz« i murzyńskimi ruchami, »egzotyczną« grą na saksofonie pragnie oszołomić słuchaczy. Po każdym »kawałku« otrzymuje rzęsiste brawa! **Bo to murzyn gra!** [podkreślenie za oryginałem – przyp. red.]. Jakby tego nie potrafił zrobić może nawet lepiej muzyk Polak? Orkiestra gra jakąś poważną melodię. Prowadzi oczywiście »czarny« muzyk. Co to jest? To przecież **melodia niemieckiej, szowinistycznej piosenki!** Czy orkiestra gra przez nieświadomość, czy to zwykła prowokacja? Czy wreszcie jest to jakiś znak porozumiewawczy między »czarnym« muzykiem, a gościem. (...) Kres temu kładzie oficer, który podbiegły do orkiestry żąda natychmiastowego przerwania. »Czarny« mistrz lotów znika na chwilę z estrady, aby wkrótce zbierać oklaski na sali, w swych gościnnych zresztą sowicie opłacanych numerach, ze swoją również kolorową partnerką.”⁵

O ekonomicznych źródłach niechęci do niepolskich muzyków zaświda- cza inny artykuł w „Rzeczpospolitej”, w którym czytamy: „Wśród naszych muzyków (...) panuje duże bezrobocie. Tymczasem do Warszawy zjeżdża coraz więcej muzyków zagranicznych (...). Chcąc zatem znaleźć kawałek chleba u nas, obniżają oni swoje żądania do minimum. I dlatego, choć nie grają wcale lepiej, aniżeli nasi muzycy, znajdują u nas zajęcie, podczas gdy nasi muzycy dalej przymierają z głodu. W obronie zatem naszych muzyków komisariat Rządu na st. Miasto Warszawę postanowił nie pozwalać obcym

4 „Rzeczpospolita” 1929, nr 340, s. 5.

5 Ibidem, s. 5.



Audiencja posta etiopskiego Zelleke Aguedeou Bediroude u prezydenta RP Ignacego Mościckiego na Zamku Królewskim w Warszawie. Prezydent Ignacy Mościcki szósty z lewej i Zelleke Aguedeou Bediroude [siódmy z lewej] w otoczeniu: kpt. Kazimierza Jurgielewicza, ptk Jana Głogowskiego [drugi z lewej], zastępcy szefa Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP Zygmunta Skorńskiego [trzeci z lewej], wiceministra spraw zagranicznych Józefa Becka [piąty z lewej], szefa Protokołu Dyplomatycznego MSZ Karola Romera [piąty z prawej], radcy estońskiego Tastae Tagague [czwarty z prawej], radcy MSZ Michała Mościckiego [trzeci z prawej], zastępcy szefa Protokołu Dyplomatycznego MSZ Rajnolda Przeździeckiego [drugi z prawej] oraz kpt. Zygmunta Gużewskiego [pierwszy z lewej].

© Binek Jan, NAC

muzykom na zarobkowanie u nas w Warszawie. Natomiast w obronie obycznych muzyków wystąpili restauratorzy tutejsi, powołując się na okoliczność, że muzycy obcy są daleko tańsi, niż tutejsi.”⁶ Czasem jednak niechęć powodowana była wzgledami obyczajowymi. Tak było w przypadku słynnej czarnej tancerki, aktorki i piosenkarki – Josephine Baker. Józefina, jak z polską nazywała Baker rodzima prasa, miała wystąpić 3 stycznia 1929 r. w warszawskim Teatrze Letnim w Ogrodzie Saskim, jednak komisariat rządu na m.st. Warszawę odmówił jej zgody na występ w Warszawie, argumentując, że „występy Józefiny Baker wywołyły prawie we wszystkich miastach w Europie protesty publiczności, awantury itp.”⁷

AFRYKAŃSKIE WIZYTY DYPLOMATYCZNE

Jak donosi „Kurier Warszawski” 11 marca 1932 r. przybył do Warszawy poseł etiopski, akredytowany w Paryżu, Zelleke Aguedecou Bedirounde wraz z radcą Tastae Tagagne (Tagague), przysłany przez cesarza Etiopii, Haile Selassie I. Celem wizyty było złożenie podziękowania prezydentowi RP Ignacemu Mościckiemu za przysłanie polskiego posła na koronację cesarza, która odbyła się 4 kwietnia 1930 r. w Addis Abebie. Etiopski gość złożył wizytę w polskim MSZ, a potem udał się na Zamek Królewski, gdzie, jak czytamy, „w czasie uroczystej audiencji, która odbyła się w Sali Rycerskiej, poseł wygłosił przemówienie, na które P. Prezydent R.P. odpowiedział, wyrażając w zakończeniu nadzieję, że ku obopólniej korzyści, nasze przyjazne stosunki będą się stale rozwijać i zacieśniać. Wraz z listem cesarskim, poseł doręczył Panu Prezydentowi fotografię cesarza Etiopii, Heile Sellasie I, w srebrnej ramie, z jego podpisem.”⁸ Po audiencji odbyło się śniadanie wydane przez prezydenta na cześć gościa.

W Narodowym Archiwum Cyfrowym zachowała się seria zdjęć dokumentujących to wydarzenie. Widzimy dostojnego gościa wysiadającego z zaparkowanego przed Zamkiem Królewskim eleganckiego forda V8, Ignacego Mościckiego odczytującego tekst przemówienia w Sali Rycerskiej, obu etiopskich gości i prezydenta w otoczeniu wysokich przedstawicieli państwowych, m.in. zastępcy szefa Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP Zygmunta Skorńskiego, wiceministra spraw zagranicznych Józefa Becka, szefa Protokołu Dипломatycznego MSZ Karola Romera i jego zastępcy – Rajnolda Przeździeckiego. Poseł ubrany jest w mundur paradny, przepasany szarfą

6 „Rzeczpospolita” 1925, nr 40 z 2 września, s. 3.

7 „Gazeta Warszawska” 1929, nr 4b z 4 stycznia.

8 „Kurier Warszawski” 1932, nr 73 z 13 marca.



Poset etiopski Zelleke Aguedeou Bediroude
w oknie wagonu kolejowego przed odjazdem
z Warszawy, © Binek Jan

i z licznymi medalami na piersiach. Na innych zdjęciach możemy oglądać obu gości w pokoju „Hotelu Europejskiego”, podczas pożegnania na Dworcu Głównym, skąd odjadą do Pragi i w końcu samego posła wychylającego się z odjeżdżającego już pociągu.

29 września 1934 r. na zaproszenie Ligi Morskiej i Kolonialnej do Warszawy przyjechali ministrowie rządu Liberii – Simpson i Russel⁹. Wizyta była związana z podjętą kilka miesięcy wcześniej współpracą między obydwoma krajami, jak się okazało, dość osobiową. 28 kwietnia 1934 r. została podpisana umowa gospodarcza, której sygnatariuszami był z jednej strony rząd Liberii, a z drugiej Liga Morska i Kolonialna. Umowa dawała Polsce pozycję najwyższego uprzywilejowania w handlu z Liberią. Prawdopodobnie Liga chciała, aby pod dokumentem podpisał się polski rząd, jednak – z nieznanych bliżej powodów – MSZ odniósł się do tej współpracy z dużą rezerwą. Być może wynikało to z niechęci polityków do samej Ligi i metod jej działania. Organizacja ta bowiem podejmowała w imieniu państwa polskiego zobowiązania międzynarodowe, nie konsultując się w sposób należyty z MSZ. Nie znamy szczegółów wizyty. Wiemy tylko, że liberyjscy ministrowie, poza Warszawą, zwiedzili także Gdynię i Katowice i 1 października 1934 r. opuścili Polskę. Nie doszło jednak do podpisania „Traktatu Przyjaźni” pomiędzy oboma krajami. MSZ ograniczyło się tylko do utworzenia w Monrovii Konsulatu Honorowego, którego pierwszym konsulem został Rudolf Rathaus. Natomiast Liberia w Warszawie powołała Konsulat Generalny, którego przedstawicielem został dr Leo Sajous (lekarz ordynujący stale w Paryżu, pełniący jednocześnie obowiązki konsula Haiti w Polsce). LMK delegowała do Liberii swojego pełnomocnika, Jana Bartoszczyka, a potem inż. Stefana Paprzyckiego. Rozpoczęła także planową akcję kolonizacyjną (wyjazd rzeczników, potem potencjalnych plantatorów, w końcu założenie pierwszych plantacji), która jednak nie powiodła się, ponieważ Liga nie dysponowała wystarczającymi funduszami na wsparcie działalności plantatorów. Mimo to wysiłki polskich osadników w Liberii zaczęły po kilku latach przynosić rezultaty. Zaniepokojone tym Stany Zjednoczone Ameryki, które traktowały Liberię jako swoją strefę wpływów, wywarły nacisk na polski MSZ. W wyniku tych zabiegów polski rząd odwołał liberyjską akcję Ligi.

Choć rzecz nie dotyczy czarnych, ale białych mieszkańców kontynentu afrykańskiego warto wspomnieć, że w styczniu 1932 r. Warszawę odwiedziła grupa studentów z Afryki Południowej. W zbiorach Narodowego Archi-

9 Liga Morska i Kolonialna powstała w 1930 r. i stawała sobie za cel propagowanie zagadnień morskich wśród polskiego społeczeństwa. Działała na rzecz rozbudowy floty morskiej i rzeczej, a jej celem było pozyskanie terenów pod osadnictwo lub kolonie dla Polski.



Południowoafrykańscy studenci
w piwnicach winiarni Fukiera
© Jarumski Leon, NAC

wum Cyfrowego zachowały się dwie fotografie dokumentujące to wydarzenie. Na pierwszej widzimy grupę około trzydziestu pięciu osób na Dworcu Głównym. Wszyscy elegancko i ciepło ubrani, próżno szukać wśród nich choć jednego czarnego. Natomiast druga fotografia przedstawia kilka osób w piwnicach winiarni Fukiera przy Rynku Starego Miasta. Centralne miejsce zajmuje ubrany na modłę staropolską pracownik winiarni, napełniający dzban trzymany przez młodą dziewczynę. Nie znamy okoliczności przyjazdu ani pobytu tej grupy. Można się tylko domyślać, że prawdopodobnie studenci przyjechali do Warszawy pociągiem, a ich wizyta była częścią wycieczki po Europie.

Na podstawie tego krótkiego przeglądu można powiedzieć, że często powtarzane do dziś stwierdzenie, jakoby przedwojenna Warszawa miała jednego czarnego obywatela nie jest prawdziwe. Ilu zamieszkiwało w stolicy na stałe, a ilu tylko czasowo – są to pytania, na które bardzo trudno dziś odpowiedzieć. Dość zaskakująco wypada na tym tle krótka informacja zamieszczona w katolickim tygodniku „Posiew” w 1929 r., której tytuł brzmiał: *Murzyni w Warszawie*. Czytamy w niej: „Jak wynika ze spisów obywateli państw obcych, złożonych starostwom grodzkim, ma w stolicy prawo pobytu sześciu murzynów. Dwóch z nich są szoferami, czterech zaś zatrudnieni są w przedsiębiorstwach rozrywkowych. Są to obywatele Stanów Zjednoczonych.”¹⁰ Jeżeli przyjmiemy, że notatka jest prawdziwa, to do liczby sześciu czarnych obywateli Stanów Zjednoczonych (z których być może część przebywała tylko czasowo) należałoby dołożyć przynajmniej jeszcze pięciu opisanych przeze mnie Afrykańczyków o nieokreślonym dziś bliżej statusie prawnym. To jednak dość sporo. Część z nich osiadła nad Wisłą na stałe, założyła rodziny, w których urodziły się dzieci. Słynny wierszyk *Bambo*, który Julian Tuwim ułożył około 1934 r.¹¹, dziś postrzegany jako źródło krzywdzących stereotypów, kończy się więc nieprawdziwą pointą:

„(...) Szkoda, że Bambo czarny, wesoły,
Nie chodzi razem z nami do szkoły.”

Prawdopodobnie bowiem wśród uczniów warszawskich szkół w latach 30. było kilku czarnych i mulatów.

10 „Posiew” 1929, nr 48, s. 5.

11 J. Tuwim, *Bambo* [w:] M. Falski, *Czytanka dla II klasy...*, Lwów 1934, s. 15, potem przedrukowana w „Wiadomościach Literackich” 1935, nr 5.

BIBLIOGRAFIA:

Czasopisma:

- „Gazeta Warszawska” 1929, nr 4b z 4 stycznia.
- „Kurier Warszawski” 1932, nr 73 z 13 marca.
- „Rzeczpospolita” 1925, nr 40 z 2 września.
- „Rzeczpospolita” 1929, nr 340.
- „Robotnik” 1931, nr 173 z 13 maja.
- „Posiew” 1929, nr 48.

Książki, opracowania:

- Mościcki T., 2008, *Kochana stara bud*a, Teatr „Qui Pro Quo”, Łomianki.
400 lat stołeczności Warszawy, 1997, Warszawa.
- Wiechecki S. „Wiech”, 1998, *Cafe „Pod Minogą”*, Warszawa.
- Wiechecki S. „Wiech”, 1970, *Piąte przez dziesiąte*, PIW.

Strony internetowe:

www.polishjazz.com

Konflikt włosko-abisyński na łamach „Kuriera Warszawskiego”

Konflikt włosko-abisyński, który przerodził się w latach 1935–1936 w tzw. drugą wojnę włosko-abisyńską, na wiele miesięcy zdominował warszawską prasę. Po raz pierwszy wówczas Afryka znalazła się w centrum zainteresowania mediów oraz polskiej opinii publicznej. Spójrzmy, jak informował o konflikcie najważniejszy warszawski dziennik, wychodzący nieprzerwanie od 1821 r. do 28 września 1939 r., „Kurier Warszawski”.

„Kurier Warszawski” śledzi przebieg konfliktu włosko-etiopskiego¹ od początku 1935 r. Początkowo informacje pojawiają wewnątrz numeru i w sposób nieregularny; na jesieni 1935 r. wypełniają już niemal w całości pierwsze strony gazety. Wówczas konflikt polityczny osiąga apogeum i rozpoczyna się włoska inwazja. Możemy więc przeczytać o zabiegach dyplomatycznych europejskich potęg, obradach Ligi Narodów, doniesieniach o stopniu przygotowania do wojny, a w końcu wieści z frontu. „Kurier” korzysta z informacji Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT) oraz sieci własnych informatorów. Zamieszczają depesze z Genewy, Rzymu, Addis Abeby, Londynu, Paryża, Berlina, Waszyngtonu i innych stolic (np. Madrytu, Kairu, Sztokholmu). Informacje te często uzupełnia własnym komentarzem. Niekiedy pojawiają się również krótkie felietony, komentujące wydarzenia bieżące i przewidujące rozwój sytuacji wojennej. W ilustrowanym dodatku niedzielnym zamieszczane są fotografie z ogarniętego konfliktu regionu. Od czasu do czasu gazeta zamieszcza reportaże swojego korespondenta K.M. Morawskiego.

Czy na podstawie sposobu prezentowania informacji o konflikcie możemy się dowiedzieć czegoś na temat redakcji „Kuriera” i jej stosunku do toczą-

¹ W niniejszym tekście Etiopia, zgodnie z obowiązującą w latach 20. XX w. nomenklaturą europejską, jest nazywana również Abisynią. Obie nazwy należy w tym kontekście traktować jako synonimy.

cego się konfliktu? Niewątpliwie dbano w „Kurierze” o to, by w sposób rzetelny i możliwie niezwłoczny, ale również uwzględniający różne punkty widzenia, informować o toczących się wydarzeniach. „Kurier” był gazetą inteligencką. Nawet w felietonach zamieszczanych w tym dzienniku późno szukać agitacji politycznej, właściwej dla innych gazet. Czytelnik „Kuriera” musiał być przede wszystkim dobrze poinformowany i sam wyrabiał sobie zdanie o wypadkach. Mimo to, dość wyraźny jest krytyczny stosunek gazety do militarnych działań faszystowskich Włoch oraz obawa przed nowym wyścigiem zbrojeń państw europejskich i nową wojną w Europie. Co interesujące, ze szczególnym niepokojem śledzi gazeta zachowanie zachodniego sąsiada Polski, hitlerowskich Niemiec, gdzie – w cieniu zainteresowania światowej opinii publicznej afrykańskim konfliktem – umacnia się politycznie i militarnie dyktatura hitlerowska (a jest to m.in. czas, gdy Reichstag przyjmuje ustawy rasowe, tzw. norymberskie).

NA FORUM LIGI NARODÓW

Przypomnijmy nieco faktów. Przyczyn drugiej wojny włosko-abisyńskiej z lat 1935–1936 należy upatrywać w pierwszym zbrojnym konflikcie między tymi państwami, do którego doszło w latach 1894–1896, a który wybuchł z powodu kolonialnych aspiracji Włoch. Zawarty po spektakularnej klęsce Włochów pod Aduą traktat pokojowy był korzystny dla Etiopii. Gdy w 1922 r. we Włoszech doszli do władzy faszyści, zaczęto manifestować pragnienie odwetu i podboju Etiopii. Jako pretekst do rozpoczęcia działań wojennych wykorzystano incydent graniczny w oazie Ual Ual (Ueluel), gdzie w grudniu 1934 r. doszło do starcia oddziału włoskiego z abisyńskim. Mimo że wina leżała po stronie włoskiej, ponieważ Ual Ual leżało wewnątrz Etiopii ok. 60 km od granicy z włoskim Somalim, Włosi rozpoczęli akcję propagandową, sugerując, że to Etiopczycy zaatakowali ich terytorium. W marcu 1935 r. Etiopia przedstawiła Lidze Narodów informacje świadczące o włoskich przygotowaniach do wojny. Sprawa włosko-etiopska trafiła do porządku obrad Rady Ligi Narodów dopiero jednak na początku września 1935 r.

Powołyany został tzw. Komitet Pięciu, złożony z przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Francji, Turcji i Polski, który miał rozpatrzyć sprawę. Po zakończeniu jego prac zauważano z kolei tzw. Komitet Trzynastu, który miał ostatecznie rozstrzygnąć spór. Przeciąganie prac formalno-prawnych działało na korzyść Włochów, którzy kończyli przygotowania do wojny. 3 października 1935 r. oddziały włoskie przekroczyły granicę etiopską. Dopiero pod wpływem doniesień z frontu Liga Narodów zdecydowała się

na wprowadzenie sankcji ekonomicznych przeciw Włochom, jednak ich efektywność była ograniczona.

Wrześniowe i październikowe numery „Kuriera” z 1935 r. są zdominowane przez informacje związane z konfliktiem. Wiele uwagi dziennik poświęca zabiegom dyplomatycznym, szczegółowo relacjonuje obrady Ligi Narodów w Genewie, przedrukowuje również fragmenty wypowiedzi najważniejszych europejskich przywódców.

6 września „Kurier” przedrukowuje fragmenty mowy wygłoszonej na forum Ligi przez prof. Jessego, pełnomocnika Abisynii. Apeluje on do członków Ligi o pilną interwencję wobec spodziewanego wybuchu wojny i oskarża Włochy o jej zaplanowanie i sprowokowanie.

Obecnie rząd abisyński pragnie zaprotestować jak najenergiczniej przeciw manewrowi włoskiego przeciwnika, który chciał zaskoczyć Abisynię, przedstawiając w ostatniej chwili memoriał, pełen oskarżeń, przygotowany już od wielu miesięcy. Rząd abisyński nie da się wyprowadzić z równowagi przez ten manewr. Mówca przypomina radzie, że pewna elementarna, ale dziecienna taktyka polega na rzucaniu oszczerstw na tego, kogo pragnie się obrabować albo zniszczyć. (...) Abisynja wie o tem, że gdyby posiadała odpowiednią ilość broni i amunicji, to słowne ataki nie mogłyby za sobą pociągnąć agresji ze strony Włoch. Niestety, Abisynja nie jest dostatecznie uzbrojona i dlatego sytuacja jest tak groźna. (...) Rząd włoski przypomina światu, że dysponuje milionem żołnierzy i że wszelka dyskusja z Abisynią na stopie równości obraża jego dumę narodową. Rada Ligi winna zastanowić się, czy to oburzenie rządu włoskiego jest szczerze i czy nie kryją się za niem ponure zamiary. Czy rząd włoski chce działać w imię cywilizacji (...) Czy też pragnie utworzyć potężną armię, której mógłby użyć bądź w Afryce, bądź w Europie, aby urzeczywistnić swe sny o potędze?”² I dalej: „Panowie uprzytamniacie sobie najwyższe śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie grozi jednemu z członków Ligi, a być może zagraża również pokojowi światowemu. Abisynja odwołuje się do sumienia ludzkości, którym jest Liga narodów. Abisynja żąda, aby państwo, należące do Ligi, którego byt i niepodegłość zostały zagrożone, nie pozostało bez poparcia. Nie odmówcie pomocy Abisynii, ponieważ jest ona słaba, a jej napastnik potężny. Oby nie zostało zapisane w historji, że narody bądź sterroryzowane, bądź winne wspólnictwu, bądź wreszcie nieubłagane w swoim egoizmie, porzuciły mały naród, zagrożony w swej egzystencji.

„Kurier Warszawski” 1935, nr 244 z 6 września, s. 1 i 2.

2 „Kurier Warszawski” 1935, nr 244 z 6 września, s. 1.

Wielokrotnie też na forum Ligi pojawiały się komentarze wskazujące, że konflikt włosko-abisyński może mieć daleko idące konsekwencje tak dla pokoju w Afryce, jak i w Europie. Na tym tle interesująco brzmi przedrukowane we fragmencie wystąpienie delegata Afryki Południowej, który wyraził opinię, że „obecny kryzys zachmurzający horyzont, może być początkiem konsolidowania się dzikich i wojowniczych instynktów czarnej Afryki oraz zapowiedzią wojny rasy czarnych. (...) Jeśli Afryka zostanie podporządkowana lisom Europy, wówczas podniesie zbrojny bunt i pograży się w otchłani pierwotnego barbarzyństwa. Czarna Afryka nigdy nie przebaczy ani nie zapomni krzywd, jej wyrządzonej”.³ Najczęściej gazeta cytuje wypowiedzi najważniejszych przywódców europejskich – premiera Francji Pierre'a Laval'a oraz brytyjskiego premiera Stanley'a Baldwina i brytyjskiego ministra spraw zagranicznych sir Samuela Hoare'a. Francuzi związani z Włochami tzw. układem Laval-Mussolini starają się łączyć krytykę wobec włoskiej agresji z deklaracjami przyjaźni dla włoskiego narodu. Bardziej konsekwentną postawę zajmują Brytyjczycy. Starają się sprawę uregulować metodami dyplomatycznymi, sądząc początkowo, że Włochy zadowolą się mandatem nad Abisynią i wówczas zrezygnują z akcji zbrojnej. Widząc jednak rozwój wypadków, opowiadają się za wprowadzeniem sankcji wobec Włoch. „Kurier” niejednokrotnie przytacza informacje o agresywnym zachowaniu delegacji włoskiej w Genewie wobec przedstawicieli Abisynii, które nie pozostawia złudzeń co do intencji faszystowskich Włoch.

3 października 1935 r. oddziały włoskie bez wypowiedzenia wojny najeżdżają Etiopię. Wiceminister spraw zagranicznych Włoch kieruje do sekretarza Ligi Narodów telegram kuriozalnej treści, który przedrukowuje „Kurier Warszawski”: „wojska włoskie ruszyły naprzód właśnie dlatego, że wojska abisyńskie zostały cofnięte o 30 kilometrów w głąb kraju, gdyż tego rodzaju cofnięcie się oznaczało tylko manewr strategiczny oraz skupienie sił na tyłach w celach napastniczych. A więc sztab włoski zmuszony był bronić się przeciwko grożącej mu ofensywie wojsk negusa”⁴. 10 października w „Kurierze” pojawia się artykuł informujący o przyjęciu przez członków Ligi deklaracji potępiającej włoską agresję (przyjętą przez 51 z 54 krajów członków Ligi). W artykule pobrzmiewa radość i satysfakcja, że wreszcie Liga Narodów wypełniła swoją misję.

3 „Kurier Warszawski” 1935, nr 252 z 14 września, s. 2.

4 „Kurier Warszawski” 1935, nr 272 z 4 października.

51 narodów wypowiedziało się za zastosowaniem sankcji przeciw Włochom

GENEWA 10 października. (Tel. wł. „K.W.”) Dzień wczorajszy i dzień dzisiejszy w Genewie stanowią pierwszy wypadek w historii powojennej, w której Liga Narodów wypełnia swoją misję faktycznie wedle litery i ducha paktu, który, jak się wyraził Laval, jest obowiązującem dziś prawem międzynarodowym, jest najwyższym autorytetem moralnym ludzkości.

Historyczne znaczenie wydarzeń genewskich nie polega na tem, że aeropag 50 kilku narodów potępił prawie jednomyślnie jedno z przodujących cywilizacyjnie państw Europy i że stanął w obronie pół-barbarzyńskiej Etjopji, lecz polega na tem, że Liga potępiała Włochy właśnie za to, że rzuciły się na lud bezbronny i kierowały się wyłącznie argumentem siły fizycznej oraz przewagi militarnej w dążeniu do ujarzmienia ludu słabszego. (...)

Poza Austrią i Węgrami wszyscy członkowie Ligi wypowiedzieli się za zastosowaniem sankcji wobec Włoch.

„Kurier Warszawski” 1935, nr 279 z 11 października, s. 1.

Konsekwencją deklaracji było przyjęcie i uchwalenie wobec Włoch sankcji gospodarczych i finansowych. Na szczęście dla Mussoliniego Liga nie objęła embargiem ropy, która dla Włoch była produktem niezbędnym. Wspominał potem włoski dyktator: „Gdyby Liga posłuchała rady Edena i rozszerzyła sankcje na ropę naftową, byłbym zmuszony do odwrotu z Etiopii w ciągu ośmiu dni”⁵.

PRZYGOTOWANIA DO WOJNY

Włosi planowo przygotowywali się do wojny: organizowali oddziały złożone z mieszkańców Erytrei i Somalii Włoskiego, przebudowali porty w Mogadiszu i Massawie, by przystosować je do przyjmowania okrętów o dużym tonażu, pobudowali lotniska i magazyny. Wiosną 1935 r. przez Kanał Sueski ciągnęły statki załadowane żołnierzami, sprzętem wojskowym i materiałami budowlanymi. Włosi skoncentrowali w Afryce Wschodniej armię ok. 276 tys. (która później wzrosła do ok. 330 tys.) dobrze wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy, zorganizowanych w 7 dywizji piechoty, 7 dywizji Czarnych Koszul oraz jednostki kolonialne, wspierane 800 samolotami i 300 czołgami, i podzielone na 3 grupy – północną (2/3 sił), południową i wschodnią.

5 Za: (Solarz, 2003), s. 19.

„Kurier” śledzi te przygotowania, a przewidując rychłą wojnę już 1 września zamieszcza mapę Abisyńii, by czytelnik gazety „zbliżające się wypadki wojenne” mógł swobodnie i „dogodnie” śledzić. W krótkich relacjach, często zaczerpniętych z PAT, informowano m.in. o: masowych manifestacjach poparcia dla kampanii wojennej ze strony włoskich faszystów i płomiennych przemówieniach Mussoliniego, o włoskich manewrach wojskowych, o wypływaniu z włoskich portów kolejnych statków z żołnierzami i sprzętem wojskowym itd. W niedzielnym dodatku ilustrowanym oglądamy zdjęcia z tych wydarzeń, np. sceny masowych pożegnań wojsk włoskich odpływających na wojnę czy manewry lądowe i morskie.

WOJSKA WŁOSKIE PŁYNĄ DO AFRYKI. Rzym 2-go września (P.A.T.)

- Z Neapolu odpłynął statek »Conte Biancamano«, który zabrał 3.500 ochotników z dywizji »28-go października«. Dziś również odpłynęły cztery statki z transportem 1.300 ochotników. Pojutrze odpłynie statek »Gange«, który zabierze 2.400 ludzi, a dnia 6 września odpłynąć ma 7.000 ochotników na czterech statkach. (...) Dwadzieścia tysięcy żołnierzy, którzy będą powołani do szeregów w ciągu września, należy do roczników 1911, 1913, 1914. Skoszarowanie nastąpi w drugiej połowie bieżącego miesiąca.

„Kurier Warszawski” 1935, nr 241 z 3 września, s. 2.

NAPŁYW OCHOTNIKÓW WŁOSKICH. Rzym 2-go września. (P.A.T.)

- W dalszym ciągu zgłaszają się liczni ochotnicy do Afryki wschodniej. W licznych miastach odbyły się zebrania stowarzyszeń byłych kombatantów, inwalidów i studentów, na których zapadły jednomyślne uchwały zaciągania się do szeregów wojsk, udających się do Afryki.

„Kurier Warszawski” 1935, nr 241 z 3 września, s. 2.

Wojna jest więc coraz bliżej. Przewidując pisze o tym 11 września dziennikarz „Kuriera”, Z. Żurawski, w interesującym artykule *Horoskopy abisyńskie*. Czytamy w nim m.in.: „Genewa radzi, a deszcz w Abisynji jeszcze pada. Narady genewskie skończą się prawdopodobnie w tym samym czasie, gdy w Abisynji ustanie ulewa. Wtedy także zobaczymy najprawdopodobniej początek rozwiązania kryzysu włosko-abisyńskiego, jak to się często mówi

dzisiaj – w krótkiej drodze. Tym razem jednak ta krótka droga załatwiania pretensji niezbyt uzasadnionych może się okazać długą. (...)"⁶. Dalej dziennikarz szczegółowo omawia dwa czynniki, które mogą utrudnić Włochom invazję w Abisynii – warunki klimatyczne oraz trudny teren.

Również armia abisyńska przygotowuje się do wojny. W kolejnych numerach „Kuriera” czytamy m.in. o przygotowaniach abisyńskich miast do obrony, o koncentracji wojsk, o uzbrojeniu i o zamówieniach broni. Siły abisyńskie – poza nieliczną, dobrze wyszkoloną gwardią cesarską – są jednak słabo przygotowane i bardzo źle wyposażone. W większości są to wojska prowincjonalne i plemienne, składające się z ochotników dowodzonych przez tzw. rasów. Cała armia, już po mobilizacji, pod koniec 1935 r. liczy ok. 600 tys. żołnierzy, uzbrojonych jednak najczęściej w przestarzałe działa i karabiny powtarzalne oraz nieliczne – również przestarzałe – karabiny maszynowe.

RUCHY ARMJI ABISYŃSKIEJ. Londyn 2-go września. (P.A.T.)

– Jak donosi wieczorny »Evening Standard« z Dżidżiga w Abisynii, 15 samochodów ciężarowych z uzbrojoną eskortą wyruszyło stamtąd do Gerlogubi, niedaleko Ual-Ual. (...) Reuter donosi z Addis – Abeby: Abisynja przygotowuje się bardzo poważnie do wojny. Około 25.000 żołnierzy armii regularnej i 50.000 wojska nieregularnego podąża pośpiesznie marszami z llararu w stronę Ogadenu.

„Kurier Warszawski” 1935, nr 241 z 3 września, s. 2.

UZBROJENIE ABISYNJI. Rzym 5-go września. (P.A.T.)

– Według wiadomości, nadeszłych z Addis Abeby, Abisynja zamówiła broń za 2 miliony franków w Szwajcarji i 50 tys. dolarów w St. Zjednoczonych, Holandji oraz innych krajach. (...)

„Kurier Warszawski” 1935, nr 244 z 6 września, s. 2.

6 „Kurier Warszawski” 1935, 11 września, s. 12.

SIŁY ZBROJNE ABISYNJI. Paryż 7-go września. (P.A.T.)

- Havas donosi z Addis Abeby, że prawie połowa zdolnych do walki sił abisyńskich, złożonych z wojowniczych plemion koczowniczych oraz uzbrojonej w karabiny służby na mułach zebrała się już w wyznaczonych przez naczelników szczepów punktach koncentracyjnych. Pułki piechoty i meharystów (kawaleria na wielbłądach) zajmują ważniejsze strategiczne punkty kraju. Władze abisyńskie stwierdzają, że powszechna mobilizacja będzie ogłoszona jedynie w wypadku przekroczenia granicy przez wojska cudzoziemskie. (...)

„Kurier Warszawski” 1935, nr 246 z 8 września, s. 22.

Dzięki fotogramom zamieszczanym w niedzielnym dodatku ilustrowanym możemy poznać nieco kraj, w którym będzie się toczyć krwawa wojna oraz przyjrzeć przygotowaniom do niej. Oglądamy więc m.in. rezydencję cesarza abisyńskiego Haile Selassie I w Addis Abebie oraz zdjęcia samego miasta, fotografie znad granicy sudańsko-erytrejskiej i obóz abisyński, zdjęcie typowej wsi abisyńskiej i scenę z uroczystości wystawienia na publiczny widok wielkiego bębna bojowego króla Menelika, obrazy ćwiczeń różnych jednostek armii abisyńskiej i fotografię Voyzero Abebech – dowódczyni abisyńskich oddziałów kobiecych, defiladę wojsk abisyńskich, defiladę abisyńskiej młodzieży oraz zdjęcie kobiet abisyńskich podążających na wiec patriotyczny ulicami Addis Abeby. W końcu zaczynają pojawiać się sceny walk, bombardowań, zdjęcia schronów przeciwlotniczych i rannych żołnierzy abisyńskich.

W tle konfliktu włosko-abisyńskiego toczy się wyścig zbrojeń europejskich potęg, o czym również informuje „Kurier”. Możemy więc przeczytać m.in. o: manewrach brytyjskich okrętów i samolotów na Morzu Śródziemnym, przerzucaniu broni do brytyjskich kolonii w Afryce, o wielkich manewrach wojsk niemieckich oraz francuskich. Śledzimy także protesty antywojenne organizowane m.in. przez związki zawodowe (Wielka Brytania), organizacje socjalistów i komunistów (Francja). Każda z europejskich potęg rozgrywała swoją grę. Przykładem jest głośny skandal wokół kontrowersyjnej postaci przedsiębiorcy Ricketta, podejrzewanego o współpracę z brytyjskim wywiadem, który wykorzystując trudną sytuację Abisynii, zawiera niezwykle korzystny dla Wielkiej Brytanii kontrakt na eksploatację złóż tego kraju. Mimo że Wielka Brytania odetnie się od tego kontraktu, sprawa Ricketta położy się cieniem na obradach Ligi.

Przed rozsarpaniem Abisyngii. Murzyńska moralność Europy

Szkoda atramentu na rozważania o moralności politycznej. Do dnia wczorajszego Anglia uchodziła za championa wolności abisyńskiej i cały świat przykłasikał jej roli bezinteresowanego obrońcy ludu, któremu grozi utrata niezależności i jarzmo faszystowskie. Tymczasem ta sama ludność abisyńska stała się ofiarą jarzma gospodarczego Anglii. Ogłoszony wczoraj i urzędowo potwierdzony traktat abisyńsko-angielsko-amerykański oddaje w posiadanie kapitału angielskiego eksloatację wszystkich bogactw naturalnych Abisyngii (przede wszystkim naftę, kruszce i drogocenne kamienie), na przestrzeni trzech czwartych terytorium i na okres trzech czwartych stulecia. (...) Anglia pierwsza wyciąga ręce i pierwsza wygrywa wyścig, ale nikt nie przypuszczał, że uczyni to pod przykrywką idealizmu i w roli arbitra zagrożonego przez Włochy narodu.

„Kurier Warszawski” 1935, nr 240 z 2 września, s. 1.

Wobec nieuchronności konfliktu „Kurier” stara się przewidzieć jego przebieg, co znajduje wyraz w komentarzach. Za zwycięstwem Włochów przemawia ich doskonałe uzbrojenie i przygotowanie, z kolei – mając jeszcze w pamięci przebieg poprzedniej wojny z Abisyngią – komentatorzy zwracają uwagę, że warunki klimatyczne oraz samo ukształtowanie terenu (bezdroża, góry i pustynie) mogą pokrzyżować te plany.

WŁOSKA OFENSYWA

3 października „Kurier Warszawski” na pierwszej stronie donosi: „Kolumna włoska, licząca około 50 tys. żołnierzy, wkroczyła na terytorium Etiopji, kierując się w stronę wzgórza Mussa Ali. Pierwsza potyczka odbyła się w pobliżu Dankali. Są zabici i ranni.”⁷ W tym samym mniej więcej czasie we Włoszech rozlegają się syreny ustawione na gmachach publicznych i dzwony kościelne. To wezwanie do powszechnej mobilizacji. W Rzymie, z balkonu Pałacu Weneckiego, do rozentuzjazmowanych tłumów przemawia Mussolini. W wielu miastach Italii gromadzą się tysiące ludzi, by – przy okrzykach na cześć wodza – wysłuchać publicznej radiowej transmisji przemówienia.

7 „Kurier Warszawski” 1935, nr 271 z 3 października, s. 1.



Haile Selassie, ©Library of Congress, CC

O godz. 3-ej po poł. dzwony kościelne oraz syreny, stawione na gmachach publicznych, rozległy się w całym państwie na znak, iż rozpoczęła się mobilizacja jeneralna faszystów w liczbie nieznanej jeszcze w historii 10 milionów ludzi. Sklepy zamknięto. Ludność wyruszyła na ulice, kierując się w stronę Placu Weneckiego, gdzie przemawiać ma z balkonu za chwilę Mussolini.

„Kurier Warszawski” 1935, nr 271 z 3 października, s. 1.

RYTMU HISTORJI NIE MOŻNA ZATRZYMAĆ. Rzym 2 października. (P.A.T.)

– O godz. 18.30 Mussolini wygłosił z balkonu pałacu weneckiego wielką mowę do kilkuset tysięcznych tłumów faszystów, którzy zebrali się na placu Weneckim i przyległych ulicach. Mowa ta transmitowana była przez radjo na całe Włochy. Zwracając się na wstępnie do Włochów z całego świata, by słuchali jego słów, Mussolini stwierdził, że w tej uroczystej chwili 20 milionów Włochów zebranych jest na wszystkich placach kraju. Jest to – mówił Duce – najpotężniejsza demonstracja znana w dziejach rodzaju ludzkiego. 20 milionów Włochów ożywionych jest jednym sercem, jednym duchem i jedną wolą. (...) Szef rządu przypomniał o wielu obietnicach, jakie czyniono Włochom w r. 1915, gdy stanęły one po stronie sojuszników. Jednakowoż, kiedy po wspólnem zwycięstwie, które kosztowało Włochy 670 tysięcy zabitych, 400 tysięcy kalek i 1 milion rannych, rozpoczęły się przy zielonym stoliku obrady o pokój, nadzieję kolonialne Włoch nie zostały spełnione. Włochom dano jedynie tylko okruchy. (...) Również wobec Abisynty uprawiały Włochy politykę cierpliwości w ciągu lat 40. Dziś jednak dość tego (głośnie okrzyki entuzjazmu). (...) Słowa te przyjęte były przez tłumy okrzykami entuzjazmu, na które Mussolini odpowiedział następująco: Okrzyki te niech dożą drogą podniebną do naszych żołnierzy w Afryce Wschodniej. Niech staną się pokrzepieniem dla przyjaciół, a przestrogą dla nieprzyjaciół. Okrzyk Włoch dzisiejszych jest okrzykiem sprawiedliwości i okrzykiem zwycięstwa.

„Kurier Warszawski” 1935, nr 271 z 3 października, s. 2.

Tymczasem w Etiopii rozpoczyna się mobilizacja, a na wzgórzach płoną olbrzymie ogniska na znak rozpoczęcia wojny. Włoska inwazja, pod dowództwem gen. Emilia de Bono, odbywała się z trzech kierunków. Główne uderzenie przeprowadzono z Erytrei w kierunku południowym na Adigrat, Aduę i Aksum. Front południowy utworzyły wojska idące z Somalii Włoskiej,

natomiaści front wschodni – z Dżibutti. 5 października pada Aigrat, 6 – znienawidzona przez Włochów Adua (symbol klęski z 1896 r.). W dniu 10 października dochodzi do spektakularnej zdrady jednego z przywódców plemiennych, Haile Selassie Gugsa, który wraz z częścią podległego mu wojska przechodzi na stronę włoską. „Kurier” donosi o tym zdarzeniu, jak również o krwawych potyczkach z siłami abisyńskimi rasa Sejum, o zażartej bitwie o Aduę, bombardowaniu miasta i o ogromnych ofiarach wśród ludności cywilnej (a nawet zbombardowaniu szpitala Czerwonego Krzyża). W rzeczywistości, w tej fazie inwazja włoska nie napotykała na większe problemy – strategia wojsk etiopskich, dowodzonych przez rasów: Sejuma, Muluguety, Kassa i Imru oraz Nesibu i Desty, zakładała działania zaczeplno-obronne w trudnym terenie górkowym i unikanie starć w otwartym polu. „Kurier” donosi także o postępach wojsk włoskich idących z Dżibutti oraz wkraczających od południa do pustynnej prowincji Ogaden, ale bez wątpienia główne *teatrum wojny* rozgrywa się na północy.

Walki o rejon górski Adigrat – Adua – Aksum prowadziła armia generała Bono trzema grupami. Wschodnia, dowodzona przez gen. Santini, składa się z I-go korpusu wojsk metropolitalnych; ta grupa nacierała na Adigrat. Grupa środkowa złożona z wojsk tubylczych, pochodzących z włoskiego Somalii natarła na centrum pozycji pod Aduą. Lewa grupa pod dowództwem generała Maravigna miała za zadanie oskrzelenie Adui od zachodu i uderzenie na flankę lub tyły jej obrońców. W dalszym ciągu ta grupa miała zaatakować następnie Aksum. Wojska grupy gen. Maravigna składają się z II-go korpusu wojsk metropolitalnych. W całości Włosi rozwinięli na kierunku Adigrat – Adua – Aksum około 60 tysięcy ludzi. Natarcie całości rozpoczęło się 3 października wczesnym rankiem. Kolumny włoskie przeszły pograniczną rzekę Mareb, częściowo wbród, ponieważ saperzy nie zdążyli na czas postawić mostów. Pomimo jeszcze podniesionego stanu wód, przekroczenie rzeki przez wojska jen. Maravigna odbyło się bez wypadków. Zaraz po wkroczeniu na terytorium Abisyndii Włosi natknęli się na opór. Wzgórza, na terenie wznoszącym się ciągle pod górę, były obsadzone przez Abisyńczyków, pochodzących z nieregularnych oddziałów rasa Sejum, wielkorządcy prowincji Tigre. Doskonale ukryci w terenie dobrze im znany, uzbrojeni w nowoczesne karabiny, z których potrafili prowadzić ogień bardzo celny, dysponujący także karabinami maszynowymi, stawili oni zawarty opór Włochom, którzy od pierwszej chwili zostali zmuszeni do rozwinięcia znacznych sił, by wywalczyć sobie możliwość dalszego marszu. W ciągu całego 3 października walki trwały na całym froncie natarcia i przy użyciu wszystkich swych środków technicznych Włosi z trudem wywalczyli sobie ruch naprzód. Z nastaniem nocy bój nie zacichł.

Okazało się, że Abisyńczycy wyzyskali porę nocną, z jej wszystkimi trudnościami dla ludzi świeże przybyłych do nieznanych im rejonów, oraz własną, doskonala znajomość terenu, dla przeprowadzenia kontrataków. Rozpoczęły się w ciemnościach walki na białą broń i noże, które prócz zadania poważnych strat obu stron, pozbawiły Włochów odpoczynku, tak cennego w niesłychanie wyczerpujących siły fizyczne warunkach walk w Afryce wschodniej. Przez 4 października walki o każdą piędrę terenu trwały nadal i dopiero 5 października udało się Włochom zająć Adigrat, zaś 6-go Aduę. Zajęcie obu tych miejscowości, tak zresztą jak i późniejsze zajęcie Aksum, nie łączy się jednak bynajmniej z pobiciem nieprzyjaciela, który stawał Włochom ów zacięty opór na drodze od granicy do tych punktów. Oddziały abisyńskie rasa Sejum usunęły się z pod działania Włochów, ani nie przyjmując decydującej walki, ani nie pozwalając nigdzie na oskrzydlenie się. Jeżeli chodzi o kwalifikację ich sposobu działania, to trzeba przyznać, że prowadziły one wzorowy sposób działania opóźniające, ów ulubiony konik dzisiejszych doktryn wojennych Europy. (...) Niemniej wszakże sposób działania Abisyńczyków w ich pierwszych starciach zasługuje na najwyższą uwagę i daje wiele do myślenia na przyszłość. Kilkanaście tysięcy Abisyńczyków (około 20 tysięcy), nie posiadających najbardziej cennej broni w opóźnianiu, artylerii potrafiło zmusić znacznie silniejszą armię włoską do rozwinięcia się, użycia najsilniejszych swoich środków i opóźniło jej marsz w tak wysokim stopniu, że na przebycie kilkudziesięciu kilometrów potrzeba było aż trzy dni czasu. Taki rezultat działania przyniósłby zaszczyt każdej europejskiej armii, nawet, jeżeli wziąć pod uwagę, że teren wydatnie sprzyjał Abisyńczykom. Należy przytem zaznaczyć, że w bardzo trudnej formie działań, jaką są walki opóźniające, oddziały abisyńskie wykazały prócz wielkiej bitności, także wysoki poziom dyscypliny. Świadczy o tem dobrze fakt, że Włochom udało się wziąć zaledwie kilkudziesięciu jeńców na całym froncie trzydniowej walki.

„Kurier Warszawski” 1935, nr 278 z 10 października, s. 2.

Relacjom z frontu towarzyszą zdjęcia w niedzielnym dodatku ilustrowanym. Można było obejrzeć m.in. „tubylcze wojska włoskie” w Erytrei, włoską kawalerię, budowę drogi do Aduy oraz przejazd samochodów ciężarowych i włoskich czołgów po tej drodze, włoską piechotę idącą za tankami, lekki włoski czołg, portrety gen. Rizzio Biroli (dowódca afrykańskich dywizji zmotoryzowanych), gen. de Bono (wysoki komisarz Afryki Wschodniej), fotografie związane ze zdradą rasy Gugsa (zdjęcie orkiestry tubylczej grającej przed gen. Bono na powitanie zdrajcy Gugsa oraz samego Gugsa, który klęka przed gen. Bono). Sytuację wojenną możemy również śledzić, dzięki pojawiającym się od czasu do czasu relacjom korespondenta gazety.

Do Aduy wyjechałem z ekspedycją kinematograficzną włoską, w parę dni zaledwie po zajęciu miasta. W okresie walk o nie byłem przy innej grupie armii i, niestety, nie mogłem być obecny przy wkraczaniu pierwszych oddziałów włoskich. Dano nam do dyspozycji duży autobus szesnastoosobowy, kursujący normalnie między lotniskiem w Asmarze a miastem. Nie miałem wprawdzie pojęcia o tem, czem jest droga do Aduy, specjalnie – w jej drugiej części, ale znając już dobrze drogi abisyńskie i czując jeszcze wciąż, po dziesięciu dniach bezmała, w kościach, drogę do Adigrat, patrzyłem z wielkim sceptyczmem na ogromną, ciężką maszynę. Ruszyliśmy. Do Adi Quala przybyliśmy późnym wieczorem. Komendant placu, kapitan, dał nam wprawdzie stoły i coś w rodzaju sienników do spania, ale, na widok naszej maszyny, załamał ręce. Jego zdaniem, było rzeczą wykluczoną, abyśmy w tym wehikułe dojechali dalej, niż do Maiccio. (...) Nazajutrz o świcie wyruszyliśmy w dalszą drogę. Gdy za Adi Quala zjeżdżaliśmy raptownie o blisko 800 mtr. w dół (wprawdzie wciąż jeszcze po doskonałej szosie), pytałem sam siebie w duchu, jak też ten nasz wehikuł pokona z powrotem to nad wyraz trudne wzniesienie. Tymczasem szło wszystko jako tako. Mknęliśmy dość szybko przez nizinę Marebu, humory były doskonałe. Z zaciekawieniem przyrzeliśmy się dawnej rzece granicznej i mostowi pontonowemu, przerzuconemu w nocy z 2-go na 3-go października przez saperów włoskich. Z zachwytem obserwowaliśmy piękną, niezwykle bujną, iście tropikalną roślinność nizinną. Szumiał nam nad głowami olbrzymie baobaby, o rozłożystych gałęziach i potwornie wielkich pniach, ocierały się o nasz samochód całe gąszcze kaktusów i agaw, dziwaczne euforbie wyciągały ku nam potworne powyginane konary, jakieś przewdziwne ptaki, o wszystkich kolorach tęczy, wciąż przelatywały przed nami. Ludność – taka sama, jak w Erytrei i identyczna z temi gromadami, które widziałem na drodze do Adigrat: mężczyźni, w białych gawi, zarzuconych na ramiona, z wysokimi kijami lub laskami, zawsze bosonodzy, kobiety, prawie wszystkie z małymi dziećmi na plecach. W Maiendabaria zatrzymuje nas punkt blokowy na półtorowej godziny. Dlaczego – nie rozumiem. Drogę do następnego bloku można przebyć w najwolniejszym tempie w ciągu trzech kwadransów. Przypatrujemy się w międzyczasie życia wielkiego etapu wojskowego. Kolumny wojska, mułów, artylerii i samochodów płyną nieprzerwanie ku Adui. Ruch na tej niedznej drodze – niesłychany. Idą żołnierze kolorowi, tubylcy, idą i kolumny żołnierzy – Włochów. Wreszcie puszczają nas dalej.

„Kurier Warszawski” 1935, nr 297 z 29 października, s. 3.

Ofensywa frontu północnego podąża konsekwentnie na południe, w kierunku Makkale.

Na początku listopada „Kurier” donosi o coraz silniejszym oporze Abisyńczyków. Makalle muszą zdobywać dwukrotnie; również na południowym-wschodzie, w rejonie rzeki Dżebelli, napotykają na silny opór.

Zarówno na froncie północnym, jak i południowo-wschodnim ujawnił się dziś niespodziewanie silny opór ze strony wojsk abisyńskich. Na północy musieli Włosi dwukrotnie zdobywać Makalle. Po zajęciu miasta przez oddziały wojsk tubylczych, przypuścili zmienacka Abisyńczycy atak na wkraczające oddziały, które dlatego wycofały się z miasta i dopiero po otrzymaniu posiłków ponowiły walkę i weszły do Makalli. (...) O wiele silniejszy był opór wojsk abisyńskich na froncie południowo-wschodnim w dolinie rzeki Dżebelli. Tutaj musieli Włosi stoczyć ciężką walkę zanim mogli wyprzeć przeciwnika z jego bohaterosko bronionych pozycji. Oficerowi abisyńskiemu udało się przy pomocy karabinów maszynowych wstrzymać przez dłuższy czas pochodą kolumny włoskiej, której po krwawych dopiero wysiłkach udało się złamać opór Abisyńczyków. Według doniesień urzędowych, strącili dziś Abisyńczycy dwa wielkie włoskie samoloty. Z powodu wybuchu bomb w samolotach, spaliły się zarówno aparaty, jak i znajdujące się w nich załogi. Przerwany z powodu nagłej ulewy wielki pochod młynowy wojsk włoskich, podjęty będzie, według zapewnień sztabu włoskiego, w czwartek, o ile, oczywiście, pozwolą na to warunki atmosferyczne.

„Kurier Warszawski” 1935, nr 306 z 7 listopada, s. 2.

Oprócz relacji z poszczególnych frontów, na łamach „Kuriera Warszawskiego” pojawiają się informacje o drobnych incydentach, jak zbombardowanie przez Włochów szwedzkiego ambulansu czy palenie kościołów, które to wydarzenia jednak – przez swój charakter – silnie działają na wyobraźnię czytelników.

Najazd na Abisyńcję. Bombardowanie szpitali i ambulansów

BOMBARDOWANIE AMBULANSU

Paryż 1-go stycznia. (P.A.T.) – Agencja Havasa donosi ze Sztokholmu: Wiadomość o bombardowaniu ambulansu szwedzkiego przez samoloty włoskie wywołała tu duże poruszenie. Tłum rozchwytywał nadzwyczajne dodatki dzienników, donoszących o zbombardowaniu ambulansu (...).

„Kurier Warszawski” 1936, nr 2 z 2 stycznia, s. 2.

WŁOSI PALĄ KOŚCIOŁY

Addis Abeba 1-go stycznia. (P.A.T.) Abuna Krylos, arcybiskup koptyjski w Abisyńji, wysłał do szeregu dymitarzy duchownych w całym świecie depesze z protestem przeciwko spaleniu przez Włochów kościołów w Addi – Abbi w prowincji Tembien podczas opuszczania tego miasta. (...)

„Kurier Warszawski” 1936, nr 2 z 2 stycznia, s. 2.

Mimo abisyńskiego oporu oba fronty – północny i południowy – wciąż posuwają się naprzód. Od północy przekraczają Makalle, od południa zbliżają się do Dżidżiga i Harrar. Wojska z dwóch stron zbliżają się do centralnej Etiopii, skąd chcą uderzyć na stolicę, Addis Abebe. W grudniu siły abisyńskie pod wodzą rasy Imru dokonują kilku udanych operacji (m.in. pokonują siły erytrejskie w rejonie przełęczy Dembeguina). Niezadowolony z postępów armii Mussolini zmienia głównodowodzącego wojsk włoskich. Nowym zwierzchnikiem zostaje marszałek Pietro Badoglio. Tymczasem dochodzi do nieudanej próby politycznego rozwiązywania konfliktu – projekt premiera Pierre'a Laval'a oraz ministra spraw zagranicznych Samuela Hoare'a zakładający oddanie Włochom etiopskich prowincji Tigraj i Ogaden oraz obszaru graniczącego z Erytreą zostaje odrzucony przez obie strony konfliktu. W styczniu oddziały dowodzone przez rasów Kassy i Syjuma przerywają włoski front i ruszają do ofensywy. Jednak po chwilowych zwycięstwach w rejonie Tembien dochodzi do bitwy przegranej przez siły abisyńskie. Włosi zastosowali wówczas gazy bojowe.

NA FRONTACH ABISYNJI

P.A.T. podaje następujący komunikat o położeniu na frontach Abisyńji w d. 25 stycznia: Na front północny znowu zwrócona jest powszechna uwaga. Urzędowy komunikat włoski poświęcony jest całkowicie relacji z 3-dniowej krwawej bitwy w Tembien, której wyniki określają jako całkowite zwycięstwo wojsk włoskich nad Abisyńczykami. Natomiast źródła angielskie i francuskie, powołując się na oświadczenie jednego z wybitnych dostojeników abisyńskich, donoszą, że w dalszym ciągu w rejonie bitwy, która zadecyduje o losach Makalle. Według tych doniesień, patrole abisyńskie są w różnych kryjówkach dokoła miasta, a oddziały włoskie usiłują wydostać się z Makalle. (...) Przebieg operacji z ostatnich trzech dni źródła angielskie opisują w następujący sposób: Dowództwo włoskie, wiedząc, że armia rasa Kassy, licząca około 40,000 ludzi, wtargnęła w głęb Tembien, w odległości 20 klm. od Makalle, skierowało kolumnę wojsk, aby otoczyć Abisyńczyków i wydać im decydującą bitwę. Ras Kassa nie uchylił się

od walki, przeciwnie, wydał rozkaz natarcia. Przez cały dzień 21 stycznia toczyła się zażarta bitwa, w której kosztem ciężkich strat oddziały »czarnych koszul« zdołały przebić się przez zastępy wojowników abisyńskich. Dnia 22 b.m. ras Kassa, porzucając wszelką ostrożność, wydał ponowny rozkaz ataku na Włochów. Przez cały dzień oddziały abisyńskie, nie zważając na morderczy ogień karabinów maszynowych przeciwnika, atakowały Włochów. Pomimo wszelkich strat, duch bojowy Abisyńczyków ani na chwilę nie osłabł. Dnia 23 stycznia pozycje włoskie zostały zaatakowane przez świeże siły zbrojne abisyńskie. Dochodziło do częstych walk na bagnety. O godz. 16-ej wojskom włoskim przybyły posiłki. Włosi przeszli do kontratak i zmusili oddziały rasa Kassy do odwrotu. Jednocześnie na prawym skrzydle wojska włoskie poczęły się posuwać w kierunku rzeki Takazze, aby utrzymać ciągłą linię frontu i nie być narażonymi na nieustającą partyzantkę abisyńską. (...)

„Kurier Warszawski” 1936, nr 25 z 26 stycznia, s. 26.

W lutym pod Amba Aradam staje naprzeciw siebie: ok. 80 000 Etiopczyków pod dowództwem rasa Mulugietu oraz dwa włoskie korpusy liczące 100 000 żołnierzy. Włosi używają broni chemicznej, która zbiera ogromne żniwo tak wśród abisyńskich żołnierzy, jak i ludności cywilnej. Wojska etiopskie zmuszone są do odwrotu. 31 marca dochodzi do decydującej bitwy w rejonie jeziora Asziangi. Armie rasów Mulugietu i Kassy oraz gwardia cesarska pod dowództwem cesarza Haile Selassie I początkowo wypiera Włochów, jednak ponowne użycie lotnictwa i gazów bojowych niweczy potencjalne abisyńskie zwycięstwo. Siły etiopskie na froncie północnym zostają rozbite. Ocalałe oddziały przechodzą do działań partyzanckich.

MARSZ. BADOGLIO DONOSI

Rzym 1-go kwietnia. (P.A.T) – Komunikat urzędowy nr. 171. Marszałek Badoglio telegrafuje: W rejonie jeziora Asziangi w kierunku na Kworam rozwinęła się wczoraj 31 marca wielka bitwa. Armia negusa z gwardią cesarską, wyposażoną we wszelkiego rodzaju broń nowoczesną, zaatakowała pozycje włoskie na południe od Mai-Ceu. Dzień zakończyło pełne zwycięstwo wojsk włoskich. Przewidziana akcja abisyńska trwała od godz. 6-ej rano do 18-ej, złożyła się na nią serja ataków frontowych i oskrzydlających, które odparto.

Po południu wojska, złożone z oddziałów włoskich i tubylców erytrejskich, kontratakowały, rozbijając przeciwnika, który cofnął się w nieiadzie do doliny Mekan, bombardowany z samolotów i dział. Straty wojsk negusa bardzo ciężkie: liczbę poległych oceniają na 7000 ludzi, w tem wielu pomocników dowództwa.

Wzięto wielu jeńców i znaczne ilości broni. Straty włoskie ogółem wynoszą: oficerów zabitych - 12, ranionych - 44, żołnierzy włoskich zabitych - 51, ranionych - 152, tubylców około 800 zabitych i ranionych. Lotnicy włoscy odważnie i skutecznie brali udział w bitwie, będąc celem pocisków działa przeciwlotniczych, które ugodziły kilka samolotów. Według zeznań jeńców, wojska, które brały udział w bitwie, liczyły 20.000, a negus osobiście kierował bitwą na lewem skrzydle. (...)

„Kurier Warszawski” 1936, nr 92 z 2 kwietnia, s. 3.

ZWYCIĘSTWO WŁOSKIE NAD JEZIOREM ASZIANGI

Rzym 1-go kwietnia. (P.A.T.) – Wiadomość o pobiciu armii negusa nad jeziorem Asziangi wywołała we Włoszech wielkie wrażenie. W stolicy panuje ogólne podniecenie. Nadzwyczajne wydania dzienników są rozchwytywane, a kioski z gazetami i głośniki radjowe oblężone są przez publiczność, która na ulicach i w kawiarniach gorączkowo komentuje wiadomości z frontu. Ulicami Rzymu przeciągają pochody młodzieży, manifestującej na cześć zwycięstwa. Na Placu Weneckim zabrał się wieczorem tłum publiczności, wiwatującej na cześć wojska, króla i Mussoliniego.

Paryż 1-go kwietnia. (P.A.T.) – O bitwie na północ od jeziora Asziangi donosi korespondent Havasa z Rzymu: Bitwa nad jez. Asziangi była od dawna zapowiadana. Wiadomo było od kilku tygodni, że negus na czele gwardji posuwa się na północ. Negus początkowo założył swoją kwaterę w odległości 30 klm. od jeziora. Miał on pod sobą armię, liczącą około 100,000 ludzi, złożoną z gwardji, rezerw i resztek pozostałych z armii rasa Mulugueta po bitwie pod Amba-Aradam. Zwycięstwo włoskie na tym odcinku może mieć decydujące znaczenie, ponieważ kłęska wojsk cesarza wywarłaby przynębiający wpływ na armię abisyńską. (...)

„Kurier Warszawski” 1936, nr 92 z 2 kwietnia, s. 3.

KOMUNIKAT ABISYŃSKI

Addis Abeba 1 kwietnia. (P.A.T.) – Ogłoszono komunikat urzędowy Nr. 187, w którym rząd abisyński oświadcza, iż informacje, zawarte w włoskim komunikacie urzędowym Nr. 168 o zajęciu miast Sokota i Debarek, są niezgodne z rzeczywistością. Według twierdzenia władz abisyńskich, na całym froncie północnym trwa ożywiona akcja lotników włoskich. Na froncie południowym rozwijają się znaczniejsze starcia straży przedniej, szczególnie na południu od Daggabur. Szczególny brak.

„Kurier Warszawski” 1936, nr 92 z 2 kwietnia, s. 3.

Na przełomie lat 1935/36 włoski front południowy, poruszający się w terenie pustynnym, napotyka na silny opór etiopskich oddziałów rasa Desty i rasa Nesibu. W połowie stycznia Włosi rozbili jednak w rejonie Dolo oddziały rasa Desty, później ze zmiennym szczęściem prowadzili walki z rasą Nesibu. Jednak wraz z zajęciem Hareru, 8 maja, również południowy front obrony przestał istnieć.

JAK WŁOSI ZAJĘLI ADDIS-ABEBĘ?

Londyn 6-go maja (P.A.T.) – (...) Pomimo ulewnego deszczu, który uszkodził drogi, marszałek Badoglio, pozostawiając w tyle połowę swych samochodów ciężarowych, prędkimi marszami posunął się naprzód. Ostatniej nocy spano tylko trzy godziny. W ciągu 2 dni kolumna przeszła przestrzeń 140 mil. Kiedy kilka oddziałów zmotoryzowanych zbliżyło się do stolicy, marszałek Badoglio w otwartym samochodzie wysunął się na czoło pochodu, który mijał poselstwo brytyjskie. Mieszkańcy Addis-Abeby przyglądali się wkraczającym do stolicy wojskom włoskim, siedząc na prograch swoich domów, przed którymi wywiedzono przeważnie białe chorągwie. Niektórzy z nich zachowywali się obojętnie, niektórzy witali włoskie kolumny z uśmiechem. Na twarzach wszystkich malowała się wielka ciekawość. (...) Kolumna, która weszła do Addis-Abeby liczy 1500 samochodów ciężarowych.

Paryż 6-go maja (P.A.T.) – Agencja Hayasa donosi z Rzymu: Wedle pierwszych, nadeszłych z Rzymu wiadomości, wkroczenie wojsk włoskich do Addis-Abeby odbyło się, jak następuje: Wojska włoskie podeszły do stolicy, jednocześnie z dwóch stron. Kolumna zmotoryzowana weszła do miasta przez tzw. »drogę cesarską«, zaś 4 bataliony erytrejskie – drogą wiodącą z zachodu. Marszałek Badoglio znajdował się na czele pierwszej kolumny, składającej się ze wszystkich rodzajów broni. Na przedzie jechały samochody pancerne, następnie na białym koniu marszałek Badoglio w towarzystwie sekretarza stanu do spraw kolonii Alessandro Lessona... (...). Następnie maszerowały 2 pułki piechoty z dywizji sabaudzkiej oraz pułki świeżo uformowane, składające się z batalionu 8-go pułku bersaljerów, batalionu 3-go pułku grenadierów oraz batalionu piechoty morskiej. Kolumnę zamkały pułk artylerii oraz 4 bataliony erytrejskie. Wszystkie pułki kroczyły z rozwiniętymi sztandarami. Maszerującą kolumnie towarzyszyły szybkobieżne czołgi oraz wielka ilość samochodów ciężarowych. Nad miastem unosiło się 50 samolotów. Marszałek Badoglio udał się natychmiast do pałacu negusa, gdzie wywieszono chorągiew włoską.

„Kurier Warszawski” 1936, nr 125 z 7 maja, s. 2.

Nieco wcześniej na froncie północnym doszło do decydujących wydarzeń. 2 maja Haile Selassie I mianował rasa Imru szefem rządu, sam zaś udał się przez Palestynę na emigrację do Wielkiej Brytanii. 6 maja wojska frontu północnego pod dowództwem marszałka Badoglio uroczyście wkroczyły do Addis Abeby.

Wejście Włochów do stolicy Etiopii i wywieszenie włoskiej flagi na pałacu cesarza Haile Selassie I zostało uznane nad Tybrem za historyczne zweeneyństwo. Jak relacjonuje „Kurier Warszawski”, wszystkie włoskie miasta udekorowane są sztandarami, zamknięte szkoły, odbywają się masowe manifestacje patriotyczne, a włoska prasa domaga się wcielenia Abisyńii do Włoch. Kiedy 9 maja z balkonu Pałacu Weneckiego Mussolini ogłasza wyczekwaną przez Włochów aneksję Abisyńii i roztacza wizję odradzającego się po 1500 latach Imperium Romanum, tłum wpada w euforię – włoski przywódca, po zakończeniu mowy, 42 razy jest wywoływany na balkon.

Paryż 10-maja. (Tel. wł. Kurj. Warsz.) Trudno opisać wrażenie francuskich kół politycznych, jak również oszołomienie opinji angielskiej z powodu decyzji Mussoliniego przypieczętowania podboju zbrojnego Etiopii »pełnego i całkowitego« – aneksją państwa negusa przez koronę włoską. Niemniejsze wrażenie wywołały słowa Mussoliniego o wskrzeszeniu dawnego, z przed 1500 lat imperium rzymskiego, obwieszczonego poraz pierwszy w r. 476, a dziś powitanego w całych Włoszech 101 wystrzałami. A już poprostu popłoch ogarnął pewne sfery dyplomatyczne na wieść, że nowe imperium rzymskie, aczkolwiek pracować pragnie wyłącznie dla pokoju, jednak nie cofnie się przed wojną, jeżeli wymagać tego będą »imperatywne konieczności życia«.

„Kurier Warszawski” 1936, nr 129 z 11 maja, s. 1.

Ukazuje się dekret ogłaszaający aneksję Etiopii i nadanie królowi Włoch tytułu cesarza Etiopii. Z tą chwilą Etiopia traci niepodległość i staje się – wraz z Erytreą i Somalim Włoskim – częścią Włoskiej Afryki Wschodniej. Włoskie panowanie w Etiopii sankcjonuje Liga Narodów, znosząc już 15 sierpnia 1936 r. sankcje ekonomiczne. Nie mogąc sobie poradzić z etiopskim ruchem oporu, Włosi wprowadzą w Etiopii terror, mordując ok. 36 tysięcy ludzi w egzekucjach, pogromach oraz obozach koncentracyjnych. Włoskie panowanie w Etiopii będzie jednak jedynie krótkim epizodem – podczas II wojny światowej Róg Afryki stanie się areną walk, w których następstwie dojdzie do odrodzenie się Etiopii.

RELACJE „KURIERA” NA TLE RELACJI INNYCH GAZET

„Kurier Warszawski” informował o toczącym się konflikcie w sposób bliski środowiskom konserwatywnym i narodowym. Jednak te same wydarzenia relacjonowały również dwie odmienne ideologicznie gazety – „Robotnik” i „Polska Zbrojna”. Oba periodyki były poczytne, acz bardzo od siebie odległe tak pod względem odbiorców, jak i stylu.

„Robotnik”, warszawski dziennik będący organem prasowym PPS, afrykańskiemu konfliktowi poświęca wiele miejsca. Podobnie jak „Kurier”, często korzysta z informacji Polskiej Agencji Telegraficznej, zamieszczając również własne komentarze i oceny bieżących wydarzeń. Gazeta nie korzysta jednak z sieci własnych informatorów, nie ma też własnego korespondenta. Nie zamieszcza również fotorelacji z wojennej kampanii. Także styl gazety, agitacyjny i propagandowy, jest zupełnie inny. Stosunek do bieżących wydarzeń odzwierciedlażą już same tytuły, np.: *Faszyzm przed trybunałem świata, Dym kłamliwej propagandy przysłania zatarg afrykański, Mussolini podpalił świat, Pierwszy dzień rzezi wojennej, A w Genewie komitety dyskutują i wybierają podkomitety, Faszyści bombardują kobiety i dzieci* itd. Gazeta stoi na stanowisku, że główną przyczyną konfliktu jest realizacja ideologii włoskiego faszyzmu.

Wojna... Wojna... Na froncie abisyńskim

Wojska faszyzmu włoskiego rozpoczęły swój pochód wgłąb Abisyngii. Powtórzyła się cała komedia na temat stary, jak świat, że »królik pierwszy zaczął«. Abisyńczycy coś tam mieli »plądrować«; zabijać jakiś »tubylców«; czyjeś »mienie« było w niebezpieczeństwie; szlachetny gen. de Bono nie mógł wytrzymać takich okropności itd., itp. Jak napisaliśmy wczoraj, »oficerowie polityczni« sztabu włoskiego nie zdobyli się na żaden oryginalniejszy pomysł. Dla opinji publicznej świata sprawa przedstawia się zupełnie jasno. Jeżeli nie uda się przełamać awantur zaborczych faszyzmu włoskiego, los ludzkości będzie zależał od faszyzmu, jako prądu międzynarodowego.

„Robotnik” 1935, nr 308 z 5 października, s. 2.

Redakcja „Robotnika”, podobnie jak „Kuriera”, sekunduje stronie abisyńskiej, jednak nierzadko, „ku pokrzepieniu serc”, podaje informacje nieprawdziwe, wyolbrzymiając sukcesy wojsk abisyńskich i porażki Włochów.

Sytuacja na froncie. Generalny atak Abisyńczyków na włoskie pozycje

...w nocy z wtorku na środę abisyński korpus dywersyjny w sile około 30.000 ludzi pod wodzą Ras-Seyuma i Ras Kassa dokonał pod osłoną nocy niespodziewanego wypadu na prawe skrzydło północnej armii włoskiej. Zanim Włosi zorientowali się w sytuacji Abisyńczycy sforsowali rzekę graniczną Bahr Selit i wkroczyli do włoskiej Eryterii. Oddziały tubylcze broniące granicy pod Om-Ager zostały wycięte w pień. Równocześnie inne oddziały abisyńskie zmyliły czujność posterunków włoskich i wykonały brawurowy atak na Aduę. Oddziały włoskie zostały wyrzucone daleko na północ i wyparte z Adigratu. O losach Adui krążą sprzeczne wiadomości, ale nie ulega wątpliwości, że miasto jest zagrożone przez siły abisyńskie, jeżeli nie zostało jeszcze zajęte. Dowódcy korpusu dywersyjnego, który się dostał na tyły armii włoskiej stwierdzają w swoich raportach do cesarza, że udało im się przeciąć komunikację północnej armii włoskiej ze stolicą Erytrei Asmara (główna baza wojenna Włoch). W ten sposób sytuacja korpusu gen. Piroli i oddziałów gen. Santini stała się bardzo krytyczna. (...) NA FRONCIE POŁUDNIOWYM osaczone niedaleko Ual-Ual w pustynie pułki włoskie giną z pragnienia. Próby przedarcia się przez pierścień wojsk abisyńskich zakończyły się zdzięsiątkowaniem kilku batalionów przez karabiny maszynowe. (...) Włosi na tym froncie poraz pierwszy użyli gazów trujących przeciw Abisyńczykom; świadczy to, że sytuacja faszystów jest rozpacząca, skoro chwycili się już tej broni.

„Robotnik” 1935, nr 313 z 10 października, s. 2.

Również „Polska Zbrojna”, wydawana jako półoficjalny organ Ministerstwa Spraw Wojskowych, związany z nurtem sanacyjnym, wiele miejsca poświęcała konfliktowi abisyńskiemu. Gazeta przede wszystkim posiłkuje się doniesieniami Polskiej Agencji Telegraficznej, wyraźnie jednak dba o to, aby źródła informacji pochodziły z obu stron konfliktu oraz z najważniejszych europejskich stolic oraz o to, by czytelnik posiadł zrównoważony obraz toczących się wydarzeń. Gazeta zamieszczająca od czasu do czasu interesujące felietony, traktujące nie tylko o bieżących wydarzeniach, ale np. o sytuacji społeczno-politycznej samej Etiopii. Całości dopełniają stosunkowo rzadkie zdjęcia. Rozwój wypadków w Etiopii czytelnicy „Polski Zbrojnej” mogą śledzić dokładniej dzięki wydrukowanej w gazecie szczegółowej mapie tego kraju. Pod mapą, obok cennych informacji geograficznych, znalazło się następujące zalecenie: „Wyciąć, nakleić na tekturę i oznaczyć co dzień sytuację według komunikatów »Polski Zbrojnej«”. Jako organ państwowaty, w okresie obrad Ligi Narodów, gazeta podkreśla polskie wątki, w szczególności udział ministra Becka w pracach tzw. komitetu pięciu.

Sytuacja w Etiopii

KOMUNIKAT „POLSKI ZBROJNEJ”, NR 14

Dzień wczorajski nie zaznaczył się godnymi zanotowania działaniami na żadnym froncie. Rzekome zajęcie przez Włochów miasta Makalle okazało się narazie zwyczajną plotką dziennikarską. Należy jednak liczyć się z tem, że Włosi na swojem lewem skrzydle północnego frontu nie zadowolą się osiągnięciem rzeki Uori, lecz będą dążyli do ustalenia tego frontu na linji rzek Ghava – Takaze. W tym więc wypadku niewątpliwie zdecydują się oni na przełamanie abisyńskiej obrony w rejonie Makalle, stanowiącym dobrą podstawę wypadową do dalszych działań na południe wzdłuż idącej tedy najważniejszej arterii komunikacyjnej wgłęb Abisynii.

W dalszym ciągu nadchodzą wiadomości o dokonanem już rzekomo połączeniu się wojsk rasa Kassa z wojskami rasa Sejum nad rzeką Takaze i na wyżu Makalla.

Północny front byłby więc teraz broniony przez znaczne siły. Ras Kassa ze swoją 150 tysięczną armią nad rzeką Takaze, a ras Sejum z 60-tysiącami wojowników na wyżynie Temblen i Makalle. Na tle takiego skondensowania abisyńskiej obrony staje się zrozumiałe wynurzenie marszałka Badoglie przed korespondentem »Paris Soir«, że »rząd włoski zgóry liczy się z faktem, że jego akcja w Abisynii wymagać będzie znacznego czasu«.

Tymczasem Abisyńczycy dokończają mobilizacji i koncentracji oddziałów na najważniejszych kierunkach. Cesarz dokonywa osobiście przeglądu wszystkich wojsk, które w swym marszu na wyznaczone punkty zborne przechodzą przez stolicę. Bywa obecny przy rozdzieleniu broni i amunicji i wygłasza do tysięcznych rzesz wojskowników przemówienia. Udziela rad i wskazówek. Na jednej z niedawnych [niewyraźnie] powiedział: »Jeżeli zwlekaliśmy z odpowiedzią na zbrojną akcję włoską, to dlatego, że mieliśmy zobowiązania wobec L.N. [Ligi Narodów – przyp. red.] Inwazja włoska zwalnia nas z tych zobowiązań. Przeto idźcie wojować, bijcie się odważnie. Nie gromadźcie się w zbyt licznej masie. Uciekajcie się do taktyki partyzanckiej. Bądźcie cierpliwi, rozpraszaćcie się, gdy się zbliżą nieprzyjacielskie samoloty«.

„Polska Zbrojna” 1935, nr 288 z 19 października, s. 2.

Konflikt włosko-abisyński był zapowiedzią kolejnego europejskiego kryzysu, który przerodził się w II wojnę światową. Najprawdopodobniej dlatego na wiele miesięcy znalazł się w centrum zainteresowania warszawskiej prasy. Dzięki niemu czytelnicy „Kuriera Warszawskiego” oraz innych gazet otrzymali przyśpieszony kurs wiedzy o Afryce.

BIBLIOGRAFIA:

Książki, opracowania:

Bartnicki A., 1964, *Agresja włoska w Abisynii*, Warszawa.

Solarz J., 2003, *Afryka Wschodnia 1935–1941*, Warszawa.

Czasopisma:

„Kurier Warszawski”, wybrane numery z lat 1935 i 1936.

„Polska Zbrojna”, wybrane numery z września i października 1935.

„Robotnik”, wybrane numery z września i października 1935.

Liga Morska i Kolonialna w Warszawie

Krzysztof Wittels

Aspiracje Polski do posiadania zamorskich kolonii ujawniły się zaraz po odzyskaniu niepodległości. W XX-leciu międzywojennym powstały organizacje społeczne, instytucje i ośrodki naukowe, które podejmowały ideę emigracji kolonialnej i próbowały ją realizować. W 1918 r. powstało Polskie Towarzystwo Kolonialne (późniejsze Polskie Towarzystwo Emigracyjne), w 1926 r. – Instytut Naukowy do Badań Emigracji i Kolonizacji (po później przekształcony w Instytut Emigracyjny i Kolonialny), w 1928 r. powstał Związek Pionierów Kolonialnych.

Instytucją najbardziej zaangażowaną w kampanię na rzecz polskich kolonii była Liga Morska i Kolonialna, wywodząca się z Ligi Morskiej i Rzecznnej. W swym statucie organizacja deklarowała, że: „Dąży do pozyskania kolonii dla Polski, względnie terenu dla nieskrępowanej ekspansji dla narodu polskiego”.¹ W latach 20. XX w. sprawa emigracji z Polski kilkakrotnie pojawiała się na łamach miesięcznika „Morze”, wydawanego przez Ligę Morską i Rzeczną. Za sprawą pogłoski o mającym nastąpić w 1931 r. nowym podziale wpływów w byłych koloniach niemieckich, Liga zaczęła energiczniej działać na rzecz pozyskania przez Polskę zamorskich terenów². Oprócz prób

1 Białas T., *Liga Morska i Kolonialna 1930–1939*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1983, s. 166–168.

2 Roszczenia do posiadania władzy na tych terenach wysuwali Włosi, ale pretensje do swoich dawnych kolonii zaczęli zgłaszać także Niemcy. To nasunęło działaczom emigracyjnym myśl wystąpienia z roszczeniami przyznania Polsce – członkowi Ligi Narodów – mandatu nad jakimś poniemieckim terytorium (argumentowano, że na zagospodarowanie tych terenów szły nigdyś pieniądze podatnika polskiego z byłego zaboru pruskiego). Ewentualna rewizja ustaleń wersalskich – uważali działacze Ligi – dawała również Polsce szansę wystąpienia z pretensjami kolonialnymi.



Żołnierz w pochodzie uzbrojony
w karabin 7,9 mm Mauser
wz. 1898 i pas z ładownicami
© Kazimierz Osmański, NAC

„pozyskania” części byłych kolonii niemieckich, organizacja próbowała prowadzić do współpracy gospodarczej z jednym z państw kolonialnych (Francją lub Portugalią) w Afryce.

Dlaczego Liga zdecydowała się na wprowadzenie programu emigracyjno-kolonialnego? Przyczyn należy szukać w polskich problemach demograficznych (ogromne przeludnienie polskiej wsi, bezrobocie, masowa emigracja) i gospodarczych (potrzeba zrównoważenia bilansu handlowego i płatniczego). Dodajmy, że działało się to wszystko w czasie światowego kryzysu gospodarczego, który wzmożł protekcionizm państwowego w handlu międzynarodowym³. Na początku lat 30. szczególnie aktywni w szerzeniu – jak się wówczas mówiło – „idei kolonialnej” byli związani z Ligą działacze polonijni, którzy starali się przeciwdziałać wynaradawianiu Polonusów poprzez ścisłejsze ich wiązanie z krajem i wykorzystanie diaspory do realizacji celów gospodarczych Polski. Działacze Ligi wyobrażili sobie, że udana akcja kolonialna stanie się remedium na kilka polskich bolączek. Uważali, że osadnictwo na terenach zamorskich rozwiąże problem przeludnienia, wyeliminuje nieuczciwych pośredników w handlu surowcami i towarami kolonialnymi, spowoduje rozbudowę polskich placówek handlowych i przemysłowych w krajach zamorskich oraz floty handlowej, która również będzie elementem spajającym polskie wychodźstwo z macierzą. Program taki wymagał wielkich kapitałów, a bez nich miał charakter utopijny. I takim okazał się w rzeczywistości. Pomimo wsparcia akcji przez wielu prominentnych polityków, Liga nie umiała przekonać do tej misji instytucji państwowych. Organizacja uruchomiła ogromną maszynę propagandową: organizowała masowe imprezy i obchody rocznicowe, publikowała artykuły w wydawanych czasopismach: „Morze” i „Sprawy Morskie i Kolonialne”, współpracowała z Polskim Radiem, produkowała filmy propagandowe i urządzała ich pokazy, drukowała ulotki, broszury i afisze. Mimo to jednak część społeczeństwa odbierała pomysły kolonialne z rezerwą bądź niechęcią⁴, a nawet część samych działaczy Ligi traktowała je z „przymrużeniem oka”⁵.

Uważano, że Polska powinna otrzymać ok. 10% powierzchni byłych kolonii niemieckich, ponieważ taki właśnie w przybliżeniu procent stanowiły ziemie byłego Cesarstwa Niemieckiego przyłączone na mocy Traktatu Wersalskiego do Polski.

3 Tarasiewicz, 2005.

4 Tarasiewicz, 2005.

5 Duda D., Szubrycht T., *Działania Ligii Morskiej i Kolonialnej na rzecz Marynarki Wojennej w okresie międzywojennym*, Gdynia 2008.

Liga Morska i Kolonialna (LMK)⁶

Liga Morska i Kolonialna była jedną z najbardziej opiniotwórczych i drugą – co do liczelnosci – organizacją społeczną okresu międzywojennego. Liczba jej członków stale wzrastała, osiągając przed wybucem II wojny światowej prawie 1 mln członków. Członkami honorowymi byli: prezydent Ignacy Mościcki, marszałek Józef Piłsudski, wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski, Wacław Sieroszewski, premier Ignacy Paderewski, generał Edward Rydz-Śmigły, a w jej działania włączały się prominentne osobowości – posłowie, senatorowie, ministrowie i wiceministrowie, wojewodowie, generalica, starostowie, dyrektorzy największych zakładów przemysłowych, ludzie nauki i kultury. O znaczeniu LMK może świadczyć także fakt, że w wyborach do Sejmu RP w listopadzie 1938 r. mandaty poselskie uzyskało czterech członków władz naczelnych LMK, a jeden został senatorem. Liga miała także ogromny potencjał opiniotwórczy – łączny nakład czasopism wydanych przez LMK w latach 1935–1936 wyniósł 8,5 mln egz. Praca odbywała się w 4 wydziałach: propagandy marynarki wojennej, kolonialnym, żeglugi śródlądowej i morskim. Szczególnie nas interesujący wydział kolonialny obejmował następujące sekcje: afrykańską, północno-amerykańską, południowo-amerykańską, palestyńską, ludnościową, mandatową, ekspansji gospodarczej, biologii i higieny kolonialnej oraz kadrową.

Liga Morska i Kolonialna, która uzyskała ostateczny kształt i nazwę w 1930 r., swą działalność wywodziła z zawiązanego w październiku 1918 r. lokalnego Stowarzyszenia Pracowników na Polu Rozwoju Żeglugi „Bandera Polska”, które kilka miesięcy później uległo przekształceniu w Towarzystwo Liga Żeglugi Polskiej (rozszerzając pole działalności na wszystkie ziemie państwa polskiego). Na początku lat 20. Towarzystwo włączyło się w skuteczny lobbying na rzecz budowy portu handlowego w Gdyni. W 1924 r. organizacja ponownie poszerzyła swoją działalność, m.in. o działanie na rzecz rozbudowy polskich sił zbrojnych na morzu i rzekach, przekształcając się w Ligę Morską i Rzeczną (LMR). W końcu lat 20. rozpoczęto organizację Sekcji Kolonialnej LMR z podsekcjami: polityczną, ekonomiczną, higieny kolonialnej, geograficzno-topograficzną, historyczną, literatury i sztuki kolonialnej. Podczas III Walnego Zjazdu LMR, w dniach 25–27 października 1930 r., po raz kolejny zmieniono statut i nazwę organizacji – tym razem na Ligę Morską i Kolonialną. Statut Ligii został poszerzony o zapis mówiący o dążeniu do pozyskania kolonii dla Polski, wysunięto szereg postulatów, które nakreśliły kierunki działania organizacji aż do wybuchu II wojny światowej, m.in.: zachusettsanie polskich przedsiębiorców i handlowców do ekspansji na wybrane terytoria kolonialne, wsparcie polskiej ekspansji gospodarczej specjalnym kredytem i gwarancjami państwa (a nawet Bankiem Kolonialnym), utworzenie wydziałów kolonialnych na polskich uczelniach i Wyższej Szkoły Nauk Emigracyjnych

6 Na podstawie: Białas, op. cit.

i Kolonialnych, prowadzenie prac badawczych m.in. w zakresie możliwości rolniczych, ekspansji gospodarczej, inwestowania na obszarach kolonii. W 1932 r. utworzono Fundusz Akcji Kolonialnej (FAK), z którego finansowano działania pionierskie, torujące drogę do osadnictwa polskiego. W drugiej połowie lat 30. Liga wprowadziła do swego programu emigracyjno-kolonialnego wątek żydowski: w 1937 r. LMK uznała, że emigracja Żydów z Polski jest „jedyną skuteczną drogą rozwiązania kwestii żydowskiej”.

Sprawy kolonialne były tylko jednym z kilku pól działania Ligi. Program realizowany przez organizację w latach 30. był bardzo rozbudowany⁷. Mimo tej różnorodności, członkowie LMK uważały, że wszystkie wątki ich działalności łączą się w jedną „sprawę morską”, a program emigracyjno-kolonialny ma z niej wprost wynikać. To wynikanie i spójność widzimy wyraźnie w przemówieniu prezesa ZG LMK, gen. S. Kwaśniewskiego, wygłoszonym podczas obchodów Dnia Morza w czerwcu 1937 r. Jednocześnie tracimy pewność, czy sprawa kolonii, do których Polska miała posiadać „słusne prawo” ze względów „historycznych” oraz „ogólnoludzkiej sprawiedliwości” (podział zamorskich bogactw naturalnych), wynikała rzeczywiście z potrzeby rozwiązyania palących problemów społeczno-ekonomicznych czy była raczej hasłem do kolejnego etapu samoorganizacji społeczeństwa wokół tematyki

7 W latach 30. program LMK był bardzo szeroki i łączył zagadnienia związane z budową portu i miasta Gdyni, lobbying na rzecz polityki morskiej, działania na rzecz rozwoju żeglugi morskiej, przemysłu okrętowego oraz rybołówstwa morskiego, propagowanie rozwoju żeglugi śródlądowej, popularyzacja problematyki emigracyjno-kolonialnej, wychowanie morskie społeczeństwa, działania zmierzające do zwiększenia potencjału marynarki wojennej. Pod tymi ogólnymi hasłami krył się szereg rozmaitych działań i akcji, np. w ramach rozwoju żeglugi morskiej, przemysłu okrętowego oraz rybołówstwa morskiego uświadadamiano społeczeństwu rolę i znaczenie żeglugi morskiej w rozwoju kraju, wspierano budowę stoczni w Gdyni, organizowano staże dla studentów w zakresie budownictwa okrętowego w stoczniach angielskich, wspierano utworzenie stacji morskiej na Helu, budowę portów rybackich, kutrów, organizację kursów dla szyprów i motorzystów statków rybackich, udzielano kredytów na rozwój przetwórstwa rybnego, podejmowano działania na rzecz powstania Państwowej Szkoły Morskiej w Tczewie. W ramach propagowania rozwoju żeglugi śródlądowej m.in. wspierano stworzenie sieci krajowych dróg wodnych – regulację Wisły, budowę kanałów, utworzenie tranzystu wodnego między Morzem Bałtyckim i Czarnym; powołano szkołę żeglugi rzecznej, organizowano kursy żeglugi rzecznej. W ramach wychowania morskiego społeczeństwa m.in. organizowano obchody Dnia Morza, współpracowano z Polskim Radiem, sfinansowano powstanie 29 filmów dokumentalnych i instruktażowych o tematyce morskiej, wydawano 4 periodyki – „Sprawy Morskie i Kolonialne”, „Morze”, „Szkwał”, „Polska na Morze”; za: (Białas, 1983).

morskiej – snu na jawie o potędze morskiej Polski, o wspaniałych portach, o flotach handlowych, które pod polską banderą docierałyby do najdalszych zakątków globu, bez skrępowania handluając, gdzie i z kim chcą.

**Przemówienie prezesa ZG LMK, gen. S. Kwaśniewskiego,
związane z obchodami Dnia Morza, 29 czerwca 1937 r.**

Kto włada morzem? Posiadający silną flotę, flotę wojenną dla ubezpieczenia, handlową dla wykorzystania. Te tylko narody cieszące się morzem, które umieją swój dostęp do morza ubezpieczyć i wykorzystać cieszą się też rozwitem, są silne – gospodarczo i politycznie. Dalekie i szerokie drogi morskie oraz posiadane zamorskie ośrodkie wymiany pozwalają im na łatwe wyrzucanie poza własne granice nadmiaru czy ludności czy towaru – z jednej strony, zaś z drugiej na czerpanie z innych ziem potrzebnych im bogactw naturalnych – bez pośrednika. (...) Ostatnie lata, niewątpliwie także dzięki naszym apelom, dały nam w dziedzinie morskiej i kolonialnej pewien postęp. Na konto ubezpieczenia dały nam łódź podwodną imienia Marszałka Piłsudskiego, na konto wykorzystania tymczasem oficjalne ujawnienie naszego zainteresowania w sprawiedliwym podziale zamorskich bogactw naturalnych (część zagadnienia kolonialnego) i w znalezieniu terenów zamorskich dla osiedlenia tam naszego nadmiaru i ciężaru ludności (zagadnienie kolonizacyjne). (...) Półmilionowa organizacja woła wielkim głosem o program rozbudowy floty wojennej, o skuteczną obronę dostępu do morza, o rozbudowę na wielką skalę floty handlowej i portów, o kolonie dla Polski, gdy na każdym rogu ulicznym w Polsce czytamy „Handel towarów kolonialnych”, o kolonie, do których mamy słusze prawo, jako że pod zaborem pruskim płaciłyśmy ten sam co Niemcy podatek pieniężny i krwawy, o możliwość wymiany towarów za morzem bez pośrednika i o tereny kolonizacyjne za morzem, wreszcie o rozbudowę względnie regulację dróg wodnych śródlądowych.

„Gazeta Polska”, 29.06.1937.

DNI KOLONIALNE W WARSZAWIE

Od 7 do 13 kwietnia 1938 r. w największych miastach Polski uroczyście obchodzono Dni Kolonialne organizowane przez Ligę Morską i Kolonialną. W Warszawie, 10 kwietnia, w gmachu cyrku przy ul. Ordynackiej odbyło się uroczyste „zebranie obywatelskie”. Udekorowaną flagami narodowymi i hasłami z żądaniem przyznania Polsce kolonii salę cyrkową wypełnił parotyścienny tłum. W przemówieniu programowym gen. Stanisław Kwaśniewski

wskazywał na konieczność uzyskania przez Polskę kolonii, jako źródła surowców dla przemysłu oraz terenów osadniczych dla polskiego wychodźstwa. Zgromadzenie uchwaliło rezolucję, która wzywała władze państowe, samorząd gospodarczy oraz kupców i przemysłowców do działań w kierunku urzeczywistniania idei bezpośredniego dostępu do surowców i towarów kolonialnych.

**Odezwa Stołecznego Komitetu Obywatelskiego „Dni Kolonialnych”
LMK wzywająca do udziału w zebraniu zaplanowanym na 10 kwietnia
w Warszawie**

Żądamy kolonii dla Polski! Żądamy wolnego dostępu do surowców! Polacy! Polsce brak surowców, niezbędnych dla gospodarczego rozwoju kraju. Płacimy corocznie ogromne sumy obcym, którzy panują nad źródłami surowców kolonialnych i ich handlem. Dziś Polska walczy na terenie międzynarodowym o wolny dostęp do kolonii zamorskich i bezpośredni udział w produkcji i eksploatacji surowców. Żądania swe dokumentuje olbrzymim przyrostem ludności i powstającą stąd koniecznością rozbudowy przemysłu krajowego. (...) Dążenia te winny poprzeć wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, dając temu wyraz poprzez swój masowy udział w „DNIACH KOLONIALNYCH”. W manifestacjach tych – w imię najżywotniejszych interesów gospodarstwa narodowego Polski – niechaj nikogo nie zabraknie!!! Obywatele stolicy! Stawcie się wszyscy na ZEBRANIE OBYWAТЕLSKIE w dniu 10 kwietnia (niedziela) o godz. 12 w południe w gmachu Cyrku ul. Ordynacka 1.

Dni Kolonialne,
odezwa Stołecznego Komitetu Obywatelskiego LMK,
LMK, Warszawa, 1938(?)

**Rezolucja przyjęta podczas „zebrania obywatelskiego”
10 kwietnia 1938 r. w sali Cyrku na Okólniku w Warszawie**

Przedstawiciele wszystkich warstw społeczeństwa Warszawy zgromadzeni na zebraniu odbytym dn. 10 kwietnia 1938 r. w Sali Cyrku w Warszawie w liczbie 5000 osób z okazji „Dni kolonialnych” – po wysłuchaniu przemówień na temat polskich zagadnień surowcowych i kolonialnych, z których wynika, że Polska:
a) połowę całego swojego corocznego przywozu z zagranicy – sprowadza w surowcach i towarach kolonialnych, co w r. 1937 stanowiło olbrzymią sumę



Eksponaty z Afryki Zachodniej
© NAC

przeszło 600 milionów zł, b) że surowce te niezbędne dla istnienia i rozwoju swego gospodarstwa narodowego, dla rozbudowy w kraju warsztatów pracy rąk – zmuszona jest nabywać z obcych źródeł produkcji i w przeważającej mierze przez pośrednictwo obcego kupca i na obcych statkach, tracąc przez to przeszło 200 milionów zł. rocznie na rzecz obcych gospodarstw narodowych, apelują do władz Rzeczypospolitej, do samorządu gospodarczego Polski i do polskich sfer przemysłowych i handlowych: 1. aby polityka gospodarcza Polski została nastawiona na bezpośredni dostęp do źródeł niezbędnych dla kraju surowców i towarów kolonialnych, 2. aby kupiectwo polskie, które zdoła nawiązać bezpośrednią łączność ze źródłami zakupów i rynkami zbytu – korzystało w miarę możliwości z ułatwień i opieki władz, 3. aby przemysł polski dla swoich potrzeb surowcowych zakładał w krajach zamorskich i kolonialnych własne bazy surowcowe (własne plantacje: bawełny, kauczuku, kakao, kawy, nasion oleistycznych, własne kopalnie rud, etc.), 4. aby powołane do tego czynniki przemysłowe i kupieckie łożyły niezbędne środki na szkolenie przyszłych kupców i przedsiębiorców kolonialnych.

„Gazeta Polska” 1938, nr 100 z 11.04.

Tego samego dnia członkowie LMK i innych organizacji społecznych wzięli udział w nabożeństwie w kościele Wizytek. W kinie „Colosseum” odbyła się „akademia kolonialna” dla młodzieży, podczas której m.in. wyemitowano film z życia polskich pionierów kolonizacyjnych w Liberii. Natomiast w kinie „Praga” w „akademii kolonialnej” uczestniczyli mieszkańcy dzielnicy praskiej. Z Placu Politechniki wyruszył korowód samochodów z hasłami żądającymi kolonii dla Polski. Przez cały dzień jeździł po Warszawie „udekorowany artystycznie wóz tramwajowy, symbolizujący nasze dążenia do uzyskania dostępu do surowców”. Nad miastem zaś krążył samolot rozrzucający ulotki propagandowe informujące o sprawach kolonialnych; nad Ogrodem Saskim zawisł balon z odpowiednim transparentem.

Był to moment, gdy idea kolonialna osiągnęła swoje apogeum. W końcu lat 30. w jej urzeczywistnienie byli już zaangażowani nie tylko działacze Ligi Morskiej i Kolonialnej, ale i przedstawiciele najwyższych władz państwowych oraz MSZ. Masowe imprezy poparcia dla żądań kolonialnych odbywały się w wielu miastach Polski. W zakładach pracy i szkołach organizowano liczne „apele kolonialne”, odczyty i pogadanki. Głównym przesłaniem obchodów Dni Kolonialnych było skłonienie instytucji państwowych do podjęcia działań na rzecz uzyskania przez Polskę terytoriów zamorskich, szczególnie w Afryce oraz propagowanie tej idei wśród społeczeństwa, szczególnie kupców i przedsiębiorców. Liczbę uczestników wszystkich manifestacji

podczas Dni Kolonialnych w 1938 r. szacowano na kilka milionów⁸. Pierwsze tego typu imprezy, które odbyły się w listopadzie 1936 r., choć organizowane w wielu miastach i miasteczkach, nie miały tak wielkiego rozmachu. Zupełnie inaczej było na przełomie czerwca i lipca 1939 r., gdy organizatorzy zdecydowali się połączyć obchody Dni Morza i Dni Kolonialnych. Wydaje się jednak, że idea kolonialna „ucierpiała” w tej formule, ponieważ główny nacisk propagandowy położono wówczas na sprawy obronneści i utrzymywania polskiego *status quo* na Pomorzu. Uroczystości stały się masową manifestacją społeczeństwa polskiego, wyrażającego gotowość obrony morskich granic Rzeczypospolitej.

W Warszawie hasło utworzenia polskich kolonii pojawiało się także przy okazji innych imprez organizowanych przez LMK. Po raz pierwszy idea oddania Polsce części kolonii poniemieckich pojawiła się podczas wieców propagandowych, zorganizowanych w pierwszej połowie 1929 r. w różnych miastach Polski⁹. W 1931 r. warszawski okręg Ligi w ogrodach i salach Warszawskiego Towarzystwa Łyżwiarskiego przygotował wystawę, na której prezentowano polski dorobek morski, ale także zbiory egzotyczne dr. A. Freyda i M. Lepeckiego oraz liczne plansze, obrazujące kolonizację polską oraz handel zamorski¹⁰. W grudniu 1932 r. LMK zorganizowała uroczyście obchody 50. rocznicy „polskiej” wyprawy do Kamerunu¹¹. Impreza odbyła się w sali Rady Miejskiej w warszawskim Ratuszu, wzięło w niej udział wiele prominentnych osób¹². Uroczystości miały zaakcentować polskie zainteresowanie Kamerunem, dawną kolonią niemiecką. Zdaniem Ligi, Polska miała szczególne prawa do tej kolonii, ponieważ pierwszym eksploratorem tych terenów był Stefan Szolc-Rogoziński.

Kwestia kolonialna pojawiała się również, choć trochę na marginesie, podczas niezwykle popularnych i organizowanych z dużym rozmachem obchodów Dni Morza, odbywających się w okresie przesilenia wiosenne-let-

8 Białas, op. cit., s. 256.

9 Ibidem, s. 254.

10 Ibidem, s. 245.

11 Chodziło o wyprawę Stefana Szolc-Rogozińskiego, który 13 grudnia 1882 r. wypłynął z Francji statkiem „Łucja Małgorzata” (pod francuską, ale także pod polską banderą) na wyprawę, której skutkiem było zbadanie wybrzeża Kamerunu i dorzecza rzeki Mungo, a jej plonem – wiele nowych informacji z zakresu etnografii, botaniki i zoologii.

12 Byli to m.in. ówczesny prezes ZG LMK, gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, prezydent Warszawy Zygmunt Ślomiński, dyrektor Muzeum Przemysłu i Rolnictwa Leopold Janikowski, minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Janusz Jędrzejewicz, dyrektor Departamentu Konsularnego MSZ Wacław Jędrzejewicz.

niego¹³. Program uroczystości ulegał co roku niewielkim zmianom, a na transparentach i w przemówieniach pojawiały się różne, aktualnie najważniejsze, części programu LMK (np. w 1937 r. hasło przewodnie brzmiało „Chcemy silnej floty wojennej i kolonii”). Obok uroczystości o charakterze religijnym i państwowym w miejskich parkach odbywały się zabawy, a ulice Warszawy przemierzały wielotysięczne parady, w których brali udział przedstawiciele organizacji wojskowych, strzeleckich, społecznych, sportowych i zawodowych oraz mieszkańcy stolicy. Jechały również korowody aut i woziów udekorowanych hasłami propagandowymi, a nad Wybrzeżem Kościuszkońskiego można było śledzić defiladę statków („wianków”) przygotowanych przez poszczególne kluby wodniackie. LMK do swoich wizji umiała przekonać uczącą się młodzież. Na przykład 13 marca 1939 r. prasa donosiła o blisko dwutysięcznym pochodzie młodzieży akademickiej, który przeszedł ulicami miasta dzień wcześniej. Studenci, po rannym nabożeństwie w kościele Wizytek, przeszli na plac Józefa Piłsudskiego, niosąc hasła „morskie” i „kolonialne”. W sali Teatru Narodowego odbyła się „akademia morska”, z udziałem przedstawicieli władz wojskowych i akademickich (m.in. rektorów wszystkich wyższych uczelni warszawskich) oraz samej LMK (m.in. prezesa ZG LMK gen. S. Kwaśniewskiego).¹⁴

Dlaczego musimy uzyskać kolonie zamorskie?

Gdybyśmy natomiast posiadaли niczym nie skrępowany dostęp do terenów kolonialnych, gdzie bez żadnych ograniczeń moglibyśmy zakładać własne przedsiębiorstwa któreby zajmowały się plantowaniem (uprawą) i wydobywaniem (rudy) potrzebnych naszemu krajowi surowców i towarów kolonialnych, a kupiec polski na polskim okręcie docierał do zamorskich i kolonialnych rynków zbytu i zakupu – to moglibyśmy rok rocznie oszczędzać dla gospodarstwa narodowego setki milionów złotych i zużytkować te pieniądze na rozbudowę przemysłu krajowego, a tym samym tworzyć warsztaty pracy i rozszerzać już istniejące. Dałoby to milion gotowych do pracy rąk roboczych zajęcie i dobrabyt.

Wzór odczytu dla robotników, LMK, Warszawa, 1938, s. 1–2 (fragment)

13 Pierwsze Święto Morza odbyło się w Gdyni, 31 lipca 1932 r., w roku następnym stało się świętem ogólnopolskim, jego nazwa uległa potem zamianie na Tydzień Morza (1937), a następnie Dni Morza (1938), Dni Morza i Kolonii (1939).

14 „Gazeta Polska”, 13.03.1939

BIBLIOGRAFIA:

Pisma LMK:

- LMK, 1938, *Dlaczego musimy uzyskać kolonie zamorskie? Wzór odczytu dla robotników*, Warszawa.
- LMK, 1938, *Dlaczego Polska musi mieć kolonie? Wzór odczytu dla młodzieży szkół średnich*, LMK, Warszawa.
- LMK, 1938, *Dlaczego Polska musi mieć kolonie zamorskie? Wzór odczytu dla ludności wiejskiej*, LMK, Warszawa.
- LMK, 1938, *Polski problem kolonialny. Wzór odczytu dla inteligencji*, Warszawa.
- LMK, 1929, *Program Kolonjalny Ligi Morskiej i Rzeczynej*, Warszawa.
- LMK, 1938, *Dni Kolonialne (odezwa Stołecznego Komitetu Obywatelskiego LMK)*, Warszawa.
- LMK, 1938, *20 lat działalności L. M. K.*, Warszawa.

Książki i opracowania:

- Biały T., 1983, *Liga Morska i Kolonialna 1930–1939*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk.
- Duda D., Szubrycht T., 2008, *Działania Ligii Morskiej i Kolonialnej na rzecz Marynarki Wojennej w okresie międzywojennym*, Gdynia.
- Tarasiewicz K., 2005, *Ciąły wiek w Warszawie*, Warszawa.

Czasopisma:

„Gazeta Polska”: 29.06.1937, 11.04.1938

Inne:

Liga Morska i Kolonialna (afisze), zbiory Biblioteki Narodowej.

Zbigniew Osiński

Powstaniec z Nigerii

W Polsce na długo przed wielkimi odkryciami geograficznymi wiedziano o istnieniu „czarnych ludzi”. Głównie dzięki Biblii i Kościołowi. Polacy najczęściej spotykali Afrykanów podczas pielgrzymek do Ziemi Świętej, Egiptu czy Turcji. Widywano ich na polskich dworach, ponieważ w wiekach XVI i XVII w Polsce – choć w znacznie mniejszym zakresie niż w innych krajach – była moda na służbę z Czarnej Afryki. W następnych stuleciach do Warszawy przybywali kolejni przybysze pochodzenia afrykańskiego. W dwudziestoleciu międzywojennym znalazł się wśród nich nigeryjski warszawiak znany jako August Agbala (Agboola?) O Browne, urodzony w 22.07.1895 r. w Nigerii z rodziców Wallace'a i Józefiny.

Do Polski trafił w 1922 r., wcześniej przebywał w Wielkiej Brytanii i w Wolnym Mieście Gdańsku. Zamieszkał w Warszawie przy ul. Złotej, tu ożenił się i przez wiele lat był jedynym mieszkającym w stolicy Murzynem, całkowicie zasymilowanym. Z zawodu był muzykiem jazzowym – perkusistą, pracował w najlepszych warszawskich lokalach rozrywkowych. Andrzej Zborski w wywiadzie zamieszczonym w „Jazz Magazine” tak wspomina naszego bohatera „Opowiadał wszystkim, że jest poliglotą i że zna pięć języków. Przed samą wojną spotykałem go dosyć często, ot tak na ulicy, gdzieś na Marszałkowskiej, bliżej Ogrodu Saskiego. Zapamiętałem go jako faceta dość przystojnego, postawnego i niezwykle eleganckiego. Chodził w jasnych garniturach i kolorowym krawacie..., no i oczywiście nosił stosowne kapelusze, jakieś borsalino. Bez wątpienia był człowiekiem inteligentnym i bystrym”. Istotnie, na zdjęciu zachowanym w Urzędzie ds. Kombatantów widać człowieka starannie ubranego, o śmiały wejrzeniu.

Agbola miał dwoje dzieci: Ryszarda urodzonego w maju 1928 r. w Warszawie i Aleksandra urodzonego 19.09.1929 r. także w Warszawie. We wrześniu 1939 r. brał czynny udział w obronie Warszawy, co pośrednio potwierdza deklaracja zgłoszenia do ZboWiD i wspomniany już wywiad z Andrzejem Zborskim.



August Agbola O'Brown,
Archiwum Urzędu ds. Kombatantów
i Osób Represjonowanych

W czasie okupacji niemieckiej był kolporterem prasy podziemnej, pomagał ukrywającym się, a utrzymywał się, handlując sprzętem elektrycznym. Zborski wspominał: „Było to w roku 1942 lub 1943, zdarzyło mi się wejść do sklepu elektrotechnicznego na rogu Marszałkowskiej i dawnej Piusa. Zacząłem wybierać z pudła jakieś potrzebne mi śrubki, kiedy wszedł do sklepu Mr Brown z gustowną walizeczką i spytał sprzedawcę, czy jest potrzebny. Oczywiście panie opalony – odparł kupiec – daj pan. Murzyn otworzył walizkę, sprzedawca w niej pogrzebał, wyciągnął co mu było potrzebne. A teraz chodź pan, panie opalony do kantorku – padła propozycja sprzedawcy. Słychać było na początku szelest liczących pieniędzy za dostarczony towar, tak zwanych młynarek, po czym czuły i romantyczny ton odbijanej butelki z wódką... Następnie usłyszałem głos chuchnięcia i mlaskanie przy zakąске. Później było coś na drugą nóżkę i dostawca zabrawszy swoją walizeczkę równym krokiem opuścił sklep”.

W relacjach dotyczących Agboli często przewija się Śródmieście i tam właśnie zastało go powstanie warszawskie – prawdopodobnie był jego jedynym czarnoskórym uczestnikiem (ps. „Ali”). Nie wiemy, czy istotnie konspirował przed 1.08.1944 r., ale zdaje się, że przy jego wyglądzie byłoby to całkowicie niemożliwe. W powstaniu warszawskim walczył w batalionie „Iwo” na terenie Śródmieścia Południowego w rejonie ulic Wspólnej, Wilczej, Marszałkowskiej, Hożej to jest tam, gdzie mieszkał jeszcze przed wojną i podczas niej. Jego bezpośrednim przełożonym był kapral Aleksander Marcińczyk, ps. „Łabędź”. Agbola powstanie przeżył, nie trafił nawet do obozu jenieckiego. Nie wiemy, co robił w czasie, gdy z Warszawy Niemcy wypędzili całkowicie ludność cywilną. Nie wiemy też, gdzie była jego rodzina i on sam w ciągu pierwszych powojennych lat. W 1949 r., jak wynika z jego ankiety, był zatrudniony w Wydziale Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego w Warszawie. Pod koniec lat 40. i w latach 50. grywał znowu w warszawskich restauracjach. W drugiej połowie lat 50. wyjechał z Polski do Wielkiej Brytanii.

Życiorys Agboli to historia człowieka, który uznawał Polskę za swoją drugą ojczyznę (nie jest to chyba zbytni patos) i czuł się jej pełnoprawnym obywatelem. Przemawia za tym jego ochotnicze zgłoszenie się do walki w czasie obrony Warszawy we wrześniu 1939 r., a nadto wszystko udział w powstaniu warszawskim. Wśród tysięcy ochotników był strzelec Agbola, ps. „Ali”, przybysz z Afryki.

Tekst na podstawie dokumentów o A. Agboli O'Brown,
które są w dyspozycji Urzędu ds. Kombatantów
w zbiorze akt b. ZboWiD sygnatura 300519

Krzysztof Wittels

Lotnicy południowo-afrykańscy na pomoc walczącej Warszawie

Musiała być to scena niemal filmowa, gdy 18 września 1944 r., a więc w 49. dniu powstania warszawskiego, około godziny 13.45 umęczeni warszawiacy na tle jasnego nieba ujrzaeli dziesiątki nadlatujących samolotów. Od strony zachodniej, w trzech grupach sunęło 107 wielkich amerykańskich bombowców Boeing B-17 eskortowanych przez 64 Mustangi P-51¹. Krążąc przez godzinę nad Warszawą, latające fortece zrzuciły ok. 1170² zasobników z bronią, amunicją, żywnością i środkami medycznymi. Niestety, tylko niektóre trafiły do Polaków (ok. 390). Amerykańska flota powietrzna poszybowała dalej i po zatankowaniu w bazach radzieckich (Połtawie i Mirgorodzie) wróciła niemal nietknięta do Anglii. Była to piękna i spektakularna, ale niestety jednorazowa operacja (o kryptonimie Frantic 7). Straty były co prawda znikome, jednak ze względów czysto politycznych (sprzeciw Stalina) została zrealizowana tylko ten jeden raz.

Najważniejszą pomoc walczącej Warszawie niosły natomiast samoloty polskich, brytyjskich i – o czym mało kto dziś wie lub pamięta – południowoafrykańskich sił powietrznych, stacjonujące wówczas we Włoszech (były to: 1586. polska Eskadra do Zadań Specjalnych PAF³ i 148. Dywizjon RAF⁴ z 334. Skrzydła do Zadań Specjalnych RAF oraz samoloty 2 Dywizjonów 31. i 34. z 2. Skrzydła SAAF⁵ i ze 178. Dywizjonu RAF, wchodzące w skład 205.

1 Z baz brytyjskich wystartowało 110 „latających fortec” z 3 Grup Bombowych: 95., 100. i 390. amerykańskiej 8. Floty Powietrznej, 1 samolot rozpoznawczy „Mosquito” i 3 grupy myśliwskie z: 4., 361. i 355. Grupy Myśliwskiej. Pierwsza grupa myśliwców poleciała na lotnisko niemieckie Jagel, druga eskortowała bombowce do Chojnic i zawróciła, dopiero trzecia „odprowadził” je nad Warszawę.

2 Dane liczbowe oraz nazwy uczestniczących w poszczególnych operacjach samolotów podaje za: Bieniecki, 1994.

3 Polish Air Force – Polskie Siły Powietrzne.

4 Royal Air Force – Królewskie Siły Powietrzne.

5 South African Air Force – Południowoafrykańskie Siły Powietrzne.

Grupy RAF). Nigdy nie przeprowadziły one zmasowanego nalotu, nigdy nie działały w świetle dnia. Operacje odbywały się nocami, w niewielkich grupach, bez osłony samolotów myśliwskich. Maszyny startowały wieczorem. Przelatływały nad Adriatykiem na chwilę przed zmierzchem, następnie leciały ponad Wagrami, wspinają się nad łańcuchem Karpat i w końcu podążały ku Warszawie. Cały lot trwał ok. 10–12 godzin, samoloty pokonywały w dwie strony ok. 2800 km, lecąc głównie nad terenami nieprzyjaciela, gdzie czekały na nie liczne niebezpieczeństwa. By dokonać precyzyjnych zrzutów nad płonącą Warszawą, piloci musieli schodzić do bardzo niskiego pułapu, lecieć z minimalną prędkością, nie zważając na pociski artylerii przeciwlotniczej i rozświetlające niebo szperacze. Wiele kłopotów nastręczała identyfikacja sygnałów świetlnych do zrzutów nadawanych przez powstańców. Miasto było przecież zasnute dymem pożarów. Do tego trzeba dodać kaprysną pogodę przesilenia letnio-jesiennego z częstymi burzami.

Niektórzy autorzy (Orpen, 2006) uważają, że była to najbardziej kosztowna operacja lotnicza wojsk alianckich podczas II wojny światowej. Od 4 sierpnia do 21 września 1944 r. wykonano łącznie 222 loty (samoloty dywizjonów południowoafrykańskich SAAF wykonały 40 lotów), 39 samolotów zostało zestrzelonych (9 z SAAF), wiele poważnie uszkodzonych. To, że przy tak dużych stratach operacja pomocy Warszawie trwała ponad miesiąc, było wynikiem usilnych zabiegów dyplomatycznych czynionych przez polskie dowództwo wojskowe, przedstawicieli władz cywilnych i osoby prywatne (przede wszystkim Naczelnego Wodza RP gen. K. Sosnkowskiego i prezydenta RP Wł. Raczkiewicza, ale również np. przez wdowę po Naczelnym Wodzu – Helenę Sikorską). Politycznie za operację odpowiadał premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill, decyzje wojskowe podejmowała natomiast marszałek lotnictwa RAF sir John Slessor (dowódca RAF w rejonie Morza Śródziemnego i na Bliskim Wschodzie).

PIERWSZA POMOC

Wprawdzie w nocy z 1 na 2 sierpnia z włoskiego lotniska w Campo Casale pod Brindisi do Polski odleciało 11 maszyn⁶, ale żadna z nich nie trafiła w rejon Warszawy. Ani członkowie załóg, ani ich dowódcy nie wiedzieli wówczas o wybuchu powstania warszawskiego, wiadomość ta dotarła do bazy włoskiej po południu 2 sierpnia. Początkowo z pomocą dla powstania (od 4 do 12 sierpnia) latały samoloty polskie, kilkakrotnie wsparte przez

⁶ Z 1586. Eskadry PAF wystartowało 6 załóg, a ze 148. Dywizjonu RAF – 5; za: (Bieniecki, 1994).

siły brytyjskie, ale bez udziału załóg południowoafrykańskich. Pierwsze zrzuty z pomocą dla powstańców i ludności Warszawy zostały dokonane w nocy z 4 na 5 sierpnia przez 3 polskie samoloty, które zignorowały zakaz brytyjskiego dowództwa. Zrzuty trafiły w rejon cmentarzy na Woli⁷. Paradoksalnie noc ta okazała się fatalna w skutkach dla załóg brytyjskich, które dokonywały zrzutów w innych miejscowościach nad Polską – 5 maszyn ze 148. Dywizjonu RAF zestrzelono. Pozostałe 9 samolotów (w tym również polskie z 1586. polskiej Eskadry do Zadań Specjalnych PAF) zostało postrzelonych. Na skutek strat loty czasowo wstrzymano. Po interwencjach polskich władz i dowództwa, operację wznowiono 8 sierpnia, lecz brali w niej udział jedynie Polacy. W nocy z 8 na 9 sierpnia nad Warszawę przyleciały zaledwie 3 maszyny⁸, dokonując zrzutów w różnych miejscowościach miasta, w nocy z 9 na 10 sierpnia – 4 samoloty⁹, które zrzuciły zasobniki z pomocą na obszarze Puszczy Kampinoskiej. Loty zakończyły się pomyślnie, w związku z tym zdecydowano się je kontynuować. W operacji z 12 na 13 sierpnia wzięło udział 11 samolotów – 5 z 1586. Eskadry PAF i 6 ze 148. Dywizjonu RAF¹⁰. Wszystkie maszyny powróciły do bazy, 7 dokonało zrzutów nad Warszawą.

POŁUDNIOWOAFRYKAŃCZYCY NA POMOC WARSZAWIE

Po udanej operacji z 12 na 13 sierpnia dowództwo alianckie zdecydowało się włączyć do działań zrzutowych dla Warszawy również wielonarodowe załogi z 205. Grupy Bombowej RAF. Lot z 13 na 14 sierpnia zarządzono po osobistej interwencji Churchilla. Na lotnisku w Campo Casale spotkały się załogi stacjonujących tu samolotów 334. Skrzydła do Zadań Specjalnych i przylatujące z lotnisk w Celone i Amendoli samoloty 205. Grupy Bombowej – 31. Dywizjonu SAAF i 178. Dywizjonu RAF. Na odprawie wskazano 2 cele

7 Z 1586. Eskadry PAF: Liberator KG-890 „S” F/L Szostaka, Halifax JP-251 „P” W/O Jastrzębskiego, Liberator EV-978 „R” F/L Pluty; za: (Bieniecki, 1994).

8 Z 1586. Eskadry PAF: Liberator KG-890 „S” F/L Szostaka, Halifax JP-251 „P” W/O Jastrzębskiego, Halifax JP-252 „L” W/O Owsianego; za: (Bieniecki, 1994).

9 Z 1586. Eskadry PAF: Halifax JP-251 „P” W/O Jastrzębskiego, Halifax JP-252 „L” W/O Owsianego, Halifax JP-230 „N” F/L Ladry, Liberator KG-890 „S” F/L Szostaka; za: (Bieniecki, 1994).

10 Z 1586. Eskadry PAF: Halifax JP-252 „L” W/O Owsianego, Halifax JP-180 „A” W/O Jastrzębskiego, Halifax JP-230 „N” F/L Ladry, Liberator KG-890 „S” F/L Szostaka, Liberator EW – 275 „R” F/L Pluty; ze 148. Dywizjonu RAF Halifaxy: JN-897 „T” P/O Johnstona, EB-196 „E” W/O Halla, JN-958 „A” F/S Bence'a, JP-254 „D” W/O Bowsera, BB-429 „V” P/O Caseya i JP-223 „W” F/S Moulder; za: (Bieniecki, 1994).

zrzutów – plac Krasińskich i plac Napoleona. Do każdej maszyny obsługa naziemna załadowała 12 wodoodpornych metalowych zasobników o długości 2,5 m, które ważyły ponad 160 kg. Na pokładzie każdego bombowca znajdowało się więc ok. 2 ton ładunku: stenów, karabinów maszynowych, broni przeciwpancernej, amunicji. Aby nie zniszczyć załadunku, piloci musieli obniżyć pułap do ok. 150 m. i lecieć z prędkością nie przekraczającą 230 km na godzinę, wszystko to w warunkach ostrzału artyleryjskiego.

Dowództwo SAAF (*South African Air Force*, Południowoafrykańskie Siły Powietrzne) organizacyjnie podlegało dowództwu RAF. Dowódcą 205. Grupy Bombowej RAF stacjonującej pod Foggią, w skład której wchodziły 4 skrzydła (w tym Skrzydło SAAF z trzema dywizjonami 24., 31. i 34.) był Południowoafrykańczyk – brigadier¹¹ J. T. Durrant. W lotach nad Warszawę wzięły udział samoloty dwóch południowoafrykańskich Dywizjonów – 31. i 34. (dowodzone przez: podpułkownika Dirka Nela i majora Chrisa Smutsa). Trzeba tu jednak zaznaczyć, że bandera nie oznaczała w pełni składu narodowego załóg. Załogi południowoafrykańskich sił powietrznych stanowili również Brytyjczycy, Australijczycy i inni (np. Kanadyjczycy, a nawet Belgowie z Konga Belgijskiego), a w każdej maszynie pełnił służbę przynajmniej jeden sierżant z RAF. Podobnie wielu oficerów południowoafrykańskich otrzymywało przydział do samolotów RAF. Trzeba wspomnieć, że z roku na rok rosła siła SAAF – gdy w 1939 liczły 100 samolotów i ok. 1500 żołnierzy, to w 1941 r. – 1700 samolotów i ponad 31 tys. żołnierzy. Piloci SAAF brali czynny udział w kampaniach we wschodniej i północnej Afryce, w rejonie Morza Śródziemnego i w Europie.

W pierwszej wspólnej akcji wzięło udział w sumie 28 maszyn¹², w tym po raz pierwszy – Liberatory południowoafrykańskiego 31. Dywizjonu

11 Brigadier – najwyższy stopień niegeneralski w SAAF, brak polskiego odpowiednika.

12 26 odleciało z Campo Casale, 2 – z Grottaglie. Samoloty, które dokonały wówczas zrzutów nad Warszawą: z 1586. Eskadry PAF: Liberator KG-890 „S” F/L Szostaka, Halifax JD-362 „E” W/O Jastrzębskiego, Halifax JP-230 „N” F/S Zygierskiego; ze 148. Dywizjonu RAF Halifaksy: JP-295 „P” F/L Pryora i JN-926 „O” P/O Tabora; z 31. Dywizjonu SAAF Liberatory: KG-836 „C” kpt. Van Rensburga, EW-166 „Z” kpt. Lawrie'go, EW-248 „P” kpt. Haywarda, KG-871 „F” kpt. Griendla; ze 178. Dywizjonu RAF Liberatory: KG-938 „A” P/O Morrisona, EW-160 „B” Lt. Rosenthala, KG-873 „Q” sierż. Wilsona, KG-933 „P” F/L Wrighta, KG-838 „Y” sierż. Rusha. Ponadto w operacji wzięły udział samoloty: EW-275 „R” F/L Pluty (z 1586. Eskadry PAF), EV-961 „C” F/O MacRae'a, EW-264 „X” sierż. Cornocka, KG-942 „N” F/S Baxtera,

SAAF. Trzy z nich, KG-836 „C” kpt. Van Rensburga, EW-166 „Z” kpt. Lawrie-go i EW-248 „P” kpt. Haywarda, dokonały zrzutów na plac Krasińskich, a następnie bezpiecznie lądowały o świcie na lotnisku w Celone. Czwarty samolot – KG-871 „F” kpt. Griendl¹³ – zrzucił ładunek w bliżej nieokreślonym miejscu nad Warszawą, a następnie lądował bezpiecznie we włoskiej bazie. Płonący Liberator EW-105 „G” ppor. Klette'a, już po dokonaniu zrzutu w rejonie Starego Miasta, wylądował na polu na Służewcu. Niedoczenna „przygoda” stała się udziałem załogi samolotu EW-138 „K” ppor. Norvala. Po zrzuceniu zasobników kilometr przed placem Krasińskich, samolot do-stał się w światła reflektorów, został ostrzelany i trafiony. Pierwszy pilot, nie wytrzymawszy napięcia, wyskoczył ze spadochronem. Zaskoczony reakcją kolegi drugi pilot – ppor. Burgess – chwycił stery maszyny, wyprowadził pikującą Liberator do poziomu, a potem – mimo poważnej awarii – lądował o świcie na opuszczonym lotnisku koło Kijowa. Pozostałe 4 południowo-afrykańskie Liberatory: EV-838 „H” mjr. Urry'ego, KG-939 „A” kpt. Odenda-alala, EV-941 „Q” kpt. Serfonteina i KG-872 „V” ppor. Franklina dokonały tzw. „dzikich zrzutów”. Przywołajmy tu fragment opisu lotu samolotu KG-836, aby wyobrazić sobie, jak ogromnym wyzwaniem było zrzucenie ładunku z niskiego pułapu, przy niewielkiej prędkości i pod ostrzałem artyleryjskim (głównie niemieckim, ale nierazko także radzieckim).

Wskazówka wysokościomierza zaczęła opadać. 250... 225... 200 metrów – meldował nawigator pilotowi przez interkom. Schodzili coraz niżej, aż w końcu mieli wrażenie, jakby zawiśli w powietrzu. Piloci pozostałych maszyn odrywali na kilka sekund wzrok od wysokościomierzy, sztucznych horyzontów i kompasów, by wypatrzeć w dole strefy zrzutu. Pochyleni bombardierzy w napięciu patrzyli przez celowniki, czekając na stosowny moment, by wcisnąć przycisk zwalniający ładunek. Wszyscy słyszeli, jak powtarzali do interkomu: »Gotowi, gotowi...«.

Sprawdżając maszynę w dół, Capt. van Rensburg dostrzegł wieżę kościoła na placu Krasińskich, wyraźnie widoczną na tle płomieni. Musiał ponownie przelecieć nad placem, by mieć pewność, że rozpozna je utworzony z lamp romb i literę »T« wyznaczające strefę zrzutu. Z okolicznych ulic i budynków polecały w góre

EW-233 „H” ppor. Potgietera, KG-828 „F” F/O Boothmana (ze 178. Dywizjonu RAF), EW-105 „G” ppor. Klette'a, EW-138 „K” ppor. Norvala, EV-838 „H” mjr. Urry, KG-939 „A” kpt. Odendaala, EV-941 „Q” kpt. Serfonteina i KG-872 „V” ppor. Franklina (z 31. Dywizjonu SAAF), EB-197 „F” P/O Jonesa, JP-254 „D” P/O McLeana (ze 148. Dywizjonu RAF); za: (Bieniecki, 1994).

¹³ Kpt. Griendl był Belgiem i należał do Belgian Congo Air Force, jednak służył w jednostce SAAF.

serie z karabinów maszynowych i lekkich działał przeciwlotniczych, a pociski smugowe utworzyły na niebie kolorowy wzór, gdy pilot ustabilizował maszynę na pułapie 150 metrów.

- Stopień w lewo, szefie – rzucił bombardier. Później padły słowa komendy:
- Gotowy... Teraz!... Ładunek poszedł!

Z komór bombowych trzech samolotów wyleciało trzydzieści sześć zasobników, nad którymi zaczęły otwierać się spadochrony. Klapy komór zamknęły się nad ziejącą czeluścią w brzuchach maszyn. Gdy lżejszy o zrzucony ładunek Liberator Van Rensburga poderwał się do góry, w jego kierunku poleciły pociski wystrzelone z prawobrzeżnej Warszawy." (Orpen, 2006).

Mimo strat i zniszczeń operacja była kontynuowana i w nocy z 14 na 15 sierpnia odbył się kolejny lot. Tym razem piloci startowali ze swoich macyrzystych lotnisk. Na pomoc Warszawie poleciło 26 maszyn – 5 samolotów 1586. Eskadry PAF, 6 ze 148. Dywizjonu RAF, 7 z 31. Dywizjonu SAAF i 8 ze 178. Dywizjonu RAF¹⁴. Spośród południowoafrykańskich Liberatorów 4 dokonały zrzutów na plac Krasińskich, plac Napoleona i zachodni brzeg Wisły za mostem Kierbedzia: EV-941 „Q” kpt. Allena, EV-838 „H” mjr. Urry’ego, KG-875 „D” kpt. Serfonteina, KG-872 „V” kpt. Senna. Samolot Allena, zaatakowany przez artylerię, z przebitym skrzydłem zdołał powrócić do bazy. Samolot mjr. Urry’ego, po zrzuceniu zaopatrzenia nad placem Napoleona, został poważnie trafiony przez pocisk artyleryjski, mimo to również powrócił do Celone. Bez większych problemów odbył lot i zrzut samolot kpt. Serfonteina. Natomiast kpt. Senn dostał się pod silny ostrzał artyleryjski za mostem Kierbedzia. On i jego dwóch kolegów zostało rannych, a w gondoli wybuchł pożar, przestały działać przyrządy nawigacyjne.

14 Samoloty, które dokonały zrzutów nad Warszawą oraz nad Puszczą Kampinoską: z 1586. Eskadry PAF – Liberator EW-278 „U” F/L Radeckiego, Halifax JD-171 „B” F/S Jankowskiego, Liberator KG-890 „S” F/L Szostaka; ze 148. Dywizjonu RAF Halifaxy: JN-897 „T” P/O Johnstona, JP-254 „D” P/O Jonesa, JD-319 „G” F/S Tofta; z 31. Dywizjonu SAAF Liberatory – EV-941 „Q” kpt. Allena, EV-838 „H” mjr. Urry’ego, KG-875 „D” kpt. Serfonteina, KG-872 „V” kpt. Senna; ze 178. Dywizjonu RAF Liberatory: EW-231 „N” F/O Fletchera, KG-933 „P” F/S Ansella, KG-938 „A” P/O MacDonalda, EV-839 „J” F/S Jenkinsona. Ponadto w operacji wzięły udział: z 1586. Eskadry PAF – JD-362 „E” W/O Owsianego, JP-220 „C” F/S Zygnera; ze 148. Dywizjonu RAF: JN-895 „B” P/O O’Brien, EB-179 „Q” W/O Halla, JN-926 „O” P/O Casey’; z 31. Dywizjonu SAAF: KG-939 „A” kpt. Van Eyssena, KG-871 „F” kpt. Van Rensburga, KG-836 „C” ppor. Hooeya; ze 178. Dywizjonu: EW-233 „H” F/O Rawa, EW-264 „X” F/S Baxtera, KG-828 „F” ppor. Lawsona, KG-873 „Q” F/L Thyera; za: (Bieniecki, 1994).



Południowoafrykańscy lotnicy
w Warszawie w 2006 r.
© R. Malinowski i J. Sielicka

Jednak i tej załodze udało się powrócić i wyładować cało we włoskiej bazie. Z operacji nie wróciły natomiast pozostałe 3 południowoafrykańskie maszyny. Samolot KG-939 „A” kpt. van Eyssena, oświetlony nad Warszawą przez reflektor, dostał się pod celny ogień 6 dział przeciwlotniczych. Zabici zostali 2 strzelcy, kolejny zdołał zniszczyć reflektor. Samolot stanął w płomieniach, a załoga ratowała się skokiem na spadochronach. Liberator spadł koło Michalina (dziś znajduje się w tym miejscu pomnik)¹⁵, 5 lotników przeżyło¹⁶. Zanim jednak załoga się ewakuowała, pierwszy pilot zdołał dokonać zrzutu przy 3 wyłączonych silnikach. Z pechowej operacji nie wróciły również samoloty KG-871 „F” kpt. van Rosenburga (rozbił się w Golędzinowie) i KG-836 „C” ppor. Hooeya (zestrzelony nad Warszawą). Członkowie obu załóg spoczywają na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Podczas tej operacji zestrzelono w sumie 8 z 26 maszyn (3 z SAAF – u, 4 z RAF – u i 1 z PAF – u), wiele zostało poważnie uszkodzonych. Dokonano jedynie 12 zrzutów, 6 maszyn zawróciło.

Wobec negatywnego bilansu dwóch poprzednich nocy dowództwo brytyjskie zakazało lotów nad Warszawę, zezwolono natomiast na loty nad Puszczę Kampinoską. Dotkliwie straty odczuł 31. Dywizjon SAAF – z 17 samolotów użytych w 2 nocnych operacjach nie wróciło 5, a większość pozostałych była uszkodzona. Gdy 15 sierpnia dowództwo 205. Grupy zwróciło się o przygotowanie kolejnych 3 maszyn z 31. Dywizjonu, jego rozgoryczony dowódca, ppłk. Dirk Nel, miał powiedzieć, że zamierza odmówić wydania rozkazu lotów. Wówczas jeden z południowoafrykańskich pilotów, „Tjokkie” Odendaal, zaproponował: „Sir, źle by to wyglądało, gdyby Południowoafrykańczycy odmówili pomocy Polakom. Jeśli nie chce pan wydać rozkazu, to

15 Pomnik znajduje się w lesie niedaleko Michalina, w miejscu, gdzie rozbił się Liberator KG-939 „A” kpt. Van Eyssena z 31. Dywizjonu SAAF. Zginęli wówczas: drugi pilot, ppor. Robert George Hamilton (SAAF), oraz strzelcy, sierż. Leslie Mayes (RAF) i sierż. Herbert Hudson (RAF). Jeszcze w 1944 r. pamięć poległych lotników upamiętniła, stawiając kapliczkę, Bronisław Kowalski, żołnierz AK, mieszkańców Michalina. Kapliczka jednak została zniszczona. W 1977 r., również z inicjatywy Kowalskiego, został wzniesiony pomnik, który istnieje do dziś. Stoi u podnóża wzniesienia zwanego Górą Lotników. Co roku, w rocznicę tragicznego lotu, odbywają się tu uroczystości, w których udział biorą m.in. przedstawiciele ambasady Wielkiej Brytanii i RPA. Szczególną opieką miejsce to otaczają harcerze ZHP Szczepu Józefów, który w 1993 r. przyjął imię ppor. Roberta G. Hamiltona. [Za:] www.sanko.wroclaw.pl/galeria/zestaw05/galeria17/jozefow/pomnik_jozefow.html

16 Przeżył również 1 pilot, kpt. Jack van Eyssen, który odwiedził Polskę w kwietniu 1994 r., przywożąc „dar od Polonii z RPA” (kolekcję zdjęć i dokumentów związanych m.in. z pomnikiem powstania warszawskiego, który został wybudowany w Johannesburgu ze składek tamtejszej Polonii).

niech poleczę ochronicy. Ja się zgłaszam.”¹⁷ Dołączyli do niego także inni południowoafrykańscy oficerowie. Jednak tej nocy załogi południowoafrykańskie ostatecznie nie poleciły. W operacji wzięło łącznie udział 10 maszyn, 1 zwróciła, pozostałe dokonały zrzutów i wróciły do bazy nietknięte¹⁸.

Wieczorem 16 sierpnia z alianckich baz we Włoszech wystartowało 18 samolotów: 5 z 1586. Eskadry PAF, 4 ze 148. Dywizjonu RAF, 3 ze 178. Dywizjonu RAF i 6 z 31. Dywizjonu SAAF¹⁹. Zrzuty były dokonywane nad Puszczą Kampinoską. Dla Dywizjonu SAAF noc okazała się kolejną katastrofą – 3 z 6 maszyn zostały zestrzelone, zginęło 24 lotników, wśród nich również wspomniany „Tjokkie” Odendaal. Nie wróciły z operacji samoloty: EW-248 „P” mjr. Odendaala (został zestrzelony i spadł niedaleko Krakowa w drodze do Warszawy), EW-161 „M” kpt. Lawiego (zestrzelony w drodze do bazy niedaleko Tarnowa) oraz EV-941 „Q” kpt. Allena (po wykonaniu zadania spadł w okolicach Krakowa). Z wymienionych załóg uratował się tylko jeden człowiek, reszta poległa i spoczywa na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Natomiast samolot EV-958 „R” ppor. Rautenbacha dokonał zrzutów „na dziko” nad Kampinosem i bezpiecznie powrócił do bazy. Liberator KG-874 „J” kpt. Serfonteina, mimo że kilkakrotnie napotkał po drodze patrolujące myśliwce, szczerśliwie zrzucił ładunek w oznaczonym miejscu i również powrócił. Podobnie Liberator EV-838 „H” mjr. Griendla, kilkakrotnie ostrzelany, dokonał zrzutu nad Kampinosem i bezpiecznie lądował w Celone.

SŁABNĄCA POMOC

Bilans 3 wspólnych operacji był tak zły, że – mimo dramatycznych apeli dowództwa powstania – dowództwo brytyjskie zakazało lotów nad Warsza-

17 Za: (Orpen, 2006), s. 130–131.

18 Z 1586. Eskadry PAF poleciły: Halifaks JD-171 „B” F/S Jankowskiego, Halifaks JP-220 „C” W/O Jastrzębskiego, Liberator EW-275 „R” F/L Pluty; ze 148. Dywizjonu RAF Halifaksy: JP-295 „P” F/S Cravena, JP-254 „D” P/O O’Brienia, JD-319 „G” F/O Wheldona; ze 178. Dywizjonu RAF Liberator: KG-938 „A” P/O Sandersa, KG-933 „P” F/S Wilsona, EW-233 „H” Lt. Potgietera; za: (Bieniecki, 1994).

19 Zrzutów dokonały – z 1586. Eskadry PAF: Liberator EW-278 „U” F/L Mioduchowskiego, Halifaks JP-180 „A” F/L Ladry; ze 148. Dywizjonu RAF Halifaksy: JP-295 „P” P/O Johnstona, BB-429 „V” W/O Halla; ze 178. Dywizjonu RAF Liberator: EW-233 „H” F/O Rawa, KG-938 „A” P/O MacDonalda; z 31. Dywizjonu SAAF: EV-838 „H” mjr. Griendla, EW-161 „M” kpt. Lawrie’go, EV-958 „R” ppor. Rautenbacha, KG-874 „J” kpt. Serfonteina, EV-941 „Q” kpt. Allena. Ponadto w operacji udział wzięły – z 1586. Eskadry PAF: Halifaks JP-252 „L” F/S Sobola, Halifaks JP-220 „C” W/O Owsiانego, Liberator EW-275 „R” F/L Pluty; ze 148. Dywizjonu RAF Halifaks JP-254 „D” F/S Moulder; ze 178. Dywizjonu RAF Liberator KG-933 „P” F/L Wrighta; z 31. Dywizjonu SAAF: EW-248 „P” mjr. Odendaala; za: (Bieniecki, 1994).

wę. W reakcji na to gen. Sosnkowski zażądał, by operację kontynuowały polskie załogi 1586. Eskadry PAF i by dołączyły do nich maszyny 300. Polskiego Dywizjonu Bombowego RAF stacjonującego w Anglii. Jego zabiegi spowodowały jedynie tyle, że polscy ochotnicy z 1586. Eskadry PAF otrzymali zgodę na wznowienie lotów. 17 sierpnia poleciły 4 polskie samoloty, a w kolejnych dniach: 18 sierpnia – 2, 20 sierpnia – 4, 21 sierpnia – 4, 22 sierpnia – 2, 23 sierpnia – 3, 24 sierpnia – 6, 25 sierpnia – 7, 26 sierpnia – 5, 27 sierpnia – 4.

W tym miesiącu dokonano więc 3 większych operacji mających na celu pomoc walczącej Warszawie, wszystkie z udziałem samolotów południowo-afrykańskich. Odbyło się w sumie 170 lotów, z tego 83 wykonali Polacy z 1586. Eskadry PAF, 64 loty – samoloty RAF (ze 148. i 178. Dywizjonu), a 23 loty – samoloty 31. Dywizjonu SAAF. Dokonano łącznie 49 rzutów nad Warszawą, 36 – nad Puszczą Kampinoską, 1 – nad Lasem Kabackim, 26 maszyn zawróciło, 33 nie wykonały zadania. Stracono 29 samolotów, z tego 10 z PAF, 11 z RAF i 8 z SAAF.

OSTATNI AKORD

1 września wystartowała kolejna polska ekspedycja – 7 samolotów 1586. PAF. Jedynie 2 poleciły na cele nad Kampinosem, a 5 pozostałych – na placówki w okręgu Radom-Kielce. Ogromne straty tej nocy (4 z 7 samolotów) spowodowały zakaz lotów również dla polskich załóg.

Nieustanne zabiegi o pomoc dla Warszawy u najwyższych władz brytyjskich doprowadziły do ponownej wspólnej akcji lotniczej w nocy z 10 na 11 września. Tym razem samoloty zaopatrzono w sprzęt do zrzucania zasobników z dużych wysokości. Była to znaczna zmiana – dotychczas głównym powodem ogromnych strat wśród załóg i maszyn była konieczność schodzenia nad miejscem zrzutów do niskich wysokości i niewielkiej prędkości. Tak zawiadamiał o wyprawie gen. Bora ppłk Hańcza²⁰, (...) Dziś na miasto 20 samolotów z dużej wysokości i 1 z normalnej. Cele Śródmieście, Mokotów, zapas Żoliborz. W dwóch naszych Lila [Liberatorach – przyp. – K.B.] kierowanych na Śródmieście w białych zasobnikach RM z paskami fosforewymi, po dwieście pięćdziesiąt tys. RM. Jeden z niskiego drugi z wysokiego pułapu. W Lila z niskiego pułapu w białej paczce p – penicylina do natychmiastowego użycia dla ciężko rannych.²¹ Wystartowało w sumie 20 maszyn

20 Ppłk dypl. Marian Dorotycz-Malewicz, ps. „Ryszard Hańcza”, dowódca bazy „Elba” i bazy nr 11 we Włoszech.

21 Za: (Bieńcki, 1994), s. 280.

z: 1586. Eskadry PAF, 178. Dywizjonu RAF, 31. Dywizjonu SAAF i po raz pierwszy również z 34. Dywizjonu SAAF²².

Z południowoafrykańskiego 31. Dywizjonu SAAF pierwszy startował Liberator KG-996 „A” ppor. Smitha, który bez większych przeszkód dotarł nad Warszawę. Krążył blisko godzinę nad płonącym miastem w poszukiwaniu oznaczenia do zrzutu, w końcu dokonał go w miejscu, które wydawało mu się najodpowiedniesze. Samolot KG-874 „J” kpt. Haywardsa, atakowany zarówno przez niemiecką, jak i sowiecką artylerię przeciwlotniczą, dotarł nad Warszawę i – nie mogąc rozpoznać sygnału świetlnego z ziemi – również dokonał zrzutu intuicyjnie. Liberator KG-875 „D” kpt. Beukesa, zanim doleciał do Warszawy, został ostrzelany przez sowiecką artylerię przeciwlotniczą w rejonie Lublina. Ponieważ on także nie dojrzał znaków zrzutowych w Warszawie, a widząc takowe w Puszczy Kampinoskiej – zrzucił ładunek nad lasem. Samolot KH-104 „F” ppor. Le Sueura, mimo że dotarł w pobliże Warszawy, nie dokonał zrzutu z powodu zbytniego zachmurzenia. Wszystkie samoloty z 31. Dywizjonu tej nocy bezpiecznie powróciły do bazy.

Z południowoafrykańskiego 34. Dywizjonu SAAF Liberator EW-195 „A” ppor. Lithgowa, z powodu całkowitego zachmurzenia nad Warszawą, zrzucił ładunek w rejonie Piaseczna. Natomiast samolot KH-150 „R” kpt. Cartera, również na skutek złej pogody, zrezygnował ze zrzutu. Oba samoloty powróciły na lotnisko w Celone. Nie dotarła tam natomiast załoga EW-198 „C” kpt. Endlera. Samolot zbyt długo krążył nad Warszawą w poszukiwaniu miejsca zrzutowego. W drodze powrotnej, nad Górami Dynarskimi, zabrakło benzyny. Tylko 2 członków załogi zdążyło się ewakuować, reszta zginęła.

Z 20 maszyn uczestniczących tej nocy w operacji do bazy powróciło 15. Udało się dokonać zaledwie 7 celnych zrzutów nad Warszawą i Kampinosem. Z tego powodu znów na loty nad Warszawę zezwolono wyłącznie polskim załogom, dlatego w nocy z 13 na 14 września do Polski poleciły zaledwie 2 samoloty. Natomiast 18 września przeprowadzono kolejną wspólną akcję, w której wzięło udział 5 samolotów z 34. Dywizjonu SAAF, 6 ze 148.

22 Z 1586. Eskadry PAF poleciły: Liberator EW-278 „U” P/O Franczaka, Liberator KH-110 „R” F/L Ladry, Halifaks JP-288 „G” F/S Fedzińskiego, Halifaks JP-252 „L” F/S Górnego, JP-161 „N” F/S Wieczorkiewicza; ze 148. Dywizjonu RAF Halifaksy: JP-246 „B” P/O Carpentera, JD-319 „G” F/S Leckie'go, JP-245 „D” F/S Bruce'a, BB-422 „T” P/O Brydena; ze 178. Dywizjonu RAF Liberatory: KG-934 „E” ppor. Potgietera, KG-928 „M” F/O Fletchera, EW-233 „H” F/O Rawa, EW-265 „P” F/O Treveny'ego; z 31. Dywizjonu SAAF Liberatory: KG-874 „J” kpt. Haywardsa, KG-875 „D” kpt. Beukesa, KH-104 „F” ppor. Le Sueura, KG-996 „A” ppor. Smitha; z 34. Dywizjonu SAAF Liberatory: EW-198 „C” kpt. Endlera, KH-150 „R” kpt. Cartera i EW-195 „A” ppor. Lithgowa; za: (Bieniecki, 1994).

Dywizjonu RAF oraz 1 ze zdziesiątkowanej 1586. Eskadry PAF²³. Jedynie Liberatory z 34. Dywizjonu skierowano tym razem na pomoc Warszawie, natomiast pozostałe samoloty odprawiono na różne placówki do Polski. Tym razem jednostki południowoafrykańskie nie doleciały do Warszawy – zostały zawrócone z drogi z powodu informacji o wspomnianej we wstępnie wielkiej operacji jednostek amerykańskich (operacja Frantic 7).

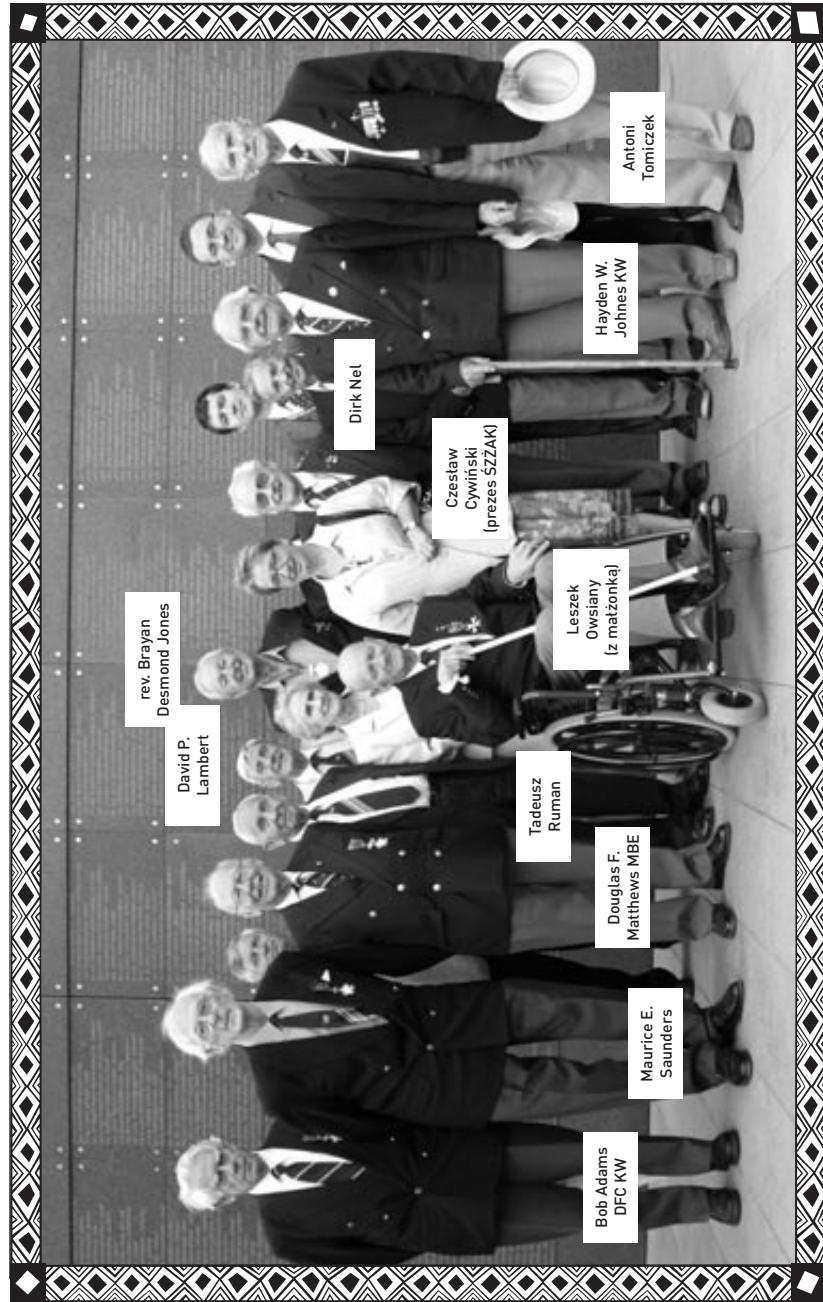
Ostatnim akordem polsko-brytyjsko-południowoafrykańskiej współpracy przy dokonywaniu zrzutów dla Warszawy była operacja w nocy z 21 na 22 września. Poleciło wówczas 12 samolotów: 2 z 1586. Eskadry PAF, 5 ze 148. Dywizjonu RAF, 2 z 31. Dywizjonu SAAF i 3 z 34. Dywizjonu SAAF²⁴.

Ostatni wspólny lot odbył się bez strat, wszystkie maszyny wróciły do bazy. Liberator KG-874 „J” ppor. Nela (31. Dywizjon SAAF) bez kłopotu zrzucił ładunek nad Kampinosem i powrócił do bazy. Podobnie bez większych przeskódek zrzutu nad lasem dokonał Liberator KG-967 „Q” F/O Badhama (również 31. Dywizjon SAAF), który – choć pod banderą SAAF – wyjątkowo nie miał ani jednego Południowego Afrykańczyka w załodze. Piloci z 34. Dywizjonu SAAF: ppor. van Zyla z Liberatora KH-156 „Q” oraz ppor. Maasa z Liberatora EW-207 „K” nie odnaleźli świetlnych znaków zrzutowych nad Kampinosem i zawrócili do bazy, nie dokonując zrzutu. Natomiast lotnicy z EW-192 „G” ppor. Smitha (34. Dywizjon SAAF) dostrzegli światła placówki i zrzucili ładunek (choć tylko częściowego, ponieważ zacięły się wyrzutniki w samolocie). Był to ostatni lot z dostawami broni i amunicji dla powstańców. Dalsze – z powodu złych warunków pogodowych – znów wstrzymano, a 2 października o 20.00 powstanie warszawskie upadło, AK podpisała akt kapitulacji.

Loty wrześniowe z baz włoskich wypadły o wiele skromniej niż loty wykonywane w sierpniu. Zorganizowano tylko jedną większą operację w nocy z 10 na 11 września. Łącznie w tym miesiącu samoloty startowały 52 razy (z tego 1586. Eskadra PAF – 17; 148. i 178. Dywizjon RAF – 18; 31. i 34.

23 Z 1586. Eskadry PAF – Halifaks JP-252 „L” F/S Beer (naw. sierż. Milewski); ze 148. Dywizjonu RAF Halifaksy: JP-277 „C” W/O Halla, EB-196 „E” F/S Bruce'a, JP-246 „B” W/O Tofta, EB-188 „R” P/O Bella, JP-245 „P” F/L Dobbina, JP-223 „W” W/O Bowsera; z 34. Dywizjonu SAAF Liberatory: KG-993 „X” ppor. Pitta, EW-207 „K” ppor. Maasa, KG-936 „B” kpt. Cromptona, KH-150 „R” ppor. Van Zyla, KH-152 „F” ppor. Goldschmidta; za: (Bieniecki, 1994).

24 Z 1586. Eskadry PAF: Liberator KG-834 „U” W/O Jastrzębskiego, Halifaks JP-22 „E” F/S Tomiczka; ze 148. Dywizjonu RAF Halifaksy: JP-277 „C” P/O Bella, JD-319 „G” F/S Banksa, JP-223 „W” F/O Johnstona, JP-245 „P” F/L Newitta, EB-188 „R” W/O Bowsera; z 31. Dywizjonu SAAF: KG-874 „J” ppor. Nela, KG-967 „Q” F/O Badhama; z 34. Dywizjonu SAAF: KH-156 „Q” ppor. Van Zyla, EW-207 „K” ppor. Maasa i EW-192 „G” ppor. Smitha; za: (Bieniecki, 1994).



Potudniowoafrykański lotnicy w Warszawie w 2006 r. © J. Sietlicka

Dywizjon SAAF – 17 razy). Dokonano 10 zrzutów nad Warszawę, 7 nad Puszczą Kampinoską, 1 samolot zawrócił, 21 nie wykonało zadania. Strącono 10 samolotów, z tego 8 z PAF, 1 z RAF, 1 z SAAF.

EPILOG

Od wybuchu powstania warszawskiego aż do jego zakończenia, wśród dowództwa lotniczego sił alianckich toczył się spór o loty nad Warszawę. Były one postrzegane jako nieuzasadnione z wojskowego punktu widzenia, mające jedynie symboliczne i polityczne znaczenie. To, że jednak się odbywały, wynikało przede wszystkim z decyzji samego Churchilla, który doskonale wiedział, jak ważny jest warszawski dramat dla polskich lotników. Wolał wykonać jakikolwiek gest, niż stracić ich poparcie. Dziś, po latach, należy życzliwą pamięcią objąć tych wszystkich lotników, którzy brali udział w niezwykle ryzykownych operacjach, nierzadko tracąc życie. W szczególności warto pamiętać o lotnikach południowoafrykańskich, których z Polakami łączyła jedynie wspólnota wojennych losów – jednych i drugich los rzucił do baz południowych Włoch.

Doświadczania zdobyte podczas akcji nad walczącą Warszawą (w szczególności zrzuty z niskiego pułapu) przydały się załogom południowoafrykańskim w czasie pomocy ludności cywilnej zachodniego Berlina.

Warszawiacy nigdy nie zapomnieli o południowoafrykańskich lotnikach – na miejscu katastrofy samolotu Jacka van Eyssema w Michalinie pod Warszawą w latach 70. stanął pomnik upamiętniający to wydarzenie. Miejscowa drużyna harcerska nosi imię Boba Hamiltona, drugiego pilota tego samolotu. Symbole dywizjonów SAAF znajdują się na epitafium odsłoniętym 1 sierpnia 1987 r. w kościele św. Anny w Warszawie. W 1992 r. 67 lotników z 31. i 34. Dywizjonu SAAF, uczestników akcji pomocy Warszawie, zostało odznaczonych Warszawskim Krzyżem Powstańczym. Nazwiska tych, którzy zginęli, można znaleźć na Murze Pamięci w Muzeum Powstania Warszawskiego. Część poległych lotników spoczywa na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. W 2006 r. podczas obchodów rocznicy powstania warszawskiego piloci z RPA zostali odznaczeni przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Orderami Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

BIBLIOGRAFIA

- Orpen N., 2006, *Lotnicy '44 na pomoc Warszawie*, Świat Książki, Warszawa.
Bieniecki K., 1994, *Lotnicze wsparcie Armii Krajowej*, Wydawnictwo „Arcana”, Kraków.
Davies N., 2006, *Powstanie 1944*, Wydawnictwo Znak, Kraków.

Paulina Codogni

Afrykańczycy w Warszawie w latach 1945-1975

W okresie istnienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jej stosunki z państwami kontynentu afrykańskiego w przeważającej mierze miały podłożę propagandowe. Wspieranie walki o wyzwolenie państw afrykańskich spod rządów kolonizatorów traktowano jako obowiązek państwa socjalistycznego, mającego pomagać innym w pozbyciu się jarzma imperializmu¹. Dlatego też Komitet Centralny Polskiej Partii Robotniczej i Centralny Komitet Wykonawczy Polskiej Partii Socjalistycznej, a następnie Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wielokrotnie zatwierdzały hasła nawiązujące do tej tematyki. Wśród odezwo przygotowanych przez władze partyjne w połowie kwietnia 1948 r. widniało np. takie: „Pozdrawiamy ludy kolonialne, walczące o swą wolność z imperializmem światowym”. Cztery lata później przekazywano „pozdrowienia (...) wszystkich krajów kolonialnych i zależnych, walczących o zrzucenie jarzma imperialistów i byt niepodległy”².

Wątek walki z kolonializmem pojawił się również zwykle w przemówieniach wygłaszanym na akademias z okazji rocznic rewolucji październikowej. Na początku listopada 1951 r. dla uczczenia 34. rocznicy rewolucji członek Biura Politycznego KC PZPR, wicepremier Aleksander Zawadzki, podkreślił, że „narastający ruch narodowy zwoleńczy w krajach zależnych, takich jak Egipt, uderza w najczulsze pozycje systemu imperialistycznego”³.

1 Pałyga E., *Stosunki dyplomatyczne i konsularne polsko-egipskie*, „Przegląd Orientalistyczny” 1974, nr 3 (91), s. 209.

2 „Trybuna Ludu”, 24 IV 1952.

3 „Trybuna Ludu”, 7 XI 1951.

Rokrocznie władze PRL organizowały także Międzynarodowe Dni Solidarności z młodzieżą krajów kolonialnych i zależnych. Jak później informowano w prasie, w ich trakcie młodzież stolicy tłumnie manifestowała na zebraniach „swą solidarność z walczącą o wyzwolenie narodowe i społeczne młodzież krajów uciskanych przez imperializm”⁴.

Największe natężenie spotkań i wieców związanych z wydarzeniami w Afryce organizowanych w Warszawie miało miejsce na przełomie 1960 i 1961 r. w reakcji na belgijską interwencję w Kongo. 10 grudnia 1960 r. jeden z większych wieców protestacyjnych – z udziałem kilku tysięcy studentów – odbył się na Uniwersytecie Warszawskim. Udział w nim wzięli rektorzy kilku wyższych uczelni, pracownicy naukowi oraz studenci krajów afrykańskich studiuje w Polsce.⁵

W drugiej połowie lutego 1961 r. w całym kraju odbyły się masowe zebrania, których uczestnicy surowo piętnowali i potępiali morderstwo dokonane przez kolonizatorów na pierwszym premierze Demokratycznej Republiki Konga, Patrice’ie Lumumbie, przewodniczącym Senatu, Josephie Okito i ministrze Maurice’ie Mpolo. Przed ambasadą belgijską w Warszawie odbyły się dwie demonstracje protestacyjne, a w kilku miastach, na wniosek ludności, ulice zostały nazwane na cześć Lumumby. Utworzono także fundusz stypendialny jego imienia dla studiującej na polskich wyższych uczelniach młodzieży z Afryki.⁶

W ramach podkreślania więzi z narodami afrykańskimi już od drugiej połowy lat 40. do Warszawy wielokrotnie zapraszano delegacje państw afrykańskich, które nadawały nieco blasku egzotyki konferencjom i kongresom organizowanym w stolicy. W połowie grudnia 1948 r. na Kongres Zjednoczeniowy PPR i PPS do Warszawy przybył dr Josef Dadoo, delegat Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Południowej Afryki⁷.

Cztery miesiące wcześniej – w pierwszej połowie sierpnia 1948 r. – w Warszawie obradowała Międzynarodowa Konferencja Młodzieży Pracującej, w której wzięły udział m.in. delegacje: Związku Afryki Południowej, Francuskiej Afryki Równikowej, Algierii i Maroka⁸. W następnym roku w stolicy pojawiła się 49-osobowa delegacja młodzieży z krajów afrykańskich, w skład której wchodzili przedstawiciele organizacji młodzieżowych m.in. Madagaskaru, Maroka, Związku Południowej Afryki i Egiptu⁹. W zorganizowanym w drugiej połowie września 1950 r. II Światowym Kongresie

4 „Trybuna Ludu”, 22 II 1951.

5 „Trybuna Ludu”, 11 XII 1960.

6 „Trybuna Ludu”, 15–21 II 1961.

7 „Głos Ludu”, 15 XII 1948.

8 „Głos Ludu”, 9 VIII 1948.

9 „Trybuna Ludu”, 4 VIII 1949.

Obrońców Pokoju w Warszawie uczestniczyły m.in. delegacje Nigerii, Madygaskaru, Związku Południowej Afryki, Egiptu, Tunisu, Algieru, Afryki Zachodniej i Sudanu¹⁰.

Tuż po drugiej wojnie światowej władze PRL przystąpiły również do nawiązywania więzi dyplomatycznych z państwami afrykańskimi. Pierwsza po wojnie na tym kontynencie placówka dyplomatyczna PRL została ustanowiona w Kairze¹¹. W lipcu 1946 r. minister spraw zagranicznych RP, Wincenty Rzymowski przyjął *charge d'affaires* Egiptu Hassana Mazhar Beya, który złożył listy wprowadzające¹². Dało to początek wizytom przedstawicieli obu państw, m.in. w październiku 1957 r. do Warszawy przybył minister finansów Egiptu, Abd El Monejm El Kaissoumi.

Okres wzmożonej aktywizacji kontaktów Polski z Afryką nastąpił w latach 1960–1964, kiedy to wiele państw kontynentu ogłaszało niepodległość. Zazwyczaj, tuż po ogłoszeniu niepodległości przez państwa afrykańskie, Polska nawiązywała z nimi stosunki dyplomatyczne. Jeszcze pod koniec lat 50., tj. 29 czerwca 1959 r., PRL nawiązał stosunki z Republiką Gwinei, a pół roku później – 31 grudnia 1959 r. z Republiką Ghany. Lata 60. to okres zacieśniania więzi dyplomatycznych z kolejnymi państwami – kolejno: w 1961 z Malib, w 1962 r. z Beninem (który do 30 listopada 1975 r. nosił nazwę Dahomej), Nigérią, Senegalem, Sierra Leone i Togo, w 1965 r. z Mauretanią, w 1968 r. z Burkina Faso (do 3 sierpnia 1984 r. Góra Wolta)¹³.

Kolejna fala nawiązywania stosunków nastąpiła w latach 70. – w maju 1972 r. z Rwandą, w 1973 r. z Gwineą Bissau, Liberią, w 1974 r. z Wybrzeżem Kości Słoniowej, w 1975 r. z Gambią i w czerwcu 1975 r. z Mozambikiem, w listopadzie 1975 r. z Angolą oraz w 1976 r. z Republiką Zielonego Przylądka, w czerwcu 1977 r. z Republiką Komorów, w listopadzie 1978 r. z Botwaną, w styczniu 1979 r. z Czadem, w kwietniu 1979 r. z Mauritiusem, a w lutym 1980 r. z Republiką Dżibuti.

Aktywizacja stosunków na linii Polska-Afryka znalazła także wyraz w zawieraniu licznych porozumień gospodarczych i handlowych, których największą liczbę podpisano w latach 60. i 70., co prowadziło do powstania bazy prawno-traktatowej stosunków Polski z państwami afrykańskimi. Podpisywano przede wszystkim umowy handlowe, ale również umowy o współpr-

10 „Trybuna Ludu”, 15–16–17 XI 1950.

11 Pałyga E., *Stosunki dyplomatyczne i konsularne polsko-egipskie*, op. cit.

12 „Głos Ludu”, 10 VII 1946.

13 Państwa Afryki Zachodniej, Fakty, problemy stabilizacji i rozwoju, polskie kontakty, t. 1, pod. red. Zygmunta Łazowskiego, Wydawnictwo Towarzystwa Polsko-Nigeryjskiego, Warszawa 2006, s. 238–239.

pracy kulturalnej i komunikacji lotniczej, choć wiele z nich w późniejszym okresie nie realizowano¹⁴.

Nawiązaniu współpracy służyć miała m.in. wizyta w Warszawie delegacji Republiki Gwinei, która odbyła się 16–17 lutego 1959 r. Jej członkowie konsultowali się ze stroną polską w sprawie wypracowania planu zagospodarowania siły roboczej w rolnictwie w tzw. martwym sezonie, kiedy nie można było uprawiać ziemi. Przedstawiciele władz Polski zadeklarowali chęć wysłania do Gwinei specjalistów z zakresu planowania ekonomicznego oraz przyjęcia młodych Gwinejczyków do polskich szkół¹⁵. Poza pomocą w organizacji rolnictwa dyskutowano także nad polskim udziałem w planowaniu projektów i realizacji budowy dróg i mostów oraz budownictwa mieszkaniowego.

W dniach 25–28 lipca 1961 r. na zaproszenie Rady Państwa i Rządu w Polsce przebywał z oficjalną wizytą prezydent Ghany i działacz ruchu państwaafrykańskiego, Kwame Nkrumah. Podczas spotkania z przewodniczącym Rady Państwa Aleksandrem Zawadzkim, Nkrumah został udekorowany Krzyżem Wielkiego Orderu Odrodzenia Polski. Na zakończenie wizyty ogłoszono wspólne oświadczenie nakreślające perspektywy rozszerzenia współpracy handlowej, w dziedzinie oświaty i kultury, żeglugi morskiej i komunikacji lotniczej, rybołówstwa oraz spółdzielczości¹⁶. Strony wyraziły swoje poparcie dla kontynuacji procesu dekolonizacji, propozycji utworzenia stref bezatomowych w różnych częściach świata oraz całkowitego i powszechnego rozbiorzenia. Wizyta ta zyskała szczególną propagandową oprawę, co spotkało się z rzeczywistym zainteresowaniem wielu Polaków Ghaną, wywołanym serią artykułów Ryszarda Kapuścińskiego, który w 1960 r. spędził tam sześć tygodni. W październiku 1961 r. do Warszawy przyjechała kolejna delegacja rządu Ghany, która podpisała z władzami polskimi nową pięcioletnią umowę handlową i płatniczą. Polskę odwiedzały także ghańskie delegacje niższego szczebla – jeszcze przed wizytą Nkrumaha w połowie czerwca 1960 r. w Warszawie przebywała delegacja Narodowej Rady Spółdzielczej Ghany.

W połowie czerwca 1962 r. z czterodniową wizytą w Warszawie bawiła misja dobrej woli Republiki Dahomej (późniejszy Benin) z wiceprezydentem Sourou Migan Apithy na czele. Państwa nawiązały stosunki dyplomatyczne i postanowiły wymienić ambasadorów. Jak donosiła stołeczna prasa, strony podpisły również wspólne oświadczenie, potwierdzające poparcie dla likwidacji kolonializmu, idei całkowitego rozbiorzenia oraz przekształcenia Afryki

14 Ibidem, s. 241.

15 KnopekJ., *Stosunki Polski z krajami Afryki Zachodniej*, Bydgoszcz, 2008, s. 118.

16 „Trybuna Ludu”, 26–29 VII 1961.

w strefę bezatomową, a także podkreślili konieczność rozwiązania problemu niemieckiego na drodze rokowań¹⁷. W trakcie wizyty podpisano szereg umów, w tym handlowo-płatniczą, porozumienie o współpracy naukowo-technicznej oraz umowę o współpracy kulturalnej. Podkreślono także konieczność współpracy w zakresie spółdzielczości. Władze PRL zadeklarowały udzielenie Dahomejczykom kilku stypendiów na praktyki i studia w Polsce.

Również w czerwcu 1962 r., na zaproszenie prezesa Rady Ministrów PRL, Józefa Cyrankiewicza, do Warszawy przybyła z oficjalną wizytą delegacja rządowa Republiki Senegalu. Przewodniczył jej pierwszy premier państwa, a zarazem minister obrony Mamadou Dia. Strony podpisały wspólne oświadczenie, umowę handlowo-płatniczą, umowę o współpracy naukowo-technicznej oraz umowę kulturalną. Tradycyjnie już przedstawiciele obu państw wyrazili poparcie dla deklaracji XV sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w sprawie likwidacji kolonializmu, potepili politykę kolonialną Portugalię w Afryce oraz wezwali do zaniechania polityki apartheidu i dyskryminacji rasowej w Afryce Południowej. Jak informowano w mediach, Polska i Senegal wyraziły poparcie dla wzmożenia wysiłków na rzecz przyspieszenia rozwoju gospodarczego krajów słabo rozwiniętych oraz poparcie dla idei rozbrojenia.

W drugiej połowie lipca 1962 r., na zaproszenie Sejmu PRL, do Polski przybyła delegacja Zgromadzenia Narodowego Republiki Mali, na której czele stał przewodniczący Zgromadzenia Mahamane Alassane Haidara. Wizyta ta miała dać początek bliższej współpracy między parlamentarzystami obu krajów¹⁸. Wcześniej – przez tydzień – w marcu 1961 r. na zaproszenie Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej w Polsce przebywał z wizytą minister zdrowia Republiki Mali dr Somine Dolo.

Dwa miesiące po wizycie delegacji Zgromadzenia Narodowego Republiki Mali do Warszawy przybyła misja dobrej woli Federalnej Republiki Kamerunu z ministrem gospodarki, Victorem Kangą, na czele. W trakcie jego pobytu 28 września podpisano pierwszą bezpośrednią polsko-kameruńską umowę handlową – wcześniej stosunki handlowe państwa utrzymywane były za pośrednictwem Francji.

Warto zaznaczyć, że do Warszawy na zaproszenie Centralnej Rady Związków Zawodowych przybywały liczne delegacje związkowców afrykańskich. W listopadzie 1953 r. goszczono delegację związkowców Kamerunu i Sudanu Francuskiego¹⁹. W październiku 1954 r. z dwutygodniową wizytą

17 „Trybuna Ludu”, 10, 12–15 VI 1962.

18 Prokopczuk J., *Polityka zagraniczna PRL na rzecz wyzwolenia narodów kolonialnych [...] 20 lat polityki zagranicznej Polski Ludowej*, Warszawa 1964, s. 120–121.

19 „Trybuna Ludu”, 19 XI 1953.

do Polski przybyła grupa działaczy związkowych z Algierii. Jak donosiła „Trybuna Ludu”, na konferencji prasowej wieńczącej pobyt gości w Polsce członkowie delegacji złożyli oświadczenie, w którym wyrazili podziw dla osiągnięć socjalnych w Polsce, warunków wychowania młodzieży i rozwoju ruchu współzawodnictwa pracy²⁰.

W periodyku z 1964 r. okres intensywnej współpracy i wizyt przedstawicieli państwa afrykańskich w Polsce w pierwszej połowie lat 60. podsumowano następująco: „(...) tak więc na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat obserwujemy dynamiczny proces zacieśniania współpracy gospodarczej i politycznej Polski z niepodległymi krajami Afryki. U podstaw tego procesu leżą wspólne interesy polityczne i ekonomiczne: walka o pokój i powszechnie rozbrojenie, kampania na rzecz likwidacji systemu kolonialnego, wysiłki w kierunku przyspieszenia rozwoju gospodarczego”²¹. Jasne jest jednak, że głównym motywem aktywności PRL, jak i całego bloku wschodniego, była rywalizacja z państwami zachodnimi i chęć zdobycia jak największych wpływów w państwach afrykańskich.

Lata 70. to również okres częstych wizyt przedstawicieli państw afrykańskich w Polsce. W kwietniu 1977 r. do Warszawy przybył prezydent Angoli Agostinho Neto. W czerwcu 1978 r. trzy dni w Warszawie spędził szef rządu Nigerii gen. Olusegun Obasanjo. W tym samym miesiącu Warszawę odwiedził dyktator libijski płk Muammar Kadafi. W grudniu 1978 r. miała miejsce wizyta szefa państwa etiopskiego Mengistu Hajle Mariama.

Na przełomie października i listopada 1975 r. w Warszawie przebywała delegacja z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego z Chartumu, w składzie: Mahjub al.-Badawi, Al.-Faqih Ahman Haddah i profesor Abd al.-Qadir Hasan Khattab. Ich celem było przyjrzenie się polskiemu systemowi edukacji wyższej oraz uregulowanie problemów studentów sudańskich w Polsce²².

Do wyrażania solidarności z narodami kolonialnymi władze PRL zatrzymały także liczne polskie organizacje i instytucje społeczne, które zapraszały przedstawicieli ruchów narodowo-wyzwoleniowych. Na początku października 1963 r. na zaproszenie Polskiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej do Warszawy przybył Makiouri Abdellaha, członek Komitetu Rewolucyjnego Kamerunu. W maju 1964 r. na zaproszenie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej przebywał w naszym kraju Johnson Moya, członek jednej z organizacji narodowo-wyzwoleniowych Rodezji – komitetu wykonawczego Afrykańskiego Związku Ludowego Zimbabwe. W styczniu 1965 r.

20 „Trybuna Ludu”, 5 X 1954.

21 Prokpczuk J., *Stosunki Polski z krajami Afryki*, „Sprawy Międzynarodowe” 1964, nr 7, s. 153.

22 Zagórski B., *Les invites de l'institut d'études africaines de l'Université de Varsovie en 1975*, „Africana Bulletin” 1976, nr 24, s. 166–172.

w Warszawie przebywał przedstawiciel organizacji narodowowyzwoleńczej Namibii, Emil Appolus, a w lutym Afrykańskiego Związku Narodowego Zimbabwe – Simpson Ktambanengwe. W czerwcu 1969 r. Warszawę odwiedziła delegacja angolska pod przewodnictwem późniejszego prezydenta tego państwa Agostinho Neto²³. Były to zaledwie wybrane wizyty spośród wielu, jakie miały miejsce w latach 60. i 70.

Oficjalne wizyty przedstawicieli państw afrykańskich znajdowały odźwięk w prasie, natomiast Warszawiacy – co wynika z natury tego typu spotkań – mieli niewielki kontakt z przybyszami z czarnego kontynentu wchodzącyimi w skład oficjalnych delegacji. Inną formą obecności Afrykanów w stolicy w okresie PRL było podejmowanie przez nich studiów na polskich uczelniach, często przy wsparciu finansowym władz polskich. Przykładowo, w roku akademickim 1967/1968 około 500 Afrykańczyków z 23 krajów (Sudan, Nigeria, Etiopia, Ghana, Maroko, Kongo) studiowało na polskich uniwersytetach, przy czym większość z nich zajmowała się medycyną, naukami technicznymi, ekonomią polityczną, naukami społecznymi oraz rolnictwem²⁴. Afrykańczycy studiowali także nauki humanistyczne – filologię, pedagogikę, psychologię, a nawet sztukę dramatyczną, kinematografię, muzykę. Afrykańscy studenci uczący się w Warszawie rokrocznie brali udział w spotkaniach organizowanych przez Ogólnopolski Komitet Współpracy Organizacji Młodzieżowych z okazji Dni Solidarności z Młodzieżą Krajów Kolonialnych²⁵.

Według dostępnych danych w 1973 r. absolwentami polskich uczelni było 25 Nigeryjczyków, a 8 spośród nich skończyło studia w Warszawie²⁶. Warto wspomnieć, że studenci nigeryjscy byli jedną z najliczniejszych grup, zaraz za Egipcjanami²⁷. W tym samym roku absolwentami warszawskich uczelni było 6 Ghańczyków i 3 Gwinejczyków²⁸. W Polsce kształciło się także wielu obywatele Malii, a wśród nich lekarze, weterynarze, dyrektorzy przedsiębiorstw, m.in. doktorat na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego

23 Góralski W., *Polska a dekolonizacja Azji i Afryki (lata 1946-1979)*, „Przegląd Orientalistyczny” 1981, nr 2, s. 102.

24 Komorowski Z., *La participation de la Pologne à la formation de cadres Africains et aux recherches scientifiques effectuées dans ce domaine*, “Africana Bulletin” 1971, nr 15, s. 136–142.
s. 137–138.

25 „Trybuna Ludu”, 28 IV 1959.

26 Knopek J., op. cit., s. 39.

27 Ibidem.

28 Ibidem, s. 120.

go zdobył późniejszy prezydent Mali (w latach 1992–2002) Alpha Oumar Konare, przewodniczący Komisji Unii Afrykańskiej²⁹.

Ośrodkiem kształcenia Afrykańczyków w Warszawie była także Szkoła Główna Planowania i Statystyki (SGPiS). Od października 1962 r. do maja 1963 r. przeprowadzono tam pierwszy zaawansowany kurs planowania gospodarczego dla ekonomistów z krajów rozwijających się z udziałem przedstawicieli państw afrykańskich. W organizacji tego przedsięwzięcia z SGPiS współpracowały także Uniwersytet Warszawski i PAN. Konsultowano się z Komisją Planowania Rady Ministrów. Według deklaracji programowej celem kursu było zapoznanie słuchaczy z teorią i praktyką planowania gospodarczego z uwzględnieniem cech i potrzeb państw rozwijających się. Kurs trwał sześć miesięcy, a chętni mogli poświęcić dodatkowe dwa miesiące na przygotowanie pracy dyplomowej. W pierwszym kursie na dwudziestu dwóch uczestników udział wzięło dziewięciu Afrykańczyków z Etiopii, Egiptu i Ghany, ale także przedstawiciele: Birmy, Brazylii, Iraku, Meksyku, Indii, Anglia i Włoch³⁰. Drugi kurs – z udziałem czterech Afrykańczyków – rozpoczęto w październiku 1963 r., a trzeci – rok później. Wzięło w nim udział trzynastu przedstawicieli kontynentu afrykańskiego, m.in. z Ghany, Nigerii, Ugandy, Etiopii i Sudanu, jak również goście z Meksyku, Haiti, Kolumbii, Chile, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Syrii, Indii, Nepalu, Indonezji i Japonii³¹.

30 kwietnia 1968 r. Ministerstwo Edukacji powołało Instytut Badawczy Państw Rozwijających się³². Instytut przejął tym samym kurs planowania gospodarczego dla państw rozwijających się. W pierwszym okresie prace badawcze Instytutu skoncentrowały się wokół zmian społeczno-politycznych zachodzących w państwach słabo rozwiniętych, a w szczególności na problemie wykorzystania surowców naturalnych i rozwoju niektórych sektorów gospodarki – rolnictwa, przemysłu i górnictwa. Instytut blisko współpracował z Polskim Instytutem Spraw Międzynarodowych i Centrum Studiów Afrykańskich na Uniwersytecie Warszawskim, a także z Instytutem Planowania Narodowego w Kairze, którego pracownicy, m.in. prof. Sheira, dali kilka wykładów w Warszawie na temat sytuacji gospodarczej Egiptu.

29 Państwa Afryki Zachodniej, *Fakty, problemy stabilizacji i rozwoju, polskie kontakty*, op. cit., s. 241.

30 Starzyk K., *An Advances Course In National Economic Planning*, "Africana Bulletin" 1964, s. 166–167.

31 Starzyk K., *Advanced Course In Planning for Economists from Underdevelopped Countries*, "Africana Bulletin", 1965, nr 2, s. 102.

32 Szostak M., *Reseach Institue for Developing Countries of the Central School for Planning and Statistics In Warsaw*, "Africana Bulletin" 1971, nr 15, s. 142–145.

W roku akademickim 1970/71 w zaawansowanym kursie planowania gospodarczego wzięło udział dwadzieścia dziewięć osób. Kurs obejmował takie zagadnienia, jak: techniki i zasady planowania, teoria rozwoju socjalistycznej gospodarki, teoria wzrostu państw słabiej rozwiniętych, międzynarodowe stosunki gospodarcze, problemy gospodarcze współczesnej Polski i społeczne problemy państw rozwijających się. Słuchacze złożyli wizyty w wielu regionach Polski, odwiedzając obiekty przemysłowe, wojewódzkie komisje planowania itp. Na początku lat 70. Instytut zorganizował francuskojęzyczną edycję kursu. Należy wspomnieć, że w całym bloku wschodnim były to jedyne kursy podyplomowe.

Intensywną działalność w zakresie propagowania wiedzy o Afryce prowadziło powstałe 16 lutego 1962 r. w Warszawie Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej. Na inauguracyjnym walnym zebraniu TPPA referat wygłosił wicepremier Eugeniusz Szyr, który podkreślił, że misja Towarzystwa odpowiada potrzebom społeczeństwa polskiego, śledzącego z sympatią i zainteresowaniem rozwój ruchu narodowo-wyzwoleniowego krajów afrykańskich. Uchwalony statut głosił, że głównym celem TPPA będzie popularyzowanie w Polsce wiedzy o życiu, pracy i kulturze narodów afrykańskich, a w Afryce – popularyzowanie wiedzy o Polsce³³.

W styczniu 1963 r. Towarzystwo zorganizowało pierwsze spotkanie literacko-artystyczne, zapoznające Polaków z rodziną literaturą Czarnej Afryki. Już w następnym miesiącu w Klubie Miedzynarodowej Książki i Prasy w Warszawie Towarzystwo przygotowało wystawę fotograficzno-dokumentalną o Federacji Nigerii.

W stolicy Polski działały także inne towarzystwa propagujące wiedzę o Afryce, np. 4 sierpnia 1958 r. stołeczną prasa podała, że w Warszawie odbyło się pierwsze zebranie Towarzystwa Przyjaciół Maghrebu, którego zadaniem jest szerzenie w Polsce wiedzy o problemach arabskiego zachodu, m.in. przez nawiązanie wymiany kulturalnej i turystycznej.

Polskie Towarzystwo Studiów Orientalnych, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Egiptskiej i Ambasada Egiptu w Warszawie zorganizowały 15 marca 1984 r. Dzień Egipski³⁴. W jego trakcie przedstawiano i omawiano osiągnięcia kultury egipskiej, poczynając od czasów starożytnych aż po XX wiek. Po odczytach i projekcji filmów, w części rozrywkowej czytano poezję egipskich autorów: Halila Mutrana, Salaha 'Abd as-Sabura, Amhada 'Abd al-Mu-ti Higaziego i Muhammada al-Fayturi, których recytowano po arabsku i w polskim tłumaczeniu. Zwieńczeniem wieczoru było wystawienie sztuki

33 „Trybuna Ludu”, 17 II 1962.

34 Machut-Mendecka R., „The Egyptian Day” In Warsaw, “Africana Bulletin” 1987, nr 37, s. 179–180.

egipskiego dramatopisarza Alfreda Darage pt. *Baqbaq ik-kaslan – The lazy Babbler* – nawiązującej do *Baśni z tysiąca i jednej nocy*.

Kolejnym miejscem zetknięcia się warszawiaków zainteresowanych Czarnym Lądem może nie tyle z afrykańczykami, co z wiedzą o Afryce było międzywydziałowe i interdyscyplinarne Centrum Studiów Afrykańskich, które na mocy zarządzenia Ministra Szkolnictwa Wyższego zostało utworzone 31 maja 1962 r. na Uniwersytecie Warszawskim³⁵. Początek Centrum dało prowadzone od 1960 r. przez prof. Stefana Strelcyna interdyscyplinarne seminarium afrykanistyczne. Brali w nim udział nie tylko naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego, ale także z PAN oraz Instytutu Stosunków Międzynarodowych. Seminaria odbywały się w pierwsze i trzecie poniedziałki miesiąca. Centrum Studiów Afrykańskich organizowało także dwuletnie studia podyplomowe dla ekonomistów, dziennikarzy, osób zajmujących się handlem międzynarodowym i wyjeżdżających na wymianę zagraniczną. Od 1964 r. pracownicy Centrum zaczęli wydawać „*Bulletin Africana*”.

Centrum Studiów Afrykańskich było miejscem wielu wizyt naukowców z kontynentu afrykańskiego. W czerwcu 1970 r. do Centrum przybył dr M. Plevoets – sekretarz generalny Uniwersytetu Lovanium w Kongo Kin-szasie – który dał wykład na temat roli i rozwoju uniwersytetu Lovanium w Kongo³⁶. Również w czerwcu gościem Centrum był B.A. Sikilo z Dar es Salaam w Tanzanii, wysoki komisarz zajmujący się wykorzystywaniem fotografii w badaniach geograficznych. W Warszawie odbył on kilka spotkań, których tematem była rola fotointerpretacji w badaniach geograficznych i gospodarczych w Afryce Wschodniej. W marcu 1971 r. do Centrum przybył prof. Richard Greenfield z Instytutu Studiów Afrykańskich na Uniwersytecie w Ghanie. Przedstawił on wykład pod tytułem polityki apartheidu w Republice Południowej Afryki³⁷. Trzy miesiące później do Warszawy przybył dr Hamid Ait-Amara, dyrektor Centrum Badań przy Ministerstwie Rolnictwa Algierii. Wziął udział w seminarium afrykanistycznym. Tydzień później w podobnym seminarium wziął udział M.A. Emanuel Hailu z Instytutu Geografii w Addis Abebie. Hailu przedstawił problemy związane z rolą organizacji międzynarodowych w rozwoju państw. W sierpniu 1971 r. z Addis Abeby do Warszawy przybyli Abdul Meid Hussein i Carol A. Haslam, którzy wzięli udział w seminarium poświęconym granicom politycznym Etiopii.

35 Strelcyn S., *Les etudes africaines à l'Université de Varsovie*, “*Africana Bulletin*” 1964, nr 1, s. 151–161.

36 Zagórski B., *Foreign Scholars Visiting the Centre of African Studies*, “*Africana Bulletin*” 1971, nr 15, s. 149–150.

37 Skuriat E., *Les visites des Africanistes étrangers Au Centre d'Etudes Africaines de l'Université de Varsovie*, “*Africana Bulletin*” 1972, nr 16, s. 143–145.

W maju 1972 r. Centrum Studiów Afrykańskich Uniwersytetu Warszawskiego obchodziło 10. rocznicę istnienia³⁸. Z tej okazji Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej zorganizowało w Pałacu Kazimierzowskim Uniwersytetu Warszawskiego wystawę sztuki Czarnej Afryki pochodzącej z polskich zbiorów. Trwała ona od 18 marca do 8 kwietnia. Wystawę sztuki i rzemiosła uzupełniono pokazem filmów, muzyki afrykańskiej oraz zdjęciami, przybliżającymi proces ich wytwarzania, oraz mapą Afryki, na której napisano miejsca pochodzenia przedmiotów. Również z okazji dziesięciolecia Centrum Studiów Afrykańskich, przy współpracy z „Ruchem” i Towarzystwem Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej, w dniach 10–12 kwietnia 1972 r. zorganizowano wystawę publikacji poświęconych Afryce.

W 1975 r. Centrum Studiów Afrykańskich przy UW zostało przemianowane na Instytut. W dniach 23–27 listopada 1976 r. Instytut Studiów Afrykańskich UW zorganizował międzynarodową konferencję na temat „Problemy i perspektywy rozwoju Nigerii”³⁹. Była to pierwsza w Polsce konferencja, na której zajmowano się problemami jednego państwa afrykańskiego. Wzięli w niej udział przedstawiciele uniwersytetów państw bloku wschodniego, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej oraz ambasady Nigerii w Polsce. Konferencja objęła cztery główne grupy tematyczne – historię, narodową i kulturową integrację, gospodarkę i politykę.

O silnych relacjach Instytutu z Nigerią świadczyły liczne wizyty przedstawicieli tego państwa w Polsce. W kwietniu 1975 r. na zaproszenie Instytutu przez dwa tygodnie w Warszawie przebywał profesor Ado-Ajaya, rektor Uniwersytetu w Lagos. Odbył on wiele spotkań poświęconych problemom szkolnictwa wyższego w Nigerii i historiografii nigeryjskiej. Również w kwietniu do Warszawy przybyli doktorzy A.A. Duwayb M. al-Akhdar i Fadil Ali Fail oraz Naji Ibrahim Abu Zurayba, przedstawiciele Uniwersytetu w Bengazi⁴⁰. Przybyli oni na zaproszenie Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego „Polservice”. Wzięli udział w dyskusji na temat planowania miejskiego w Libii. Z kolei pod koniec sierpnia 1975 r. w Instytucie wizytę złożył prof. J.S. Audu, rektor Uniwersytetu Ahmadu Bello w Zarii w Nigerii.

Kolejną jednostką badawczą zajmującą się kontynentem afrykańskim było Centrum Informacji o Afryce, utworzone w 1963 r. przy Instytucie Informacji Naukowych, Technicznych i Gospodarczych z inicjatywy Central-

38 Kowalczyk E., *Une exposition de l'art. De l'Afrique Noire dans les collections polonaises*, „Africana Bulletin” 1972, nr 17, s. 210–211.

39 Milewski J.J., *The International Conference on Nigeria's Development*, „Africana Bulletin” 1976, nr 25, s. 139.

40 Zagórski B., *Les invites de l'institut d'études africaines de l'Université de Varsovie en 1975*, op. cit., s. 168.

nego Biura Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej⁴¹. Celem Centrum było rozpowszechnianie informacji na temat problemów gospodarczych, społecznych i kulturowych Afryki.

Problematykę afrykańską przybliżały także badania Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (PISM), który powstał w 1947 r. W 1963 r. w ramach Instytutu powstał Departament Państw Afrykańskich, którym kierował Jerzy Prokopczuk. W latach 1959–1962 jego pracownicy przygotowali serię prac dotyczących walki narodowowyzwoleńczej państw afrykańskich i pierwszych lat funkcjonowania państw, które właśnie odzyskały niepodległość⁴². Znalazły się wśród nich prace: Szymona Chodaka *Nigeria na drodze niepodległości*, Jerzego Prokopczuka *Gwinea i Mali – zarys sytuacji politycznej* oraz *Niektóre problemy ruchu narodowo-wyzwoleńczego w Algierii* E. Szymańskiego, E. Vielrosse *Problemy gospodarcze i polityczne Konga* czy Ludwika Dembińskiego *Polityka zagraniczna i wewnętrzna Ghany*.

Poza publikacjami naukowymi w latach 60. wydano wiele pozycji literatury popularnej o tematyce afrykańskiej. Dużą popularnością cieszyły się np. publikacje opowiadania afrykańskich, jak np. wydane w 1967 r. *Na południe od Sahary. Opowiadania afrykańskie*, w których znalazło się 39 opowiadania autorów z 11 państw Afryki, w tym wielu znanych pisarzy afrykańskich, takich jak: Chinua Achebe, Wole Soyinka, Mongo Beti, Ferdinand Oyono, Chikh Amidou Kane. Warto wspomnieć, że lata 1960–1970 nazywano niekiedy w prasie „afrykańską dekadą”. W różnych periodykach ukazały się wówczas publikacje około 200 autorów⁴³.

Wracając jednak do działalności PISM, należy nadmienić, że był on także aktywny na polu organizacji spotkań poświęconych problemom Afryki. 21–22 stycznia 1965 r. Instytut zorganizował konferencję poświęconych problemom rozwojowym niepodległych państw Afryki⁴⁴. Jej współorganizatorem było Polsko-Afrykańskie Towarzystwo Współpracy. W spotkaniu brali udział przedstawiciele ZSRR, Czechosłowacji, NRD i Jugosławii.

Sympozjum naukowe o tematyce afrykańskiej odbyło się także w czerwcu 1968 r. na Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Było to czterodniowe spotkanie na temat biologii człowieka w Afryce z udziałem badaczy z Europy Zachodniej, a także Afryki – prof. C.H. Wyndham z Johannes-

41 Żakowski W., *Les activités du Centre d’Information sur l’Afrique*, “Africana Bulletin” 1971, nr 15, s. 145–148.

42 Dobosiewicz Z., *Les recherches africaines à l’Institut Polonais des Affaires Internationales*, “Africana Bulletin”, Uniwersytet Warszawski, 1964, s. 162–163.

43 Winid B., *African Studies In Poland*, “Africana Bulletin”, 1976, nr 25, s. 9.

44 Łętocha T., *A Conference Devoted to Problems of Development of Independent Africa*, “Africana Bulletin” 1966, nr 5, s. 107.

burga, dr R.O. Ojikutu z Lagos, prof. J.L.A. Ghesquiere z Kinszasy⁴⁵. Dyskutowano głównie na temat adaptacji człowieka i jego zależności od warunków ekologicznych na kontynencie afrykańskim.

Nawiązując do tematyki tego sympozjum, warto w tym miejscu przytoczyć wyniki badań przeprowadzonych na początku lat 60. na dzieciach w szkołach podstawowych w Łodzi. Były to grupy 7-, 9- i 14-latków. Podczas wywiadów pytano dzieci o ich wiedzę na temat mieszkańców Afryki, a następnie zadawano im pytania, np. „Czy ich lubisz?”. Potem dowiadywano się o reakcję dzieci na możliwość bezpośredniego kontaktu z Murzynami, pytając: „Czy chciałbyś, aby chłopiec lub dziewczynka murzyńska chodziła do waszej klasy?”; „Czy chciałbyś mieszkać z murzyńskim chłopcem (lub dziewczynką) we wspólnym pokoju lub namiocie na koloniach?”; „Czy chciałbyś, aby w waszej klasie uczyła nauczycielka lub nauczyciel murzyński, gdyby umiał on mówić po polsku?”⁴⁶. Z badań wynina, że z wiekiem wyraźnie zwiększa się liczba odpowiedzi twierdzących. Np. na pytanie „Czy lubisz Murzynów?” pozytywnie odpowiedziało 38% 7-latków, 54% 9-latków i 78% 14-latków. Również procent pozytywnych odpowiedzi na kolejne pytania wzrastał z wiekiem. Niechęć do kontaktów z Afrykańczykami dzieci najczęściej motywowały: „niechęcią wywoalaną przez różnice fizyczne”, „poczuciem obcości kulturalnej” i „lękiem przed Murzynami”⁴⁷. W grupie 7-latków pojawiały się takie argumenty: „W pokoju żeby mieszkał, to bym się musiał codziennie (!) myć, bo on czarny”, „Bo by się bił ze mną, albo by mnie zamknął i nie wypuścił”, „Bo jakby kogoś złapali, to by go zabili i zjadli”, „Bo jak złapią polskiego człowieka, to go potem gotują w kotle”⁴⁸.

14-latkowie motywowali swoją pozytywną postawę wobec Afrykańczyków uczących się razem z nim następująco: „Bo byłoby więcej zjednoczenia czarnych z białymi, więcej zrozumienia by było”, „Nauczyłby [chłopiec afrykański] nas swojego języka, mógłby nam opowiadać o swoim kraju; byłby jeden więcej przeciwnik kolonializmu”, „Odtąd ich polubiłem jak był zabity Lumumba”⁴⁹.

Wracając jednak do głównego wątku wywodu, tj. obecności Afrykańczyków w Warszawie w czasie PRL, nie można nie wspomnieć, że wiedzę o Afryce propagowano także przy pomocy licznych wystaw sztuki wywodzącej się z tego kontynentu. W połowie lat 60. Państwowe Muzeum Etnograficzne

45 Dzierżykraj-Rogalski T., *The International Symposium on Biology of Man In Africa, "Africana Bulletin"* 1968, nr 9, s. 87–90.

46 Kłosowska A., *Murzyni w oczach polskich dzieci, „Kultura i społeczeństwo”* 1962, nr 1, s. 85.

47 Ibidem, s. 88.

48 Ibidem, s. 88–89.

49 Ibidem, s. 91.

w Warszawie miało w swoich zbiorach około 6 tys. eksponatów z Afryki⁵⁰. Kolekcję zapoczątkowało przekazanie przez uczestników polskiej wyprawy do Kamerunu w latach 1883–1885, Stefana Szolc-Rogozińskiego i Leopolda Janikowskiego, swoich zbiorów. Po zbombardowaniu muzeum w 1939 r. przez Niemców zostały one ponownie skompletowane – z eksponatów po-niemieckich, otrzymanych jako zadośćuczynienie za zniszczenie, ze zbiorów z innych muzeów polskich, darów oraz zakupów. Pokażną część zbioru stanowiły maski z Afryki Wschodniej, ale także Kongo, Kamerunu, Gabonu, Sudanu, Dahomeju i Togo, przywiezione przez Waclawa Korabiewicza⁵¹. W muzeum znalazła się także cenna kolekcja przedmiotów kultury materialnej oraz zbiór pucharów w kształcie głów ludzkich z Konga, a także instrumenty muzyczne czy toporki obrzędowe z Dahomeju.

Stałym ekspozycjom towarzyszyły liczne wystawy czasowe. W grudniu 1957 r. w Warszawie otwarta została wystawa obrazów, grafiki i rzeźby plastyków egipskich. Na wernisaż, który odbył się z udziałem autorów eksponowanych prac, przybył wiceminister kultury i sztuki, E. Marzec. Obecny był na nim także ambasador Egiptu w Polsce, Hussein Cherif⁵². We wrześniu i październiku 1966 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie odbyła się wystawa etiopskich krzyży z kolekcji Waclawa Korabiewicza. Podróżnik zebrał je podczas wyprawy po Etiopii⁵³. W listopadzie i grudniu 1966 r. Antoni Nowicki pokazał swoje fotografie, których tematem było życie codzienne w Afryki Zachodniej, a zwłaszcza w Maroko, Senegalu, Wybrzeżu Kości Słoniowej, Ghanie i Nigerii⁵⁴.

W listopadzie 1971 r. w Warszawie, pod auspicjami Ministerstwa Kultury i Sztuki, otworzono wystawę algierskiego malarstwa⁵⁵. Przedstawiono na niej 59 prac 38 artystów reprezentujących różne trendy w algierskiej sztuce, w przekroju od realizmu po abstrakcjonizm. Wśród wystawianych abstrakcjonistów znaleźli się: Khadda, Benanteur or Guermez, a realistów: Mamari, Hemche Bouzid, Yelles Zerouki, Issiakhem, Fares, Seghir.

50 Kamocki J., *Zbiory afrykanistyczne w muzeach polskich*, „Etnografia Polska”, t. 10, Warszawa 1966, s. 476.

51 Zob. Korabiewicz W., *Sztuka Afryki w zbiorach polskich*, Polonia, Warszawa 1966.

52 „Trybuna Ludu”, 8 XII 1957.

53 Mantel-Niećko J., *Exhibition of Ethiopian Crosses, National Museum, Warsaw*, “Africana Bulletin” 1967, nr 6, s. 116.

54 Frajzyngier Z., *An Exhibition of Photographs from West Africa*, ibidem, s. 115.

55 Rybiński A., *The Exhibition of Algerian Painting*, “Africana Bulletin” 1972, nr 16, s. 146.

W dniach 20 listopada – 10 grudnia 1975 r. w Warszawie odbywała się wystawa rysunków dzieci z Afryki dotkniętej plagą głodu⁵⁶. Ekspozycja została zorganizowana przez podróżników z Instytutu Studiów Afrykańskich Uniwersytetu Warszawskiego.

Wydarzeniem dużej wagi była otwarta w październiku 1967 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawa poświęcona rezultatom odkryć w Faras, które zostały dokonane przez polską ekspedycję pod kierownictwem profesora Kazimierza Michałowskiego⁵⁷. Częścią odkrycia dokonanego w małej wiosce w sudańskiej Nubii była katedra chrześcijańska z freskami i rzeźbami, które pokazano w Muzeum. Wystawa przedstawia pracę archeologów i konserwatorów biorących udział w zabezpieczaniu cennych znalezisk. W czerwcu 1972 r. w Muzeum Narodowym otwarto stałą ekspozycję fresków z Faras⁵⁸.

Po 1975 r. rozpoczął się nowy okres w dziejach Afrykańczyków w Warszawie. Szczególnie na przełomie lat 70. i 80. do polskiej stolicy trafiła kolejna fala studentów, wśród nich znani dziś z mediów – Richard Mbewe bądź ze sceny – Mamadou Diouf. Lata 80. były jednak początkiem końca napływu Afrykanów na polskie uczelnie na fali współpracy z poszczególnymi afrykańskimi krajami. Po 1989 r. do Warszawy zaczęli przyjeżdżać nie tylko afrykańscy studenci i coraz większą grupę zaczęli stanowić ludzie szukający swojego miejsca i pracy w Europie.

BIBLIOGRAFIA

Literatura cytowana

- Chodak Sz., 1960, *Nigeria w przededniu niepodległości*, PISM, Warszawa.
- Dobosiewicz Z., 1964, *Les recherches africaines à l'Institut Polonais des Affaires Internationales*, "Africana Bulletin", Uniwersytet Warszawski.
- Dzierżykraj-Rogalski T., *The International Symposium on Biology of Man In Africa*, "Africana Bulletin" 1968, nr 9, Uniwersytet Warszawski.
- Frajzyngier Z., *An Exhibition of Photographs from West Africa*, "Africana Bulletin" 1967, nr 6, Uniwersytet Warszawski.
- Góralski W., *Polska a dekolonizacja Azji i Afryki (lata 1946-1979)*, „Przegląd Orientalistyczny” 1981, nr 2.

56 Rybiński A., *Exposition de dessins des Enfants du Sahel et du Sud Saharien*, "Africana Bulletin" 1975, nr 23, s. 174–176.

57 Marciak M., *Faras. Exposition Au Musee national de Varsovie (1 Octobre – 31 Décembre 1967)*, "Africana Bulletin" 1968, nr 8, s. 126–127.

58 Zob. Szczudłowska A., *Faras – Wystawa w Muzeum Narodowym*, „Przegląd Orientalistyczny” 1968, nr 2, s. 168–171.

- Kamocki J., *Zbiory afrykanistyczne w muzeach polskich*, „Etnografia Polska” 1966, t. 10, Warszawa.
- Kartki z PRL. Ludzie, fakty, wydarzenia*, 2006, pod. red. Wiesław Władyka, t. II 1971-1989, Wydawnictwo SENS, Warszawa.
- Kłosowska A., 1962, *Murzyni w oczach polskich dzieci*, „Kultura i społeczeństwo” t. VI, nr 1, Warszawa.
- Knöpke J., 2008, *Stosunki Polski z krajami Afryki Zachodniej*, Bydgoszcz.
- Komorowski Z., *La participation de la Pologne à la formation de cadres Africains et aux recherches scientifiques effectuées dans ce domaine*, „Africana Bulletin” 1971, nr 15, Uniwersytet Warszawski.
- Korabiewicz W., 1966, *Sztuka Afryki w zbiorach polskich*, Polonia, Warszawa.
- Kowalczyk E., *Une exposition de l'art. De l'Afrique Noire dans les collections polonaises*, „Africana Bulletin” 1972, nr 17, Uniwersytet Warszawski.
- Łętocha T., *A Conference Devoted to Problems of Development of Independent Africa*, „Africana Bulletin” 1966, nr 5, Uniwersytet Warszawski.
- Mantel-Niećko J., *Exhibition of Ethiopian Crosses*, National Museum, Warsaw, „Africana Bulletin” 1967, nr 6, Uniwersytet Warszawski.
- Marciniak M., *Faras. Exposition Au Musée national de Varsovie (1 Octobre - 31 Decembre 1967)*, „Africana Bulletin” 1968, nr 8, Uniwersytet Warszawski.
- Milewski J.J., *The International Conference on Nigeria's Development*, „Africana Bulletin” 1976, nr 25, Uniwersytet Warszawski.
- Pałyga E., *Stosunki dyplomatyczne i konsularne polsko-egipskie*, „Przegląd Orientalistyczny” 1974, nr 3 (91), Warszawa.
- Państwa Afryki Zachodniej. Fakty, problemy stabilizacji i rozwoju, polskie kontakty*, 2006, tom 1, pod. red. Zygmunta Łazowskiego, Wydawnictwo Towarzystwa Polsko-Nigeryjskiego, Warszawa.
- Prokopczuk J., 1959, *Gwinea i Mali – zarys sytuacji politycznej*, PISM, Warszawa.
- Prokopczuk J., 1960, *Niektóre problemy ruchu narodowo-wyzwoleniowego w Algierii*, PISM, Warszawa.
- Prokopczuk J., 1964, *Polityka zagraniczna PRL na rzecz wyzwolenia narodów kolonialnych (...) 20 lat polityki zagranicznej Polski Ludowej*, Warszawa.
- Prokopczuk J., *Stosunki Polski z krajami Afryki*, „Sprawy Międzynarodowe” 1964, nr 7, Warszawa.
- Rottenberg A., 2005, *Sztuka w Polsce 1945-2005*, Wydawnictwo Piotra Marciszuka Stentor, Warszawa.
- Rybicki A., *Exposition de dessins des Enfants du Sahel et du Sud Saharien*, „Africana Bulletin” 1975, nr 23, Uniwersytet Warszawski.
- Rybicki A., *The Exhibition of Algerian Painting*, „Africana Bulletin” 1972, nr 16, Uniwersytet Warszawski.
- Skuriat E., *Les visites des Africanistes étrangers Au Centre d'Etudes Africaines de l'Université de Varsovie*, „Africana Bulletin” 1972, nr 16, Uniwersytet Warszawski.

- Sowa A.L., 2003, *Wielka historia Polski, Od drugiej do trzeciej Rzeczypospolitej (1945-2001)*, Warszawa.
- Starzyk K., *An Advances Course In National Economic Planning*, "Africana Bulletin" 1964, Uniwersytet Warszawski.
- Strelcyn S., *Les etudes africaines a l'Universite de Varsovie*, "Africana Bulletin" 1964, nr 1, Uniwersytet Warszawski.
- Sułkowska-Kusztelak J., *Kształcenie kadr dla krajów rozwijających się w państwach socjalistycznych*, „Dydaktyka Szkoły Wyższej” 1979, nr 3.
- Szczudłowska A., *Faras – Wystawa w Muzeum Narodowym*, „Przegląd Orientalistyczny” 1968, nr 2, Warszawa.
- Szostak M., *Reseach Institutue for Developing Countries of the Central School for Planning and Statistics In Warsaw*, "Africana Bulletin" 1971, nr 15, Uniwersytet Warszawski.
- Winid B., *African Studies In Poland*, "Africana Bulletin" 1976, nr 25, Uniwersytet Warszawski.
- Zagórski B., *Foreign Scholars Visiting the Centre of African Studies*, "Africana Bulletin" 1971, nr 15, Uniwersytet Warszawski.
- Zagórski B., *Les invites de l'institut d'études africaines de l'Universite de Varsovie en 1975*, "Africana Bulletin" 1976, nr 24, Uniwersytet Warszawski.
- Żakowski W., *Les activites du Centre d'Information sur l'Afrique*, "Africana Bulletin" 1971, nr 15, Uniwersytet Warszawski.

Prasa

- „Trybuna Ludu”
- „Głos Ludu”
- „Sztandar Młodych”
- „Polityka”
- „Przekrój”

Rok 1955: Festiwalowe spotkanie z Afryką

Paulina Codogni

Przedstawione w poprzednim tekście, *Afrykańczycy w Warszawie w latach 1945–1975*, fakty przyczyniały się do spotkań Afrykańczyków z warszawiakami w dość ograniczonym zakresie – liczba osób, po jednej i po drugiej stronie, biorących udział w seminariach, wystawach itp. była bowiem niewielka. Niemniej w PRL miało miejsce jedno wydarzenie, w przypadku którego można mówić o wręcz masowym zetknięciu się mieszkańców stolicy z przybyszami z Czarnego Lądu. Był nim trwający od 31 lipca do 14 sierpnia 1955 r. V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów – największa od zakończenia II wojny światowej masowa impreza w Polsce Ludowej, ale i w całym regionie Europy Środkowo-Wschodniej. Spotkania festiwalowe miały swoje źródło w spotkaniu Światowej Konfederacji Młodzieży, zwołanej przez Światową Radę Młodzieży 7 listopada 1945 r. w Londynie, kiedy to powołano Światową Federację Młodzieży Demokratycznej.

W deklaracji programowej Federacji zaznaczono, że stawia sobie ona za cel „wychowanie młodego pokolenia w duchu międzynarodowej solidarności i tym samym przyczynienie się do umocnienia pokoju i demokracji na całym świecie. SFMD postanowiła uczynić wszystko, aby znieść dyskryminacje i ograniczenie wynikające z różnicy wykształcenia, rasy czy wyznania”¹. I Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów odbył się w 1947 r. w Pradze, następne, organizowane co dwa lata, miały miejsce w Budapeszcie, Berlinie i w 1953 r. w Bukareszcie.

Warto zaznaczyć, że wszystkie (poza jednym w 1978 r. na Kubie) zorganizowane od końca II wojny światowej do 1989 r. festiwalowe spotkania

¹ V Festiwal Młodzieży, oprac. W. Piotrowski, Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, 1955, s. 2.

młodzieży odbyły się w Europie². Wprawdzie na połowę lat 60. planowano zorganizowanie kolejnych edycji Festiwalu w Afryce – w stolicach Algierii i Ghany – ale nie odbyły się one z powodu zamachów stanów przeprowadzonych w tych państwach.

Przygotowanie stolicy do Festiwalu było ogromnym przedsięwzięciem logistycznym. Warto chociażby wspomnieć, że efektem przygotowań było wydanie pierwszej w powojennej Polsce mapy Warszawy, co uznano za konieczne dla udekorowania stolicy, a następnie wiązało się z komfortem delegatów. Pomagał w tym MON, na co zgodę wyraził osobiście minister obrony narodowej i marszałek Wojska Polskiego, Konstanty Rokossowski, gdyż po wojnie plany kartograficzne były objęte tajemnicą wojskową. Mapę zamieszczono także w „Trybunie Ludu” z 1 sierpnia, nanosząc na niej – co ciekawe – również kościoły³.

Organizatorzy musieli także wyjaśniać niedobory zaopatrzenia w żywność, które narosły nie tylko w stolicy gromadzącej zapasy na Festiwal. W przedfestiwalowych publikacjach wyjaśniano: „Niemałdrzy ludzie rozwiewają bzdurne pogłoski, że brak mięsa spowodowany jest również przygotowaniami zapasów dla uczestników Festiwalu. I to również jest nieprawda. (...) Wszystkie te plotki w stylu »jedna pani powiedziała« należy wyśmiać i napiętnować”⁴.

O włączenie się do prac przygotowawczych apelowano także do mieszkańców Warszawy, którym radzono np. sadzenie kwiatów na balkonie, posprzątanie mieszkań oraz zakup kawy na okoliczność wizyty zagranicznych gości w polskich domach⁵. W przedfestiwalowych apelach zapewniano bowiem: „Młodzież nasza znajdzie na Festiwalu przyjaciół z całego świata, których połączы jeden wspólny cel. Poszczególne szkoły i zakłady pracy zapoczątkowały już wymianę listów, piosenek i wierszy z różnymi delegatami”⁶.

Władze zachęcały także do przygotowania upominków dla zagranicznych delegatów, podając za przykład młodzież województwa łódzkiego, przygotowującą zbiórkę podarków, „które delegaci nasi – uczestnicy Festiwalu wręczą młodzieży innych krajów, aby zadzierżgnięta w Warszawie przyjaźń trwała wiecznie, a ta skromna pamiątka wykonana rękkoma polskiej

2 Krzywicki A., *Poststalinowski karnawał radości. V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów o Pokój i Przyjaźń, Warszawa 1955. Przygotowania – przebieg – znaczenie*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2009, s. 30.

3 *Mapa Festiwalowa Warszawy, „Trybuna Ludu”*, 1 VIII 1955, s. 7.

4 V Festiwal Młodzieży, Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, oprac. Witold Piotrowski, VIII 1955, s. 17.

5 Krzywicki A., op. cit., s. 181.

6 V Festiwal Młodzieży, op. cit., s. 11–12.

dzieńczyny czy chłopca, przypominała naszemu przyjacielowi z zagranicy, że również w Polsce posiada on oddanych sprzymierzeńców w jego walce i pracy na rzecz pokoju i którzy w każdej chwili, gdy zajdzie taka potrzeba, pośpieszą mu z radą i pomocą”⁷.

Przed Festiwalem w „Biuletynie Informacyjnym” instruowano: „Każdy uczestnik Festiwalu winien sam dojść do najbliższego ośrodka zdrowia, dać się zbadać pod względem higienicznym i uzyskać zaświadczenie lekarskie”⁸. W ten sposób przebadano tysiące młodych Polek i Polaków⁹.

Organizatorzy Festiwalu starali się wzbudzić w warszawiakach poczucie obowiązku i dumy, podkreślając: „Najszlachetniejszą ambicją każdego z nas powinno być pokazanie młodzieży świata, co wyzwolony naród potrafił już dokonać i powiedzieć: »patrzcie na naszą Warszawę, na nasze nowe fabryki, gdzie w dużym procencie pracuje właśnie młodzież, patrzcie na nasze szkoły, szpitale, itp. Nie jest przecież sztuką przyjąć serdecznie gościa, gdy z sytości po brodzie kapie, lecz właśnie wówczas, gdy jeszcze sporo mamy braków, a mimo to potrafimy zdobyć się na tradycyjną polską gościnność”¹⁰.

Kilkanaście dni przed otwarciem Festiwalu przewodniczący Prezydium St. Rady Narodowej, Jerzy Albrecht, poczuwając się do roli gospodarza Warszawy, z dumą podkreślał: „Myślę, że najlepszym dowodem gościnności stolicy są kwatery delegatów. (...) Wzruszające są kwiatki postawione przy każdym łóżku i drobne upominki, a właściwie pamiątki wykonane często przez dzieci. Bardzo wielu obywateli wzięło udział w pracach porządkowych na terenie miasta: na stadionie, w parkach kultury.... Komitety blokowe podjęły cenne zobowiązania zwykle z myślą o tym, żeby ich praca coś zwróciła dla miasta. W ten sposób powstało wiele ogródków jordanowskich, świetlic i bibliotek dziecięcych”¹¹.

Oficjalne, a przede wszystkim uroczyste, otwarcie V Festiwalu miało miejsce tradycyjnie już na największym odkrytym obiekcie sportowym w mieście. W przypadku Warszawy odbyło się to na Stadionie Dziesięciolecia, otwartym 22 lipca 1955 r. Wokół płyty Stadionu Dziesięciolecia w pochodzie maszerowały delegacje z flagami narodowymi 114 państw przybytych na uroczystość. Następnie na stadion wbiegła międzynarodowa sztafeta przybyła ze wszystkich kontynentów.

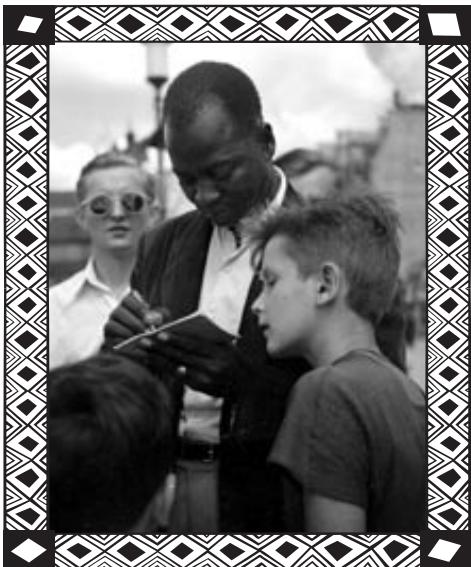
7 Ibidem, s. 13.

8 Biuletyn Informacyjny nr 3 z 14 lipca 1955 r., APB, ZW ZMP Białystok, sygn. 1015/0/91, k. 157.

9 Krzywicki A., op. cit., s. 180.

10 V Festiwal Młodzieży, op. cit., s. 16.

11 O sprawach praktycznych i wzruszających, „Sztandar Młodych” 1955, nr 179 z 28 VII, s. 1.



Delegat z Afryki na placu Zamkowym
podczas rozdawania autografów.
© Siemaszko Zbyszko, NAC

W Festiwalu wzięło udział niemal 140 tys. młodzieży polskiej będącej uczestnikami Zlotu Młodzieży Polskiej oraz, co stanowiło przedmiot szczególnej chluby dla władz PRL, 26 600 uczestników ze 114 krajów. Większą ich liczbę udało się zgromadzić tylko w 1957 r. w Moskwie (34 000 ze 131 państw) i w 1953 r. w Bułgarii (30 000 ze 111 państw)¹².

Przedfestiwalowe wydania prasy, zwłaszcza młodzieżowej, pełne były propagandowych hasł i wierszy. Za reprezentatywny można uznać taki oto wiersz:

„ – Otwórz usta z podziwu, strać głowę,
Niepoprawny warszawski sceptyku~
W zamieszanie wpadłeś kolorowe,
w wieżę Babel tysiąca języków!

– Zaraz, zaraz... Bez nerwów, wolnego!
Nas tam byle co nie zadziwi.

– Ależ idzie trzydziestki tysięcy kolego –
I w dodatku wszyscy prawdziwi:

Japończycy, tancerze z wysp Bali,
Arabowie, Szwedzi, Rosjanie...
W gości do nas cały świat wali!

Nie danym zabić ziemi!
Ręce szaleńcom spętam!

Jednaka jest nasza wola
Od Paryża do Jokohamy¹³.

Wśród naczelnych i, co wielokrotnie zaznaczano, porywających hasł Festiwalu znalazło się: „Pokój dla wszystkich, praca dla wszystkich, szczęście dla wszystkich”¹⁴.

Jako główny cel Festiwalu władze komunistyczne postawiły przed sobą „szerzenie pokojowej idei socjalizmu” oraz promocję PRL na świecie. Ważnym uzupełnieniem imprezy miało być przedstawienie osiągnięć oraz spu-

12 Krzywicki A., op. cit., s. 310.

13 „Sztabar Młodych. Przedfestiwalowe wydanie specjalne”, s. 2–3.

14 V Festiwal Młodzieży, op. cit., s. 5.

ścizny kulturowej narodów świata oraz sportowa rywalizacja w postaci młodzieżowych igrzysk.

Wszystko miało się odbywać pod szyldem jedności młodzieży w walce o pokój, niezależność i prawa narodów do samostanowienia. W oficjalnej propagandzie V Festiwal przedstawiono jako ważny etap na drodze do odprężenia międzynarodowego.

Przejawem tego był apel podpisany przez uczestników Festiwalu o treści: „My, uczestnicy V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie, przybyli z całego świata, żądamy zakazu broni atomowej. Nasze żądanie popieramy milionami podpisów, zebranych pod Apelem Wiedeńskim przez młodzież całej kuli ziemskiej. Pragniemy pokoju, pragniemy porozumienia między narodami, rozbrojenia, pokojowej współpracy i wykorzystania zdobyczni nauki dla dobra i szczęścia narodów”¹⁵.

Na Festiwalu, obok hasł przeciwko groźbie wybuchu wojny atomowej czy rozprzestrzeniania się niemieckiego militaryzmu, pojawiały się hasła głoszące niepodległość państw kolonialnych.

Zarówno Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, jak i polskim władzom komunistycznym szczególnie zależało na przybyciu przedstawicieli tzw. państw niezaangażowanych z Afryki i Azji. Uważano bowiem, że ich uczestnictwo przybliży je do bloku wschodniego, który rywalizował o wpływ z blokiem zachodnim.

W przedfestiwalowych publikacjach opisywano dotychczasową działalność Federacji Młodzieży w tym zakresie, podkreślając: „Szczególnie wiele uwagi poświęca Federacja młodzieży krajów kolonialnych i zależnych. W 1948 r. z inicjatywy Federacji, wysłana została specjalna komisja w celu zbadania warunków, w jakich żyje młodzież krajów kolonialnych i zależnych Afryki Północnej i Środkowego Wschodu. Na zalecenie komisji Federacja nawiązała ścisłą współpracę z młodzieżą tych krajów i zorganizowała akcję solidarnościową przeciwko aktom terroru stosowanym przez władze kolonialne wobec młodzieży. Doceniając znaczenie przyjaźni młodego pokolenia i jego solidarności w walce o pokój, Federacja zainicjowała organizowanie wielkich festiwali w skali światowej”¹⁶.

Pośród wspomnianych już 26 tys. gości przybyłych do Warszawy z zagranicy znalazło się 911 pochodzących z Afryki. Stanowili oni 3,42% ogółu przyjezdnych. Afrykę reprezentowali przedstawiciele 32 państw, w tym: Algier – 192 osoby, Angolę – 1, Cabo Verde – 1, Dahomej – 3, Egipt – 447, Gambię – 2, Gwineę – 2, Kamerum – 9, Kenię – 5, Kongo Belgiskie – 2,

15 Nigdy więcej Hirozimy, „Młodzież Świata”, Organ Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, 1955, nr 8–9, s. 9.

16 V Festiwal Młodzieży, op. cit., s. 3.

Kongo Francuskie – 5, Liberię – 1, Libię – 1, Madagaskar – 15, Maroko – 36, Martynikę – 7, Maurytanię – 3, Mozambik – 1, Nigerią – 18, Reunion – 5, Rodezję – 1, Senegal – 14, Sao Tome – 1, Somali – 1, Sudan Angielski – 41, Sudan Francuski – 3, Tanganikę – 2, Togo – 1, Tobago – 7, Tunis – 64, Wybrzeże Kości Słoniowej – 2, Złote Wybrzeże – 18¹⁷. Byli wśród nich przedstawiciele pism i agencji prasowych z Algieru („Alger Republicain”), Sudanu („El Ayam”), Tunisu („L’Action”) oraz aż 11 pism z Egiptu („Elthavra”, „Mirspresso”, „Journal d’Egipie”, „Elghanhooria”, „La Voi”, „Sport”, „Al Gomhouria”, „Al Egypium Gazete”, „Egyptien B. C Magazin”, „El Ha Vades”, „Margirgis”)¹⁸.

Mimo że na warszawskim święcie młodzieży pojawiła się największa – w porównaniu z wcześniejszymi festiwalami – liczba przedstawicieli Afryki, w przedfestiwalowej propagandzie publikowano wyjaśnienia typu: „Rządy krajów imperialistycznych usiłują za wszelką cenę utrudnić wyjazd delegacji młodzieżowych na festiwal. Rządy tych krajów zdają sobie sprawę z tego, że na festiwalu młodzież ich krajów zapozna się z życiem młodzieży krajów demokracji i pokoju, że zostanie ona tam zmobilizowana do nieugiętej walki o swoje prawa, o pokój. Dlatego też tak usilnie przeciwstawiają się wyjazdom młodzieży na festiwal”.¹⁹

Zwiększeniu udziału Afrykańczyków w Festiwalu miało służyć utworzenie Międzynarodowego Funduszu Solidarności²⁰. W ramach przygotowań przedfestiwalowych prowadzonych na przełomie 1954 i 1955 r. młodzież głównie z Europy Zachodniej, Północnej i Południowej, wpłacała pieniądze na fundusz na sfinansowanie podróży i utrzymania delegatów z Afryki i Azji. Przykładowo, przyjazd delegatów ze Złotego Wybrzeża pokrywała Dania, z Senegalu – Finlandia, a z Sudanu – Szwecja²¹. Przed rozpoczęciem Festiwalu Jacques Denis, sekretarz ŚFMD, z dumą relacjonował: „Zbiórki takie przeprowadzono w licznych krajach. Przyczyniły się one do umożliwienia niektórym delegacjom przyjazdu na Festiwal. Tak np. młodzież Szwecji, która zobowiązała się pomóc młodzieży Sudanu w podróży na Festiwal, kontynuuje pod różnymi formami i z wielkim powiedzeniem zbiórkę funduszów.

17 Wykaz przedstawicieli 116 krajów z *Wykaz przedstawicieli 116 krajów*, AAN, V Festiwal, sygn. 13, k. 24–26 cyt. za: Krzywicki A., op. cit., s. 303–304.

18 Wykaz pism i agencji burżuazyjnych, których przedstawiciele przybyli na V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów – Warszawa 1955, AAN, V Festiwal, sygn. 13, k. 28–32. Cyt. za: Krzywicki A., op. cit., s. 306–308.

19 V Festiwal Młodzieży, op. cit., s. 3–4.

20 Krzywicki A., op. cit., s. 86.

21 Ibidem, s. 125.

We Włoszech Komitet Festiwalowy, wykazując wiele inicjatywy, zorganizował w dniach od 4 do 11 lipca tydzień zbiórki na Fundusz Solidarności”²².

Informację o efektych zbiórki przedstawiano także za pomocą wywiadów z samymi Afrykańczykami, którym właśnie dzięki niej udało się przybyć do Warszawy. Jednym z nich był delegat młodzieży senegalskiej do Międzynarodowego Komitetu Przygotowawczego Festiwalu, przedstawiciel Zgromadzenia Demokratycznej Młodzieży Afrykańskiej, Lo Cheikh Bara, który relacjonował: „Delegacja młodzieży senegalskiej przyjedzie do Warszawy na Festiwal po raz pierwszy bezpośrednio z ojczyzny, podobnie zresztą, jak z wielu innych kolonii francuskich. Na poprzednich festiwalach młodzież z kolonii francuskich reprezentowali tylko studenci, kształcący się w Paryżu. Jeszcze dwa lata temu nie byliśmy dostatecznie zorganizowani, (...) aby wysłać delegację bezpośrednio z naszego kraju. (...) Jeszcze nie wszędzie młodzież naszego kraju jest zorganizowana. Nie ma w tym jednak nic dziwnego. Jesteśmy przecież krajem, gdzie rządzą kolonizatorzy, a oni boją się wzmożenia ruchu młodzieżowego. Nawet na Festiwal w Warszawie niechętnie wydają paszporty dla delegatów.

Młodzież krajów kolonialnych – powiedział nam gość z Senegalu – coraz lepiej zdaje sobie sprawę, że międzynarodowa solidarność młodzieży nie jest żadnym mitem. Ani pustym tylko hasłem. Przecież to młodzież dalekiej Finlandii pośpieszyła naszej młodzieży z pomocą w przygotowaniach do Festiwalu. Nasi fińscy koledzy nawiązali z nami szeroką korespondencję, pomagając w ten sposób w spopularyzowaniu Festiwalu i jego idei. Podjęli oni poważne wysiłki, aby zebrać fundusze na pokrycie kosztów podróży naszych przedstawicieli do Warszawy. Ale i my choć żyjemy w trudnych warunkach, nie szczędzimy starań, aby przezwyciężyć trudności finansowe i inne. Dążymy uparcie do tego, aby na Festiwalu znalazł się nasz zespół teatralny i przynajmniej jedna lub dwie młode Senegalki. Gromadzimy eksponaty naszej sztuki ludowej, aby młodzież całego świata pokazać na Festiwalu oryginalne piękno naszej kultury”.²³

Przed otwarciem Festiwalu w prasie zaczęły się pojawiać także inne, liczne relacje Afrykańczyków, w których podkreślano radość z przybycia do Polski. Komisarz Federalny Ligi Młodzieży Afrykańskiej Wybrzeża Kości Słoniowej Fabien Pango mówił: „Co sądzimy o Festiwalu? Wieść o zwołaniu Festiwalu spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem i ogromnym zainteresowaniem ze strony młodzieży mojego kraju. Nasz udział w V Festiwalu bę-

22 Konferencja prasowa z udziałem J. Denis, „Sztandar Młodych” 1955, nr 172 z 20 VII, s. 3.

23 Młodzi Senegalczycy gorąco pozdrawiają polską młodzież, „Sztandar Młodych” 1955, nr 170 z 18 VII, s. 1.

dzie miał charakter bardzo skromny, gdyż będzie to nasze pierwsze zetknięcie się z Festiwalem, a przy tym odczuwamy trudności materialne. Jednakże przywiązujemy wielkie nadzieje do naszych możliwości na przyszłość. Po raz pierwszy wezmą w Festiwalu udział dziewczęta i chłopcy z afrykańskiej wsi. Postaramy się – za pośrednictwem kultury, sztuki, rzemiosła, muzyki, tańca i sportu – pokazać prawdziwą Afrykę. Lecz przede wszystkim udział nasz w V Festiwalu przebiegać będzie pod hasłem walki o lepsze życie, o pokój z młodzieżą całego świata".²⁴

W ogólnopolskiej prasie przedstawiono także historię Afrykańczyka, który przewyciążając liczne trudności, niemal z narażeniem życia, przybył do Warszawy. W „Sztandarze Młodych” pisano o nim: „Z Afryki bez paszportu ukryty pod pokładem statku przybył John Motioheloa na Festiwal do Warszawy. We wtorek, 26 bm., w świetlicy Domu Słowa Polskiego odbyło się spotkanie pracowników DSP i mieszkańców ul. Twardej z Johnem Motiohe-loa, delegatem młodzieży murzyńskiej z Unii Południowo-Afrykańskiej, który przed kilkoma dniami przybył na Festiwal do Warszawy. Wzruszające przyjęcie zgotowały delegatowi dzieci z ul. Twardej, które otoczyły go tłumnie zaraz po przybyciu na salę. Jedna z dziewczynek zadeklamowała wiersz o małym Murzynku z Afryki, czym głęboko wzruszyła gościa z dalekiego kraju. John Motioheloa, działacz ruchu wyzwoleniowego Murzynów Afryki Południowej, odpowiedział na szereg pytań, zadawanych przez uczestników spotkania. Na pytanie jak dostał się z Afryki do Warszawy, delegat młodzieży południowoafrykańskiej odpowiedział, że faszystowski rząd Malana, sprawujący władzę w Unii Płd. Afrykańskiej, nie zezwala na wyjazd żadnego Murzyna poza obręb państwa. Gdy liczne żądania o wydanie paszportu nie odniosły sukcesu, J. Motioheloa ukrył się na statku płynącym do Londynu i w ten sposób dostał się do Anglii, skąd po długich i trudnych tarapatach udało mu się wreszcie przedostać do Polski. Zapytany o warunki życia Murzynów w Afryce Południowej, John odpowiedział, że rdzenna ludność murzyńska żyje pod rządami faszysty «doktora» Malana w potwornych warunkach. Murzyni są na każdym kroku brutalnie bici. John oświadczył, że głównym jego celem na Festiwalu jest opowiedzenie młodzieży całego świata o nieludzkim znęcaniu się kolonialnych faszystów nad Murzynami i spowodowanie protestu światowej opinii publicznej przeciw prześladowaniu Murzynów Unii Płd. Afrykańskiej, którzy mimo ucisku nie ustają w walce o swoją wolność”.²⁵

24 Przygotowania do V Festiwalu w Warszawie, „Młodzież Świata”, Organ Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, 1955, nr 1, s. 11.

25 Festiwal wkracza na ulice Warszawy, „Sztandar Młodych” 1955, nr 178 z 27 VII, s. 1.



Grupa delegatów zagranicznych
podczas zabawy na placu Zamkowym.
Widoczny bęben afrykański.
© Siemaszko Zbyszko, NAC

Władze PRL zadbały także o wyjaśnienie Polakom, że nawet młodzież afrykańska, która nie miała możliwości pojawić się na Festiwalu w Warszawie, solidaryzuje się z jego uczestnikami, biorąc udział w licznych festiwalach lokalnych, które odbywały się w tym samym terminie, tj. w pierwszej połowie sierpnia. W niektórych państwach, jak np. w Angielskim Sudanie, ukoronowaniem festiwali lokalnych miał być festiwal krajowy zaplanowany na grudzień 1955 r.²⁶

Najważniejszym wydarzeniem promującym jedność z gośćmi z Afryki i przedstawiającym ich kulturę był Dzień Solidarności z Młodzieżą Kolonialną zaplanowany na 9 sierpnia. Tego dnia w mediach ukazały się liczne wywiady z antykolonialnymi bojownikami oraz artykuły o różnorodności i bogactwie kulturowym narodów kolonialnych. Przeprowadzono wtedy również akcję masowego wysyłania pocztówek do delegatów z Azji i Afryki.

Kulminacją dnia było tzw. ognisko solidarności z młodzieżą kolonialną, zaplanowane od 20.00 do północy w Parku Agrykola. W prasie opisywano je następująco: „Gwiazdy patrzą z nieba na ogień tego olbrzymiego obozu. Dookoła ogniska młodzi chłopcy i dziewczęta z Czarnej Afryki tańczą przy dźwięku bębna. Ich taniec i śpiew zawiera całą gorycz i cierpienie narodów, gnących karki pod jarzmem kolonalistów. Rytm tam-tamu przyspiesza się. Śpiew rozbrzmiewa głośniej, ciała wyprostowują się. Twarze są odważne, oczy błyszczą, młodzi chłopcy i dziewczęta tańczą teraz stojąc, nie jak niewolnicy, lecz jak istoty ludzkie, wolne na wolnej ziemi. Ich śpiew staje się coraz głośniejszy, biorą się za ręce posłuszni wołaniu. Ramię przy ramieniu, patrzą oni z ufnością w przyszłość. W ścisiku dłoni młodych z krajów kolonialnych i zależnych odczuwa się siłę przyjaźni, łączącą ich z przyjaciółmi całego świata, walczących o niepodległość swoich krajów. Gdzieś zrodziło się hasło – «Jesteśmy z Wami, bracia i siostry krajów kolonialnych» – to hasło powtarzane przez tysiące ust wznosi się nad miastem Festiwalu. Wiatr niesie go ponad górami i oceanami, poprzez cały świat”.²⁷

Rzeczywiście jednak ognisko miało zupełnie inny przebieg od zaplanowanego i zakończyło się, jak nawet przyznano w „Trybunie Ludu”, skandalem. Organizatorzy źle zlokalizowali imprezę, przewidując dla niej zbyt mały teren, błędnie zakładając, że przybędzie na nią najwyżej kilkanaście tysięcy młodych ludzi. Ku zaskoczeniu organizatorów przybyło na nią ponad 30 tys. ludzi, w większości bez zaproszeń. Z powodu ogromnego tłoku ognisko udało się rozpalić z dużym opóźnieniem, dopiero po przeszło pół-

26 *Na całym świecie – Festiwal, „Młodzież Świata”, Organ Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, 1955, nr 8–9, s. 4–5.*

27 *A kiedy nadejdą wielkie dni Festiwalu..., „Młodzież Świata”, Organ Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, 1955, nr 1, s. 5.*

ragodzinnych próbach. Wszystko odbywało się w ciemnościach, gdyż organizatorzy zapomnieli o oświetleniu terenu. Na miejscu znajdował się jedynie reflektor ekipy Polskiego Filmu. Jak pisał korespondent „Trybuny Ludu”: „ciemność i nieudolność porządkowych pogłębiały chaos”²⁸. Z tych powodów konieczne było znaczne ograniczenie programu – wystąpił jedynie zespół z Afryki Zachodniej, mimo że pierwotnie dodatkowo przewidywano rytmalne tańce i obrzędy w rytm bębnów zespołów z Brazylii, Sudanu, Mala- jów, Libanu i Wenezueli. Ognisko Solidarności zostało zgodnie uznane za jedno z najważniejszych niepowodzeń Festiwalu.

Ważnym wydarzeniem festiwalowym były II Międzynarodowe Igrzyska Sportowe Młodzieży, uroczyście zainaugurowane na Stadionie Dziesięciolecia 1 sierpnia. Znicz zapalił polski sportowiec Stefan Lewandowski, który w imieniu 4 tys. sportowców złożył ślubowanie, głoszące: „My, sportowcy z 5 kontynentów – startujący w II Międzynarodowych Igrzyskach Sportowych Młodzieży w Warszawie, wyrażamy naszą radość z możliwości nawiązania nowych i pogłębienia starych przyjaźni, z możliwości zmierzenia naszych sił w braterskiej, szlachetnej walce sportowej, z możliwości spędzenia szczęśliwych dni w stolicy Polski, rozbrzmiewającej radością młodzieży z całego świata”.²⁹

Afrykańczycy brali udział w wielu konkurencjach. Przykładowo, 8 sierpnia rozpoczęł się turniej w piłce nożnej z udziałem piłkarzy z Kairu. Trzy dni później w półfinale turnieju Budapeszt pokonał Kair – 3:0, natomiast 12 sierpnia w meczu z reprezentacją Warszawy Kair przegrał 3:1. Tego samego dnia również czwarte miejsce w turnieju hokeja na trawie zdobyła drużyna Egiptu, przegrywając z Austrią 2:1. Z kolei w zapasach z udziałem 118 zawodników z 16 państw brali udział przedstawiciele Libanu i Egiptu. Natomiast 9 sierpnia odbył się trójbój w podnoszeniu ciężarów, zakończony pasjonującym pojedykiem reprezentanta ZSRR Stogowa i Kamela z Egiptu. Wygrał Stogow.

Młodzi Afrykańczycy zaznaczyli także swoją obecność na obchodzonych 3 sierpnia dożynkach. Przedstawiciele Afryki Zachodniej wykonali tam „taniec dożynek”, obrazujący tradycyjną czynność regionu, tj. zrywanie orzechów arachidowych. Według doniesień prasowych tańce obrzędowe wykonywano także podczas tworzenia Alei Przyjaźni, której powstawanie opisywano w „Sztandarze Młodych” następująco: „Sudańczyk wbił łopatę w polską ziemię. Algierczyk, Amran Mohamed wziął w rękę szczyptę brunatnego prochu i roztarł na dłoni: dobra ziemia. Jest rolnikiem, zna się na tym, a teraz oto przyszło mu sadzić drzewka w polskiej ziemi tak, aby głęboko

28 *Ognisko błędów*, „Trybuna Ludu” 12 VIII 1955, s. 4.

29 „Trybuna Ludu” 3 VIII 1955, s. 5.

zapuściły korzenie. (...) Tunezyjczycy zaczynają tańczyć wokół swojego drzewka. Jest to taniec tunezyjskich chłopów, wyrażający łączność człowieka z przyrodą, radość z płodności ziemi, z jej owoców. Po chwili wokół wszystkich drzewek zaczyna się taniec – nazwijmy go – »z łopatami«. Tak powstała Aleja Przyjaźni”³⁰.

Afrykańczycy uczestniczyli także w międzynarodowym koncercie w Hali Gwardii, podczas którego kontynent afrykański reprezentował zespół z Maroka. Warto wspomnieć, że podczas balu studentów, królową balu wybrana została Afrykanka.

Studenci i młodzież z Afryki brali również udział w innych spotkaniach, m.in. przygotowanym 3 sierpnia seminarium młodych ekonomistów, podczas którego jeden z referatów wygłosił przedstawiciel Maroka. Innym ważnym punktem programu Festiwalu było przygotowanie spotkania przedstawicieli studentów z wszystkich kontynentów, którego główny temat stanowiły problemy społeczne i wolność studiujących na uniwersytetach. W prasie przytoczono relację jednego z uczestników spotkania, Charlesa Diane z Senegalu, który powiedział: „Spotkanie to było bardzo cenne dla nas wszystkich. (...) Studenci, a szczególnie studenci z krajów kolonialnych i zależnych mają te same kłopoty materialne i trudności w dostaniu się na uczelnię i dlatego uważam, że to spotkanie stanowi dobry początek dla naszej wielkiej pracy. Zrozumieliśmy, że pokój jest niezbędnym warunkiem lepszego życia, szczęśliwej przeszłości i przyjaźni. I dlatego nasz Festiwal ma nieporównane znaczenie dla młodzieży studenckiej”.³¹ Z kolei delegat z Afryki Południowej, M. Billa twierdził: „Festiwal pokazał nam, że można zrealizować i że trzeba wznowić wysiłki dla realizacji postulatu równości między wszystkimi rasami. Powracamy do Afryki Południowej z mocnym postanowieniem wychowywania naszej młodzieży w duchu pokoju, przyjaźni i jedności wszystkim młodym bez różnicy rasy i koloru skóry”.³²

Podczas Festiwalu „Sztandar Młodych” miał przeprowadzić krótką ankietę, na którą odpowiedzieliby również przedstawiciele państw afrykańskich. Przygotowano następujący zestaw pytań:

1. Czym przede wszystkim interesujecie się na Festiwalu?
2. Jakie są wasze pierwsze wrażenia?
3. Która z dotychczasowych imprez najbardziej wam się podobała?

30 *W parku kultury rosną drzewa przyjaźni*, „Sztandar Młodych” 1955, nr 187 z 6 VIII, s. 1.

31 Lucini C., *Haloo tu studenci, „Młodzież Świata”*, Organ Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, 1955, nr 8–9, s. 16.

32 *Nasza praca ... po Festiwalu, „Młodzież Świata”*, Organ Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, 1955, nr 8–9, s. 31.

4. Który z poznanych ludzi spodobał Wam się najbardziej i dlaczego?
5. Czy okryliście na Festiwalu coś nowego, jakieś nieznane czy niejasne dla Was dotychczas prawdy i jakie?
6. Co wam najbardziej podoba się w Warszawie?
7. Co wam się nie podoba w Warszawie
8. Co Wam się podoba u młodzieży warszawskiej?
9. Co Wam się nie spodobało u młodzieży warszawskiej?

W gazecie przedstawiono odpowiedź studenta z Chartumu, Bobikera Mohammeda Aliego, który udzielił następujących odpowiedzi:

1. Zwiedzanie Warszawy, kupowanie książek zabawa, kwestie społeczne.
2. Jestem bardzo szczęśliwy, wzruszony, że mogłem zobaczyć Warszawę i Festiwal.
3. Wszystkie imprezy artystyczne, w Sudanie nie mam na to pieniędzy.
4. Wszyscy poznani ludzie.
5. Zobaczyłem wolność. Żyłem dotychczas jak w butelce, w której brak powietrza. Festiwal był odkorkowaniem tej butelki. Straszne zniszczenia Warszawy i ogromny wysiłek nad jej odbudową. Wszyscy ludzie bez względu na kolor skóry są braćmi. Na Festiwalu zobaczyłem to braterstwo.
6. Cała Warszawa. Pałac Kultury i Stadion.
7. Dlaczego nie ma w radiu audycji w języku arabskim? Wielu Sudańczyków słuchałoby tych audycji. Radio moskiewskie nadaje takie audycje trzy razy dziennie i są one bardzo popularne. A warszawskie audycje w języku angielskim mają u nas mało odbiorców, bo mało ludzi zna język angielski, a przy tym są one nadawane o złej porze.
8. Gościnność, serdeczność, przyjazny stosunek.
9. Pierwszy raz byłem w Europie, nie mogę więc powiedzieć, bo zbyt różni są warszawiacy od ludzi, których dotychczas znałem”³³.

Na ankietę odpowiedziało także trzech studentów z Południowej Afryki, którzy w obawie przed policją południowo-afrykańską prosili gazetę o podanie tylko ich inicjałów: N.D.T., D.R. i N.D (wypowiedzi były wspólne, ale w niektórych punktach przytoczono odrębne zdania).

1. Życiem młodzieży innych krajów.
2. Ogromna praca przygotowawcza do Festiwalu. Wielka manifestacja przyjazni. Przyjazny stosunek do uczestników Festiwalu.
3. Otwarcie. Galowe przestawienie chińskie.

³³ W oczach przyjaciół. Ankieta błyskawiczna „Sztandar Młodych” 1955, nr 189 z 9 VIII, s. 1–2.

4. William Gallacher, honorowy dość Festiwalu, stary działacz angielskiego ruchu robotniczego, niezwykle mądry człowiek.
N.D.T. dodaje: młoda dziewczyna z Iraku. Cicha, spokojna, prosta. Kiedy opowiadała o swojej pracy, o tym co musiała przeżyć nim dotarła na Festiwal, zrozumiałem o jak niezwykle silnej woli ludzie istnieją na świecie.
5. N.D.T. Zobaczyłem, że wyzwolenie ludzi wyzwala ogromną energię, zdolną czynić cuda. Takim cudem jest odbudowa Warszawy.
N.D. Zobaczyłem wolność, wolnych ludzi, zobaczyłem to, o co u nas ludzie walczą.
D.R.: nigdy nie widziałem wojny, Tu zobaczyłem straszliwe jej skutki i w całej pełni uświadomiłem sobie znaczenie hasła: »Nigdy więcej wojny!«.
6. Wspaniały rozmach budowy nowej Warszawy. Urządzenia socjalne.
7. To samo, co chyba wszystkim warszawiakom: ruiny. Ale to przecież znika.
D.R. dodaje: papierosy.
8. Ogromna żywotność, ogromna wola odbudowy, wielka miłość do swojego miasta. Pomocny, serdeczny stosunek milicji do ludzi. U nas policjant jest wrogiem, którego omija się z daleka. U was – to rzuca się w oczy – milicjant jest przyjacielem obywatela.
9. Za mało znamy i zbyt duży jest nasz szacunek dla warszawiaków, żeby ich krytykować³⁴.

Podczas Festiwalu młodzież polska mogła się również dowiedzieć, że mieszkańców Afryki niekoniecznie muszą mieć ciemny kolor skóry. Wiedzę tę propagowano np. przy pomocy anegdot przywoływanych w prasie, jak np.:

„Do grupy kilku osób stojących w oknie na parterze kwatery delegatów afrykańskich przy ul. Długiej, podchodzi jakiś mężczyzna.

- Dzień dobry – mówi
- Dzień dobry – pada odpowiedź.
- Czy tu mieszkają delegaci z Afryki?
- Proszę.
- Słucham!
- Proszę.
- Słucham!
- Proszę.

34 Ibidem, s. 2.

- I tak w kółko parę razy. Sytuację uratował dopiero jakiś mały chłopak, który stojąc z boku razem z kolegami naśmiał się naprzód zdrowo, a potem wyjaśnił sprawę,
- Panie! Daj im pan spokój, oni sami z Afryki, tylko że biali. Z czarnymi razem jako delegaci przyjechali ... A po polsku nauczyli się tylko „dzień dobry” i „proszę” ... Już niejednego nabrali”.³⁵

Ważnym elementem Festiwalu było przedstawianie przez poszczególne kraje narodowych programów. W piątym dniu Festiwalu, 4 sierpnia, programy galowe przedstawiły: Algier, Francuska Afryka Zachodnia, Nigeria, Sudan i Tunis. Trzy dni później swój dzień mieli reprezentanci Egiptu. Jak relacjonowano w prasie: „Egipcjanie przygotowali bogaty program. W okresie ostatnich miesięcy Narodowy Komitet Przygotowawczy w Egipcie, jak i komitety regionalne, dołożyły starań, by jak najlepiej przygotować program delegacji egipskiej na Festiwal. I tak m.in. filmowcy zrealizowali dwa filmy długometrażowe: »Syn Nilu« i »Determinacja« oraz trzy krótkometrażówki – »Egipt przez 6 tysięcy lat«, »Miasto Helwan«, »Rozwój przemysłu w Egipcie«. Artyści teatralni wystąpią w Warszawie w sztukach: »Krwawy Donshvay« i »Walka narodu«, dadzą też kilka inscenizacji z życia ludu egipskiego. Mała orkiestra wykona kilka utworów kompozytorów egipskich, bogate tradycje sztuki ludowej tego kraju zaprezentują zespoły pieśni i tańca. Na wystawie zorganizowanej w czasie trwania Festiwalu zobaczymy także prace z dziedziny egipskiego malarstwa, plastyki i rzemiosła”³⁶. Na Festiwal przybył także m.in. pisarz egipski Abdel Rahman Asz Szarkawi.

Podczas Festiwalu na specjalnie przygotowanych stoiskach w Pałacu Kultury i Nauki Afrykańczycy prezentowali także sztukę i fotografię swoich państw. Student z Maroka, Kamel Zebdi relacjonował prasie: „Przy organizowaniu tej wystawy mieliśmy duże trudności. Brak było pieniędzy na przygotowanie eksponatów. Te fotografie, pokazujące tylko wycinkowo życie w naszym kraju, wydostaliśmy podstępem z Muzeum Maroka, gdzie pracowałem przez pewien czas przy organizowaniu wystawy instrumentów muzycznych. Pozostałe eksponaty, jak np. makaty, wazonów itp. zakupiła młodzież z pieniędzy składowych. Każdy chłopiec i dziewczyna, w miarę swych możliwości wpłacali pewną sumę pieniędzy i za to zorganizowaliśmy tę wystawę”. Z kolei artysta z Algieru, Kateb Mustapha opowiadał: „Nasza wystawa ma na celu pokazanie rzeczywistej sytuacji w Algerze. A sytuację te najle-

35 Podsłuchane i podpatrzone, „Sztandar Młodych” 1955, nr 186 z 5 VIII, s. 2.

36 Coraz więcej delegacji w drodze do Warszawy, „Sztandar Młodych” 1955, nr 166 z 13 VII, s. 1.

piej obrazuje ta oto fotografia – czołgi i auta pancerne na ulicach miast i wsi, symbol panowania kolonizatorów. (...) Wystawa ta to akt oskarżenia pod adresem systemu kolonialnego. Pokazuje ona jednocześnie słuszność naszej walki o wolność”³⁷

W tym kontekście warto dodać, że Festiwal przedstawiano jako wydarzenie jednoczące młodzież pochodząą z państw kolonialnych i kolonizatorów, podkreślając tym samym fakt, że konflikty związane z próbami wywalczenia przez Afrykańczyków niepodległości toczą się ponad ich głowami, a nawet wbrew nim. Jak donoszono, już podczas przemarszu delegatów Maroka i Algierii podczas ceremonii otwarcia Festiwalu był oklaskiwany przez Francuzów.³⁸

W relacjach z otwarcia Festiwalu podkreślano również fakt entuzjastycznego witania młodych Afrykańczyków przez mieszkańców stolicy. W prasie pisano: „W Warszawie ludzie witają owacyjnie czarnych chłopców. To nie Murzynów witają – to bawią się egzotyką – wzruszył ktoś sceptycznie ramionami. Sczypta – ale tylko szczypta – jest w tym prawdy. Ulica warszawska witała entuzjastycznie (w czasie defiladowego przemarszu) wszystkie delegacje. Ale Murzynów witają na naszych Festiwalach nie tylko warszawiacy, ale właśnie Anglicy. Młodzi Anglicy już drugi raz zebrali fundusze na to, by przyjechać mogli młodzi delegaci z Kenii i Malajów”.³⁹ Ciepłe uczucia mieszkańców stolicy wobec Afrykańczyków autor tej relacji zestawił ze wspomnieniem pobytu w Afryce, pisząc: „Przed piętnastu laty spędziliem kilka dni w Lagos, stolicy Nigerii, brytyjskiej kolonii w Afryce Zachodniej. Pewnego dnia siedziałem na ławce na lotnisku. Obok przysiadł się stary, chory (miał obandażowaną twarz) Murzin. Raptorem wybuchła dzika awantura: stary Murzin został straszliwie, choć krótko zwymyślany przez brytyjskiego oficera. Ławka była „for European only” – tylko dla Europejczyków. W tym samym czasie (była wiosna 1941 r.) w Warszawie... były ławki: „nur fur Deutche”. Tę scenę zapamiętałem sobie na całe życie. I przypomina mi się ona często. Wczoraj, drugiego dnia Festiwalu, widziałem jak na ławeczkę na skwerku nieopodal pl. Unii dwie starsze panie przyjaźnie gwarzyły sobie z Murzynem. Murzyni podczas otwarcia defilady zdobywali ogromne brawa”.⁴⁰

37 *Dokumenty walki młodych. Otwarcie wystaw, „Sztandar Młodych”* 1955, nr 184 z 3 VIII, s. 1.

38 Houdart J., „Nienawiść przegnamy na zawsze...”, „Młodzież Świata”, Organ Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, 1955, nr 8–9, s. 3.

39 *Uśmiech Murzyna*, Kazimierz Kozłowski, „Sztandar Młodych” 1955, nr 183 z 2 VIII, s. 1–3.

40 Ibidem, s. 1–3.

Podczas Festiwalu miało dojść do wielu bezpośrednich spotkań i rozmów między delegatami z państw Europy Zachodniej i ich kolonii. W „Sztandarze Młodych” opisywano relacje ze spotkania, podczas którego młodzi Marokańczycy apelowali do Francuzów: „(...) pomóżcie nam w walce z uciskiem kolonialnym. My w Maroku wiemy, że istnieje duża różnica miedzy rządem francuskim a ludem Francji. Dlatego proszę was, koledzy z Francji o pomoc. Odpowiedź szczupłego Francuza była krótka: Dziękujemy naszemu marokańskiemu koledze za to, że odróżnia rząd francuski od ludu Francji. Pragnę go zapewnić, że młodzież francuska zrobi wszystko, by dopomóc ludowi Maroka w walce o uciskiem kolonialnym”.⁴¹ Opis tego wydarzenia opatrzone komentarzem: „Wbrew komentarzom niektórych rozgłośni zachodnich, pragnących widzieć to wielkie spotkanie młodzieży całego świata tylko jako zabawę, Festiwal warszawski stał się przede wszystkim miejsce wielkich i doniosłych zobowiązań młodzieży różnych kontynentów, pogłówów, wyznań i ras w sprawie najbardziej zasadniczej – w walce o pokój”.⁴²

Z kolei w piśmie „Młodzież Świata” informowano: „W Warszawie wśród wielu innych spotkań odbyło się wzruszające spotkanie młodych Algierczyków i Francuzów. (...) Francuzi wszystkich środowisk, młodzi Algierczycy różnych poglądów politycznych rozumieją, że wypadki, które mają miejsce w Afryce Północnej, rodzą nienawiść, podczas gdy jedni i drudzy mogliby żyć ze sobą w pokoju i przyjaźni. Spotkanie francusko-algierskie było jednym z najważniejszych wydarzeń Festiwalu. Jaką nienawiść może żywić ku tobie 20-letni Francuz? Przyjacielu z Algeru, twój gest i twój uśmiech, są dowodami przyjaźni i zaufania... Ty nie żywisz nienawiści do młodzieży mego kraju ... I Wy i my rozumiemy, jaki to rak zżera Alger... to kolonializm....” – to pisał ten Andre z Francji⁴³.

W czasie Festiwalu w prasie polskiej przytoczono także opublikowany przez francuską gazetę „Avant Garde” list żołnierza francuskiego wysłanego do Algieru, w którym przedstawał on szczegóły tłumienia ruchu narodowo-wyzwoleńczego, pisząc: „Czwarty batalion strzelców – do którego wysłano mnie – stacjonował w Clairefontaine koło Quenza. Przez cztery miesiące mieszkaliśmy w wykopanych w ziemi norach, przykrytych gałęziami. Po tym przerzucono nas pod Quenza – ośrodek górniczy, celem «ochrony» górników. Początkowo spaliśmy pod namiotami, lecz silny huragan pustynny zrywał nasze namioty. Wówczas otrzymaliśmy rozkaz wysiedlenia górników i zajęcia ich mieszkań.

41 Milecki A., *Tu tworzyła się historia, „Sztandar Młodych”* 1955, nr 195 z 16 VIII.

42 Ibidem.

43 Savaris A., *Uśmiech przyjaźni; Konflikt w Afryce Północnej, „Młodzież Świata”, Organ Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej*, 1955, nr 11–12, s. 37.

Mówi się i powtarza, że żołnierze francuscy wysyłani są do Algeru celem »utrzymania porządku« i obrony ludzi przed »bandytami«. Pragnę przytoczyć dwa fakty, których byłem świadkiem.

W czasie operacji na terenach Aures, zatrzymaliśmy karawane wielbłądów. Otrzymaliśmy rozkaz zrewidowania paczek i zaczęliśmy rozwiązywać sznurki. Widząc to jeden z podoficerów wrzasnął: «Idioci, może dać wam jeszcze rękańczki» – i wyrwawszy z pochwy kindział porozrywał sznurki, a następnie bagnetem dziurawił worki, przecinał szukając rzeczy »zakazanych«. W ten sposób, na wzór »panów wyższej rasy«, zatrzymywane są wszystkie karawany.

Drugi fakt, to operacja, w której brałem udział w miejscowości Mechta Bayad w pobliżu Quenza. (...) Całe miasteczko otoczone zostało szczelnym pierścieniem wojska, policji i zmotoryzowanej żandarmerii, po czym przystąpiono do rewizji dom po domu. Przez cały czas akcji nad miastem krążyły samoloty. Ludzie wyrzucani byli brutalnie na ulice, a wnętrza mieszkań płądrowane i niszczone. Byli kombatanci muzułmańscy mieli na piersiach dekoracje zdobyte własną odwagą i krwią w szeregach armii francuskiej, lecz i to nie powstrzymało brutalności policji. (...)

Czy można się dziwić potem, że wszędzie, gdzie przychodzą oddziały wojskowe, rodzi się nienawiść i chęć zemsty, że stare strzałkowe karabiny przekształcają się w broń bojową, że ręce ludności Algeru zbroią się w kindały i sztylety?

Poniżanie godności ludzkiej musi zrodzić nienawiść. Przychodzi okres, gdy przebiera się miarka cierpliwości, gdy duma narodowa nakazuje uzbroić ręce, których nie chciano przyjąć w braterskim uścisku. (...) przysiąglem sobie, że uczynię wszystko, by zdemaskować tych, którzy wykorzystują naszą młodzież dla zbrodniczych celów. (...) Naród Algeru, tak jak i inne narody ma pełne prawo do wolności, do decydowania o swym losie.”⁴⁴

Pisząc o Festiwalu, nie można nie wspomnieć, że w jego trakcie nawiązało się wiele kontaktów prywatnych. Rzeczywiście możliwość obcowania z przybyszami z zagranicy, zwłaszcza o odmiennym kolorze skóry była dla warszawiaków czymś niespotykanym. Dlatego też zagranicznych delegatów często zapraszano do mieszkań prywatnych. Jak wyjaśniano w prasie: „Polki wykorzystywały »fotogenicznych mężczyzn w arabskich szatach«, ponieważ »każda chce mieć pamiątkowe zdjęcie z egzotycznym gościem«”⁴⁵. W istocie podczas Festiwalu: „(...) dla młodej kobiety stanowiło szczyt sukcesu pokazanie się na mieście z kolorowym chłopakiem”, czego skutkiem w kwietniu

44 *Znad Nilu, Kongo i wysp Pacyfiku, „Sztandar Młodych”* Przedfestiwalowe wydanie specjalne, s. 4.

45 Jugenfein E., *Młodość, przyjaźń, pokój, radość, „Przekrój”* 1955, nr 540, s. 8–9.

1956 r. „(...) pojawiło się (...) całkiem pokaźne stadko czekoladowych niemowląt”⁴⁶. Jak wspominał Szymon Kobyliński, podczas Festiwalu zapanował bowiem „Fetysz Przenajspanialszego Cudzoziemca”⁴⁷. Niemniej po warszawskich zakładach fryzjerskich krążyły również plotki o rzekomych gwałtach dokonywanych na młodych mieszkankach stolicy przez mężczyzn o ciemnym kolorze skóry⁴⁸.

Podsumowując, należy zaznaczyć, że bez wątpienia V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów był pierwszym masowym zetknięciem się warszawiaków z izolowanym światem zachodnim i państwami dalekich kultur. O słuszności tego stwierdzenia świadczy fakt, że w 1954 r. na Zachód wyjechało służbowo zaledwie 2064 Polaków, w tym 52 prywatnie⁴⁹. Historyk Andrzej Leon Sowa zaznaczył, że „(...) zetknięcie różnych kultur, stylów, wartości, możliwości wymiany myśli w atmosferze zabawy były szokiem dla polskiej młodzieży”⁵⁰. Autor publikacji na temat Festiwalu – Andrzej Krzywicki zaznaczył, że „(...) dwutygodniowa obecność kilkudziesięciu tysięcy cudzoziemców spowodowała nieodwracalne zmiany w mentalności Polaków, w dużej części izolowanych od świata zachodniego. (...) V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów był (...) zderzeniem ubogiej, szarej i nudnej rzeczywistości (czasem tylko przystrojonej czerwienią) z żywym kolorytem bogatego, różnorodnego świata. Wszystko, co się potem wydarzyło, nie mogło być już takie samo”⁵¹. Jak dalej zauważał: „Festiwal obnażył obłudę i kłamstwa władz państwowych, partyjnych i młodzieżowych, co po części zaczwało potem polską scenę polityczną, a w szeregach ZMP pogłębiło trwający już wcześniej kryzys. Kłamstwa politycznego aktywu osłabiły jego autorytet.”⁵²

Wydarzenie to można więc postrzegać zarówno w kategoriach przyczyny, jak i konsekwencji odwilży. Anda Rottenberg postrzegała wręcz Festiwal jako „(...) bardziej spektakularny objaw politycznej odwilży niż *Poemat dla dorosłych* Adama Ważyka i stopniowe łagodzenie politycznych prześla- dowań.”⁵³

46 Meller M., *Szlafroki na Placu Defilad*, „Polityka” 1995, nr 32, s. 24.

47 Kobyliński S., *Jak dobrze mieć sąsiada*, s. 120.

48 Wojnowski B., *Festiwalowe przechadzki*, s. 2, cyt. za: Krzywicki A., op. cit., s. 284.

49 Zob. Sowa A.L., *Wielka historia Polski. Od drugiej do trzeciej Rzeczypospolitej (1945–2001)*, Warszawa 2003, s. 526.

50 Ibidem, s. 526.

51 Krzywicki A., op. cit., op. cit., s. 14, 75.

52 Ibidem, s. 283.

53 Rottenberg A., *Sztuka w Polsce 1945–2005*, Warszawa 2005, s. 49.

O szoku, jaki na mieszkańców stolicy wywarło zetknięcie się z gośćmi z zagranicy, pisał Andrzej Drawicz: „Byliśmy przekonani, że jesteśmy najweselszą i najszczęśliwszą młodzieżą na świecie, tymczasem w bezpośredniej konfrontacji okazało się, że jesteśmy smutni, ponurzy, ogromnie sztywni, spięci i w ogóle nie wiemy, co ze sobą zrobić. A oni tańczyli, śmiały się, całowali na ulicach... To było dla nas zupełnie nie do wyobrażenia: jak można całować się na ulicy! Trudno opisać jak niesłychany to był szok. I ten ich absolutnie swobodny sposób bycia, cały czas na luzie, kolorowe ubrania... Ciężko to było ogarnąć.”⁵⁴

Drawicz wspominał także reakcję na pojawienie się w Warszawie osób o odmiennym kolorze skóry, pisząc: „(...) ulica warszawska, normalni młodzi ludzie, rzucili się z niesłychaną żarliwością na tych przybyszów z innego świata.”⁵⁵ Z kolei Szymon Kobyliński pisał: „Każdy warszawiak miał uczucie, że do niego przyjechali goście. (...) Warszawa dostała uroczego kręcka. (...) okazało się w owych dniach (...), że można bawić się długo po ułożeniu kur na spoczynek. Można pić kawę, pośpievywać w wesołym gronie, opowiadać gromadnie dowcipy.”⁵⁶

Jeden z anonimowych uczestników Festiwalu wspominał: „Przez cały czas zadawałem sobie pytanie, dlaczego nie bawimy się tak jak nasi koledzy z innych krajów, czemu polskie obrazy, które oglądaliśmy na wystawie plastyki, są takie smutne i melancholijne, czego nam właściwie brak.”⁵⁷

Krzysztof Kosiński relacjonował, że podczas Festiwalu zamiaст pieśni marszowych: „(...) z ulicznych megafonów, które jeszcze wczoraj skrzekliwym głosem nadawały propagandowe dyrydymy, teraz popłynęły zakazane dźwięki rumby i samby, a nawet jazzu. Tego tanecznego korowodu rządzący nie zdołali już powstrzymać.”⁵⁸

54 Meller M., op. cit., s. 23.

55 Ibidem, s. 23.

56 S. Kobyliński S., op. cit., s. 115, 135.

57 Meller M., op. cit., s. 24.

58 Kosiński K., *Rewolta na parkiecie*, „Gazeta Wyborcza” 3–4 I 2004, s. 22.

BIBLIOGRAFIA:

- Kobyliński S., 2003, *Jak dobrze mieć sąsiada*, „Arlekin”, Warszawa.
- Krzywicki A., 2009, *Poststalinowski karnawał radości. V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów o Pokój i Przyjaźń, Warszawa 1955 r. Przygotowania – przebieg – znaczenie*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa.
- Państwa Afryki Zachodniej, Fakty, problemy stabilizacji i rozwoju, polskie kontakty*, 2006 tom 1, pod. red. Zygmunta Łazowskiego, Wydawnictwo Towarzystwa Polsko-Nigeryjskiego, Warszawa.
- Prokopczuk J., 1964, *Polityka zagraniczna PRL na rzecz wyzwolenia narodów kolonialnych (...) 20 lat polityki zagranicznej Polski Ludowej*, Warszawa.
- Rottenberg A., 2005, *Sztuka w Polsce 1945-2005*, Wydawnictwo Piotra Marciszuka Stentor, Warszawa.
- Sowa A.L., 2003, *Wielka historia Polski, Od drugiej do trzeciej Rzeczypospolitej (1945-2001)*, Warszawa.
- V Festiwal Młodzieży, 1955, Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, oprac. Witold Piotrowski.

Prasa

- „Trybuna Ludu”
- „Młodzież Świata”
- „Sztandar Młodych”
- „Polityka”
- „Przekrój”
- „Gazeta Wyborcza”

Generał, szoferek, bohater – czarni warszawiacy w powieściach Gąsiorowskiego i „Wiecha”

Paweł Średziński

W polskiej literaturze ostatniego stulecia pojawiały się stereotypowe przedstawienia mieszkańców Afryki. Najważniejszą rolę w upowszechnianiu obrazu „afrykańskiego dzikusa” miał bez wątpienia Henryk Sienkiewicz (1846–1916). Jednak w tym samym wieku, który pamiętał pierwsze wydanie drukiem przygód *W pustyni i w puszczy*, pojawiły się również inne dzieła literackie, ukazujące Afrykanów w sposób inny niż wspomniane prace Sienkiewicza czy też wspomnienia z wypraw do Afryki, pióra polskich autorów. Wciąż poświęca się tym wyjątkowym dwóm portretom afrykańskiej diaspozy w Warszawie stosunkowo niewiele miejsca. Dlatego opisując dzieje Afrykanów nad Wisłą, nie można zapomnieć o dwóch postaciach literackich: generale Władysławie Jabłonowskim i Jumbo.

Jabłonowski i Jumbo byli z założenia postaciami fikcyjnymi, jednak tak naszkicowanymi, że czytając *Czarnego generała* autorstwa Waclawa Gąsiorowskiego (1869–1939) czy też powieść Stefana „Wiecha” Wiecheckiego (1896–1979) mamy wrażenie, że istniały naprawdę. Obu bohaterów charakteryzował silny związek z Warszawą. I chociaż „Czarnego Generała” i Jumbo, znanego później jako Jan Karaluch, dzieliły od siebie niemal dwa wieki oraz wykonywana profesja, obaj mogli być przykładem patriotycznej postawy. I Gąsiorowski i „Wiech” uczynili z obu bohaterów afrykańskich Polaków, którzy swoim zachowaniem i postawą zaprzeczali obowiązującym stereotypom na temat osób o czarnym kolorze skóry. Budzili zdziwienie wśród mieszkańców Warszawy, oswajając ich z wizerunkiem obcego, który nie jest ani ludożercą, ani dzikusem.

„CZARNY DZIKUS” SIENKIEWICZA

Osoby zajmujące się badaniem twórczości literackiej Sienkiewicza podkreślają jego rolę w kształtowaniu się opinii na temat Afryki wśród polskich czytelników. W czasie, kiedy Sienkiewicz wyprawił się do Afryki, w całej Europie uznawano ten kontynent za upośledzony, pozbawiony historii, gdzie biali kolonizatorzy pełnili ważną misję, opiekując się Afrykanami, którzy zachowywali się jak dzieci. Autor *W pustyni i w puszczy* skopiał te poglądy, podzielane przez mieszkańców krajów europejskich, kolonizujących Afrykę. Jednocześnie utrwała swoje poglądy osobiste na islam i potrzebę chrystianizacji kontynentu afrykańskiego. Negatywny jest obraz muzułmanów, ukazanych przede wszystkim jako handlarze niewolników, fanatyczni wyznawcy islamu, którzy są źródłem nieszczęścia wśród na pół bezbronnych Afrykanów. Z drugiej strony autor podkreślał ważną rolę pełzioną przez chrześcijańskich misjonarzy, którzy bronią czarne dusze przed zagładą, ucząc miejscowych w szkołach i czynią z nich dobrych chrześcijan, by w przyszłości pomogli swoim czarnym współplemieńcom w rozwoju. Jednocześnie Sienkiewicz nie ukrywał ogromnego dystansu, jaki dzielił go od Afrykanów. Osoby o czarnym kolorze skóry sprawiały, że w Afryce wszyscy biali, bez względu na swoje pochodzenie, Anglicy, Francuzi czy też Niemcy, odczuwali solidarność i zapominali o dzielących ich w Europie różnicach. Poza tym Sienkiewicz spędził stosunkowo krótki czas, bo tylko kilkanaście dni w Afryce na południe od Sahary, przez część pobytu leżąc w misyjnym szpitalu, co jeszcze bardziej wpłynęło na osłabienie głębi jego refleksji.¹

Sienkiewiczowska obserwacja afrykańskiej rzeczywistości nie odbiegała od wizerunku, który wykreowały w autorze *Trylogii* relacje z pobytu w Afryce znanych białych podróżników i opowiadania misjonarzy. Miejscowa ludność nie była źródłem informacji. Sienkiewicz obserwował ją, a na swoje widzenie Afrykanów nakładał filtr własnych przekonań i poglądów.

Masowe czytelnictwo *W pustyni i w puszczy* i mniejsze zainteresowanie listami z Afryki przekuło się w wizerunek Afrykanina-Kalego. Obcy z Afryki byli na ogół nagimi dzikusami, zacofanymi i niezdolnymi do decydowania w swoim imieniu. Bez białego Stasia Kali nie poznałby cywilizacji, co zdaniem Sienkiewicza nie zmieniało faktu, że nauki białych Kali pojmuwał „na swój, właściwy Murzynom, sposób”. Znany wielu Polakom stał się dialog Stasia, pełniącego funkcję chrześcijańskiego „misjonarza wśród Murzynów”:

1 O postrzeganiu Afryki przez Sienkiewicza pisała H. Witek w swojej książce *Wizerunek obcego – Kultury afrykańskie w relacjach Henryka Sienkiewicza, Mariana Brandysa i Marcina Kydryńskiego*, Warszawa 2009.

„Powiedz mi – zapytał Staś – co to jest zły uczynek?

- Jeśli ktoś Kalemu zabrać krowy – odpowiedział po krótkim namyśle – to jest zły uczynek.
- Doskonale! – zawała Staś. – A dobry? Tym razem odpowiedź przyszła bez namysłu. – Dobry, to jak Kali zabrać komuś krowy.”²

Afrykanie Sienkiewicza są istotami, nawet jeśli poczciwymi, to interpretującymi wszystko na swój dziki sposób, i „w ogóle na ich wdzięczność liczyć nie można”, „to są dzieci, które zapominają o tym co było wczoraj.”³ Mówią bezokolicznikami, a kiedy Staś opowiada o zbrodni Kaina, głasząc się po brzuchu i pytając, czy Kain zjadł Abla, po tym jak go zabił. W ten sposób Sienkiewicz utrzymał kolejny stereotyp, ludożercy z Afryki, który jadał ludzkie mięso, co jeszcze bardziej podkreślało dzikość mieszkańców kontynentu afrykańskiego⁴.

Wątek ludożerstwa zaistniał również w *Listach z pustyni i z puszczy*, kiedy ich autor opisał wizytę u wodza szczezu U-Doe, pochodzącego z terytorium, które dziś należy do Tanzanii. Sienkiewicz powieiał też stereotyp brudnego Afrykanina i – jak sam wyznał – miał obawę, czy nie posmoli się o czarną skórę afrykańskiego tragarza, który przeniósł go na własnych plecach przez rzekę. Jednocześnie czarni mieszkańcy Afryki są do siebie podobni, dziecięcy, a zanim przywędrowali biali misjonarze i kolonizatorzy, człowiek pożerał człowieka, zaś cały kontynent był „jedną gehenną cierpień, krwi i leż ludzkich”. Sienkiewicz swój stosunek wobec Afrykanów wyrażał też nazywaniem ich „drapichrustami” czy też „murzyńskimi pchełkami”. Przeciwnie stawał im białych przybyszów, którzy oprócz cywilizowania „dzikusów” musieli konsekwentnie egzekwować dyscyplinę, którą sam Sienkiewicz – jak twierdził – stosował wobec tragarzy wynajętych na potrzeby jego wyprawy w głąb kontynentu⁵.

Stereotypy, które utrwały Sienkiewicz nie były czymś wyjątkowym we współczesnej mu Polsce i Europie. Afrykanie byli traktowani w kategoriach ludożerców, dzikusów, niedbających o higienę, wykorzystujących kobiety, podobnych do siebie z wyglądu i trudnych do rozróżnienia. Jak zauważył Maciej Ząbek: „Większość autorów jeżdżących do Afryki fascynowały przede wszystkim możliwości białego człowieka, który był w stanie zmieniać i ulepszać dzikie łady, podporządkowywać sobie ludzi.”⁶

2 Sienkiewicz H., *W pustyni i w puszczy*, Kraków 2000, s. 207.

3 Ibidem, s. 196.

4 Ibidem, s. 207.

5 Sienkiewicz H., *Listy z pustyni i z puszczy*, Poznań 2001, s. 47–184.

6 Ząbek M., *Biali i czarni. Postawy Polaków wobec Afryki i Afrykanów*, Warszawa 2007, s. 151.

Sienkiewicz pisał jednak o Afrykanach w Afryce, która wydawała się odległym od Polski i jej stolicy światem. W praktyce, do czasów powstania powieści Gąsiorowskiego, w polskiej literaturze nie pojawił się pierwszoplany bohater afrykańskiego pochodzenia. Jeśli weźmie się pod uwagę drugi plan, a czasami nawet tło, gdzie zostały zepchnięte postaci Afrykanów z powieści Sienkiewicza, napisanie historii o „Czarnym Generale” było innowacyjnym posunięciem. Oprócz tego, że przyciągało sensacyjnością tematu, uczyniło również z osoby o innym kolorze skóry Polaka, który podobnie jak jego biali rodacy był gotów poświęcić swoje życie ojczyźnie.

„CZARNY GENERAŁ”, CZARNY WARSZAWIAK

Gąsiorowski, związanymi swoimi powieściami związanymi z epopeją napoleońską i powstaniem listopadowym, inspirował kolejne pokolenia Polaków, urodzonych i wychowanych pod zaborami. Osadzał bohaterów w czasach i miejscach, których atmosferę oddawał w mistrzowski sposób, wciągając w ich wartką akcję czytelników. Gąsiorowski dobierał wydarzenia i postaci w tak umiejętności sposób, że nie znając historii, trudno było odróżnić fikcję od faktów. Nie inaczej stało się w przypadku *Czarnego Generała*, w której to powieści Gąsiorowski odwołał się do postaci Władysława Jabłonowskiego (1769–1802) nazywanego „Murzynkiem”, bo „wykazywał pewne cechy murzyńskie”, syna Marii Franciszki z domu Delaine i Konstantego Aleksandra Jabłonowskiego. W czasach współczesnych Jabłonowskiemu, uważało się, że był „owocem fatalnego zapatrzenia się matki”. Kariera wojskowa „Murzynka” zaczęła się na dobre dopiero w czasach insurekcji kościuszkowskiej (1794), chociaż już wcześniej odebrał on odpowiednie wykształcenie w paryskiej Szkole Wojskowej, gdzie uczył się również późniejszy Cesarz Francuzów, Napoleon Bonaparte. Od chwili definitywnej klęski Rzeczypospolitej Jabłonowski uczestniczył w próbach przywrócenia wolności Polsce pod zaborami. Ostatecznie znalazł się w legionach we Włoszech, a kiedy nastąpił kryzys tej formacji, wyruszył na San Domingo, już w randze francuskiego generała. Jerzy Skowronek w posłowie do książki *Czarny Generał* zauważał, że nie poznamy nigdy pełnej odpowiedzi na pytanie, czy „Murzynek” był żarliwym patriotą czy też postacią na służbie u Francuzów szkodzącą sprawie polskiej. Nie ulega wątpliwości, że Jabłonowski, nazywany „Murzynkiem”, był postacią historyczną. Marian Kukiel pisał o nim jako o szkolnym koledze Bonapartego, omawiając także przebieg jego misji w Polsce znajdującej się pod trzema zaborami. Gąsiorowski, wbrew swoim współczesnym i historykom, ocenił Jabłonowskiego pozytywnie, tworząc

z niego bohatera godnego naśladowania, pełnego determinacji, stawiającego interes Polski nad swój prywatny⁷.

Bezsprzecznie Gąsiorowski ubarwił opowieść o Jabłonowskim, równocześnie osadzając ją w historycznym kontekście epoki, co uwiarystodołu fikcję literacką. Już samo przyjęcie nazwiska Jabłonowski mija się z historyczną prawdą. Według Gąsiorowskiego „Murzynek” był synem żony księcia Mikołaja Radziwiłła, która w Paryżu dała się porwać w wir życia dworskiego, „jeła szukać wrażeń silniejszych, nowych” i w „zapomnieniu” zaszła w ciążę z czarnym sługą, „Murzynem Bebem”. Owoc tej znajomości okazał się kłopotliwy, odkąd w Warszawie zaczęły krążyć plotki o czarnym dziecku księżnej, a drogę tym sensacyjnym wiadomościom torowała obecność Beba w warszawskim pałacu, w którym Radziwiłł umieścił swoją małżonkę⁸.

Z powieści Gąsiorowskiego wynikało, że „Murzyn” Beb trafił z Francji do Polski, a za wszelkie próby zbliżenia się do swojego dziecka był karany przez księżną, której służba nie żałowała mu razów. Miała przy tym „przesiądczenie, że nie tylko Murzynowi, ale i diabłu po trosze kurtę sprawia”. Beb przyjmował kary cielesne z godnością, za wszelką cenę trwając w postanowieniu, że musi przebywać w pobliżu dziecka, nawet jeśli ceną za to było by największe poniżenie. Zakradał się do kołyski syna, wpatrywał się w niego, czym wywoływał jeszcze większy gniew u księżnej. Gąsiorowski pisał też, że Beb „za człowieka uważanym być nie mógł”, bo i w zachodniej Europie, osobom o czarnym kolorze skóry, nie przyznano jeszcze żadnych praw. To postrzeganie obcego jako wręcz nieludzką istotę miało jeszcze bardziej pograżać jego byłą kochankę, obawiającą się wykrycia prawdy przez rodzinę księcia Radziwiłła. Dlatego, oprócz sposobu na pozbycie się dziecka, księżna szukała możliwości uwolnienia się od Beba⁹.

Kiedy cel odsunięcia od siebie podejrzeń o przyprawienie „czarnych rogów” prawowitemu mężowi został osiągnięty, księżna wyznaczyła dziecku – „Czarnemu Generałowi” – przybranego ojca, po którym nosiło ono nazwisko Jabłonowski oraz nową matkę rekrutującą się spośród służby. Odtąd chłopiec był wychowywany przez obcą kobietę bez ojca, w przekonaniu, że ten zginął kilka miesięcy po ślubie z przybraną matką. Rysy twarzy sprawiały dziecku wiele kłopotów. Gąsiorowski pisał, że „jest dobrze naznaczony przez naturę” i że Jabłonowski „był prawie czarny, był plamą wśród ludzi, był dziwowiskiem”, a w szkole wojskowej we Francji brano go „za jakiegoś zamorskiego półdzikusa”, wątpiąc w jego polskie pochodzenie. Z kolei

7 Skowronek J., *Posłowie* [w:] Gąsiorowski W., *Czarny Generał*, Warszawa 1987, s. 307–311. Zob. także Kukiel M., *Próby powstańcze po trzecim rozbiorze*, Kraków 1912.

8 W. Gąsiorowski, op. cit., s. 38–39.

9 Ibidem, s. 41–42.

w czasie potajemnego chrztu proboszcz orzekł, przyglądając się Jabłonowskiemu, że jest „czarnym smoluchem, w którym siedzą przynajmniej dwa licha.”¹⁰

Piętno koloru skóry i wynikające z tego przeświadczenie „Murzynka” o upośledzeniu okazało się w końcu mało ważne. Gąsiorowski podkreślił, że Jabłonowski, chociaż czarny, miał białe serce. Tak traktował go jeden z kapucynów, wśród których w warszawskim klasztorze „Murzynek” znalazły schronienie, kiedy stolica Polski była już częścią zaboru pruskiego, a on przyjechał z tajną misją:

„Daruj waszmość, aleć nietrudno mi zgadnąć, że z imć panem majorem Władysławem Jabłonowskim mam honor... Major uśmiechnął się smutnie.

– At, prawda, że nietrudne zgadywanie. Natura tak mi twarz wyczerniła, że choć po nocy...

– Lecz serce białe, panie majorze, a w tym sedno, boć doczesna nasza powłoka – czy tak, czy siak – a zbutwieć musi.”¹¹

W podobnym tonie, co wspomniany wyżej kapucyn, wyraził się kapucyński przeor, który powiedział do Jabłonowskiego: „Pomyśl, czyżby miał kto słuszność zaprzeczać ci polskości, którą wyznajesz, dlatego żeś ciemnego oblicza?”¹²

To białe serce szło w parze z patriotyczną postawą „Murzynka”. Gardził on według Gąsiorowskiego sprusaczonymi Polakami, nie godząc się na propozycję służby u króla Prus i wciąż wierząc, że wśród mieszkańców Polski pod zaborami „nie wszystko się jeszcze sprusaczyło, nie wszystko szczęzo.”¹³

Zatem Gąsiorowski wykreował Jabłonowskiego na bohatera niegodzącego się na kompromisy, zdolnego do bezgranicznego poświęcenia dla ziemi ojców, którą umiłował całym sercem. Ta bezkompromisowość Jabłonowskiego miała mu przysporzyć więcej wrogów niż przyjaciół, mówiono o nim z pewną niechęcią. „Żołnierzem był Jabłonowski, żołnierzem, a nie statystą, nie politykiem.”¹⁴

W dalszej części powieści Gąsiorowski wysłał jej bohatera do Berlina, gdzie Jabłonowski miał zabiegać o przyjęcie do wojsk pruskich, ale tylko dlatego, że chciał w ten sposób podstępem uwolnić polskich generalów znajdujących się w rękach Prusaków. Wszystko było podporządkowane służbie Polsce, której „Murzynek” poświęcał się do końca życia, walcząc później w szeregach legionowych we Włoszech. I tu jednak nie był przez wszystkich lubiany, bo traktowano go jak „napiętnowanego diabła” i „francuskiego

10 Ibidem, s. 93.

11 Ibidem, s. 109–133.

12 Ibidem, s. 142.

13 Ibidem, s. 134.

14 Ibidem, s. 144–145.

lizusa” mówiącego swobodnie w języku Francuzów. Był obcym wśród ludzi, których uważały za swoich rodaków, a także wśród francuskich oficjeli uznających go za Polaka. Kiedy polskie jednostki u boku Francji przestały być potrzebne w Europie, Jabłonowski ruszył dalej, wspólnie z francuską armią, na San Domingo. Haiti okazało się jego grobem, ale aż do śmierci czuł się związany żołnierską dyscypliną i nie przeszedł na stronę czarnych powstańców walczących z Francuzami. Czuł się Polakiem nawet wtedy, gdy wzywano go do spieszenia na pomoc „kolorowym braciom”. Odpowiedział wtedy bez wahania: „Jestem Polakiem!”¹⁵.

Losy Jabłonowskiego, o których pisał Gąsiorowski, były w dużej mierze fikcją literacką. Gąsiorowski utorował jednak drogę czarnym bohaterom w polskiej powieści, którzy nie byli już dzikusami, lecz żarliwymi patriotami. Chociaż autor *Czarnego Generała* nie uniknął sformułowań równających kolor skóry z naznaczeniem i diabelskością, to tytułowy „General” był przede wszystkim Polakiem, był jednym z mieszkańców Warszawy, których niespokojny koniec XVIII wieku wciągnął w wir swoich wydarzeń. „Murzynek” był zatem praktycznie pierwszą postacią afrykańskiego pochodzenia potraktowaną życzliwie przez polskiego pisarza. Niestety nie jesteśmy w stanie dokładnie poznać losów prawdziwego Jabłonowskiego, który stał się inspiracją Gąsiorowskiego.

SZOFERAK JUMBO, CZYLI JAN KARALUCH

O ile Gąsiorowski stworzył wzór afrykańskiego Polaka-bohatera, „Wiech” postanowił przenieść Afrykanina na warszawską ulicę w charakterze szofera, doskonale posługującego się warszawską gwarą. Afryka i Afrykanie pojawiły się już wcześniej, przed powstaniem powieści *Cafe „Pod Mino-gą”* (1947), która ukazała się najpierw w częściach na łamach „Przekroju”. Już w swoich przedwojennych opowieściach „Wiech” pisał o „starozakonnym Murzynie”, najprawdopodobniej etiopskim wyznawcy judaizmu, który był żydowskim kantorem na gościnnych występach w stolicy. Ów potomek królowej Saby, która miała romans z biblijnym Salomonem – jak pisał Wiechecki – nazywał się Tewele Kahan i trudnił się, oprócz śpiewania na koncertach, bałamuнием mężatek¹⁶.

15 Ibidem, s. 247–306.

16 Wiechecki „Wiech” S., *Starozakonny Murzin* [w:] idem, *Skarby w spodniach*, Kraków 2005, s. 168–169. Za potomków Salomona i Saby uznają się etiopscy Żydzi (Fela-szowie).



Ilustracja z książki *Cafe „Pod Minogą”*
rys. J. Zaruba

Etiopia, która w przedwojennej Warszawie ożyła w okresie włoskiej inwazji na ten afrykański kraj, znalazła swoje miejsce również w krótkich opowiadaniach „Wiecha”. I tak niejaki Pan Alojzy Knapik, który wracał z imieniem w stanie nietrzeźwym, postanowił przypomnieć grupce warszawskich Żydów o ich obowiązku pomocy dla abisyńskich następców Salomona. Uformował ich w szereg i dopiero interwencja policji ostudziła zapał Knapiaka. Z kolei Mikołaj Ptaś, „zdun galanterijny”, wygłosił z komina przy Kamiennej na Pradze mowę poświęconą wojnie w Etiopii. Według Ptasia „Murzyny nie frajerzy, nie mają życzenia włoskich lodów z rodzinami optychać. I po mojemu mają rację.” Po przemowie, w obliczu nadciągających sił porządkowych, Ptaś zaczął twierdzić, że jest Etiopczykiem i rozpoczął poszukiwania abisyńskiego konsulatu¹⁷.

Dopiero jednak w *Cafe „Pod Minogą”* Wiechecki wprowadził postać Afrykanina, nazywając go Jumbo, przebierając w strój warszawskiego szoferaka, władającego stołeczną gwarą. Jumbo pojawił się na stronach powieści „Wiecha” obok równie barwnych postaci z warszawskiej ulicy, Maniusia Kitajca, braci Piskorskich, Konstantego Aniołka – prowadzącego na Starówce lokal „Pod Minogą” – i pana Konfiteora, zajmującego się obsługą pogrzebów. Humorystyczna konwencja powieści Wiecheckiego pozwalała mu przemyić sytuacje, w których w dosadny sposób konfrontował stereotypy na temat Afrykanów z rzeczywistością. Już w pierwszym rozdziale znalazł się znany, również z filmowej adaptacji *Cafe „Pod Minogą”*, dialog:

„W neutulonym żalu pozostaje się cała rodzina Aniołków, a także samo i ja, sąsiad przez ścianę, żeśmy małpy nie mogli dla pana szanownego przygotować albo chociaż papugi po polsku z nadziemiem. Małpy nie można było dostać, papugie co prawda mamy w klatce na bufecie, ale w charakterze rozrywki umysłowej i twarda by była, bo sztuka jest wiekowa, jeszcze za ojca pana Aniołka jeden kataryniarz ją tu przepił. Z drugiej znowuż strony przykro nam jest, bo wiemy, że dzikie faceci inszy smak mają aniżeli naturalne.

Murzyn spoważniał, błysnął zębami i odpowiedział porywczo:

- Z kogo że pan tu humorystyczną drakie odstawiasz, panie szanowny, jaki że ja dzik jestem, o wiele dwadzieścia pięć lat w Warszawie mieszkam. Małpy ani papugi cholery za żadne pieniądze do ust bym nie wziął, formalną zakąską tak jak i pan się posługuje.
- A w takim razie przepraszam i widzę, że z pana szanownego leguralny warszawiak, chociaż w kolorze żałobnym.”¹⁸

17 Wiechecki „Wiech” S., *Agent negusa* [w:] idem, *Trup przy telefonie*, Kraków 2007, s. 9–10. Zob. także *Abisyńczyk na dachu* [w:] idem, *Wytworny rzeźnik*, Kraków 2008, s. 72–73.

18 Wiechecki „Wiech” S., *Cafe „Pod Minogą”*, Warszawa 1957, s. 11.

Kim był Jumbo z *Cafe „Pod Minogą”* napisał sam „Wiech” w swoich wspomnieniach warszawskich *Piąte przez dziesiąte*:

„Murzyn Jumbo, jeden z bohaterów tej powieści, był postacią podpatrzoną z życia. Kiedyś dawno przed wojną na rogu Złotej i Zielnej, spotkałem dziwną parę. Ona mała pulchna blondynka, on wysoki barczysty Murzyn. Teraz taki widok nie stanowi żadnej sensacji, wówczas budził ogromne zainteresowanie. Murzyna mieliśmy w Warszawie tylko jednego, co najwyżej dwóch.

Para spotkana przeze mnie była najwyraźniej pokłócona, on szedł z po-nuro opuszoną głową, a ona miała do niego tak zwaną mowę. Wreszcie Murzyn zatrzymał się i zawała:

- A dajże ty mnie, do wielkiej cholery, spokój!

Było to powiedziane najczystszą warszawską polszczyzną z wyraźnym akcentem z okolic Kercelaka.”¹⁹

To właśnie to wydarzenie miało skłonić Wiecheckiego do stworzenia postaci Jumbo, który władał sprawnie warszawską gwarą. Wspomniana przez „Wiecha” blondynka miała być pierwowzorem Apolonii Karaluch, żony Jumbo, występującej na kartach powieści. Opisane w *Cafe „Pod Minogą”* wypadki miały w większości „za podstawę realne fakty, nieco tylko zmienione na potrzeby powieści.”²⁰

Akcja *Cafe „Pod Minogą”*, która rozgrywała się w okresie od pamiętnego 1939 r. po okres powojenny, przeprowadziła bohaterów tej powieści przez okupacyjną rzeczywistość, łącznie z bezpośrednim udziałem jej bohaterów w powstaniu warszawskim. Jumbo Johnson, który ukrywał się jeszcze przed wojną w związku z tajemniczym zniknięciem jego chlebodawcy, Amerykanina Briksa, we wrześniu 1939 r. miał wziąć czynny udział w obronie Warszawy i „dzielnie się spisywał”. Był warszawiakiem w każdym calu, łącznie z gwarą, bo po polsku nie mówił poprawnie wyłącznie w sytuacji nadużywania alkoholu, natomiast na trzeźwo doskonale władał językiem mieszkańców stolicy. Wkroczenie Niemców sprawiło, że Jumbo znów musiał przebywać w ukryciu, tym razem w stroju żałobnym wdowy, zyskując nową tożsamość niejakiej Emalii Czarnomordzik. „Rzecz wiadoma” – pisał „Wiech” – „że Niemcy Murzynów z miejsca zamykają do mamra, gdzie ich tylko przytracą, bo pod względem zbradziażenia cielesnej rasy są dla nich szczególnie niebezpieczne.”²¹

19 Wiechecki „Wiech” S., *Piąte przez dziesiąte – wspomnienia warszawskie*, Warszawa 1970, s. 120.

20 Ibidem, s. 118.

21 Wiechecki „Wiech” S., *Cafe „Pod Minogą”*, op. cit., s. 42–44.

Jednocześnie Jumbo wykazywał się chwilami znacznie większym sprytem niż jego warszawscy kompani, uznawani za wzorzec warszawskich cwaników. Był przecież inicjatorem zabrania pieniędzy, które Briks ukrył w swoim mieszkaniu w Alei Róż, zanim w tajemniczych okolicznościach opuścił stolicę. Okazało się jednak, że wspólnicy Jumbo nie potrafili zapamiętać wskazówek udzielonych im przez afrykańskiego warszawiaka. Stąd pierwsza próba dostania się do milionów zostawionych przez Amerykanina skończyła się niepowodzeniem, bo niedoszli milionerzy pomyliły piętra. Zdobycie pieniędzy nie powiodło się również kolejnym razem i bohaterowie *Cafe „Pod Minogą”* nigdy nie wzbogacili się o banknoty i złoto schowane w Alei Róż²².

Równie oryginalnie „Wiech” przedstawił okoliczności, w jakich Jumbo trafił w ręce Niemców. Na wieść o tym, że USA wypowiedziały wojnę Niemcom, wbiegł do lokalu „Pod Minogą”, ujawniając swoją tożsamość i wykrzykując, że już po III Rzeszy, bo „Ameryka się wtrąciła”. Jumbo trafił na gestapo, a kiedy Berlin uznał, że „jeden Murzyn w prowincjalnym mieście Guberni Generalnej nie przedstawia zbyt wielkiego niebezpieczeństwa dla czystości rasy wielkich Niemiec”, Jumbo został zmuszony do pracy w „Adrii”, warszawskim lokalu wtedy „tylko dla Niemców”, gdzie wykonywał program artystyczny. Kariera „gestapowskiego baletnika” nie zmieniła poglądów Jumbo, który po pracy pomagał swoim warszawskim przyjaciółom, wchodząc m.in. w skład komitetu na rzecz uwolnienia redaktora Zagórskiego, aresztowanego przez okupacyjne władze²³.

Późniejsze losy Jumbo koncentrowały się wokół dwóch wątków. Pierwszy był związany z historią Warszawy i powstaniem warszawskim. Drugi dotyczył jego miłości do Polki, Apolonii Karaluch, z którą ożenił się już po wojnie. W dniu wybuchu powstania Jumbo, pomimo aresztowania, przedostał się na Stare Miasto, gdzie walczył, ubrany „w nakrapianą esesmańską panterkę z białym kapturem oraz wojskową rogatywkę z orłem.” Miał wspólnie z Maniusiem Kitajcem walczyć w obronie powstańczej barykady. Wziął też udział w wypadzie do Zamku Królewskiego i tam wykorzystał swój kolor skóry do zaskoczenia stacjonujących w dawnej siedzibie polskich królów Niemców i własowców. Kompani Jumbo umazali twarze na czarno i udając afroamerykańskich żołnierzy, którzy przybyli z pomocą powstaniu, wydostali się z pułapki obsadzonej przez wroga²⁴.

22 Ibidem, s. 52–63.

23 Ibidem, s. 67–75.

24 Ibidem, s. 142–165.



Ilustracja z książki *Cafe „Pod Minogą”*
rys. J. Zaruba

Jumbo po raz kolejny dowiodł swego patriotyzmu i związku z Warszawą, której bronił nie tylko w kampanii wrześniowej, ale także w powstaniu. Nie wiemy, czy „Wiech” opowiadając o losach Jumbo, odwoływał się do wydarzeń, o których wiedział, że miały miejsce w okupowanej stolicy. Co prawda historyczność postaci Jumbo mogłaby być dyskutowana, niemniej jednak udało się Wiecheckiemu zbudować koloryt lokalny m.in. poprzez wprowadzenie do *Cafe „Pod Minogą”* tematyki obyczajowej i integrację obcego o czarnym kolorze skóry z warszawską społecznością. Autor połączył węzłem małżeńskim Jumbo i Apolonię Karaluch. Była to miłość od pierwszego wejrzenia, jeśli wierzyć wersji „Wiecha”. Poznali się jeszcze przed powstaniem, przy okazji kolejnej próby zdobycia pieniędzy Brixsa ukrytych w domu w Alei Róż, zajmowanym wówczas przez volksdeutscha. Pod nieobecność nowego właściciela domu pilnowała służąca Apolonia, która Jumbo miał obezwładnić i znaleźć poszukiwany bez powodzenia „skarb”. Okazało się, że Afrykanin zamiast położyć służącą na podłodze, położył ją, ale na tapczanie, kładąc się razem z nią. „Zakochał się cholera od pierwszego spojrzenia” – relacjonowała Maniuś nieudaną akcję²⁵.

Olbrzymia Apolonia, „która Murzyn Jumbo zdobył wstępny bojem w niezwykłych okolicznościach” odnalazła egzotycznego amanta i zaczęła się z nim regularnie spotykać. Miłość zaowocowała przekazaniem kluczy do mieszkania, w którym pracowała, w momencie opuszczenia przez volksdeutscha Warszawy. Apolonia, tuż przed wyjazdem ze swoim pracodawcą, zapewniła Jumbo, że do niego wróci. Tak też się stało i jeszcze w powstańczej stolicy zakochani w sobie, Apolonia i Jumbo, ponownie się spotkali, aby odtąd żyć razem. „Jumbo przyjął nazwisko swojej wybranki i polskie imię Jan, stając się po wojnie właścicielem przedsiębiorstwa taksówkowego wspólnie z Kitajcem i Piskorskimi.”²⁶

Niewątpliwą zasługą „Wiecha” było wprowadzenie bohatera afrykańskiego pochodzenia do powieści, która przełamywała większość stereotypów na temat mieszkańców Afryki. Jumbo był nieraz bardziej warszawski niż rodowici warszawiacy przedstawieni na kartach *Cafe „Pod Minogą”*. Związek z białą kobietą, walka w powstańczych szeregach, patriotyczna postawa we wrześniu i pociąg do napojów alkoholowych czyniły z niego „legurnego” mieszkańca stolicy. Szoferak Jumbo dał się lubić i zaskakiwał swoich rozmówców. Nawet jeśli „rozstawał komuś familię po kątach”, czynił to w dialekcie warszawskim.

25 Ibidem, s. 103–105.

26 Ibidem, s. 136–138, 184–198.

JUMBO NA DUŻYM EKRANIE

Pierwsza powieść „Wiecha”, *Cafe „Pod Minogą”*, doczekała się ekranizacji. W 1959 r. powstał film i to w jednej z najlepszych obsad. Maniusiem Kitajcem został Adolf Dymsza, Apolonią Karaluch – Hanka Bielicka, a Konfiteorem – Bolesław Płotnicki. Z kolei w roli Jumbo został obsadzony student z Afryki, Mokpokpo Dravi. Z tego ostatniego aktora Wiechecki nie był zadowolony, bo nie władał on jak książkowy Jumbo warszawską gwarą. Mówił zaledwie polszczyzną, która była mu potrzebna do studiowania. Jak wspominał Wiechecki, współautor filmowego scenariusza: „Miły student z Ghany, krejący tę rolę, nie zdążył na tyle opanować polskiej mowy, żeby przedstawić nam postać prawdziwego warszawskiego Murzyna”. Mówił też swoim głosem, bo reżyser filmu, Bronisław Brok, nie zgodził się na dubbing. W opinii „Wiecha” Brokowi nie udało się stworzyć „postaci warszawskiego cwniaka urodzonego w Afryce”. I chociaż wiele innych rzeczy miało się nie udać w tej filmowej adaptacji *Cafe „Pod Minogą”*, to Wiechecki przyznawał, że odtworzenie klimatu przedwojennej Warszawy nie było łatwe i Brok wyszedł z tego zadania obronną ręką²⁷.

Rzeczywiście przełożenie prozy „Wiecha”, z jej dynamiką i warszawską gwarą, na język filmu nie było proste. Nie było też przedwojennej Warszawy, a za plenery nierzadko służyły łódzkie atelier, odtwarzające przedpowstańową warszawską Starówkę. Jedynie część scen zrealizowano na Targówku, Starym Mieście, Myśliwieckiej i Solcu. Specjalnie z Wybrzeża sprowadzono jedyny rzeczywisty rekwizyt – słoiki z minogami. Natomiast Jumbo był w rzeczywistości studentem z Togo, studującym filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Według reżysera relacje między Jumbo a pomagającymi mu warszawiakami, świadczące o ludzkiej solidarności z obcym przybyszem – ukrywanym przecież przez warszawiaków ze Starówki – czyniły z komedii *Cafe „Pod Minogą”* komedię „liryczną i humanistyczną”. Film nie opowiadał jednak popowstaniowych losów Kitajca i jego przyjaciół, zaś fabuła odbiegała od literackiego pierwowzoru. Nie nastąpił też ciąg dalszy, który miał być kontynuacją przygód Maniusia Kitajca opisanych w drugiej powieści „Wiecha” Maniuś Kitajec i jego ferajna. W roku zakończenia produkcji filmu była ona prawie gotowa, miała już tytuł²⁸.

W filmie zostały powtórzone i dopisane do scenariusza sceny, które miały przełamywać stereotypy. Ówczesne komunistyczne władze Polski mogły patrzeć przychylnym okiem na dowody braterskiej przyjaźni z Afry-

27 Wiechecki „Wiech” S., *Piąte przez dziesiąte*, op. cit., s. 120. Mokpokpo Dravi – według jego własnej relacji – urodził się w Togo, ale jego rodzice pochodzili z Ghany.

28 Oleksiewicz M., *Cafe pod Minogą*, „FILM” 1959, nr 51–52.

kanami, którzy wyzwalali się w drugiej połowie lat 50. spod kolonialnej zależności. Dialog o jedzeniu małp przez mieszkańców Afryki przybliżał Polakom dekolonizujące się kraje tego kontynentu. Film zmienił też Apolonię Karaluch, która nie była jak pierwotny literacki 200-kilową kobietą, z potężnym ramieniem, przyduszającym afrykańskiego narzeczonego. Sama scena ich spotkania też została inaczej przedstawiona w filmie, bo Apolonia zaskoczona przez Jumbo, którego wcześniej widziała na podwórku w czasie jego występu, zamiast krzyczeć ze strachu, namiętnie rzuca się w objęcia nieoczekiwanej gościa, zwracając się do niego „mój ludożerco”. Wątek miłości między białą warszawianką a czarnym warszawiakiem urodzonym w Afryce również przełamły stereotypy, pokazywał, że „Murzyn” jest „nasz”, polski i warszawski, nawet jeśli nie walczył tak jak w powieści na powstańczej barykadzie. Jumbo nie był już obcy, a mieszkańcy stolicy nie należeli do innego świata. Proza „Wiecha” i późniejsza jej ekranizacja torowały zatem drogę międzykulturowemu dialogowi. *Cafe „Pod Minogą”* było bowiem pierwszym filmem, który wprowadził do galerii pierwszoplanowych postaci Afrykanina.

ANTYRASIZM LUDOWY „WIECHA”

W 1960 r. ukazała się kontynuacja przygód Jumbo, wspomniana już powieść *Maniusz Kitajec i jego ferajna*. Jan Karaluch pozostał po wojnie w stolicy i mieszkał ze swoją małżonką Apolonią na Służewcu, gdzie mieli „piękne dwupokojowe mieszkanie spółdzielcze z łazienką i telefonem”. Kupili je dzięki zapobiegliwości Apolonii i pomocy brata Jumby, mieszkającego w Ameryce, który oprócz pieniędzy na mieszkanie przysłał im jeszcze „szew-rolę na taksówkę”²⁹.

W *Maniusiu Kitajcu i jego ferajnie* nie było już dramatycznych wydarzeń z czasów wojny, lecz powojenna warszawska rzeczywistość. Jumbo wspólnie z warszawskimi przyjaciółmi i żoną odnalazł się w tej nowej, komunistycznej rzeczywistości. Nie był już jednak tak często przywoływany na stronach drugiej powieści „Wiecha”. Po części dlatego, że trafił do więzienia, niesłusznie oskarżony, wspólnie z jednym z Piskorszczaków o kradzież obrazu z muzeum w Szczecinie. Sprawa sądowa zakończyła się szczęśliwie dla Jumbo, dzięki prywatnemu śledztwu Maniusia Kitajca i schwytaniu prawdziwego złodzieja dzieł sztuki. Jednak jeszcze w czasie rozprawy w sądzie, zanim Kitajec pomógł złapać właściwą osobę, „Wiech” informował czytelników powieści, że Jumbo, czy też Jana Karaluch, „tyle zarabiał, że mógłby każe-

29 Wiechecki „Wiech” S., *Maniusz Kitajec i jego ferajna*, Warszawa 1960, s. 49.

go z nas kupić. Jako właściciel taksówki miał dobry dochód z licznika i poważne boki.” W ten sposób dobremu znajomemu, jeszcze z czasów *Cafe „Pod Minogą”* starał się pomóc pan Aniołek, który przekonywał sąd w czasie składania zeznań w charakterze świadka, że „Murzyni są na ogół mało kradnące”³⁰.

Wiechecki upowszechniał w swoich obu powieściach coś, co można nazywać antyrasizmem ludowym. Jumbo pełnił w nich rolę czarnego warszawiaka, który budził zainteresowanie ludzi, ale nie był ani razu przedstawiony jak dzikus. „Wiech” promował w ten sposób postawę antyrasistowską, pozbawioną uprzedzeń wobec osób o innym kolorze skóry, wpisaną w warszawski folklor. Oswajał warszawian z przybyszem z innego kontynentu, wskazując nie na to, co różniło Polaków i Afrykanów, lecz na to, co ich łączyło i upodobniało do siebie.

PODSUMOWANIE

Powieści Gąsiorowskiego i „Wiecha” mogłyby również dziś służyć za lektury z powodzeniem zastępujące *W pustyni i w puszczy*. Nie są popularne i znane szerszemu gronu czytelników, a przecież ich znaczenie w prezentacji dziejów afrykańskiej diasporы nad Wisłą jest nie do przecenienia. Przypominają nam o postaciach, których istnienie zostało potwierdzone przez historię bądź relacje współczesnych im warszawian, nawet jeśli w dużej mierze były wytworem literackiej fikcji. Podobnie rzecz ma się z filmem *Cafe „Pod Minogą”*, który jest nie tylko kontynuacją dialogu z Afryką, ale również obrazkiem dawnej Warszawy, dziś już nieistniejącej. Powieści te służyły też temu, by nie dochodziło do sytuacji, jak opisana przez A. Zajączkowskiego, gdy „jeden z pierwszych studentów afrykańskich w Polsce opowiadał, że w czasie akcji żniwnej, w której brał udział, młodzież wiejska sprawdzała, czy nie jest on naszym chłopakiem dla kawału pomalowanym.”³¹

30 Ibidem, s. 197.

31 Zajączkowski A., *Czarna Afryka w oczach Polaków* [w:] *Sąsiedzi i inni*, red. A. Garlicki, Warszawa 1978, s. 248.

BIBLIOGRAFIA:

- Gąsiorowski W., 1987, *Czarny Generał*, Warszawa.
- Kukiel M., 1912, *Próby powstańcze po trzecim rozbiorze*, Kraków.
- Oleksiewicz M., *Cafe pod Minogą*, „FILM” 1959, nr 51–52.
- Sąsiedzi i inni, 1978, red. A. Garlicki, Warszawa.
- Sienkiewicz H., 2001, *Listy z pustyni i z puszczy*, Poznań.
- Sienkiewicz H., 2000, *W pustyni i w puszczy*, Kraków.
- Wiechecki „Wiech” S., 1957, *Cafe „Pod Minogą”*, Warszawa.
- Wiechecki „Wiech” S., 1960, *Maniuś Kitajec i jego ferajna*, Warszawa.
- Wiechecki „Wiech” S., 1970, *Piąte przez dziesiąte – wspomnienia warszawskie*, Warszawa.
- Wiechecki „Wiech” S., 2005, *Skarby w spodniach*, Kraków.
- Wiechecki „Wiech” S., 2007, *Trup przy telefonie*, Kraków.
- Wiechecki „Wiech” S., 2008, *Wytworny rzeźnik*, Kraków.
- Witek H., 2009, *Wizerunek obcego – Kultury afrykańskie w relacjach Henryka Sienkiewicza, Mariana Brandysa i Marcina Kydryńskiego*, Warszawa.
- Ząbek M., 2007, *Biali i czarni. Postawy Polaków wobec Afryki i Afrykanów*, Warszawa.



Mokpokpo Dravi, pół wieku
po zagraniu w filmie *Cafe „Pod Minogą”*.
Zdjęcie nadesłane przez córkę Draviego

Paweł Średziński

Co się stało z Mokpokpo Dravi?

Mokpokpo Muki Kodzo Dravi był odtwórcą roli Jumbo w filmie *Cafe „Pod Minogą”*. Od kilku lat próbowałem ustalić, co się z nim stało. Jedynym śladem był film i wpis o pracy magisterskiej i rozprawie doktorskiej obronionych w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. W pierwszym przypadku była to praca z 1963 r. pt. *Społeczne aspekty przemian politycznych w Afryce tropikalnej*, której promotorem był najprawdopodobniej Szymon Chodak. W drugim – doktorat, który widnieje w spisie prac z 1980 r., zatytułowany *Popular participation and personalization of power. The case of some rural institutions in Africa*, którego promotorem był Andrzej Zajączkowski.

Szczęśliwym trafem udało mi się skontaktować z córką filmowego Jumbo, Elom-Amen Dravi, która w tym roku, w związku ze zbliżającymi się 80. urodzinami ojca, znalazła tekst w serwisie Afryka.org, zatytułowany *Co się stało z Mokpokpo Dravi?* Tytuł artykułu przetłumaczyła na angielski i napisała do Fundacji „Afryka Inaczej” z prośbą o informację, czy istnieje możliwość zdobycia kopii filmu z udziałem jej ojca. Poprosiłem ją o pomoc w odpowiedzi na pytania dotyczące jego historii. I chociaż Mokpokpo Dravi, z powodu złego stanu zdrowia, nie miał możliwości odpowiedzieć na pytania osobiste, to w jego imieniu przesłała je Elom-Amen.

Paweł Średziński: Polska prasa po premierze *Cafe „Pod Minogą”* pisała, że pochodzi Pan z Togo. „Wiech” wspominał Pana jako studenta z Ghany. Skąd Pan tak naprawdę pochodzi?

Mokpokpo Dravi: Urodziłem się w Abobokomé – Lomé w Togo, ale moi rodzice pochodzili z Ghany.¹

1 Część Togo, dawniej nazywane Togo Brytyjskim, należy dziś do Ghany. Pozostała część była pod kontrolą Francji, po tym jak Wielka Brytania i Francja zajęły Togo należące przed 1918 rokiem do Niemiec.



Cafe „Pod Minogą”, 1959, reż. Brok Bronisław

od prawej: Mokpokpo Dravi, Adolf Dymsha, Włodzimierz Skoczylas,

Wacław Jankowski, Feliks Chmurkowski

© Studio Filmowe „OKO”

– Jak Pan trafił do Polski?

M.D.: Zaczęło się od tego, że zostałem ostrzeżony przez moich towarzyszy z Togijskiego Ruchu Młodych Juvento². Wracałem z konferencji poświęconej pokojowi na świecie, zorganizowanej w stolicy Sri Lanki, Colombo. Odbyłem też wizyty w Moskwie i Berlinie. Otrzymałem wtedy wiadomość, że jeżeli wróć do kraju, zostanę aresztowany. Dlatego podjęto decyzję, że nie wracam i że przyjadę do Polski na studia.

– Gdzie i co Pan studiował?

M.D.: Studiowałem socjologię na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego.

– Jak zapamiętał Pan Warszawę?

M.D.: Warszawa wciąż była odbudowywana po wojnie. Przypominała wielki plac budowy. Była jednocześnie miastem z dużą liczbą studentów. Mam tylko dobre wspomnienia z Warszawy.

– Jak długo przebywał Pan w Polsce?

M.D.: W sumie dziewięć lat. Najpierw siedem, po czym opuściłem Polskę, a potem wróciłem na kolejne dwa lata.

– Jak to się stało, że został Pan aktorem?

M.D.: Odyły się próby z udziałem wszystkich czterech Afrykanów, którzy mieszkali wtedy w Polsce. Wybrano właśnie mnie. To było w 1958 roku.

– Co Pan zapamiętał z tego filmu?

M.D.: Film przedstawiał życie w Warszawie w czasie hitlerowskiej okupacji. Ja grałem rolę Jumbo, kierowcy ambasady amerykańskiej i jedynej osoby, która miała pamiętać, gdzie został ukryty skarb. Pamiętam też dwóch wspaniałych aktorów, z którymi zagrałem. Mam na myśli Adolfa Dymszę i Hankę Bielicką.

– Czy to była jedyna rola, jaką zagrał Pan w filmie?

M.D.: Nie, zagrałem jeszcze kilka mniejszych ról w innych filmach, brałem też udział w telewizyjnych programach i debatach.

² Mouvement de Jeunesse Togolaise, w skrócie Juvento, ugrupowanie socjaldemokratyczne z Togo, które powstało w 1951 r. i było związane z ruchem antykolonialnym. Togo do 1960 r. było kolonią francuską.



Cafe „Pod Minogą”, 1959, reż. Brok Bronisław

od lewej: Wacław Jankowski, Mokpokpo Dravi, Adolf Dymsha,
Feliks Chmurkowski, Bolesław Płotnicki, Włodzimierz Skoczylas
© Studio Filmowe „OKO”

– Co stało się po zakończeniu realizacji *Cafe „Pod Minogą”*?

M.D.: Wróciłem szybko na studia.

– Czy pamięta Pan innych Afrykanów z okresu swojego pobytu w Warszawie?

M.D.: Byłem trzecim z czterech Afrykanów, którzy przyjechali w tym okresie do Polski. Wszyscy pochodzili z Ghany. W 1959 roku do Polski trafił piąty Afrykanin, z Ugandy. Dwa lata później przyjechał student z Gwinei. Kolejna fala Afrykanów napłynęła po 1960 roku, kiedy większość afrykańskich krajów ogłaszała niepodległość.

– Kiedy Pan opuścił Polskę?

M.D.: W 1964 roku, ale wróciłem jeszcze na dwa lata w 1966. Na dobre opuściłem Wasz kraj w 1968 roku.

– Jak potoczyła się Państwa kariera?

M.D.: Najpierw wyjechałem do Ghany, gdzie przyłączyłem się do projektu „Encyclopedia Africana”³ i byłem wykładowcą w Instytucie Ideologicznym Kwamego Nkrumaha⁴, gdzie pracowałem aż do 1986 r. Później zostałem zatrudniony przez UN RISD, w oenzerowskim Instytucie na rzecz Rozwoju Społecznego w Genewie. Następnie pracowałem jako badacz i wykładowca w Panafrykańskim Instytucie na rzecz Rozwoju w kameruńskiej Duali, dla FAO⁵ w Tanzanii, na Wybrzeżu Kości Słoniowej i w Rzymie, a na koniec w Akrze, jako osoba odpowiedzialna za zrównoważony rozwój w Afryce.

– A dziś?

M.D.: Jestem już na emeryturze, wychowałem dzieci, które pracują lub wciąż studiąją. Od blisko 10 lat mieszkam w Lome z moją żoną i moim najmłodszym dzieckiem, które uczy się jeszcze w szkole średniej.

3 Projekt zainicjowany przez W.E.B. Du Bois, którego celem było wydanie encyklopedii dedykowanej Afryce, wzorowanej na angielskojęzycznej „Britannice”.

4 Kwame Nkrumah (1909–1972) – pierwszy przywódca niepodległej Ghany, jeden z założycieli Organizacji Jedności Afrykańskiej (OJA), rządził Ghaną do czasu wojennego zamachu stanu w 1966 r.

5 Food and Agriculture Organization – Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa.



Cafe „Pod Minogą”, 1959, reż. Brok Bronisław

Włodzimierz Skoczyłas (przed szyldem), Jerzy Duszyński (pierwszy z lewej, na dole), Wacław Jankowski (pierwszy z lewej, na górze), Adolf Dymsha (drugi z lewej, na górze), Klemens Mielczarek (trzeci z lewej, na dole), Bolesław Płotnicki (trzeci z lewej, na górze), Krystyna Kotodziejczyk (czwarta z lewej, na dole), Feliks Chmurkowski (drugi z prawej, na górze), Stefania Górska (pierwsza z prawej, na górze), Mokpopko Dravi (drugi z prawej, na dole), Hanka Bielicka (pierwsza z prawej, na dole)

© Studio Filmowe „OKO”

Ulica Lumumby

W Warszawie, oprócz wciąż istniejącej ulicy Afrykańskiej na Saskiej Kępie, była kiedyś ulica nazwana na cześć Patrice'a Lumumby (1925–1961), przywódcy ruchu na rzecz wyzwolenia Konga belgijskiego, później Zairu, dziś nazywanego Demokratyczną Republiką Konga. Lumumba był jednym z najbardziej znanych afrykańskich przywódców w bloku państw socjalistycznych, który wspierał działaczy antykolonialnych walczących z państwami kapitalistycznymi i to dlatego mógł liczyć na pomoc ZSRR. Wypadki potoczyły się znacznie szybciej, a pomoc nie zdążyła nadjeść. Lumumba został pozbawiony stanowiska szefa kongijskiego rządu, zaś na początku grudnia 1960 r. aresztowany przez władze Konga. 17 stycznia 1961 r. pluton egzekucyjny, dowodzony przez belgijskiego oficera, rozstrzelał Lumumbę. Od tego czasu stał się on symbolem walki z imperializmem i kolonializmem w krajach demokracji ludowej¹.

Na cześć Lumumby zaczęto stawiać pomniki i nazywać ulice. Nie inaczej było w Warszawie. Uchwała nr 13 Rady Narodowej m. st. Warszawy z dnia 8 czerwca 1961 r. zatwierdziła wcześniejszą decyzję Prezydium Rady Narodowej z lutego tego samego roku, w sprawie nazwania części ul. Płockiej, przebiegającej od ul. Górczewskiej w kierunku północnym, imieniem Patrice'a Lumumby².

1 Zeilig L., *Patrice Lumumba – Africa's Lost Leader*, London 2008.

2 Dziennik Urzędowy Rady Narodowej m. st. Warszawy z dnia 30 czerwca 1961 r., Nr 13, poz. 65.



Wraz z przemianami ustrojowymi w Polsce, po 1989 r., rozpoczęła się ponowna zmiana nazw ulic. Nie ominęła ona i ulicy Lumumby na warszawskiej Woli. Zmiana nazwy z Lumumby na Płocką nastąpiła w dniu 29 czerwca 1993 r. na mocy Uchwały nr XI/54/93 Rady Dzielnicy-Gminy Warszawa Wola³.

Na fali dekomunizacji zniknęła z mapy Warszawy nazwa, która odwoływała się do bohatera walki o dekolonizację Afryki. Nie znamy uzasadnienia tej zmiany, bo nie ma jej w cytowanej wyżej uchwiele. Prawdopodobnie chodziło o za-manifestowanie zerwania z komunizmem. Być może nikt z podejmujących decyzję nie wiedział, kim naprawdę był Lumumba. Gdyby było inaczej, dowiezeliiby się, że Lumumba nie walczył o wprowadzenie komunizmu, lecz o wyzwolenie z więzów kolonializmu. Można było nazwać imieniem Lumumby jakąś inną ulicę.

Afryka znalazła się dosyć późno na mapie ulic Warszawy. W 1970 r. na Saskiej Kępie powstały ulice Afrykańska, Egipska, Marokańska i Nubijska. Ich nie spotkał los ulicy Lumumby i nadal funkcjonują na planach stolicy.

³ Uchwała Nr XI/54/93 Rady Dzielnicy-gminy Warszawa Wola z dnia 29 czerwca 1993 r. w sprawie zmiany nazwy ulicy.

Konaré w Warszawie

Alpha Oumar Konaré, ur. 2. lutego 1946 r., malijski polityk, dwukrotnie był prezydentem Mali (1992–2002), pełnił również funkcję przewodniczącego Komisji Unii Afrykańskiej (2003–2008). W latach 1971–1975 studiował w Instytucie Historii Uniwersytetu Warszawskiego. W 2004 r., w Paryżu, ukazała się książka „Un Africain du Mali”, która jest zapisem wywiadu-rzeki, przeprowadzonego przez Bernarda Cattanéo.

OKRES POLSKI

Musiał Pan sobie zadawać wiele pytań! W końcu po raz pierwszy opuszczał Pan Afrykę. Wyjeżdża Pan do Europy i to do Europy Wschodniej. Ma Pan dwadzieścia pięć lat. Jak przeżyje Pan tę przygodę?

Wyjazd do Polski kusił mnie z wielu powodów. Po pierwsze, miałem tam osiągnąć to, czego pragnąłem, czyli dogłębne wykształcenie w dziedzinie historii i archeologii. Ale przede wszystkim miałem zobaczyć socjalizm w praktyce. Moje lewicowe zapatrywania polityczne sprawiały, że wyjazd do takiego kraju, jak Polska był marzeniem. Dlatego cali szczęśliwi wylądowaliśmy – moja żona i ja – pewnego wrześniańskiego dnia 1971 r. w Polsce. Przynajmniej, że tuż po przyjeździe doświadczyliśmy małego rozczarowania: pierwszą osobą, która zaczepiła nas na lotnisku, był nielegalny handlarz walutą. To była pierwsza niespodzianka. Jakże my, działacze społeczni, mogliśmy zrozumieć taką sytuację w kraju socjalistycznym? Po opuszczeniu lotniska wymieniliśmy zwyczajnie walutę. Mieliśmy bardzo mało pieniędzy, 100 000 franków malijskich, odpowiednik 50 000 franków CFA¹, które w tamtym

1 *Franc de la Coopération Financière en Afrique Centrale (F CFA)* – jednostka używana od 1974 r. w niektórych państwach Afryki Zachodniej i Środkowej. (przyp. tłum.)



czasie nie obowiązywały jeszcze w Mali. Ale dla nas wtedy było to sporo. Pamiętam, że wcześniej spędziliśmy 48 godzin w Paryżu, czyli tyle, ile trzeba było czekać na otrzymanie wizy do Polski. Miałem wielką ochotę zobaczyć Sorbone, dzielnicę Łacińską, dzielnicę Pigalle i Folies-Bergère... Tyle było miejsc, które znaliśmy z książek oraz z opowieści starszych kolegów po studiach w Mieście Światła. Przez te dwa dni zostaliśmy ugoszczeni przez wujka mojej małżonki, Oumara Barou Diakité, w 18. dzielnicy na Marx Dormoy. Był on tak miły, że poświęcił swój czas, abyśmy mogli poznać stolicę Francji. Nasze wydatki ograniczyły się do kupna swetra, kilku biletów na metro oraz innych praktycznych drobiazgów. Naprzeciwko naszego miejsca pobytu znajdował się supermarket, do którego udaliśmy się z żoną dzień po naszym przylocie. Kupiliśmy jeden sweter za, o ile dobrze pamiętam, 20 franków francuskich (3 euro) w Monoprix. Wiedzieliśmy, że w Polsce będzie zimno! Do Warszawy wyjechaliśmy z resztą pieniędzy.

Pamiętam również, że przybyliśmy na lotnisko w Warszawie w pochmurną, deszczową pogodę i nie było nikogo, żeby nas przywitać. Trochę to nas przygnębiło. Dolecieliśmy późnym popołudniem, więc wzięliśmy taksówkę. Taksówkarz zawiózł nas do centrum spotkań dla obcokrajowców, które nazywane było placem Trzech Kontynentów. Znajdowali się tam wszyscy obco-krajowcy, studenci, a wśród nich i Malijczycy. Gdy dojechaliśmy do tego miejsca, podałem taksówkarzowi banknot 100 zł. Wziął go ode mnie, ale przeczytałem na liczniku 18 zł. Powiedziałem więc „Nie”, ale nie umiałem mówić po polsku. Odpowiedział mi „Co, co?”, więc powtórzyłem „Nie” i wskazałem na banknot 100 zł oraz na licznik, aby podkreślić różnicę! Ale ponieważ nie chciał zrozumieć, krzyknąłem „Milicja, milicja” przed skonsternowaną moim tupetem żoną. W tym momencie przestraszył się, wydał mi resztę i uciekł. Takie były więc nasze pierwsze doświadczenia w Polsce.

Tamtego dnia nie było żadnych Malijczyków na placu Trzech Kontynentów. Zajął się nami student z Sudanu o imieniu Ibrahim. Od razu zrozumiał, że byliśmy nowi. Miał przyjaciół i znał

dobrze społeczeństwo polskie. Zaprosił nas do spędzenia nocy u jednej z polskich rodzin, niezwykle życzliwej, która dała nam pościel i ciepłe łóżko. Potrzebowaliśmy tego bardzo, gdyż był wrzesień i robiło się coraz zimniej. Nasza pani domu była wzorową mamą i gospodynią, w czym przypominała nam nasze mamy.

Zjedliśmy wspólnie kolację i śniadanie, przygotowane z pewnością pod okiem Ibrahima. Pamiętam szczególnie soczyste czerwone jabłko, które schrupałem ze smakiem. Wydaje mi się, że nigdy potem nie jadłem niczego o podobnie wyjątkowym smaku...

Następnie Ibrahim zaprowadził nas do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, żebyśmy mogli uregulować sprawę naszych dokumentów. To było nasze ostatnie z nim spotkanie. Nasz wybawca Ibrahim znikł potem, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów... Dwa dni później zostaliśmy przyjęci w ośrodku tranzytowym w Warszawie, czekając na przeniesienie do innej dzielnicy, na Jelonki. Naturalnie w tym ośrodku byli obcokrajowcy. Zostaliśmy tam dobrze przywitani, a w dodatku stanowiliśmy z żoną obiekt zainteresowań, ponieważ czarnoskóre pary afrykańskie były nietypowym widokiem w tamtych czasach. Byliśmy chyba nawet jedyną taką parą.

To zaciekawienie nami zaskakiwało nas nieco, ale dobrze je odbieraliśmy, gdyż nie było złowrogie. Istniały miejsca, gdzie nigdy wcześniej nie widziano czarnoskórych, Afrykanów z bliska. Była to raczej całkiem naturalna ciekawość czarnej skóry: „Ale co to jest? Czy to zostaje na zawsze? Czy oni mają taką samą morfologię, jak my?” Świadczyło to o potrzebie otwarcia się społeczeństwa polskiego, nawet zamożnych klas.

Tuż po przyjeździe moja żona miała trochę problemów zdrowotnych związanych z początkiem ciąży. W nowej dla niej sytuacji macierzyństwa sąsiadki szybko stały się jej przyjaciółkami. Wśród kobiet, które się nią opiekowały, znajdowała się pielęgniarka, Irena Olek, władająca francuskim i na szczęście mieszkająca niedaleko naszego tymczasowego domu. Stała się naszą przyjaciółką, gdyż mówiła po francusku, podczas gdy wszyscy inni po polsku. Była to starsza kobieta, której mąż, Józef, brał udział w hiszpańskiej wojnie domowej w 1936 r. On również dobrze sobie radził z francuskim. Byli niezbędnym dla nas łącznikiem ze społeczeństwem polskim.

Jak ocenialiście ten kraj po takich zaskakujących początkach?

Znaleźliśmy się w gościnnym i braterskim społeczeństwie, jakim zresztą było w tamtym czasie wiele krajów bloku wschodniego. Szybko zyskaliśmy przyjaciół, dzięki naszym studiom i stażom. Wśród nich byli: Max Skotnicki, nazywany Maki Diarra – geograf, który spędził dwa lata w wiosce malijskiej w ramach badań, rodzina Grażyny Obarskiej, rodzina Marty, małżonki mojego wuja Hamady Diallo, Eugeniusz Rzewuski – wszyscy w Warszawie; Barbara Paciorek, która była sąsiadką mojej żony ze szpitala, oraz jej rodzina we wsi niedaleko Warszawy; rodzina Filipowiaków ze Szczecina, rodzina Stankiewiczów z Wolina na północy Polski, która gościła moją żonę i córkę w czasie, gdy sam prowadziłem badania terenowe w ich mieście. W naszym małym kręgu Malijczyków i Afrykanów mieliśmy również Mahamane Maïga i Diaby z osiedla na Jelonkach, Moctara Traoré, Sekou Diakité, Mamadou Camara z ulicy Grenadierów i Mamadou Bâ z jednego z instytutów Politechniki w Warszawie, Amadou Dolo z Łodzi, Malijczyków z Poznania i jeszcze jednego Mamadou Bâ z Gwinei. Zaangażowaliśmy się z żoną w działalność kulturową i polityczną w ramach afrykańskich organizacji stażystów i studentów, a także byliśmy aktywni w klubie Kwame Nkrumaha. Ja założyłem polską sekcję.

W związku z moimi badaniami archeologicznymi w terenie, często jeździłem do wsi, gdzie przyjmowano mnie z otwartymi ramionami. Dokładnie tak, jak w wioskach afrykańskich!

Pamiętam, że w jednej z tych wsi poszedłem pewnego dnia do sklepu po mleko. Ale spóźniłem się i nic nie dostałem, co oczywiście obiegło całą wieś. Kilka chwil potem całe litry mleka, ofiarowane przez mieszkańców wsi, pojawiły się pod moimi drzwiami. Widzi Pan, jakże to było sympatyczne!

Z kolei w sezonie truskawek otrzymywałem owoce, gdy przechadzałem się po polach. Oczywiście od czasu do czasu pomagałem zbierać truskawki, ale nigdy nie byłem zatrudniony. Szybko zyskiwałem sobie przyjaciół we wsiach, do których jeździłem. Księża proboszczowie bardzo przywiązywali się do mnie. Po pracy często rozmawiałem z proboszczem, a szacunek, jakim ludzie go darzyli, zwiększał ich sympatię do obcokrajowca.

Zanotowałem sobie parę rzeczy, które zdziwiły mnie w tamtym okresie. Pewnego dnia, gdy prowadziłem wykopaliska z robotnikami – gdyż akurat potrzebowałem ich pomocy – nagle

zerwał się niezwykle silny wiatr. I wtedy zobaczyłem robotników biegących i krzyczących: „Do diabła!”. To przypomniało mi od razu tradycje naszych wiosek. Dzięki moim licznym kontaktom poznałem głęboką katolicką religijność Polaków: co niedzielę, w miastach i na prowincji, mocno wierzący lud udawał się na mszę.

Zrozumieliśmy, jak bardzo ten kraj cierpiał, gdyż widzieliśmy zdjęcia z getta w Warszawie – mieście, które zostało w 70% zniszczone, a następnie w ciągu kilku lat zupełnie odbudowane. Byliśmy w Auschwitz, gdzie zwiedziliśmy obóz śmierci. Niewyobrażalny horror! W trakcie naszego pobytu w Polsce zdaliśmy sobie sprawę z dramatu Polaków, z ich napiętych z powodu wojny stosunków z Niemcami, z ich złożonych relacji z rosyjskimi sąsiadami, którzy byli jednocześnie wybawcami i agresorami. Na przykład Pałac Kultury i Nauki w Warszawie, budynek w stylu stalinowskim, był zarazem podziwiany i krytykowany. Zaobserwowaliśmy również nieustający – pomimo wielu wysiłków w zwalczeniu go – antysemityzm.

Ponadto zrozumieliśmy, skąd w Polsce takie zainteresowanie obcokrajowcami: wielu Polaków żyło poza granicami ojczyzny. Chicago w Stanach Zjednoczonych – czy nie było to drugie, po Warszawie, miasto polskie?

W Polsce odczuliśmy rzeczywistość socjalizmu. Gdy przebywaliśmy w ośrodku tranzytowym, czekając na przydział mieszkania, i wychodziliśmy załatwiać różne sprawy, przechodziliśmy obok nowych budynków. Patrzyliśmy na nie, a ja mówiłem sobie: „Być może zamieszkamy właśnie w jednym z takich domów.” Myślałem wtedy, że domy były wszędzie, dla wszystkich i że w kraju socjalistycznym wszystko było za darmo. Oczywiście, gdy otrzymaliśmy nasze zakwaterowanie, zamieszkaliśmy w zwykłym pokoju studenckim, w miasteczku studenckim na obrzeżach Warszawy, na Jelonkach! Natomiast pod koniec naszego pobytu wynajęliśmy kawalerkę na Saskiej Kępie.

Byliśmy także świadkami wielkich zmian. Przybyliśmy z żoną do Polski pod koniec ery Gomułki. Był to jednocześnie początek czasów Gierka, który wybrał dostęp do gospodarki rynkowej. Kraj zadłużał się coraz bardziej, a co dzień przybywało nowych produktów. Widzieliśmy ich mnóstwo, ale nie znaliśmy ich prawdziwej ceny, byliśmy zupełnie nieświadomi zadłużenia kraju.

Przyglądałem się jednak uważnie socjalizmowi: nie był to raj na ziemi i pomimo wysiłków i zrealizowanych zamierzeń, społeczeństwo było pełne paradoksów. Ten kraj, który dokonał dużych zmian w dziedzinie szkolnictwa, szkolenia kadra, kraju, który zapewniał wszystkim dostęp do opieki zdrowotnej, był mimo wszystko niesprawiedliwy społecznie.

**Musiał to być zapewne szok dla Pana –
adepta socjalizmu naukowego?**

Nasz pobyt w Polsce pomógł mi właściwie docenić prawdziwy socjalizm, jego humanistyczny charakter, czyli humanizm. Socjalizm demokratyczny wydawał mi się jeszcze pewniejszą drogą, ale w końcu wyszedłem z niego – tego doktrynerskiego systemu, który sprawiał, że marzyło się o raju na ziemi – nastawiony sceptycznie. Zrozumiałem, że aby walka była udana, trzeba ją toczyć, licząc się z duchowymi aspiracjami ludzi. Człowiek jest istotą cielesną, ale również duchową. To właśnie bardzo jasno objawiło mi się po naszym pobycie w Polsce.

PEWNOŚĆ POWROTU DO MALI

Jesteście w Polsce, odkrywacie nowy świat, z jego cieniami i blaskami. I byliście tam szczęśliwi...

To prawda, nasz pobyt w Polsce był przyjemnym czasem, pomimo naszych ograniczonych studenckich zasobów. Przyjechaliśmy z żoną do Polski jako młodzi małżonkowie. Pobraliśmy się w lipcu 1971 r., a w Polsce byliśmy we wrześniu, dokładnie 12 września 1971. To było prawie jak podróż poślubna. Nasze życie małeńskie rozpoczęliśmy tak naprawdę w Polsce. Właśnie tam nauczyliśmy się odpowiedzialności jako para małżeńska.

Również w Polsce urodziła się 19 maja 1972 r. nasza córka – imienniczka matki mojej żony: Kadiatou, nazywana Atou lub „Warszawianką”. Atusza, Atu, Atunka – jak lubili odmieniać jej imię w swoim języku Polacy! To było wspaniałe uczucie, przybliliśmy we dwoje, a wyjechaliśmy we troje. Cóż za bogactwo!

Mielismy w Polsce wielu przyjaciół, naszych profesorów – Gąsowskiego, Małowista, Tymowskiego i Lewickiego z Krakowa, naszych sąsiadów, moich kolegów, którzy zawsze byli nam wierni.

Okres spędzony w Polsce był dla nas czasem nauki pod każdym względem. Ukształtował nasze osobowości. Był to czas doskonalenia zawodowego, ale również dojrzewania politycznego. Spędziliśmy w Polsce 4 lata, które zostały przerwane ośmiomiesięcznym stażem w terenie, w Mali. Skorzystaliśmy z tej okazji, żeby zanieść tam naszą córeczkę Atou i powierzyć ją mojej starszej siostrze Mama, która mieszkała w Nioro, na zachodzie kraju. A gdy wróciliśmy ostatecznie do Mali, przewiozła nam Atou, nasze najstarsze dziecko.

Zamknął się wtedy polski nawias, ale nie zapomniał Pan jednak o tamtym kraju...

Polska jest we mnie, na zawsze. Jest jakby moją drugą ojczyzną. Pokochałem Polskę i Polska mnie nie opuściła. Za każdym razem, gdy miałem okazję tam pojechać, wracałem. Udałem się tam nawet za mojej prezydentury, z Adamem Ba, moją żoną, i naszą córką Atou. Przeszliśmy się wtedy z wielką radością tymi samymi drogami, którymi chodziliśmy za czasów studenckich (od Nowego Świata po Saską Kępę, przejeżdżając przez Jelonki, Wolską) i z ogromną przyjemnością przeżyliśmy po raz kolejny nasz pobyt w Polsce.

tłumaczenie: Cecylia Beresińska



© Fotorzepa, Darek Golik

Paweł Średziński

Afrykańscy biskupi na Bródnie

Na Cmentarzu Bródnowskim leżą szczątki afrykańskich biskupów. Zostały przywiezione przez polskiego antropologa Tadeusz Dzierżykraja-Rogalskiego. Do Polski prochy duchownych dotarły w walizce.

Dziś na grobie widnieje jedynie inskrypcja „Grób kapłański”. Niewiele osób wie w ogóle o jego istnieniu i o tym, kto w nim został pochowany. Do Polski szczątki zostały przywiezione 40 lat temu. Wspomniany Dzierżykraj-Rogalski, wówczas pracownik naukowy, przywiózł je do Zakładu Archeologii PAN w celu przeprowadzenia szczegółowych badań. Szczątki pochodziły z sudańskiego Faras, gdzie pracowała misja archeologiczna profesora Kazimierza Michałowskiego.

Trzynastu nubijskich świętych nie odwieziono z powrotem do Faras, które znalazło się pod wodą po budowie tamy na Nilu w Asuanie. Przez cztery dekady ich szczątki leżały w magazynach Muzeum Narodowego. Dopiero w 1994 r. pochowano je na Bródnie. Obecny zarząd cmentarza chce przenieść biskupów z Sudanu w inne, bardziej godne miejsce, gdzie mają zostać pochowani wszyscy warszawscy biskupi pomocniczy.

Afrykańscy biskupi żyli w czasach, kiedy w Nubii, dziś jest to południe Egiptu i północ Sudanu, istniało chrześcijańskie państwo (VI–XIV wiek). W Faras była siedziba biskupstwa i dlatego tam byli chowani kolejni biskupi. Trzynastu z nich, w tym ci o imionach Chael, Ignatios, Menas i Paulos, spoczęli w Warszawie¹.

¹ O sprawie afrykańskich biskupów na Bródnie napisał „Życie Warszawy” w artykule *Zapomniani kapłani z Afryki*. Tekst jest dostępny w wersji internetowej www.zyciewarszawy.pl/artykul/528828.html.

Mamadou Diouf

Moje 27 lat w Warszawie

W pamiętnym, 1989 roku, miałem 26 lat i byłem na przedostatnim roku studiów weterynaryjnych na SGGW-AR w Warszawie.

STUDIUM JĘZYKA POLSKIEGO DLA CUDZOZIEMCÓW

Gdy pod koniec września 1984 r. samolot wylądował na lotnisku Okęcie, poczułem ziąb. Dowiedziałem się później, że było aż 18 stopni. Moje tropikalne ciało poczuło jednak chłód. Przecież kilka godzin wcześniej wystartowaliśmy z Dakaru, gdzie było 30 stopni, a międzylądowanie miało w Paryżu, gdzie także było ciepło.

Warszawskie lotnisko wyglądało jak jakiś dworzec autobusowy w Afryce. Miałem szczęście, bo spotkałem rodaka po drugim roku studiów w Gdańsku, który wracał z wakacji. Nie mogłem się nadziwić, słysząc, jak mówił w dziwnym szeleszczącym języku. „Tak brzmi język polski?” – zapytałem. „Tak” – odparł – „za rok będziesz już mówił.” Jakieś pół godziny później dotarliśmy autobusem na Dworzec Centralny, który wyglądał o niebo lepiej. Czysto, nowocześnie, obszernie. Mój rodak pojechał ze mną do Łodzi. Byłem naprawdę szczęśliwy, że go spotkałem. Pożyczył mi lekką skórzana marnarkę, której potem już nie oddałem.

Pierwszy raz w życiu wyjechałem z Afryki. Od razu spotkałem pół świata na kursie językowym. Najbliższe sąsiedztwo Senegalu, czyli Malijczycy i Gwinejczycy. Prawie cała Afryka była obecna w Łodzi: Kongo, Kenia, Zambia, Nigeria, Burkina Faso, Madagaskar, Angola i Maghreb. Ameryka Środkowa i Południowa. Palestyna i Wietnam. Atmosfera w akademiku nr XIII była niesamowita. Na korytarzu, boisku piłkarskim i w pokoju telewizyjnym, wspólnej kuchni i oczywiście w samym Studium można było usłyszeć mnóstwo różnych języków.

„Niech Pan wybierze inne miasto na studia, w Warszawie jest za dużo zagranicznych studentów.”

Takie zdanie usłyszałem w Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców przy Uniwersytecie Łódzkim w połowie 1984 r., kiedy wybrałem stolicę na dalsze studia.

Uparłem się jednak. W moim Senegalu, i wielu krajach Afryki, wszystko, co wartościowe, nie tylko w szkolnictwie, znajdowało się w stolicy: szpitale, stadiony, uczelnie. Postanowiłem więc studiować weterynarię w Warszawie, a nie w Olsztynie, Wrocławiu czy Lublinie, gdzie także działały szkoły weterynaryjne. Udało się, dlatego że moja nauczycielka języka polskiego mnie poparła. Po sierpiennych wakacjach spędzionych na Mazurach, przyjechałem do stolicy na początku września '84 i zameldowałem się w akademiku SGGW przy Nowoursynowskiej.

Na ulicach było mało cudzoziemców. Jedyne miejsca widocznego skupiska obcokrajowców to osiedla akademickie i okolice uczelni. Taka wieloetniczna miniatura. Wietnam, kraje arabskie, szczególnie Maghreb, Ameryka Środkowa i Południowa. Afryka Subsaharyjska była mało widoczna, po prostu ginęliśmy w masie białych ulic.

URSYNÓW, MEGASAM I SGGW

Dzielnica Ursynów powstawała na moich oczach. Miałem wrażenie, że bloki z tzw. wielkiej płyty rosły jak grzyby po deszczu. Dookoła SGGW-AR, jak na uczelnię rolniczą przystało, było sporo krzaków. Oprócz czteropiętrowych akademików, znajdowały się tam wydziały weterynarii i melioracji, piękny pałac, garnizon wojskowy, pętla autobusów i dookoła niemal tropikalny busz wzdułż ulicy Nowoursynowskiej. W roku akademickim kursował jeden autobus w kierunku ul. Rakowieckiej. Wolałem spędzać weekendy u rodaków w akademiku SGPiS-u, na Madalińskiego. Chodziliśmy na zakupy do Supersamu przy placu Unii Lubelskiej.

Ursynów też miał swoje miejsce wielkich zakupów, mianowicie Megasam, kilka przystanków od naszego osiedla. Dziś w mieście roi się od supermarketów, wtedy jednak ta handlowa klasyka robiła wrażenie. Był to pierwszy większy sklep na wciąż powstającym osiedlu.

KARTKI NA ŻYWNOŚĆ

Jedną z największych niespodzianek była pozycja amerykańskiej waluty w życiu Polaków. Dolar był ważniejszy od złotówki. Było to dla nas niezrozumiałe. W Senegalu nigdy nie widziałem dolara, bo nie był mi potrzebny. Tutaj natomiast, z powodu sieci sklepów z zachodnim, bardziej atrakcyjnym

towarem, dolar rzadził i dzielił. Przeciętne zarobki w Polsce przed 1990 r. były na poziomie 25 USD. W związku z tym zachodnie produkty stały się nieosiągalne dla większości konsumentów. Wszyscy moi znajomi, obojętnie, czy przyjechali z Afryki czy Ameryki Łacińskiej, byli zszokowani zastaną sytuacją gospodarczą i kartkami na mięso. Nam w Afryce wydawało się, że długopisy „Bic”, pasta do zębów „Colgate”, proszek „Omo” czy „Coca-Cola” są wszędzie na świecie, skoro można je kupić w każdej wiosce w Afryce.

Cukier, mąka, mięso, masło. Produkty te były jeszcze na kartki, kiedy przyjechałem do Polski. Starsi koledzy opowiadali, że wcześniej w ten sam sposób kupowało się również buty, wódkę, mydło, wyroby czekoladowopodobne, benzynę, garnitury i dziesiątki innych towarów. Mówili, że przydział na skarpetki można było wymienić na kartkę wołowiny – z kością – ewentualnie dwie paczki kawy lub dwie kostki mydła. Najdroższe były talony na benzynę i obrączki ślubne. Mąka i ryż miały najniższe notowania u Polaków, co cieszyło studentów z Afryki Zachodniej, gdzie ryż zajmuje ważne miejsce w kuchni.

Nikt z nas nie przypuszczał, że coś takiego jest możliwe na świecie, tym bardziej w Europie. To dawało do myślenia na temat socjalizmu. Wielu przecież przyjechało do Polski w ramach przydziału stypendialnego dla lewicujących partii w krajach Południa. Teoretycznie, studenci ci po powrocie do domu mieli promować socjalizm u siebie. Sporą część mięsa oddawaliśmy do stołówki. Często było tak, że pod koniec miesiąca miałem jakieś zapasy na kartce. Z reguły oddawałem przypadkowo spotykany kobietom w kolejce, podczas ostatnich zakupów w miesiącu. Pamiętam wdzięczność na ich twarzach.

PAPIEROVY NASZYJNIK

Dziś papier toaletowy jest pospolitym towarem w sklepach. Do wyboru, do koloru, do zapachu. Pamiętam zabawne sceny na ulicach Warszawy, kiedy ludzie wracali z „polowania” na papier z zawieszonym na szyjach toaletowym łupem. Towar może nie był drogi, ale rzadki, jak wszystko inne, poza octem. Takiego naszyjnika nie znajdziesz się dziś na ulicy, chyba że w ramach happeningu.

STRZELCY SENEGALSCY? TO TYTUŁ FILMU?

Coraz więcej dowiadywałem się o Polsce. Ten kraj miał od końca XVIII w. bardziej skomplikowaną i burzliwą historię od Afryki. Potem zabory. Nawet kolonizacja Afryki trwała krócej (formalny podział kontynentu miał miejsce na konferencji w Berlinie w 1884/85, a czasy niepodległości nastąpiły w 1960 r.). Gdy mówiłem kolegom z roku, że w Senegalu uczą, że Chopin i Maria Curie

Skłodowska byli Francuzami, Polacy się oburzali. Uspokajałem, dodając, że już wiem, jak wygląda prawda. Kiedyś zapytałem, czy słyszeli o strzelcach senegalskich. Sadziłem, że na pewno wiedzą, kim byli, bo przecież w Polsce dużo uwagi poświęcano II wojnie światowej.

- A do kogo strzelali ci Senegalczycy? – zapytał ktoś.

Opadły mi ręce. Polacy nic nie wiedzieli na temat słynnych w Afryce i zachodniej Europie strzelców senegalskich. Byli to żołnierze, pochodzący z mojej ojczystej ziemi w Afryce Zachodniej, zaciagnięci przez Francję kolonialną. Walczyli z Niemcami. Przypadkowo poruszyłem ten temat w rozmowie z dziekanem. Słyszał o nich. W ten sposób honor Polaków i ich wiedzy o II wojnie światowej został uratowany.

CO Z PREZENTEM OD STALINA?

Przyszłość Pałacu Kultury i Nauki rozgrzała w swoim czasie atmosferę w mediach i na ulicy. Burzyć, przebudować, zasłonić biurowcami czy dać spokój z tym niewygodnym dla niektórych monumentem. Przeciwnicy uważały budynek za symbol radzieckiej dominacji. Młodzi ludzie jednak wspominali przede wszystkim o muzeach, kinach, teatrach, klubach, które się w nim mieściły. Nie wyobrażali sobie krajobrazu w centrum Warszawy bez tego najbardziej rozpoznawalnego obiektu stolicy.

Kupcy nie zastanawiali się długo, przestrzeń wokół pałacu świetnie nadawała się na rodzący się uliczny wolny rynek. Biznes rozłożył towar na placu Defilad, szybko opanowany przez „szczęki”, budki, później pojawiło się wesołe miasteczko i w końcu blaszane hale MarcPol-u oraz KDT. Z czasem usunięto cały ten handel, planowana jest w tym miejscu budowa Muzeum Sztuki Nowoczesnej. PKiN nadal stoi, a w Sali Kongresowej koncertują artyści, od największych gwiazd jazzowych po rodzime disco polo.

DEKOMUNIZACJA ULIC I PLACÓW

Pomniki i symbole odchodzącego systemu usuwano, czasem w bardzo spektakularny sposób. Przed warszawskim Ratuszem, jesienią 1989, w obecności dziennikarzy, a także tłumu warszawiaków, klaskało się przy demontażu pomnika Feliksa Dzierżyńskiego. Byłem w tym tłumie. Kojarzyło się to raczej z powaleniem, gdyż głowa roztrzaskała się o ziemię, a korpus wisiał na linach. Nie wystarczyło niestety pamiątkowego gruzu – po rozkawałkowaniu pomnika – dla wszystkich chętnych.

Zniszczenie pomników i zmiana nazw ulic stały się modą. Wszystko, co symbolizowało miniony okres, znalazło się pod ostrzałem.

Jan Paweł II zastąpił Marchlewskiego, Komuna Paryska odstąpiła miejsce prezydentowi Wilsonowi na placu, gdzie znajduje się najładniejsza stacja



1994 rok, ul. Mazowiecka. Promocja mojej pierwszej płyty „African snow” z Kiniorem (Włodek Kiniorski). Po lewej stronie z brodą producent – Włodzimierz Kleszcz oraz Bally Ramaronandrasana z Madagaskaru, miał premierę płytę „Z Valihą Na Madagaskar”. Z przodu kapela ludowa z Mazowsza Rawianie/Sąsiedzi.



Po ukończeniu studiów i rozdaniu dyplomów, kwiecień '90, SGGW, ul. Rakowiecka



1989 rok,
Stare Miasto,
Warszawa

warszawskiego metra; „Solidarność” usunęła Świerczewskiego. Rodak, który studiował na Politechnice i do tej pory mieszkał na Komorowej, narzekał, że nie może się przyzwyczaić do nowej nazwy – Wołoska. Przez moment zastanawiałem się nad tym, co by powiedział Kongijczyk, Patrice Lumumba. W Łodzi nasz akademik znajdowały przy ulicy nazwanej jego imieniem. W Warszawie nazwę zmieniono na Płocką. A pamiętałem z lektur, że Lumumba, bardzo popularny w dawnym bloku socjalistycznym, zawsze podkreślał, iż nie jest komunistą.

Gdzie się podzielił Pewex?

Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrznego (Pewex) było siecią sklepów i kiosków walutowych w PRL. Kiedy zacząłem lepiej rozumieć język polski, uderzyła mnie niespójność w nazwie: jak eksport może być „wewnętrzny”? W czasach moich studiów za walutę lub za bony można było w tych sklepach kupić najbardziej poszukiwane towary z importu – od czekolady dla dziecka zaczynając, na kolorowym filmie fotograficznym, kasetach magnetofonowych, perfumach i samochodach kończąc.

Kto dziś pamięta Pewex? Te sklepy kojarzą się wyłącznie z dolarem, luk-susowym towarem zachodnim. Żeby robić tam zakupy, trzeba było mieć walutę wuja Sama albo bony PKO, które nazywaliśmy „polskimi dolarami”. Pewex był dla nas dziwnym pomysłem. Jak można tworzyć sklepy, w których miejscowi nie mogą robić zakupów w walucie, w jakiej zarabiają? Polak, który nie miał wujka lub cioci w Ameryce, nie dysponował bonami bądź walutą obcą i nie mógł kupić herbaty, kawy, proszku do prania, pralki „Frania” czy produkowanego „jedynie na eksport” magnetofonu szpulowego „Unitra”.

O dziwo, firma, która jako jedyna oferowała zachodnie produkty, zniknęła z rynku w momencie, kiedy ten sam towar zalał ulice Warszawy. Niepotrzebne były uchwały radnych, jak w przypadku nazw ulic i innych symboli. Ludzie po prostu przestali kupować w Peweksach. W 1989 r. pojawił się tzw. kurs Balcerowicza i dolara można było wymienić na 9500 zł. Właśnie wtedy handel walutami stał się legalny, a bony dolarowe straciły rację bytu. Tym samym nastął koniec Peweksów.

WARSAW BY NIGHT

Imprezy odbywały się głównie w akademikach (w każdym była jedna taka sala, którą można było rezerwować) i klubach studenckich. „Park”, „Stodoła”, „Hybrydy”, „Remont”, „Karuzała”, „Hades”, „Medyk” były najpopularniejszymi dyskotekami. Klub „Akwarium” był piękną wyspą dla jazzu. Po '89 kultura studencka przeżywała kryzys. Studenci chyba zaczęli myśleć przede wszystkim o karierze zawodowej. Tuż po zmianach pojawiły się

pierwsze prywatne kluby, jak „Tam Tam”, „Piwnica pod Harendą”, „Ground Zero” czy „Underground”. Dziś oferta klubowa stolicy jest imponująca. Dobrze, że minęły czasy, kiedy disco polo najpierw, a zaraz potem techno rządziły w Warszawie.

Szkoda, że dziś sale kinowe czasów moich studiów znikają. Na Ursynowie wtedy działało małutkie kino „Dom Sztuki”. Albo kino „Moskwa” lub „Stolica” na Mokotowie. Pamiętam jeszcze kino „1. Maja”, przy weterynarii na Grochowskiej (dziś supermarket). Aktualnie moimi ulubionymi kinami są „Muranów” i „Kinoteka”. Cenię je za wartościowy artystycznie repertuar oraz za ambitne festiwale.

„MAMA, ZOBACZ, MURZYN!”

Nie pamiętam, ile razy słyszałem to zdanie. Na ulicy, poczcie, w sklepie... Po słynnym serialu telewizyjnym *Korzenie*, czarnych nazwano na ulicach „Kunta Kinte”. Dopiero w drugiej połowie lat 90. pojawiła się ksywka „Makumba”. Natomiast „Bambo” królował od zawsze.

W połowie lat 90. nastąpała moda (z angielskiego) na „czarnoskórych” i „ciemnoskórych”. Zastanawiałem się, dlaczego mój ukochany język polski nie jest w stanie określić mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej inaczej niż przez kolor skóry. To niesamowita niemoc, brak inspiracji, a może czysta złośliwość. Żółty został żółtym, nikt nie wpadł na pomysł nazywania Japończyka „żółtoskórym” ani Francuza – „jasnoskórym”. Nazajomi tłumaczyli mi, że „ciemnoskóry” jest określeniem łagodniejszym i brzmi lepiej niż „Murzyn”. Pytanie tylko, dla czyjego ucha?

POSTÓJ TAKSÓWEK NA DWORCU CENTRALNYM

Kiedy byłem na kursie języka polskiego, szczególnie wiosną '84, co drugi weekend jeździłem pociągiem z Łodzi do Warszawy, do rodaków. Ci studiowali na SGPiS-ie i mieszkali na Mokotowie. Nie znałem jeszcze nazwy dzielnicy, miałem tylko adres akademika, który znajdował się przy ul. Madalińskiego. Przy Dworcu Centralnym, najpiękniejszym obiekcie w centrum, obok hotelu „Forum”, po stronie Pałacu Kultury, był postój taksówek. Panował tu przedziwny zwyczaj. Z przejeżdżającej na postój taksówki wychylał się kierowca i opierał jedną ręką o dach samochodu. Krzyczał coś w kierunku kolejki. Nie wiedziałem, o co chodziło. Później zrozumiałem, że były to nazwy stołecznych dzielnic: Praga, Mokotów, Wola, Bemowo...

Okazało się, że najczęściej taksówkarz, nie zaś klient, jak dziś, decydował o kierunku kursu. Nie znałem nazw dzielnic i kiedy przychodziła moja kolej, czekałem grzecznie na taksówkarza, który nie wychodził.

„CHANGE MONEY?” I RONDO PRZY HOTELU „FORUM”

Dziś informację o kursie dolara, franka czy euro bez problemu dostarczą nam banki, kantory, internet i wszelkie media. Nie zawsze było to takie proste. Jeszcze 20 lat temu, żeby wymienić obcą walutę na krajową, trzeba się było nieźle natrudzić.

W Dakarze, niedaleko portu, handlarze, chcąc zrobić interes z rosyjskimi marynarzami (może też byli polscy), nauczyli się liczyć po rosyjsku. W Polsce tak samo postąpili ci handlujący „na czarno” walutami zachodnimi, czyli cinkciarze. Ich specjalnością była błyskawiczna wymiana w miejscu publicznym. Obie strony miały świadomość karalności transakcji. Cinkciarzy wielokrotnie wykorzystywali ten fakt, wymyślając genialny przekrót. Wielu kolegów z Afryki dało się nabrać na wymianę dolarów w okolicy hotełu „Forum” czy podziemiach skrzyżowania ulic Marszałkowskiej i Jerozolimskich.

„Change money?” było rytualnym pytaniem. Gdy cudzoziemiec odpowiadał: „Tak”, cinkciarz szybko przeliczał i pokazywał banknoty, zawsze rozwinięte. Uczciwie! Do tego momentu wszystko się zgadza. Zaraz potem tłumaczył, że czarnorynkowa wymiana jest niebezpieczna w miejscu publicznym, bo milicja jest wszędzie. Przyciągał ofiarę do najbliższego hotelu lub prowadził ją na tyły Domów Towarowych Centrum, brał dolary i dawał polskie banknoty zawinięte tak, że na wierzchu był duży nominał, banknot z podobizną Tadeusza Kościuszki (500 zł) lub najlepiej Mikołaja Kopernika (1000 zł). Rzadziej korzystali z nominałów z podobizną Mieszka I (2000 zł), tym bardziej Fryderyka Chopina (5000 zł) lub Stanisława Wyspiańskiego (10 000 zł). Skoro kilka minut wcześniej kwota się zgadzała, cudzoziemiec już jej nie sprawdzał. Cinkciarz szybko znikał w tłumie, a ofiara, później rozwijając rulon, zauważała, że w środku są wyłącznie banknoty z podobizną Ludwika Waryńskiego (100 złotych). Zdziwienie, oburzenie i wstyd, że człowiek dał się oszukać. Za pomocą tego polskiego przekrętu „oskubano” wielu studentów, którzy w ten sposób stracili sporą część stypendiów.

SZAMPOŃ „DWA W JEDNYM” I „OJCIEC PRAĆ”

Hasło reklamowe „Wash and Go” zrobiło błyskawiczną karierę w Polsce, ale też szybko zniknął produkt przez nie reklamowany. Każdy trzydziestolatek pamięta tę reklamę. Wtedy ten sposób promocji pojawiał się dopiero w domach, ludzie chyba byli głodni marketingu, nowości, kapitalizmu.

Miałem wrażenie że całe tony szamponu leżały w Megasamie. Niektóre zwroty reklam przeszły do języka potocznego. Na przykład tak często powtarzane kiedyś „dwa w jednym” pochodzi właśnie z tamtej intensywnej kampanii reklamowej – „szampon i odżywka, czyli dwa w jednym”.



Mamadou Diouf na obchodach Dnia Afryki,
organizowanego rokrocznie przez Fundację
„Afryka Inaczej”, © Fundacja „Afryka Inaczej”

Zmiany, zmiany, zmiany... czyli przełom 1989/1990 to nie tylko uginające się od nadmiaru kapitalistycznych towarów półki sklepowe. To również telewizyjny blok reklamowy. To właśnie wtedy reklama rozpoczęła długą i skuteczną ekspansję. Podczas gdy szampon „Bambino” walczył o włosy polskiej klienteli z zagraniczną marką „Wash and Go”, wśród proszków do prania toczyła się bitwa między „Polleną 2000” a chociażby proszkiem „Omo”. Słynny spot reklamowy z niezapomnianą kwestią: „Ojciec prac” to dziś klasyka polskiej reklamy, o wiele bardziej skutecznej niż współczesne wersje.

POLKI JAK MODELKI

Wyglądzone twarze bohaterek *Dynastii* wywoływały skrajne uczucia widowni telewizyjnej – od podziwu po zazdrość. Młody wygląd, jędrna skóra i brak zmarszczek – takie hasła były w każdym bloku reklamowym. Polki miały zawsze wysokie notowania u cudzoziemców. W czasach, kiedy nie było szlachetnych kosmetyków, tylko szare mydło i krem „Nivea”, samo naturalne piękno podkreślało siebie. Żartowaliśmy z piosenki Rosiewicz „Najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny”. Ależ to była prawda! Każdy cudzoziemiec wiedział o tym.

Gładkie cery czterdziestoletnich gwiazd Hollywood stały się wzorem dla polskiej konsumentki. Stopniowo żony polskich dorobkiewiczów i rodząca się grupa kobiet biznesu zaczęły korzystać z salonów piękności, chwaląc się efektami pracy chirurga plastycznego. Panie, których nie stać było na kurację odmładzającą, postawiły na ćwiczenia gimnastyczne. Tak narodziła się długotrwała i trwająca po dziś dzień moda na kluby fitness.

PRZESŁODZONE LATA 90.

Po trudnych latach 80., kiedy to cukier, masło i inne podstawowe produkty były na kartki, a dzieci mogły tylko marzyć o czekoladzie, w latach 90. półki polskich sklepów spożywczych uśmiechały się kolorowymi batonami, lizakami i gumami do żucia.

SKINI I KIBOLE

Druga połowa lat 90. pokazała, że cywilizacyjne ziarno z Zachodu nie było wolne od pleśni. Do dziś zastanawiam się, jak Polak może być faszystą. To dla mnie wielka zagadka. Jak to możliwe, że człowiek, młodszy bądź starszy, może przyjąć ideologię, która na jego dziadków sprowadziła tak wiele cierpienia?

W latach 80. dwukrotnie miałem możliwość uczestniczeniach w meczach rozgrywanych na polskich stadionach. Raz było to na stadionie Widzewa, jeszcze w czasie mojego kursu językowego, a rok później na stadionie Legii oglądałem mecz finałowy Pucharu Polski. Atmosfera była wspaniała. Nie myślałem nawet, by pójść do sektora dla VIP-ów, jak się dziś określa krytą trybunę. Po meczu także było bezpiecznie.

Dziś polski stadion przypomina obiekty pierwszoligowe. Mówią się o „ekstraklasie”, chociaż nikt tam nie gra „ekstra”. Kibice dostroili się do obowiązującego poziomu, a o ich zachowaniu słyszy co jakiś czas cała Polska.

NAJWIĘKSZY BAZAR EUROPY, STADION X-LECIA

W latach 80. wszyscy odczuwaliśmy brak towaru na rynku, jedynym ratunkiem były bazary i targowiska. Trzeba było jechać do Rembertowa, by kupić markowe ubrania czy buty. Bliżej, na Pradze, był bazar Różyckiego, gdzie handlowano ubraniami, ale także trudno dostępnym sprzętem audio. Egzotyczne owoce można było podziwiać, spacerując po targowisku na Polnej.

Miałem wrażenie, że Stadion X-lecia czekał tylko na zmianę ustroju. Bardzo szybko zgarnął do siebie rodzący się kapitalistyczny biznes, co trochę oczyściło warszawskie chodniki, szczególnie w centrum. „Szara strefa” mogła „legalnie” pracować. „Jarmark Europa” wchłonął ogromną falę imigrantów, nie tylko z Afryki. Była to istna wieża Babel. Ukraina, Rosja, Kaukaz, Indie, Wietnam, Afryka, szczególnie Nigeria, i Polacy... tyle paszportów i dziesiątki narodowości. Tanio i do tego można się targować. Sprzedać, kupić lub po prostu spacerować i zobaczyć pół świata w Warszawie. Nic dziwnego, że w weekendy było tam bardzo tłoczno. Ścisk między 6.00 a 13.00 przypominał ulicę Marszałkowską przed Domami Centrum w godzinach szczytu. Klienci przyjeżdżali z całej Warszawy i okolic. Biznesowy koniec tygodnia na stadionie zapowiadał obroty późniejszych supermarketów w okresie grudniowych świąt. Podobno wielu się wzbogaciło na stadionowym interesie.

Stadion był przede wszystkim miejscem jawnego, ale nielegalnego handlu. Handlowano podróbkami, płacąc jednak za miejsce. Sportowe obuwie, płyty z muzyką lub filmami, programy komputerowe, zegarki, perfumy, alkohol, papierosy... znane marki w fałszywym wydaniu. Ale jak wszędzie na świecie, człowiek kupuje, gdy jest tanio.

Wietnamczycy handlowali przede wszystkim na dole, od strony dworca autobusowego. Aleja przy placu Waszyngtona była opanowana przez Polaków i obywateli wschodniej Europy. Korona natomiast gromadziła cały świat. Tam właśnie odwiedzałem czasami rodaków z Senegalu i kolegów z Mali, Wybrzeża Kości Słoniowej, Gwinei...

Gdy zaczęli mówić o zamknięciu stadionu, Afrykańczycy śmiali się, nie wierzyli. Stadion był fabryką pieniędzy. Jak można zabić kurę znoszącą złote jajka? A jednak! Kiedy Polska i Ukraina wygrały wyścig o organizację Euro 2012, było wiadomo, że żarty się skończyły. Afrykańczycy zaczęli szukać innych zajęć. Niektórzy pojechali dalej na Zachód, większość została, zdążyła się biernie nauczyć języka i szuka własnego miejsca w Warszawie.

HAMBURGER KONTRA SCHABOWY, SĘDZIUJE PIZZA

Z nadaniem wolnego rynku na ulicach polskich miast i przy drogach krajowych pojawiły się wielkie litery „M”, symbolizujące zwycięstwo hamburgera nad rodzimym kotlem z kartoflami. Otwarcie pierwszego polskiego fast foodu odbyło się 18 lat temu, kilka dni przed moimi urodzinami (23 czerwca), w Warszawie na rogu ulic Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Przed barem stanęła rekordowa kolejka.

DELEKTUJ SIĘ AFRYKA W WARSZAWIE

Nawet na początku XXI w. nie było ani jednego miejsca w Warszawie, gdzie można było posmakować, posłuchać, zobaczyć Afrykę. Kiedyś studenci organizowali swoje dni niepodległości, co dawało Polakom możliwość zobaczenia kultury poszczególnych krajów. Odbywał się Festiwal Studentów Zagranicznych, na zmianę w Poznaniu albo w Warszawie. Tutaj także można było zobaczyć występy studentów z Afryki. Przez dość długi czas działał w stolicy zespół muzyczny założony przez studenta z Zambii, który grał na basie oraz studentów z Madagaskaru. Pamiętam, że obecna gwiazda polskiej muzyki Kayah, jako nastolatka, śpiewała w chóru tej grupy.

W lutym 1988 r. uczestniczyłem w warsztatach muzycznych, w akademiku przy Smyczkowej, organizowanych przez dziennikarza radiowego Włodzimierza Kleszcza. Po kilku dniach spotkań powstał zespół reggae, którego wokalistą miałem przyjemność zostać. Właśnie kapela Pol-Ska była moim pierwszym zespołem. Nie wiedziałem wtedy, że muzyka odsunie wertynarię na bok.

JAK WYGLĄDA DZIŚ WARSZAWA AFRYKAŃSKA?

Pierwszy afrykański punkt gastronomiczny powstał na Mokotowie, przy Odyńca, róg Niepodległości. Restauracja „Lagos” należała do Nigeryjczyka. Diaspora afrykańska spotykała się także przez dość długi okres w knajpcie „Żródełko”, pod Trasą Łazienkowską u zbiegu ulic Myśliwieckiej i Rozbrat. Grano tam w weekendy muzykę afro i mimo ścisku panowała tam świetna atmosfera.

Z czasem pojawiło się kilku muzyków, między innymi Erick Onebunga oraz Ricky z Konga, nigeryjska załoga Aka Chukwu, zespół Trinity Gospel Band, senegalskie trio Djolof-Man, raperzy De Goldfinger, D3Boyz oraz Franci. Natomiast tańca afrykańskiego zaczęli uczyć Benoit Legros z Togo oraz Francuz Alassane, mający afrykańskie korzenie.

Od kilku sezonów afrykańskie kino ma swój festiwal „Afry-Kamera”. Ten przegląd filmów odbywa się tuż przed światowym majowym Dniem Afryki. W latach 80. Dzień Afryki był hucznie obchodzony przez studentów. Po zmianach ustrojowych, jakoś zapomniano o tej imprezie. Udało nam się wskrzesić tę tradycję, co spotkało się z zainteresowaniem mieszkańców Warszawy. W 2009 r. w Pasażu Wiecha, rok później w pięciu dzielnicach stolicy Fundacja „Afryka Inaczej”, którą założyłem, zorganizowała Dni Afryki. W Fundacji już mamy pomysły na kolejne lata z Afryką.

A gdzie można smakować kuchnię Afryki? Na razie są dwie restauracje. Nigeryjska na Woli oraz senegalska na Saskiej Kępie. Od trzech lat można się więcej dowiedzieć o Afryce, dzięki serwisowi afryka.org.

MOJA WARSZAWA, DZIŚ I JUTRO

Miasto bardzo się zmieniło w ciągu ostatnich 20 lat. Najbardziej zauważają to absolwenci warszawskich uczelni, którzy mieszkali tu w latach 80. lub 90., a po studiach wrócili do swoich krajów. Wielu z nich odwiedza Warszawę. Nie rozpoznają miasta z czasów nauki, szczególnie ci, którzy wrócili do Afryki tuż przed upadkiem reżimu socjalistycznego. Moi senegalscy rodacy nie mogą się nadziwić nowej twarzy stolicy. Nie chodzi o zmienione nazwy ulic, nowoczesną architekturę, biurowce, ale o diasporę afrykańską, która powiększa się z roku na rok – i wcale nie mam na myśli przypadkowego zatrzymania się w drodze na Zachód. Warszawa stała się już docelowym miejscem imigracji. Cieszy mnie szczególnie pojawienie się na kulturalnej mapie festiwali *world music*. Obecność kultury afrykańskiej w Warszawie może tylko pomóc naszemu miastu w konkursie, w którym ubiega się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016.

Paweł Średziński

Ambasadorki RPA w Warszawie

Ambasada Republiki Południowej Afryki powstała w rezultacie nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską w dniu 18 grudnia 1991 r. W obu krajach był to okres gwałtownych przemian. W Polsce upadł komunizm, zaś w RPA pękł system apartheidu, w związku z uwolnieniem Nelsona Mandeli w 1990 r. Młoda południowoafrykańska placówka dyplomatyczna wyróżniała się przede wszystkim osobami, które nią kierowały. Przez 8 lat (2001–2009) na jej czele stały kobiety. Już sam fakt nominacji dwóch kobiet na to stanowisko mógł być zaskoczeniem, bo jeśli weźmie się pod uwagę obsadę na tym szczeblu w innych ambasadach, w większości przypadków ambasadorkami zostawali mężczyźni. Jednak nie tylko płcią, ale i swoimi poglądami oraz aktywnością, wyróżniły się obie ambasadorki RPA, zapisując się na kartach historii polskiej stolicy.

RPA jest krajem, który od chwili zniesienia apartheidu w swojej polityce podkreśla potrzebę ochrony osób uznawanych za dyskryminowane. Do tej kategorii zaliczały się również kobiety. Wieloletnie rządy białej mniejszości, odmawiającej praw czarnym Południowoafrykańczykom, sprawiły, że Mandela po wyjściu z więzienia i wyborach w 1994 r. podkreślał potrzebę likwidacji wszelkich przejawów dyskryminacji ze względu na pochodzenie, płeć, wyznawaną religię czy też preferencje seksualne. Z myślą o tym powstawała południowoafrykańska Konstytucja (1996). Wśród jej przepisów podstawowych, jedną z czterech fundamentalnych wartości RPA miało być odrzucenie rasizmu i dyskryminacji ze względu na płeć. Natomiast w drugim rozdziale Konstytucji znalazł się zapis o tym, że państwo nie może nikogo dyskryminować bezpośrednio lub pośrednio na podstawie jednego lub więcej kryteriów, wśród których znalazły się płeć biologiczna i kulturowa¹.

Zapisy konstytucji zaczęły być wdrażane już w pierwszej dekadzie rządów ekipy wyłonionej w historycznych wyborach w 1994 r. Na fali przeciwodzielań dyskryminacji kobiet w kolejnych dekadach rządzący RPA Afrykański Kongres Narodowy (*African National Congress – ANC*) związany

¹ Konstytucja Republiki Południowej Afryki, Warszawa 2006, s. 50–53.

z Mandelą prowadził politykę zwiększenia partycypacji kobiet w sprawowaniu władzy. Dotyczyło to nie tylko administracji rządowej, ale również służby dyplomatycznej, do której trafiły obie ambasadorki RPA w Polsce.

SIKOSE MJI (2001–2005)



Chociaż Mji została ambasadorką RPA w Polsce dopiero w 2001 r., to jej polityczna kariera zaczęła się prawie trzy dekady wcześniej, kiedy zaangażowała się w walkę z apartheidem. Urodzona w 1955 r., była córką czarnych lekarzy. Jej ojciec, Dilizintaba Mji, zaangażował się w działalność ANC. Mji twierdziła jednak, że nigdy nie rozmawiała z nią o polityce. Być może był to rezultat niechętnej postawy jej matki wobec zachowania męża. Irytovaly ją późne powroty małżonka z politycznych narad zakrapianych alkoholem. Ojciec Mji miał bowiem problemy z alkoholizmem².

Rodzice Mji byli wychowani w afrykańskich rodzinach, które od pokoleń pozostawały pod wpływem europejskim. Jeden z dziadków Sikose pracował jako pastor, inny kierował szkołą rolniczą. Jej rodzice poznali się jeszcze w czasie studiów medycznych. W tamtym okresie utrzymywali kontakty z białymi Południowoafrykańczykami i – jak wspominała Mji – „rodzice mieli zdjęcia z białymi kolegami”, co było „przedziwną rzeczą dla czarnego dziecka z Soweto”. Z Soweto, które stało się jednym z głównych symboli oporu przeciwko apartheidowi, Sikose wyjechała w wieku siedmiu lat do Durbanu. W durbańskim szpitalu dla czarnych pacjentów pracowała matka późniejszej ambasadorki RPA. Z Durbanu Mji zapamiętała szkołę dla Kolorów. W czasach apartheidu południowoafrykańskie społeczeństwo było podzielone na kategorie, które segregowały rasowo Południowoafrykańczyków. W ten sposób ówczesne władze RPA chciły doprowadzić do pełnej

2 O. Stanisławska, *Sikose Mji* [w:] „Wysokie Obcasy” 22.11.2002, <http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,1133907.html>. Informacje o dacie urodzenia i przebiegu kariery Mji pochodzą również z jej *curriculum vitae* przechowywanym w Ambasadzie RPA w Warszawie.

separacji ludności białej i kolorowej. W obrębie tej drugiej grupy, obok czarnych Afrykanów, o których przynależności rasowej miał na przykład świadczyć stopień skręcenia włosów, funkcjonowali Koloredzi, czyli osoby o miejszanej krwi, ciemniejszej niż biała karnacja i często lekko skręconych włosach, a także osobna kategoria Hindusów. Przydzielenie do jednej z tych grup determinowało dostęp do edukacji, miejsce zamieszkania i szanse rozwoju zawodowego³.

Sikose należała do grupy Afrykanów, nazywanych również Bantu. Wykluczało to ją np. z nauki w szkołach dla Koloredów. Mimo tego zakazu miała wystarczająco jasną skórę, aby nikt nie odkrył jej prawdziwej tożsamości. Uczęszczała nawet do szkoły zastrzeżonej dla Koloredów. Nie mogła jednak używać w niej swojego afrykańskiego imienia, Sikose, i uczyła się jako Daphne Shabes. Opuściła mury tej placówki, po tym jak w czasie wspólnej zabawy z kuzynami w szkolnym basenie, odwiedzający ją krewni zaczęli mówić do siebie w języku khosa, którym posługuje się część czarnych Południowoafrykańczyków. W wywiadzie, który przeprowadziła z Mji, już jako ambasadorką RPA, Olga Stanisławska, rozmówczyni Stanisławskiej przyznała, że od czasów szkoły dla Koloredów jest bardzo czuła na punkcie swojej tożsamości, zwłaszcza jeśli ktoś w RPA uzna ją za Koloredkę z racji jej stosunkowo jasnej skóry. Mji stwierdziła: „(...) o ile na pierwszym miejscu czuję się Południowoafrykanką, to zaraz na drugim czarną kobietą.” Z kolei pochodzenie z grupy etnicznej Khosa nie było już dla niej tak istotne.

Mji w wywiadach dla polskiej prasy podkreślała fakt, że jest kobietą niezależną, wolną, samodzielną wychowującą swoje dzieci z dwóch związków. Dużo uwagi poświęcała też okresowi działalności antyapartheidowskiej w ramach ANC. Jeszcze w szkole średniej Morrison Isaacson w Soweto czynnie zaangażowała się w walkę z apartheidem. Ukrywała nawet w swoim domu broń, a kiedy okazało się, że biały rząd RPA chce narzucić język białej mniejszości, afrykanerski, w szkołach dla Afrykanów i doszło do masowych protestów uczniów, postanowiła rzucić szkołę sekretarek w Natalu, do której trafiła po liceum i wziąć udział w rewolucji. Była wtedy dwudziestojednolatka, która, podobnie jak wielu czarnych Południowoafrykańczyków z jej pokolenia, uznała, że pora zastąpić pokolenie rodziców i stanąć do walki z supremacją białego rządu i systemem segregacji rasowej. Zetknęła się wtedy bezpośrednio z brutalnością policji, przed którą musiała uciekać z Suazi. Na wygnaniu wystąpiła o azyl polityczny i wyruszyła dalej, do Tanzanii (1976). W Tanzanii spotkała ówczesnego przywódcę ANC Olivera Tambo, który włączył ją w skład delegacji na Zgromadzenie Generalne ONZ. To w Nowym Jorku Mji mówiła w charakterze świadka o tym, co dzieje się

3 Tamże. Zob. także: A. Gąsiorowski, *RPA*, Warszawa 2006, s. 151–154.

w Soweto, aby zmobilizować międzynarodową opinię publiczną. W czasie przemówienia płakała i to właśnie jej łzy zapamiętała amerykańska prasa. Przez kolejne miesiące przemawiała na amerykańskich uniwersytetach. Potem trafiła do Francji, skąd wyjechała z powrotem do Tanzanii, gdzie działały struktury ANC na wychodźstwie⁴.

W Tanzanii poznała pierwszego męża, Reddy'ego Mazimba, szefa tanzaskiego biura ANC, w którym pracowała. Reddy Mazimba był ojcem jej dziecka. Po kilku latach rozwiodła się z nim i przeniosła do Zambii. Studiowała prawo na uniwersytecie w Lusace i pracowała w tamtejszym biurze ANC. Zrezygnowała jednak ze studiów prawniczych na rzecz kierunku administracji publicznej, co miało ją przygotować do pracy urzędnika państwowego, jeśli RPA zostałaby uwolniona od apartheidu. Oprócz nauki na uniwersytecie, Sikose przeszła też przeszkolenie wojskowe w Moskwie. Później wyjechała na stypendium do Nowej Zelandii. Jednak kiedy zobaczyła Nelsona Mandelę wychodzącego z więzienia w 1990 r., postanowiła zakończyć okres 15-letniego wygnania. RPA wchodziła, chociaż jeszcze ostrożnie, na drogę głębokich przemian. Mandelę spotkała na lotnisku w Johannesburgu. Mji znalazła po powrocie pracę na uniwersytecie w Transkei. Wzięła ślub po raz drugi, chociaż – jak podkreśliła w rozmowie ze Stanisławską – nie była stworzona do małżeństwa. To dlatego pozostała się z kolejnym mężem⁵.

W 1994 r. odbyły się historyczne wybory z udziałem wszystkich obywateli RPA, a południowoafrykańskim prezydentem został Mandela. 5 lat później, Mji, absolwentka administracji publicznej i działaczka ANC, znalazła zatrudnienie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Od kolejnego prezydenta RPA, Thabo Mbekiego, otrzymała nominację na ambasadorkę w Warszawie (2001)⁶.

Od początku sprawowania ambasadorskich obowiązków Mji starała się zaznaczyć swoje zdecydowane poglądy w kwestii pozycji kobiet, nie tylko w jej ojczyźnie, ale również w Polsce. Twierdziła, że południowoafrykańskie prawo lepiej chroni kobietę przed dyskryminacją. Podkreślała też rolę kobiet w ruchu walczącym z apartheidem. Zabiegała o to, aby ANC zagwarantował kobietom ochronę przed dyskryminacją i wpływ na rządzenie krajem⁷.

4 *Beyond the Rainbow*, „The Warsaw Voice” April 21, 2002 No. 16(704). Więcej w artykule O. Stanisławskiej, *Sikose Mji*.

5 O. Stanisławska, *Sikose Mji*, op. cit. O tym, że do studiowania administracji publicznej zachęcił Mji dobry przyjaciel, ambasadorka RPA wspomina w wywiadzie z 2003 r., *Freedom is Choice*, „The Warsaw Voice” National Suplement, April 27 – May 4, 2003 (No. 80).

6 *Ibidem*.

7 *Ibidem*.

Mji zadeklarowała się jako przeciwniczka patriarchalnego społeczeństwa. W rozmowie ze Stanisławską przyznała, że nie chciała być członkinią Ligi Kobiet, bo zamierzała walczyć jak mężczyzna. „Dziś” – powiedziała Stanisławskiej – „mamy parnię marszałek parlamentu Hinduskę i wicemarszałek Afrykankę. Ponad jedna trzecia deputowanych to kobiety, a dziewięć kobiet stoi na czele ministerstw.”⁸

Mji zapytana o swoje osiągnięcia w okresie bycia ambasadorką, stwierdziła, że największy sukces związany z jej nominacją należał do południowoafrykańskiego rządu, który wybrał ją, jako pierwszą kobietę, na stanowisko szefowej placówki dyplomatycznej w Polsce. „Z pewnością jestem tutaj w rezultacie polityki mojego rządu, afirmującej kobiety” – mówiła w wywiadzie dla „The Warsaw Voice”⁹.

Rok później, w rozmowie z dziennikarką tej samej gazety, podjęła kwestię praw kobiet (2003). Zapytana o możliwości rozwoju i kariery, twierdziła, że w RPA kobietom nie jest aż tak trudno, jak w Polsce. Opisała też południowoafrykański system ochrony praw kobiet, rozumiany jako specjalne biuro do spraw kobiet, działające w strukturze kancelarii południowoafrykańskiego prezydenta oraz Komisję do spraw Równości Płci. Również na poziomie każdego departamentu w rządzie działa specjalna sekcja, zajmująca się przestrzeganiem zasady równości płci. Polska, zdaniem Mji, pomimo możliwości przeciwdziałania dyskryminacji kobiet, nie powołała żadnych demokratycznych instytucji, które pomogłyby we wdrożeniu praw chroniących i promujących kobiety. Dlatego Mji deklarowała wsparcie dla inicjatyw na rzecz ochrony praw polskich kobiet i ich równego traktowania. Przewodziła też nieformalnej grupie kobiet-dyplomatek w Warszawie, zrzeszających ambasadorki w walce o emancypację kobiet. W tym samym wywiadzie dla „The Warsaw Voice” Sikose została poproszona o podanie jej definicji sukcesu, a jednocześnie zapytana o to, czy czuje się kobietą sukcesu. Mji odpowiedziała, że jest „czarną kobietą sukcesu”, a zadecydowało o tym wiele rzeczy. „Jestem kobietą sukcesu” – powiedziała Mji – „bo walczyłam przeciwko apartheidowi, dominacji mężczyzn i prześladowaniu kobiet, i zajmuję się tym, co lubię robić. I myślę też, że jestem kobietą sukcesu, bo jestem samotnym rodzicem i niezależną kobietą.”¹⁰

Feminizm Mji łączył się zatem z jej zaangażowaniem o walkę z apartheidem i dyskryminacją. Słaba ocena wystawiona Polsce za brak odpowiednich narzędzi i mechanizmów umożliwiających egzekwowanie praw kobiet nie wpłynęła na ocenę polskiego społeczeństwa. Mji wypowiadała się z uzna-

8 Ibidem.

9 *Beyond the Rainbow*, op. cit.

10 *Freedom is Choice*, op. cit.

niem na temat polskiej gościnności, tego, że w odróżnieniu od mieszkańców Europy Zachodniej, Polacy nie żyją w pośpiechu i mają czas na rozmowę. Była też przekonana, że Polacy rozumieją obcokrajowców, bo sami muszą często podróżować po świecie. Jedynym negatywnym aspektem mieszkania w Warszawie były jesienne i zimowe chłody, które sprawiały, że Mji teskniła za cieplejszym klimatem.

Mji starała się inicjować działania promujące RPA w Polsce. W Galerii Mokotów zorganizowała „Tydzień Południowaafrykański” (2003). W 2004 r. przygotowała wieczór południowaafrykański w warszawskim hotelu „Sheraton”, z którego dochód został przeznaczony na potrzeby Fundacji Ex Animo, wspierającej Klinikę Onkologii Instytutu „Pomnik – Centrum Zdrowia Dziecka”. W 2005 r. Mji przestała pełnić swoją funkcję. Została później powołana na stanowisko ambasadorka w Beninie. Wkrótce po zakończeniu kadencji Mji w Polsce okazało się, że następną osobą kierującą południowaafrykańską ambasadą w Warszawie miała być również kobieta.

FEBE POTGIETER-GQUBULE (2005–2009)

© Ambasada RPA w Warszawie



Wybór Febe Potgieter-Gqubule oznaczał, że przez kolejne 4 lata, ambasadą RPA w Warszawie będzie znowu kierować kobieta. Potgieter-Gqubule należała również do pokolenia wychowanego w czasach apartheidu, które dorastało wtedy, gdy Sikose Mji przebywała na wygnaniu. Jej walka z niesprawiedliwością społeczną i systemem apartheidu rozpoczęła się w latach 80. Potgieter-Gqubule pochodziła z małego miasteczka w prowincji Eastern Cape. Wychowała się w religijnej rodzinie – jej ojciec był pastorem i – jak powiedziała w jednym z wywiadów – to właśnie chrześcijaństwo było inspiracją do zaangażowania się po stro-

nie ubogich i dyskryminowanych. Studiowała prawo w Kapsztadzie i nie musiała opuszczać RPA, do czego zmuszona została Mji. Pierwszym szczeblem politycznej kariery Potgieter-Gqubule była funkcja sekretarz generalnej młodzieży ANC. W okresie demontażu systemu apartheidu w RPA reprezentowała swój kraj na forum międzynarodowym, biorąc udział w spotkaniach Panafrykańskiego Ruchu Młodzieżowego. Jednocześnie była odpowiedzialna za prowadzenie dialogu z organizacjami młodzieżowymi

reprezentującymi białych Południowoafrykańczyków. Jednocześnie pracowała w sektorze organizacji pozarządowych, zajmując się sprawami rozwoju w kontekście bezrobocia wśród młodych ludzi i ich udziału w rynku pracy¹¹.

Po ukończeniu studiów aktywnie angażowała się w proces transformacji swojej ojczyzny. Brała udział w przygotowaniu Programu Rekonstrukcji i Odbudowy, wyznaczającego kierunek reform i przekształcania RPA po upadku apartheidu. Pracowała też jako członek komitetów i instytucji zajmujących się edukacją. W 1998 r. została redaktorem w politycznym piśmie „Umrabulo”, wydawanym przez ANC. Przez 5 lat pracowała też w Komitecie Wykonawczym partii rządzącej RPA po pierwszych wolnych i demokratycznych wyborach. Do Ministerstwa Spraw Zagranicznych trafiła w 2005 r., w związku z nominacją na stanowisko ambasadora RPA w Warszawie¹².

W wywiadzie dla „Polish Business Magazine” zwróciła uwagę na fakt, że jej nominacja miała związek z polityką władz RPA, które dążyły do równej obsady stanowisk w administracji rządowej i sektorze publicznym według płci. Dlatego też na stanowiska ambasadorów promowano kobiety, a Potgieter-Gqubule była jedną z nich. W 2008 r. aż 25% ambasadorów RPA na świecie stanowiły kobiety¹³.

Potgieter-Gqubule wyróżniała się swoją dużą aktywnością w czasie pełnienia funkcji ambasadorki w Polsce. Uczestniczyła w licznych spotkaniach, inicjatywach kulturalnych, pomagała w organizacji dorocznego przeglądu filmów afrykańskich „AfryKamera”, współfinansując to przedsięwzięcie, które stało się cyklicznym festiwalem. Zaangażowała się w promocję RPA, wykorzystując wsparcie południowoafrykańskiej diasporы w Polsce. Brała udział w odsłonięciu tablicy pamiątkowej poświęconej lotnikom z RPA, którzy latali z pomocą dla powstańczej Warszawy. Na prośbę Fundacji Spełnionych Marzeń odwiedziła podopiecznych onkologii w Instytucie Matki i Dziecka. W czasie jej kadencji miały również miejsce przygotowania do mundialu. Wspólnie z Fundacją „Afryka Inaczej” prowadziła kampanię informacyjną na temat Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej w RPA. W związku z tym powstała specjalna strona internetowa w języku polskim oraz foldery informujące o walorach turystycznych Republiki Południowej Afryki. Wszędzie tam, gdzie istniała możliwość mówienia o RPA, pojawiała się ambasadorka Potgieter-Gqubule¹⁴.

11 *Alive with Possibility*, „Polish Business Magazine” 2/2008. Biogram Febe Potgieter-Gqubule, mps z archiwum Ambasady RPA w Warszawie.

12 Biogram Febe Potgieter-Gqubule, mps z archiwum Ambasady RPA w Warszawie.

13 *Alive with Possibility*, op. cit.

14 Strona internetowa dostępna pod adresem: www.afryka.org/rpa2010.

Jednym z przykładów promocji tematów związanych z RPA w Polsce, była książka *Gogo's Kitchen* (*Kuchnia babci*) wydana przez południowoafrykańską ambasadę. Znalazły się w niej przepisy kuchni RPA, przygotowane z myślą o polskim czytelniku, zachęcające go do skorzystania z bogatej oferty smaków z południa Afryki. Potgieter-Gqubule tłumaczyła ideę wydania tej książki w następujący sposób: „Prace nad stworzeniem tej książki zapoczątkowała grupa kobiet z Republiki Południowej Afryki, które pragną podzielić się z Polkami przepisami kuchni południowoafrykańskiej, aby wyrazić wdzięczność za gościnność, której doznajemy w Waszym kraju bez względu na to, czy spędzamy tu tydzień, miesiąc czy kilka lat.”¹⁵

Tuż przed zakończeniem swojej kadencji w ambasadzie w Warszawie, w 15. rocznicę upadku apartheidu przemawiała z okazji Dnia Południowej Afryki, organizowanego co roku w kwietniu. Rocznica była wyjątkowa, bo w tym samym czasie odbyły się 4 wolne i demokratyczne wybory. Ambasada w Warszawie była jedynym miejscem w Polsce, gdzie Południowoafrykańczycy mieszkający nad Wisłą mogli oddać swój głos. W wyborach wzięło udział aż 98% zarejestrowanych w Polsce południowoafrykańskich wyborców. W swoimi przemówieniu Potgieter-Gqubule poruszyła kwestię problemów, z którymi borykają się mieszkańców RPA, przypominając jednocześnie o wielkiej szansie dla swojej ojczyzny, jaką był zbliżający się mundial. W czerwcu 2009 r. opuściła Polskę. Wciąż nie wiemy, kto będzie następnym ambasadorem RPA w warszawskiej placówce¹⁶.

Potgieter-Gqubule do dziś darzy Polskę sympatią. Uważa, że ekonomicznie Polska i RPA mają wiele wspólnego. Zapytana, czy jest coś za czym teskni, odpowiedziała, że za różnorodnością, rozumianą jako obecność i funkcjonowanie wielu kultur. W Polsce, do której przyjechała z synem Khalo, usłyszała od swojego dziecka pytanie: „Mamo, dlaczego nie mam blond włosów i niebieskich lub zielonych oczu, jak inne dzieci w mojej klasie?” W RPA jej znający już język polski syn nie zadawałby takich pytań¹⁷.

15 *Gogo's Kitchen*, Warszawa 2007.

16 Mps przemówienia z okazji Dnia Południowej Afryki, archiwum Ambasady RPA w Warszawie.

17 Alive with Possibility, op. cit.

Obecnie Potgieter-Gqubule przebywa w RPA, gdzie mieszka i pracuje jej mąż, znany dziennikarz i ekonomista, Duma Gqubule. W Warszawie, jeszcze przed wyjazdem Potgieter-Gqubule, pojawiła się kolejna afrykańska ambasadorka, tym razem reprezentująca Nigerię. Oprócz niej, już wcześniej stanowisko ambasadora Angoli otrzymała również kobieta. W rezultacie okazało się, że w Warszawie aż trzy z czterech ambasad państw położonych na południe od Sahary znalazły się pod kierownictwem kobiet.

BIBLIOGRAFIA:

- Alive with Possibility*, „Polish Business Magazine” 2/2008.
- Beyond the Rainbow*, „The Warsaw Voice” April 21, 2002 No. 16 (704).
- Biogram Febe Potgieter-Gqubule, mps z archiwum Ambasady RPA w Warszawie.
- Freedom is Choice*, „The Warsaw Voice” National Suplement, April 27 – May 4, 2003 (No. 80).
- Gąsiorowski A., *RPA*, Warszawa 2006.
- Gogo's Kitchen*, Warszawa 2007.
- Konstytucja Republiki Południowej Afryki, Warszawa 2006.
- Stanisławska O., *Sikose Mji [w:] „Wysokie Obcasy”* 22.11.2002.

My, warszawiacy: Desire Rasolomampionona Madagaskar



– Od kiedy mieszka Pan w Polsce?

Desire Rasolomampionona: Przyjechałem do Polski 28 lat temu, w 1982 roku. W Warszawie zamieszkałem rok później, ponieważ najpierw byłem w Łodzi na kursie języka polskiego. Przyjechałem, tak jak większość Afrykańczyków, na studia. Miałem tu spędzić 6 lat – rok nauki języka i 5 lat studiów. W moim przypadku ten pobyt nieco się przedłużył, z różnych powodów. Przede wszystkim dlatego, że założyłem tu rodzinę: ożeniłem się, urodziły się dzieci, teraz mamy pięcioro. Trzeba było podjąć jakąś decyzję. Studiowałem na Politechnice Warszawskiej na Wydziale Elektrycznym w latach 1983–1988. Potem rozpoczęłem pracę nad doktoratem.

Gdy się doktoryzowałem w 1994 roku, zostałem zatrudniony na Wydziale jako adiunkt. Habilitację zrobiłem 2 lata temu, tak więc w zasadzie wszystkie tytuły zdobyłem na macierzystej uczelni. Wyjątkiem jest tytułu profesora, który zależy jedynie od moich zdolności i możliwości tworzenia szkoły naukowej. Wiąże się to z moim dalszym rozwojem i umiejętnością przekazywania wiedzy przyszłemu pokoleniu. Obecnie jestem kierownikiem Zakładu Automatyki Elektroenergetycznej w Instytucie Elektroenergetyki na Wydziale Elektrycznym.

– Dlaczego wybrał Pan Polskę jako miejsce studiowania?

D.R.: To nie ja wybierałem, tylko ministerstwo. Składało się podanie o stypendium zagraniczne, ministerstwo proponowało kraj i wtedy mogłem się zgodzić albo nie. To była okazja, żeby studiować w innym państwie. Stypendium było zapewnione, nie trzeba było płacić za studia. To często jest najważniejsze przy

podejmowaniu decyzji. Gdy jest stypendium i są studia, za które nie trzeba płacić, to człowiek jest gotów eksperymentować, zobaczyć, czy mu to będzie odpowiadać czy też nie.

– Jaka była Polska, do której Pan przyjechał w 1982 roku?

D.R.: To była końcówka stanu wojennego. Ze wszystkimi objawami: kolejki, kartki i tak dalej. Był to dosyć ciekawy okres w moim życiu. Większość ludzi wspomina to jako horror, bo rzeczywiście tak było. Ale szybko dostosowaliśmy się do tej sytuacji. Pamiętam sporo anegdot z tego czasu. Sam przeżyłem wiele ciekawych sytuacji. Zaraz po przyjeździe dostałem tzw. wkładkę na kartki i kartkę żywnościową. Na początku oczywiście nie wiedziałem, do czego to wszystko służy, ale starsi koledzy wytłumaczyli mi. Poszedłem więc do sklepu i kupiłem masło. A potem chciałem wykupić obiady na stołówce, ale się okazało, że już nie mogę, bo nie ma odcinka na masło! I pani nie była mi w stanie wytłumaczyć, o co chodzi, bo ona nie mówiła w żadnym obcym języku, a ja nie mówiłem po polsku. Musieliśmy pójść do sekretarki, która trochę знаła francuski i wyjaśniła mi, na czym polega problem. Pod koniec roku dostaliśmy takie specjalne kartki, na których były tylko numerki: jeden, dwa, trzy, cztery... Do dziesięciu. Nie wiedziałem, do czego służą. Okazało się, że to były kartki na dowolne towary, o których mieliśmy być informowani przez radio. Na przykład za jedną będzie można kupić buty zimowe, za dwójkę – jakieś skarpetki i tak dalej. Takie były czasy. Ale ponieważ nie znaliśmy polskiego, to nie wiedzieliśmy, że coś w tym radio było ogłasiane. Kiedyś poszedłem do sklepu, sprzedawczyni zobaczyła, że mam w ogóle nieużywaną kartkę i powiedziała: „Proszę pana, za numer dwa to do zeszłego tygodnia mógł pan kupić buty zimowe. Ale teraz już jest za późno. Mogę tę kartkę od pana wziąć i dać panu za to dwanaście jajek”.

– Minęło sześć lat pobytu w Polsce, był rok 1988. Sytuacja nie była dużo lepsza, ale jednak nie zdecydował się Pan wracać do kraju, tylko został pan tutaj. Dlaczego?

D.R.: Może nie było specjalnie lepiej, ale byłem dosyć dobrym studentem, zaproponowano mi zrobienie doktoratu. Sam się tym interesowałem, przyznaje, ale oprócz tego, że człowiek się interesuje, musi się znaleźć naukowiec, który będzie promotorem. Trafił mi się wybitny profesor, który mnie wziął pod swoje skrzydła. I dzięki temu mi się udało. Przez całe studia prowadziłem działalność artystyczną. Na początku pracy nad doktoratem także, ale potem musiałem z tego zrezygnować. Poza tym pod koniec czwartego roku ożeniłem się z Polką i to też wpłynęło na decyzję, żeby zostać. Potem nastąpiły przemiany w Polsce roku 1989. Większość moich kolegów ze studiów poszła do pracy, do dużych firm zagranicznych, które zaczynały działać w Polsce. Gdy zdecydowałem się

zostać na uczelni, traktowali mnie jak wariata. Pytali: „Po co, skoro jest tyle nowych możliwości?” Ale jednak trzymałem się swego postanowienia. Doktorat będę miał do końca życia, a posadę w firmie, nawet dużej, międzynarodowej, znanej, mogę mieć i mogę ją stracić. Wszystko zależy od koniunktury. Przynajmniej takie było wtedy moje podejście. I jak się okazało, jednocześnie miałem rację i jej nie mialem, dlatego że Polska była tak „głęboda”, że wszystko, co wchodziło na rynek, szło jak ciepłe bułeczki. W związku z tym przez wiele lat oni nie musieli się martwić. O nic. Nie było tak, jak za granicą, gdzie koniunkturę trzeba było tworzyć, czyli kreować potrzeby, bo już wszystko było. W Polsce nie było niczego, więc potrzeby same się znalazły.

– Jak wspomina Pan pracę na uczelni?

D.R.: Prowadziłem dosyć ciekawą działalność. Nawiązałem dużo kontaktów zagranicznych. Na początku lat 90. prowadziłem kilka projektów europejskich. Wtedy niewielu ludzi wiedziało dokładnie, co to jest. Wiedzieli jedynie, że to jest po to, aby zdobyć pieniądze! Często bywałem za granicą. Nawiązałem bardzo dużo kontaktów z wieloma zagranicznymi ośrodkami badawczymi. W 1999 roku powróciłem do spraw ściśle naukowych, brałem udział w grantach badawczych w latach 1999–2002 i 2002–2005. W zasadzie co roku bywam we Francji jako *Visiting Professor* na okres 1–2 miesięcy. W 2005 roku wygrałem konkurs na profesorski kontrakt ministerialny Rządu Francuskiego (dwukrotny 4-miesięczny pobyt w znakomitym ośrodku badawczym). Dzięki temu dwukrotnie wyjechałem do Francji na dłuższy kontrakt i pracowałem w prestiżowym ośrodku badawczym INP w Grenoble. W 2007 roku kończyłem habilitację, a rok później się broniłem. Wkrótce po habilitacji zostałem kierownikiem Zakładu, który bardzo dobrze, jak na warunki polskie, prosperuje. Tak więc nie narzekam.

– Co Pan sądzi o Polsce, o Polakach, wówczas gdy pan tutaj przyjechał? Co sądzi Pan teraz? Jakie były Pana relacje z Polakami wtedy i czy coś się zmieniło od tego czasu?

D.R.: Na pewno bardzo dużo się zmieniło. Wtedy Polska była zupełnie innym krajem. Za czasów socjalizmu to był kraj paradoksów. Z jednej strony byli Polacy, którzy się bardzo bali obcych ludzi. Byli też zakompleksieni. Wychodzili z założenia, że osoby z zagranicy są od nich bogatsze, bo mają stypendia w dolarach. I rzeczywiście tak było przez wiele lat. Ale ja spotkałem się z wieloma serdecznymi Polakami, z którymi do tej pory mam bardzo dobre relacje. Oczywiście poziom chamstwa był wówczas bardzo wysoki, ale ponieważ jestem człowiekiem w miarę ostrożnym, to nie dałem się wciągać w jakieś bójki. O to było bardzo łatwo, zwłaszcza że młodzież była agresywna, czego powodem była frustracja i kompleksy. Ale wierzyłem, że to się zmieni, bo taka sytuacja

była wręcz nienormalna. Skoro w wielu innych krajach jest w miarę normalnie, to dlaczego tutaj miałyby być inaczej? To jest nawet sztuczne. Nie może tak być. No i to się rzeczywiście trochę zmieniło w ciągu tych lat. Mówią, że ludzie stali się teraz bardziej obojętni. To jest specyfika społeczeństwa na dorobku. Każdy o coś walczy, wreszcie ma możliwość wzmacniania się. To jest normalny odruch. Gdy się trochę dorobią, to zobaczą, że życie to nie tylko „mieć”... Ale to może potrwać kilkadesiąt lat. Przynajmniej taka jest moja refleksja.

Jestem człowiekiem dosyć komunikatywnym, dlatego nie mam problemów z nawiązywaniem kontaktów z ludźmi, z wymianą poglądów. Nawet, jeżeli są to poglądy sprzeczne z moimi, zawsze jestem w stanie wysłuchać drugiej strony. Niestety w Polsce każdy Polak uważa, że jest najmądrzejszy na świecie. Nie słucha drugiego. Rozmowy to są w rzeczywistości wielokrotne monolog. Każdy coś tam mówi i uważa, że najpiękniej; nie nastawia się na słuchanie drugiej osoby. A ten drugi „rozmówca” również nie nawiązuje do tego, co mówił poprzednik. Nie ma dialogu. To łatwo można sprawdzić w Sejmie. Każdy sobie coś mówi, nikt nikogo nie słucha. To jest moje spostrzeżenie. Może ono jest błędne, ale jako człowiek z zewnątrz, mam możliwość obserwowania z dystansu.

- Co się Panu podoba i nie podoba w Polsce?

D.R.: Po tylu latach człowiek już się dostosowuje, ale jest wiele rzeczy, które mi się nie podobają. Nie podoba mi się brak tolerancji. Nie chodzi mi o stosunek do ludzi innej rasy, tylko ogólnie. Ludzie nie mają tolerancji wobec innych, nawet między sobą. Bo ten myśli inaczej albo ten był komunistą. W ten sposób nie ma dialogu społecznego. Drugiego człowieka trzeba traktować podmiotowo i wychodzić z założenia, że on też ma coś do powiedzenia i może nawet mądrze będzie mówił. Bez tego nie da rady. Mówią, że nie ma autorytetów. Ale tych autorytetów w Polsce szuka się na siłę. Jest papież. Jeden autorytet na 40 milionów ludzi. Nie ma, w ogóle, autorytetów lokalnych. Nikt nie szanuje, gdy ktoś zdobędzie władzę, zostanie sołtysem czy wójtem. Od razu jest atakowany przez wszystkich. W ten sposób do niczego się nie dojdzie.

- A co się Panu podoba?

D.R.: Wiele rzeczy. Podoba mi się to, że mimo wszystko ten kraj bardzo się rozwija. Ludzie starają się pracować. Na poziom usług w Polsce wszyscy narzekają, np. że banki są takie ostrożne w udzielaniu kredytów. Ale dzięki temu nie ma takich strasznych bankructw, jak w Stanach. Jest dużo rzeczy, które mogłyby iść szybciej. Problem polega na tym, że Polacy od razu obwiniają rządzących. Nie biorąc pod uwagę, że to jest cały system. Zaczynamy od sądownictwa, przez różne urzędy, gdzie żaden minister ani nikt z wysokiego szczebla nie będzie interweniował. Bo to są sprawy lokalne. Na przykład wydawanie zezwoleń na

korzystanie z tego czy innego terenu. To już są sprawy, które muszą być załatwione na poziomie lokalnym i zależą od zaangażowania poszczególnych obywateli. Nie można tylko krytykować. Nikt nie chce interweniować, a ci, którzy coś robią, na pewno robią to źle, albo mają w tym jakiś własny, najczęściej ciemny, interes. Taka postawa była charakterystyczna w Afryce po kolonizacji: przez wiele lat ludzie nie brali udziału w niczym, w związku z tym wszystko, co potem próbowało robić, było źłe, bo to po Francuzach, Anglikach czy Portugalczykach. Rządzących traktowano, jak ludzi, których ktoś tam wybrał, żeby byli. A tu już nie ma „ktoś tam”, trzeba samemu teraz wybierać.

– Jakie są Pana relacje z Polakami? Utrzymuje pan raczej kontakty w środowisku osób, które przyjechały do Polski w tym samym czasie, co Pan, czy może ma Pan znajomych także wśród etnicznych Polaków?

D.R.: Można powiedzieć, że jestem człowiekiem prawie w pełni zasymilowanym. Z wyjątkiem koloru skóry. Tego nie zmienię. W zasadzie funkcjonuję tak, jak wszyscy Polacy. Mam kolegów i przyjaciół Polaków.



- Barier Pan nie odczuwa?

D.R.: Nie, bo ludzie, z którymi się zadaję, to są moi przyjaciele, po prostu. Nie stwarzam takich barier. W Polsce nigdy nie było problemu mniejszości, nie etnicznych, lecz rasowych. Jeśli ktoś inaczej wygląda, to jest tylko naturalna ciekawość. Czasem bywają ludzie z ruchów ekstremistycznych, którzy nas atakują, ale myślę, że to jest zła wola, a nie motywacja polityczna. Niektórzy chcą być złośliwi, chcą być źli i atakują drugiego bez żadnej motywacji. Co innego jest w krajach, gdzie są mniejszości... Często bywam we Francji. Tam są problemy z mniejszościami. Ale gdy tylko się pojawiają, powstaje równolegle dużo różnych oddolnych ruchów przeciwko albo za. Są ludzie, którzy od razu organizują wiecze, nie zgadzając się na deportację obywatela, tylko dlatego że nie miał papierów, jest nielegalnie. Bardzo często zapada wówczas decyzja polityczna o ponownym przemyśleniu tej kwestii. W Polsce nie ma takich ruchów obywatelskich. Tego mi brakuje.

- A różnice kulturowe? Były czy może jest nadal coś, co Pana uderzyło po przyjeździe tutaj? Coś, co Pan odbiera bardzo negatywnie?

D.R.: Jestem człowiekiem-kameleonem, mogę zrozumieć wszelkie różnice. Kulturowe również. Oczywiście zobaczyłem tutaj dużo różnych rzeczy, których nie widziałem u siebie. Dużo różnic mentalnych. W tej chwili to wszystko się zaciera. Jestem już przyzwyczajony, więc tego nie dostrzegam. Gdy wracam na Madagaskar, to nie czuję, żebym był tam obcy, mimo że jest wiele różnic. Szybko dostosowuję się do sytuacji. Z racji moich zainteresowań i wychowania w rodzinie uważam, że jest wiele innych bardziej skomplikowanych rzeczy w życiu człowieka.

- Przyjechał Pan do Polski z Madagaskaru. Utrzymuje pan kontakty z rodzinnym krajem? Z Afryką?

D.R.: Bardzo bliskie. Przez cały czas jestem z nimi w kontakcie. Dzwonię bardzo często, wymieniamy e-maile, teraz jesteśmy na Facebooku.

- A bywa Pan tam?

D.R.: Dwa razy byłem. W 1990 i 2005 roku. Ostatnio nie byłem, ponieważ na Madagaskarze był zamach stanu, więc sytuacja jest dosyć nieciekawa.

- Myślał Pan o powrocie do kraju?

D.R.: W tej chwili nie mam nawet kiedy o tym myśleć. Pracuję, mam dzieci, muszę je wychować. Wyjazd jest dla mnie sprawą o bardzo niskim priorytecie.

- Ma Pan tutaj znajomych z Madagaskaru?

D.R.: W Polsce mam kilku. We Francji znacznie więcej. Często tam bywam, więc mam z nimi stałы kontakt.

- Jak Pan ocenia po latach decyzję o przyjeździe do Polski i pozostaniu tutaj?

D.R.: Pozytywnie. Dla mnie to było bardzo duże wyzwanie. W Polsce ludzie lubią rozpamiętywać złe rzeczy. Ja staram się je wypierać ze swojej pamięci. W stanie wojennym i nawet później było rzeczywiście dużo różnych kłopotów. Już ich nie pamiętam, może oprócz tych najśmieszniejszych. Tych najbardziej przykrych się nie pamięta. O krzywdach trzeba szybko zapomnieć! Nie można nimi żyć. Nie można rozpamiętywać. Przeżyłem wiele nieprzyjemnych sytuacji, na przykład osobistych kontroli na granicy. To oczywiście było dla mnie wtedy przeżycie traumatyczne, ale teraz to już przeszło.

Uważam, że podjąłem dobrą decyzję, ponieważ mogłem tutaj normalnie funkcjonować. Nic nie zatrzymało mojej kariery, mojego rozwoju. Wszystko potoczyło się normalnie. Nie powiedziałbym, że jak w każdym innym kraju, ale optymalnie. Ani mi nadmiernie nie pomagano, ani nie przeszkaďano.

- Jakie ma Pan plany na przyszłość?

D.R.: Co tu można planować? Trzeba funkcjonować tak, żeby wychować dzieci i żeby wyszły z domu. Taki jest mój plan. Na Politechnice będę prawdopodobnie pracować do końca życia. Jak na cudzoziemca, zajmuję dosyć wysokie stanowisko, w związku z tym nie mam motywacji do zmiany pracy, nie wyobrażam sobie siebie w innym miejscu. Gdzie indziej mógłbym mieć większe pieniądze, ale czy to byłoby ciekawsze? Nie wiem. A jestem już w takim wieku, że szukam tylko ciekawych rzeczy. Ostatnio wróciłem do działalności artystycznej. Dlatego Mamadou zaprosił mnie, żebym przyszedł do radia trochę pośpiewać.

rozmawia: Krzysztof Wittels

współpraca: Mamadou Diouf

My, warszawiacy: Dramane Samaké Mali

- Jak to się stało, że przyjechałeś do Polski?

Dramane Samaké: Pochodzę z Mali w Afryce Zachodniej. Do Polski przyjechałem 5 października 1990 roku, jako młody, 18-letni student. Byłem stypendystą ONZ-u. W Mali była moda na stypendia zagraniczne. Najlepsi z klasy, po zdaniu matury, mieli szansę wyjechać na zagraniczne studia uniwersyteckie. Ja się załapałem. Ministerstwo Edukacji Narodowej Mali wybierało poszczególne kraje dla studentów. Nie miałem wpływu na to, do którego kraju zostanę wysłany. Gdy poszedłem do Ministerstwa dowiedzieć się czegoś, powiedziano mi, że nasze dokumenty zostały wysłane do Polski i że czekają na odpowiedź Polaków. W końcu dostaliśmy zgodę. Było nas wtedy sześciu. Miałem studiować żywienie człowieka, drugi kolega miał studiować stomatologię, dwóch – informatykę, kolejny – etnologię i ostatni – demografię. Pamiętam to dokładnie. Przyjechaliśmy do Warszawy razem. Oczywiście przelatywaliśmy przez Moskwę. Lądowaliśmy w Warszawie akurat o 12.00. I tu się wydarzyła taka fajna historyjka. W Mali mówiono nam, że ktoś nas odbierze na lotnisku. I nikt na nas nie czekał! Byliśmy zdani na siebie. A zanim przyjechałem do Polski, kolega, u którego mieszkałem w Bamako, powiedział, że zna kogoś, kto studiował w Polsce. W ten sposób dotarłem do Madian. Napisał mi po polsku na karteczkę, jak mamy dotrzeć z lotniska do domu studenckiego Babilon. Nie wiem, czy nawet jeszcze nie mam tej karteczki. Kiedy się okazało, że jesteśmy sami na tym lotnisku, mówił: „Słuchajcie, chłopaki, mam coś tutaj, może pokażmy to jakiemuś kierowcy autobusu.” Widzimy autobus, pokazaliśmy tę kartkę kierowcy i on nas zabrał na Dworzec Centralny. Wtedy na Dworcu Centralnym naprawdę było bardzo ciężko spotkać kogoś, kto mówi po angielsku.



Ale spotkaliśmy Afrykańczyka! Tak się cieszyliśmy! On był z Wybrzeża Kości Słoniowej i niby chciał nam pomóc, ale niestety okazało się, że chciał nas wyrolować z pieniędzy. Wtedy były to setki tysięcy złotych. Mieliśmy przy sobie, oczywiście, jakieś franki francuskie, dolary. Wymieniliśmy trochę tych pieniędzy i on chciał nam kupić bilety. Powiedział, że kupienie biletów dla nas sześciu będzie kosztowało każdego z nas 100 tys. zł. Pamiętam dokładnie, 100 tys., były takie banknoty. Mówię: „Słuchajcie, chłopaki, nie podoba mi się to! Jeden bilet nie może aż tyle kosztować, nie chce mi się w to wierzyć. Sam idę to sprawdzić, czekajcie na mnie.” Miałem tę setkę w ręku, idę do kas i pokazuję na kolegów, że jest jeszcze pięciu. Pokazałem w paszporcie wizę, a tam było napisane Łódź. Bo tam był adres Studium Języka Polskiego w Łodzi. I kasjerka dała mi sześć biletów i jeszcze mi zwróciła resztę. Byłem bardzo zdziwiony. Mówię: „Słuchajcie, chłopaki, kupiłem sześć biletów za jeden taki banknot! Ty, stary, chciałeś nas po prostu wyrolować!” Ale teraz kolejny kłopot: jak trafić na peron?! Ojej! Pytaliśmy, aż w końcu udało się. Na peronie było napisane „Łódź Fabryczna”. Pamiętam to doskonale. Mówię: „Nie, nie Łódź Fabryczna, musi być Łódź Kopcińskiego!” Ale ktoś powiedział: „Łódź to Łódź”, więc wsiedliśmy. Jak dotarliśmy do Łodzi, na dworcu próbowaliśmy się z kolei dowiedzieć, jak dojechać do akademika. Trafiliśmy chyba na jakiegoś nauczyciela ze Studium Języka Polskiego. Kupił nam bilety. Zaprowadził nas aż na przystanek, powiedział, gdzie mamy wysiąść. Akurat kiedy wysiadaliśmy, spotkaliśmy Afrykankę z Sudanu. Ona od razu nas doprowadziła do Studium i byliśmy już wtedy na miejscu.

– Jak długo studiowaliście w Łodzi?

D.S.: Rok. Od października do lipca.

– Trzymaliście się tam razem?

D.S.: Oczywiście! Mieszkaliśmy w tym samym Domu Studenckim. Mieszkałem z kolegą, Alou, który miał studiować etnografię. Dali nam trzy pokoje na dwóch. Trzymaliśmy się razem, to była rodzina. Nie umielismy gotować, ale musielismy się nauczyć. Pamiętam nasz pierwszy posiłek: ryż z sosem z masłem orzechowym. Kto nam dał ten posiłek? Cheick z Gwinei. Cheick i Aicha to była taka para z Gwinei. Oni mieszkali w drugim Domu Studenckim, obok naszego. Zaprosili nas i tam jedliśmy swój pierwszy afrykański posiłek. Byliśmy tak zadowoleni! Nigdy tego nie zapomnę! W akademiku był sklepik na dole. Tam kupiliśmy różne ciastka, kefiry, śmietany. Cheick i Aicha pokazali nam, gdzie mamy kupić garnki, ubrania... Bardzo dużo nam pomogli. Najbardziej nam pomógł Malijczyk Moussa Diarra mieszkający po studiach w Łodzi. Był tak jakby ojcem wszystkich Malijczyków w Łodzi. Zaprowadził nas do tych wszystkich sklepów, pokazał, jak należy dojechać. Kupił nam ubrania zimowe, rękawiczki.

- Mieliście wtedy jakieś kontakty z Polakami?

D.S.: Oczywiście. Pierwsza rzecz, która nas uderzyła, to że ludzie się na nas gapią! Ojej! Za każdym razem, jak się wsiadało do tramwaju albo kiedy się stało na przystanku. I że jest bardzo mało czarnych w tym kraju. Bo jesteś w tramwaju i okazuje się, że jesteś jedynym czarnym! Uczyliśmy się polskiego bardzo intensywnie, także po dwóch, trzech miesiącach zaczęliśmy trochę mówić. Byliśmy w stanie rozmawiać, pytać, co i jak. Natomiast, jeśli chodzi o kontakty z Polakami, to byliśmy zdziwieni na początku, że ludzie się tak natrętnie przyglądają. Mało tego, jak zaczęliśmy już trochę rozumieć po polsku, zauważliśmy, że niektórzy wyzywają nas w nieładny sposób. Staraliśmy się zazwyczaj chodzić razem. Zresztą ten kolega, który mieszkał w Łodzi już od kilku lat, radził nam, żebyśmy nie spacerowali sami. Nie tylko on, ale Cheick też nam mówił, żeby poruszać się w grupie. Minimum we dwóch albo trzech. Jak zaczęliśmy rozumieć polski, zorientowaliśmy się, że jesteśmy wyzywani. To były naprawdę nieładne zwroty. Oczywiście pierwsze, co rozumieliśmy to: „Murzyn, Murzyn”. Później sprawdziliśmy sens tego słowa. W klasie, kiedy uczyliśmy się polskiego, nikt takich słów nie używał. Ale mieliśmy słownik i sprawdziliśmy „Murzyn”. Mieliśmy słowniki polsko-francuskie. Gdy się sprawdza znaczenie słowa „Murzyn” we francuskim, w słowniku znajduje się „Nègre.” A „Nègre” to jest takie słowo, które nas raczej denerwuje. Jak chce się zezłościć Afrykanina po francusku, to mówi się do niego: „Ty Nègre.” Jakby „Ty Murzynie”. Zrozumieliśmy, że ci ludzie zamiast „Afrykanin”, mówią „Murzyn”. Bardzo nam się to nie podobało. A poza tym sposób, ton, jakim to mówili. Do dziś, gdy słyszę słowo „Murzyn” nie podoba mi się, dlatego że pamiętam tamten ton... Albo ktoś mówi: „Murzyn” i pluje. No, to jak ktoś może powiedzieć ci później, że słowo „Murzyn” nie jest obraźliwe? Mówili do nas „Murzyn”, „asfalt”, „małpa”, „wracaj do Afryki”... Takie tekściki słyszeliśmy zwykle od młodzieży.

Pamiętam jeszcze sytuację w tramwaju, naprawdę nie zapomnę tego! Siedzieliśmy akurat z kolegą, jechaliśmy do centrum, do Uniwersum, żeby coś kupić. No i jacyś młodzi Polacy zaczęli nas prowokować, obrażać, jeden nawet chciał się z nami bić. Jakaś starsza pani, zwróciła im uwagę: „Ale proszę panów, co wy robicie, przecież ci ludzie są naszymi gośćmi!” I ta starsza pani zaczęła nas bronić! Naprawdę... To, co mi się szczególnie w Polsce nie podobało wtedy, to, że ci ludzie nas wyzywali, atakowali, a nikt nie reagował! Pamiętam, że jak mówiłem w Mali, że mam jechać do Polski, przyjaciel mojego taty, który studiował w Rosji zootechnikę, mówił mi wtedy: „Polska, to jest kraj Lecha Wałęsy”. Po raz pierwszy usłyszałem o Lechu Wałęsie od niego. Mówił: „To jest kraj Lecha Wałęsy i tam jest dużo chrześcijan”. Pomyślałem, że od czasu do czasu mogą być kłopoty, ale nie powinni być tam żli ludzie. Wielki kraj chrześcijański, religijny, myśleliśmy, że nie będzie wielu kłopotów z ludźmi. Dziwiłem się, gdy te ataki się

namnażały, pomyślałem sobie, że przyjaciel ojca jednak się mylił. Byłem zdziwiony, że w takim chrześcijańskim kraju ludzie tak się zachowują i nikt nie protestuje. W Mali, gdy coś takiego się dzieje, to ludzie reagują: „Co ty robisz?” – pytają. Jak ktoś kogoś atakuje, to inny go broni. Jak człowiek ma 18, 19 lat, to proszę sobie wyobrazić, jaki ma temperament... Czułem się jakbym był w wojsku. Za każdym razem, gdy wychodziliśmy z akademika, byliśmy gotowi na to, żeby się bronić! Nie, żeby się bić, tylko żeby się bronić! Wiedzieliśmy, że za każdym razem trzeba oczekiwac tego, że możesz być zaatakowany.

– Po roku przeprowadziłeś się do Warszawy...

D.S.: Pamiętam, że to było chyba w kwietniu lub w maju czy w czerwcu. Nie wiem. Kazano nam wybrać miasta polskie, w których chcielibyśmy kontynuować studia. I każdy sobie wybrał jakieś miasto. Ja wybrałem Warszawę. Po pierwsze, chciałem przyjechać do Warszawy, bo to stolica, a po drugie było to jedyne miasto, w którym był mój kierunek studiów, czyli żywienie człowieka.

– Na SGGW?

D.S.: Tak, na SGGW. To był jedyny wydział w Polsce, gdzie mogłem studiować. Koledzy czasem się ze mnie śmiali: „Będziesz dla nas gotował!”. Za bardzo nie miałem pojęcia o tym żywieniu. Czym ja się będę zajmował? Ale ludzie często zmieniali kierunek studiów. Na przykład kolega, który miał studiować stomatologię, zmienił kierunek na medycynę. Ten, który miał studiować etnologię, zdecydował się na handel zagraniczny. Ten, który miał studiować demografię – na ekonomię. Każdy sobie zmienił, oprócz tych z informatyki, oczywiście. Ja chciałem studiować medycynę. Ale w Łodzi przeprowadzono nam badania i jakaś pani lekarz mówiła, że nie będę mógł studiować medycyny, ponieważ mam kłopoty z oczami, a tam jest strasznie dużo do czytania... No i z tego względem nie zgodzili się, żebybym studiował medycynę. Także pozostałem przy tym żywieniu. Dlaczego nie chciałem zmienić na nic innego? Bo jak sprawdziłem „ żywienie” w słowniku, to mi wyszło, że jest to coś w rodzaju medycyny. Z francuskiego to jest lekarz, specjalizujący się w zdrowej żywności. Mówiłem: „Nie zmieniam, bo jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś w Mali studiował żywienie. Jak skończę, to będę miał dużo szans na dobrą pracę, kiedy wrócę do Mali”.

– Czy zachowanie mieszkańców Warszawy było inne?

D.S.: Było tak samo, jak w Łodzi. Młodzież nas wyzywała, inni nie reagowali. Tak samo, szczerze mówiąc. Dalej czułem się jak w wojsku. Jak przyjechaliśmy do Warszawy, to odwiedziliśmy Malijczyków. Tak zwanych „starych” Malijczyków, którzy mieszkają w Warszawie. Oni nam radzili, co należy robić, jak się zachować, opowiadali o Polakach... Dużo nam pomogli. Był też jeden kolega na

SGGW, mieszkał obok mnie w tym samym akademiku na Ursynowie. Aboubacar Aljoumat Yattara. Bardzo mi pomógł. I on nam powiedział jedną rzecz, która mnie osobiście podtrzymywała na duchu: „Chłopaki! Przyjechaliście tutaj jako najlepsi z Mali, uzyskaliście stypendium, także macie bronić honoru Mali! Jesteście Malijczykami i macie wrócić z dyplomami. Nieważne, co się dzieje. Macie się czuć, jak na wojnie dla Mali!”. Bo, patrząc na to wszystko, można było się załamać. Za każdym razem, kiedy wychodzisz, jesteś wyzywany. Niektórzy nie wytrzymują i wracają. Dla mnie to była szkoła przetrwania. Ale z drugiej strony, muszę powiedzieć, że podobało mi się, że coś takiego mnie spotyka – dzięki temu stawałem się twardzieliem. Nie było lekko, ale przetrwałem, walczyłem, pobiliśmy się od czasu do czasu... Ale wytrzymałem to psychicznie i fizycznie.

Do tego jeszcze pogoda, zima! W tych początkowych latach Polska była dla mnie wielką szkołą życia.

- Skończyłeś studia i jednak nie wróciłeś do Mali...

D.S.: No, i właśnie tu jest kłopot. Opowiadałem przed chwilą, jak byliśmy wyzywani, jak się biliśmy. Ktoś mógłby teraz powiedzieć: „Co ty, stary, skończyłeś studia i chciałeś od razu wrócić...”. Miałem takiego kolegę, obok którego mieszkałem w akademiku na Ursynowie. On skończył studia, wziął swój dyplom i w następnym miesiącu już jechał. Bardzo nie lubił Polski, naprawdę! Był takim rebeliantem. Mówił: „Słuchaj, Dramane! Kończę studia ijadę! Nie chce mi się tutaj zostać.” I odjechał. Gdy ja ukończyłem studia, sytuacja w Mali była trudna, panowało straszne bezrobocie. Nadal jest, chociaż już wszystko wygląda zdecydowanie lepiej. Ale wtedy zauważylismy, że ci, którzy kończą studia, nawet za granicą, a potem wracają do Mali, mogą nawet rok albo dwa lata szukać pracy. Pomyślałem: „Co się dzieje? Wróćę do Mali, będę szukał pracy rok albo dłużej. No, to zanim stracę ten rok, to zrobię tutaj doktorat.” Ponieważ ukończył studia z bardzo dobrym wynikiem, miałem możliwość pisania doktoratu. Mój profesor mnie do tego zachęcał. I zdecydowałem się na to. W 2003 roku się obroniłem. Ile jest już lat po tym 2003? 7 lat! Chciałem po doktoracie wracać, ale miałem kłopoty – finansowe, z pracą i z papierami. Mówię sobie, że muszę to wszystko wyprostować i zacząć pracować. I... i jestem, na razie.

- A coś się zmieniło? Jakoś się inaczej czujesz?

D.S.: Tak, zupełnie...

- Bo nie masz 18 lat? Już tak się nie boisz?

D.S.: Dokładnie! Od czasu do czasu przyjeżdża do Polski mój kolega, który mieszka w Paryżu. On też zwraca uwagę, że tutaj ludzie patrzą na niego. Ja już na takie rzeczy nie zwracam uwagi. Może dlatego że jestem tutaj długo? Ale mu-

szę powiedzieć, że czasami jednak słyszę jakieś tam śmiechy. Ktoś się śmieje: „Ha, ha, ha! Ej, stary, słuchaj, widzisz? No, widziałeś to!?” Czasami słyszę takie odzywki, ale żebym reagował teraz, to jest rzadkość. O! To, co najbardziej mi się nie podobało w ostatnim czasie, to czas po katastrofie pod Smoleńskiem. Nie mam obywatelstwa, ale wtedy naprawdę poczułem się Polakiem. Powiedziałem do mojego kolegi Grzegorza: „Słuchaj, jestem w Polsce tyle lat, muszę iść pod Pałac Prezydencki i chociaż złożyć kondolencje tym wszystkim zmarłym”. Poszliśmy razem. To był ten dzień, kiedy na placu Piłsudskiego zorganizowano to spotkanie modlitewne. Wywieszono zdjęcia. Poszedłem tam z Grzegorzem, z polską flagą w ręku, z tym kirem. Postaliśmy trochę pod Pałacem, później poszliśmy na plac Piłsudskiego i wracaliśmy do domu. Z polską flagą w ręku, z tym kirem. Wracamy ulicą Marszałkowską, spotykamy dwóch pijanych. Chociaż była żałoba! No i zaczynają mnie brzydko wyzywać. To jest sprawa, która najbardziej mnie zaborala. Nawet bardziej od tych bójek, w których brałem udział. Grzegorz był tak wściekły, że zadzwonił na policję. Mówił, że jest żałoba i że są pijani ludzie, którzy zaczepiąją. Dzwonił aż trzy razy! Później, kiedy do tarliśmy do mojego mieszkania, a mieszkam niedaleko komendy na Wilczej, Grzegorz mówi: „Słuchaj, Dramane, idę!”. I poszedł na komisariat naprzeciwko, żeby tę sprawę zgłosić. A jak mineliśmy tych pijanych, to spotkaliśmy panią, też pijaną, która, zamiast mnie wyzywać, uśmiechnęła się i mówi: „O! Polska flaga! Super! Świeńnie!”. I klaskała mi. Ale ogólnie jest jako tako...

– Ożeniłeś się tutaj?

D.S.: Niestety nie udało mi się ożenić w Polsce. Mam obrączkę, ale to jest Malijka. Na szczęście! Próbowałem dwa razy ożenić się z Polką! I mi nie wyszło. Sam w to nie mogę uwierzyć czasami. I do dziś trzymam kontakt z tymi dziewczynami. Z Kingą i Natalią. Jak mam mówić o Polakach i o Polsce, to naprawdę mogę mówić o tym, że spotkało mnie tutaj wiele wspaniałych chwil i spotkałem wielu wspaniałych ludzi. Te nieprzyjemne zdarzenia, które miały miejsce, to są fakty. Z drugiej jednak strony, nie potrafiłbym mówić o Polakach i nie wspomnieć o moim profesorze, u którego robiłem doktorat. Profesor Stanisław Berger. Był moim promotorem, ale – i do dziś mu to powtarzam – nie tylko, ponieważ traktuję go jak swojego ojca. Bardzo dobry człowiek. Wspaniały naukowiec. Bardzo mi pomógł, szczególnie gdy robiłem doktorat i miałem wtedy ciężkie chwile, ponieważ umarł mi ojciec w Mali. Profesor bardzo mnie wspierał. W ogóle w szkole takich głupich odzywek nie słyszałem. No, ale młodzież jak to młodzież. Gdy czasami organizowaliśmy imprezy w akademiku, to też się zdarzyły sytuacje, że ktoś się z kimś pobił. Była raz taka sytuacja: byliśmy na dyskotece, na SGGW i pobiliśmy się z jakimś tam... Koledze z Ugandy, Georgowi, złamali rękę. Były takie sytuacje i myślałem, że należy o nich powiedzieć. Ale z dru-

giej strony, są też wspaniali ludzie w tym kraju. Drugą osobą, o której nie mogę w ogóle zapomnieć, jest pani Krystyna Przybysz. Kierowniczka akademika. Też bardzo mi pomogła. Wspaniała kobieta, naprawdę! I też traktowała mnie jak swojego syna. Następna osoba, o której nie mogę zapomnieć, to jest pani Ewa Czarnecka, czyli moja niedoszła teściowa. Każdy, kto mnie zna, i ja też, myślał, że ożenię się z Natalią z Płocka. Natalia była na pierwszym roku studiów dziennych, kiedy ja byłem na pierwszym roku studiów doktoranckich. Poznałem ją wtedy, zaprosiła mnie do Płocka, pokazała dom mamy i tak dalej... Wspaniała kobieta! Chciałbym mieć taką teściową. Naprawdę wspaniała kobieta, także bardzo dużo mi pomogła. Szczególnie w sprawach papierkowych. Do dziś mam kontakty z nimi. Przed Natalią miałem dziewczynę Kingę. Też mam z nią kontakt cały czas.

- Co teraz robisz zawodowo?

D.S.: Jestem wykładowcą w Wyższej Szkole Finansów i Zarządzania w Siedlcach. Na studiach zaocznych. Jestem nauczycielem akademickim.

- Jak często jeździsz do Siedlec?

D.S.: Co drugi weekend.

- A mieszkasz w Warszawie?

D.S.: Tak, w Śródmieściu, mam pracę, ale finansowo nie jest aż tak dobrze, szczerze mówiąc. Wiesz, jak to jest w Warszawie. Człowiek zarabia trochę, oddaje ponad połowę pensji na mieszkanie. Żyje się tak, żeby żyć.

- A Twoi znajomi to Malijczycy, Afrykańczycy czy Polacy?

D.S.: Tutaj niestety jest taki minusik, że jednak mamy skłonność spotykania się między sobą. Afrykanie. Te lata, przez które człowiek miał styk z tymi nieprzyjemnymi sytuacjami, stwarzają jednak pewien dystans wobec Polaków. No, niestety, to jest prawda. Oczywiście mówiłem o Polakach, którzy bardzo mi pomogli tutaj. Pominąłem mojego „ojca chrzestnego”, Karola Krajewskiego. Poznałem go, jak zacząłem robić doktorat, bo Karol był kierownikiem Zakładu Ekonomiki i Konsumpcji Żywienia na SGGW. Mieliśmy tam swoją grupkę, która bardzo mnie wspierała. Od czasu do czasu spotkaliśmy się. Byłem tam jedynym obcokrajowcem. To jest jedyna grupka, w której świetnie się czuję. Karol Krajewski, Monika Świątkowska, Agnieszka Kołakowska-Paszkiewicz, Kacper Paszkiewicz, Beata Bilska z mężem, Agnieszka Tul, Krzysztof Tul. Staramy się, bo każdy jest zapracowany, chociaż raz czy dwa razy w roku się spotkać. To jest moja grupa.

– Gdy spotykasz się ze swoimi kolegami, Afrykańczykami, to macie jakieś miejsce w Warszawie, klub czy kawiarnię?

D.S.: Raczej domowo. Na przykład co drugi weekend spotykamy się u Kaby i jemy po afrykańsku. Od czasu do czasu kupujemy barana i grillujemy, gramy w karty i tworzymy taką afrykańską atmosferę. Co drugi weekend, czasami nawet co weekend.

– Bywasz w Mali?

D.S.: Byłem w Mali rok temu. Kiedy się ożeniłem. I zamierzam w tym roku też jechać, jak wszystko dobrze pójdzie.

– Ożenłeś się w Mali?

D.S.: Tak, ożeniłem się w Mali.

– I żona jest tam?

D.S.: Tak, moja żona jest tam. Teraz będę próbował ją ściągnąć do Polski, pozalatwiać sprawy wizowe i zaproszenia. Myślę, że to wszystko w końcu się załatwi.

– Czyli planujesz jednak zostać w Warszawie?

D.S.: Na razie.... Jeśli chodzi o przyszłość, to jednak planuję wrócić do Mali. To był między innymi powód, dla którego nie ożeniłem się z Natalią. Ona chciała, żebym pozostał w Polsce, bo jej mama jest tutaj... Jasno dałem jej do zrozumienia, że długo mieszkałem w Polsce, ale chciałbym jednak pomóc w Afryce. Studiowałem żywienie, a każdy wie, że w Afryce są kłopoty żywieniowe. Moja wiedza bardzo się tam przyda. Szczególnie w Afryce i szczególnie w Mali, w tej chwili. Czuje, że jestem tam potrzebny. Za 2, 3 lata wróćę do Mali na dobre. Żeby tam pomagać ludziom, rozpowszechniać wiedzę o żywności i żywieniu człowieka. Bo to bardzo wpływa na zdrowie. To jest główny powód, tak naprawdę, dla którego ożeniłem się z Malijką. Zamierzam wrócić do Mali. Nie chciałem doprowadzać do sytuacji, że musiałbym zmuszać żonę Polkę, żeby jechała do Mali. Małżeństwo jest na całe życie, człowiek nie żeni się po to, żeby się rozwieść.

– Jeżeli wyjedziesz do Mali, to czy chciałbyś, oprócz swojej wiedzy, przywieźć coś z Polski?

D.S.: Oczywiście! Opowiem ci takie zdarzenie. Pojechałem do Mali na wakacje. Chodzimy z kolegą i jego dziewczyną. Jak gdzieś wchodzimy, to ja puszczam dziewczynę kolegi przedem. A on pyta: „Stary, co ty w ogóle robisz!?” Mówię:

„Tak robiłem w Polsce!”. On: „Hej, ty Polaku jeden, co ty robisz!” A jego dziewczyna: „Świętne! Właśnie tak należy!” To jest coś, co na pewno przywiezłeś ze sobą do Mali. Lubię to, wiesz? Lubię to puszczanie kobiety przodem. To jest fajne. Bo kobiety to jednak słaba płeć. Piękna, ale słaba płeć. To mi się bardzo w Polsce podoba. Co jeszcze? Zauważylem, że Polacy są jednak gościnni. To wszystko, o czym mówiłem, to jest głupota, szczerze mówiąc. Jest pewna strefa społeczeństwa, która jest głupią. I jest pewna strefa społeczeństwa, która składa się w większości z rasistów. Są rasiści w Polsce. Oczywiście, że są. Widzieliśmy, co się ostatnio stało na stadionie. Prokuratura nie rozstrzygnęła jeszcze, co tam się zdarzyło. Jest w Polsce grupka ludzi, którzy akceptują tylko „swoich”. „To my! Tu jest Polska!” Jest rasizm w Polsce. Tak, jak w wielu krajach europejskich. Nie wiem, czy można powiedzieć, że w którymkolwiek kraju europejskim nie ma teraz rasizmu. Są kraje, po prostu, w których ten rasizm się nasila bardziej niż w innych. Ale oprócz tego są wspaniali ludzie. W Polsce też. Są tacy ludzie w Polsce, którzy są gotowi wszystko robić, żeby ten kraj się zmienił, żeby Polska była krajem kosmopolitycznym. Są tacy ludzie w Polsce, którzy chcieliby widzieć Polskę multikolorową, że tak powiem. Znam ich, dużo nawet. I szczerze mówiąc, myślę, że z czasem to się zmieni. Każdy wie, że przez tyle lat Polska była w komunizmie i granice były prawie zamknięte. Polacy nie mieli po prostu styku z obcokrajowcami. Albo w bardzo małym stopniu, w porównaniu z takimi krajami, jak Francja, Anglia czy Holandia. Myślę, że z biegiem czasu to się zmieni. Zresztą już widzę tę zmianę. Od momentu, kiedy Polska weszła do Unii Europejskiej, zauważylem zdecydowane zmiany w mentalności. Powiem coś bardzo ważnego! Punkt zwrotny, który osobiście zauważylem. Przed chwilą mówiłem o tych skinheadach, o tym, jak się biliśmy ze skinheadami. „Asfalt”, „małpa” i tak dalej. Punkt zwrotny, od kiedy coraz mniej jest takich zachowań, proszę sobie wyobrazić, to był 1997 rok, czyli na długo przed wstąpieniem Polski do Unii.

- Dlaczego właśnie w 1997 roku?

D.S.: Przez piosenkarza Big Cyc. Naprawdę! Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale proszę mi uwierzyć. Big Cyc śpiewał taką piosenkę: „Makumba, Makumba, Makumba ska!”. Ta piosenka bardzo dużo zmieniła. Dużo nam pomogła. Kiedy ta piosenka została zaśpiewana, ataki na nas zdecydowanie się zmniejszyły. Jestem za to bardzo wdzięczny zespołowi Big Cyc. Naprawdę, to był taki punkt zwrotny. Ci, którzy mieszkają tutaj od dawna, wiedzą o tym.

rozmawiał: Krzysztof Wittels
współpraca: Mamadou Diouf

My, warszawiacy: Stephano Sambali Tanzania



– Jak to się stało, że przyjechałeś do Polski?

Stephano Sambali: Przyjechałem do Polski w 1991 roku. Na początku chciałem pojechać na studia do ZSRR. Wynikało to z trzech powodów. Po pierwsze, mój brat studiował tam wówczas, więc moglibyśmy być blisko. Po drugie, najłatwiej było wtedy załatwić taki wyjazd z pomocą mojej siostry, która należała do stowarzyszenia przyjaźni między partią komunistyczną w ZSRR a partią socjalistyczną w Tanzanii. Corocznie przez to stowarzyszenie Rosjanie przyznawali stypendia młodzieży w mojej ojczyźnie. Po trzecie, wyjazd do Związku Radzieckiego dawał nadzieję nie tylko na naukę, ale również na rozpoczęcie własnego biznesu. Wiele osób zarobiło wtedy duże pieniądze. Dzięki różnicom kursowym między rublem a dolarem można było swobodnie kursować między obydwojoma krajami i prowadzić intratny handel.

Los miał jednak inne plany co do mnie. W roku, kiedy starałem się załatwić wyjazd, nie było stypendiów dla przyszłych studentów politechniki, a był to jedynie kierunek, który mogłem podjąć jako absolwent technikum. Poradzono mi wypełnić aplikację i czekać, aż może przypadkowo uda się znaleźć inne rozwiązanie. I tak pewnego dnia otrzymałem wiadomość, że jest dla mnie miejsce i jadę studiować do Polski.

– Ale nie od razu do Warszawy, tylko pewnie najpierw do...?

S.S.: Łodzi. Oczywiście, najpierw przylecieliśmy do Warszawy, na lotnisko. Mieliśmy dużo szczęścia, bo czekał na nas przedstawiciel z Ministerstwa Edukacji. Rzadko to się zdarzało. Nie mieliśmy więc żadnego problemu, ponieważ on

pomógł nam wymienić pieniądze, kupić złotówki, dojechać na Dworzec Centralny i tam kupić bilet do Łodzi. W pociągu spotkaliśmy studenta z Mozambiku, który już mieszkał w Łodzi i zabrał nas do grupy Tanzańczyków, studentów. No i zaczęliśmy naukę języka polskiego. Dopiero po roku, w 1992, przyjechałem do Warszawy i rozpoczęłem naukę.

– Co studiowałeś?

S.S.: Budownictwo na Politechnice Warszawskiej.

– Jak pamiętasz ten okres? Jak się zaaklimatyzowałeś w Łodzi, jak w Warszawie? Jak to wyglądało?

S.S.: Na początku miałem trochę problemów, np. z wodą. W Polsce stosowano wtedy dużo związków chemicznych uzdatniających wodę, np. chlor. Przeszkadzał mi jego ostry zapach. Poradziłem sobie jednak z tym problemem. Było mi łatwo, ponieważ tuż przed wyjazdem z kraju pracowałem w stacji uzdatniania wody i wiedziałem, że chlor bardzo szybko się ulatnia. Razem z kolegami, kupiliśmy więc dzbanek, zbieraliśmy do niego wodę i używaliśmy tylko wody odstanej.

Inne problemy? Z jedzeniem. Do dzisiaj nie potrafię za bardzo przyzwyczaić się do jedzenia w Polsce. Na szczęście, coraz więcej jest dostępnych produktów tropikalnych. Jeśli mam ochotę na słodkie ziemniaki, mogę je już dostać. Bardzo drogie, ale trudno, przynajmniej są. Od czasu do czasu można przygnieść oczy i kupić. Można też czasem kupić maniok, banany do smażenia.

Inna rzecz: pogoda – nie lubię ciepła. Ludzie zawsze są zdziwieni, ale na prawdę. W Polsce lato potrafi dać w kość. W miesiącach letnich, kiedy jest gorąco, ja się po prostu piekę. Wszyscy są szczęśliwi, a ja mówię: „Nie!” Czuję się tak okropnie, że chciałbym umrzeć. Taka pogoda, jak teraz, chłodno, to dla mnie ideał. Gdy jest bardzo zimno, mroźno, też nie czuję się zbyt dobrze. Najlepiej, kiedy jest chłodno, to są dla mnie idealne warunki, świetnie się wtedy czuję.

Ciekawostką, którą dopiero tutaj zauważałem, jest zmiana czasu – mam na myśli różnice w długości dnia. Latem dni są długie, za to zimą o godzinie 15 jest już ciemno. Ciężko się do czegoś takiego przyzwyczaić. Prawdę mówiąc, zanim zamieszkałem w Europie, nie miałem pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje.

– Trzymałeś się z innymi Afrykańczykami czy tylko z Tanzańczykami?

S.S.: Nawiązywaliśmy przyjaźnie ze wszystkim, nie tylko z Afrykańczykami. Na początku mojego pobytu w Waszym kraju uczęszczałem przecież w Łodzi do Studium Języka Polskiego, więc byli tam ludzie z bardzo różnych krajów. Problemy pojawiały się tylko wtedy, jeżeli dzieliła nas bariera językowa, jeśli ktoś nie znał angielskiego. Na przykład francuskojęzyczne osoby lub mówiące po portugalsku. Czasem było ciężko się dogadać. Ale na szczęście większość

studentów potrafiła chociaż trochę mówić po angielsku. A jak nie, to raczkowaliśmy po polsku i też jakoś wychodziło.

– Pojawiały się jakieś kłopoty z Polakami w Łodzi? Czy raczej nie miałeś z nimi żadnego kontaktu?

S.S.: W Łodzi byłem strasznie zdziwiony, że ludzie na ulicy się na mnie gapią. Jakby mówili: „O Boże, co to jest?” Zdziwiłem się jeszcze bardziej, kiedy poznałem historię koleżanki. Była mulatką, ojciec pochodził z Kenii, mama – z Polski. Opowiadała nam, że jej tato studiował tutaj, skończył studia polonistyczne, później szkołę filmową, poznał jej mamę, potem ona się urodziła, dorosła, a ludzie nadal się gapili... To był dla mnie prawdziwy szok! Jak to jest możliwe? Ale prawdopodobnie to jest charakterystyczne dla Łodzi. Wtedy były w Łodzi duże fabryki, więc wiele ludzi przyjeżdżało tam pracować. Dla nich to był coś nowego, a więc się gapili. Na szczęście nie było zbyt wielu nieprzyjemnych incydentów. Słyszeliśmy, że są skinheadzi i wiedzieliśmy, gdzie się pojawiają. Zwłaszcza na meczach piłki nożnej i np. rockowych koncertach. Gdy był wielki mecz, chowaliśmy się w akademikach. Na spacery chodziliśmy raczej w dzień, a jeżeli w nocy, to w grupach, żeby było bezpieczniej.



- A gdy przyjechałeś do Warszawy, też była podobna atmosfera?

S.S.: W Warszawie, na początku, wzbudzaliśmy zaciekawienie na ulicy. Ale im dłużej tu mieszkam, tym mniej ludzie zwracają na mnie uwagę. Teraz można chodzić cały dzień po mieście i nikt nawet na ciebie nie spojrzy. Ludzie się przyzwyczaili, to jest już dla nich normalne. Gdy widzimy, że ktoś się niegrzecznie gapi albo wykrzykuje coś w naszą stronę, już wiemy, że na pewno przyjechał ze wsi. I obcokrajowcy to dla niego nowość. Gdyby ktoś, kto mieszka w Warszawie, oglądał się za każdym obcokrajowcem, to chyba by nie wrócił do domu. Jest tu nas teraz naprawdę dużo.

Ale jeszcze kilka lat temu takie rzeczy przydarzały się nam również w Warszawie. Sporo też było przykrych incydentów. Zdarzało się, że skinheadzi pobili obcokrajowców. Chociaż moim zdaniem najczęściej były to kłopoty z chuliganami raczej niż z prawdziwymi skinheadami. Kiedyś słyszałem o skinheadzie, który nosił t-shirt z napisem Shaquille O'Neal, więc to po prostu trochę śmieszne. Prawdziwi skinheadzi wiedzą, czego chcą i są naprawdę niebezpieczni. Kiedyś oglądałem film na Discovery o policjancie, który chciał wniknąć w grupę skinheadów w Stanach. Udawał jednego nich: ogolił się, miał tatuaż, swastykę. Raz chciał zadowolić kolegów i kupił piwo. Jeden z nich wyciągnął butelki, popatrzył, a tam było napisane „Made in Mexico”. Popatrzył na niego i pokręcił głową. Od razu zrozumiał, że zrobił błąd. Przecież oni są Amerykanami. Jak można im przynosić piwo z Meksyku? Musiał jak najszybciej zabrać to piwo z powrotem do sklepu i wymienić na amerykańskie. Wrócił i panowie już byli zadowoleni. Dlatego zawsze mnie zastanawia, czy ci demonstrujący naprawdę są skinheadami czy raczej łobuzami.

Na przykład raz ktoś mi opowiadał, jak pobili jakiegoś dziadka za to, że był brudny. A ten, kto mi to opowiadał był czarny, elegancki. Stał obok. Ani słowa mu nie powiedzieli. Jednego dnia, kiedy byłem w sklepie, napluto na mnie. Były ich pięciu, patrzyłem na nich, wiedziałem, że to jeden z nich zrobił, obok byli ochroniarze, a więc nie mogli mnie pobić. Byłem sam, więc słowem się nie odzywałem, poczekałem spokojnie, aż odeszli. Po prostu wiedziałem, że muszę unikać awantur, bo co to da? Pójdę do domu, umnę się i tyle. Co dalej można zrobić? Ale zdarzają się i gorsze rzeczy. Miałem kolegę z Zimbabwe, został tak ostro pobity, że musiał iść do szpitala, miał nawet zakładane szwy.

Sadzę jednak, że w Polsce te incydenty wynikają raczej z frustracji niż z nienawiści czy rasizmu. Kiedy w Warszawie zaczęło być coraz lepiej, młodzież miała pieniądze, zakładała interesy, nikt nie chciał już marnować czasu na siedzenie gdzieś w parku, z piwem w ręku i czekanie na obcokrajowców, żeby im dokuczać czy ich pobić. Szczególnie kiedy inni koledzy dorobili się już mercedesów, byłoby głupio, no nie? Uważam, że można dzisiaj przyznać, że Warszawa teraz jest naprawdę bezpieczna. Można nawet o 3.00, o 4.00 nad ranem chodzić

bez żadnych problemów. Oczywiście, wiadomo, że jest też dużo policjantów i kamer. To też zwiększa bezpieczeństwo.

- Masz w Warszawie jakieś miejsca, które lubisz, gdzie przychodzisz, gdzie się spotykasz ze swoimi znajomymi?

S.S.: Konkretnie nie mam, ale większość Afrykańczyków spotyka się teraz w dwóch knajpach, należących do ludzi z Afryki. Jedna to „Baobab” Aziza z Senegalu, na Pradze, na ulicy Francuskiej. A druga jest na Woli, restauracja nigeryjska, należy do Juliusa i jego żony. Wiadomo, tam przychodzi dużo Nigeryjczyków, bo mogą tam zjeść rodzinne przysmaki. A w „Baobabie” jest dużo ludzi z Afryki Zachodniej, z Senegalu, Mali. A osoby z Afryki Wschodniej raczej nie mają jeszcze takiego swojego miejsca, bywają więc i w jednej, i w drugiej knajpce. Jeżeli chodzi o imprezy, to raczej spotykamy się w klubach. Kiedyś w piątek spotykaliśmy się w klubie „Tygmont”, a w soboty w „Harendzie”. Teraz to się zmieniło. „Tygmont” nie ma już afrykańskich dj’ów, którzy tam grali, a ludzie z Afryki raczej chodzą tam, gdzie grają inni Afrykańczycy. Dzisiaj, w większości, przychodzą w soboty do „Harendy”.

- A jak zawodowo Ci się układało? Przyjechałeś do Warszawy, studiowałeś. Skończyłeś studia. I co?

S.S.: W zawodzie nie pracowałem. Do dzisiaj raczej pracuję w show biznesie. To jest trochę dziwne – czasami jest bardzo dużo roboty, wtedy ma się dużo pieniędzy. A czasami nie ma. Trzeba się przyzwyczać. Gdy zaczął się kryzys, był to również dla nas ciężki czas.

- A co dokładnie robisz?

S.S.: Czasami prowadzę imprezy, jako dj. Nie mam stałej pracy. Teraz myślę o robieniu biznesu, ale w Tanzanii, nie tutaj. Jak będzie, nie wiem, bo dopiero zaczynam. W show biznesie w Polsce jest coraz trudniej. Otwarcie klubu jest najtrudniejsze, bo większość tych, które już działają, ma problemy. Można utopić dużo pieniędzy i nie mieć zysku.

- Często jeżdżysz do Tanzanii?

S.S.: Nie, bilet jest bardzo drogi. Poza tym, gdy tam jedziesz, każdy oczekuje od ciebie prezentu. Żeby mieć pieniądze na prezent, musisz dodatkowo zebrać tysiąc dolarów. Plus na wydatki na miejscu. W sumie musisz mieć przynajmniej około 3000 USD.

- Czujesz się Tanzańczykiem? Czy pół-Polakiem, pół-Tanzańczykiem? Zadajesz sobie takie pytania?

S.S.: Jestem tutaj już prawie 20 lat. Po takim czasie człowiek może mieć problem z określeniem siebie. Spotkałem się z opinią, że Tanzańczycy różnią się od siebie w zależności od tego, w którym kraju studiowali. Myślę, że to prawda. Po prostu kiedy się wyjeżdża jako bardzo młoda osoba, dorasta w innym kraju, w otoczeniu innej kultury i zwyczajów, przejmuje się wiele cech i upodobań od rdzennych mieszkańców. Dziewczyny twierdzą, że np. uczący się w Polsce studenci z Tanzanii albo z Kenii mają inną mentalność niż Tanzańczycy mieszkający w Wielkiej Brytanii albo którzy dopiero przyjechali z Tanzanii. Ci z Polski są podobno bardziej uprzejmi wobec kobiet i one to od razu zauważają. To w Polsce przyzwyczailiśmy się, że w drzwiach przepuszcza się kobiety. Już to mamy zakodowane. My tych zmian nie zauważamy, niejako wrastamy w mentalność kraju, ale inni widzą to od razu.

Inny przykład to czas. Normalnie, gdy z Tanzańczykiem umawiasz się o 12.00, to o 12.30 on dopiero wyjdzie z domu i nawet nie widzi powodu, żeby zadzwonić, że się spóźni. Jednak jeśli długo żyjesz w Europie, przyzwyczajasz się do informowania o swoim spóźnieniu, bierzesz telefon i dzwonisz.

Takie były różnice, ale to potrafią zauważać dopiero inni ludzie. Ty, gdy mieszkasz tu, w Polsce, jesteś przyzwyczajony. Nie czujesz, że to jest jakieś inne zachowanie. Owszem, są ludzie, którzy mieszkają w Polsce i się nie zmieniają. W szkole zdobywamy 40% naszej wiedzy, a reszty – 60% – uczymy się poprzez obserwację innego stylu życia. Czasami, gdy jestem w kraju, mówię do moich młodszych braci, że gdybym mógł, to bym im załatwił bilet, żeby przyjechali do Polski, nawet tylko na trzy miesiące. Żeby zobaczyli, jak ludzie tu pracują, jak się zachowują. Gdyby potem wrócili do Tanzanii, to ich mentalność już byłaby inna. Tak samo mentalność Polaka, który urodził się w Polsce i mieszka tu cały czas jest inna, niż tego, który pojedzie do Wielkiej Brytanii czy Niemiec. Częściowo mentalność ludzi zmienia się dzisiaj dzięki obecności obcokrajowców.

- Co sądzisz o Polsce, o Polakach?

S.S.: Na pewno, będąc w Polsce, sporo się nauczyłem: w szkole, ale też w codziennym życiu. Co mogę powiedzieć o Polakach? To ważne pytanie. W Europie Zachodniej ludzie „na dzień dobry” są bardzo mili, uśmiechnięci itd. Ale jak tylko się zbliżasz, od razu czujesz mur, dalej nie pójdziesz. U Polaków mur jest na początku: „Kto to jest?”, patrzą na ciebie zdziwieni. Ale za chwilę „Aaa! Sam-bali, to bardzo fajny gość! Naprawdę, super! No, proszę!”. Gdy otwierają ci drzwi, to aż do pokoju. Taka różnica. Zauważałem to po jakimś czasie mieszkania w Polsce. Polacy „na dzień dobry” są bardzo twardzi, niełatwo się otwierają,

ale jak się już przekonają, to od razu: „A co robisz na święta?” i zapraszają cię na Wigilię. „Co robisz w wakacje? Przyjedź do mnie”. Na Zachodzie nie ma mowy, żeby koleżanka czy kolega zaprosili cię do domu. To jest rzecz, która naprawdę bardzo mi się podoba w Polsce.

W Afryce mamy troszeczkę inną mentalność. Na przykład, gdybym powiedział, że pobili mnie skinheadzi, to by pytali, kto to są skinheadzi. To biali ludzie. Kłamiesz! Biali ludzie cię pobili?! Nie wierzyliby, ponieważ u nas biały człowiek to jest misjonarz, nauczyciel, siostra, ksiądz, człowiek, który pracuje w Czerwonym Krzyżu. Człowiek, który przychodzi, rozdaje dzieciakom cukierki, książki, długopisy, ołówki... Jak to możliwe, że taka osoba może cię pobić? Tak mamy zakodowane. Każdego białego człowieka trzeba zapraszać prosto do domu. Dopiero kiedy człowiek wyjeżdża za granicę, kiedy plują na niego, biją go, myślą: „O! Zaraz, zaraz! To nie wszyscy są tacy mili!”. U nas ludzie myślą, że każdy Europejczyk jest bardzo bogaty. Czasami z tego wynikają problemy: „Możesz mi wysłać samochód? Masz na pewno 3 albo 4”. „Nie, nie mam!”, „Jak to nie masz? Jesteś biały, na pewno masz!”. Afrykańczycy nie potrafią zrozumieć, że w Europie też są ludzie, którzy sprzątają, gotują. W Afryce każdy biały wynajmuje kogoś, kto będzie dla niego gotować. Afrykańczycy są bardzo zdziwieni, gdy słyszą, że w Europie ludzie też zajmują się normalna pracą. Dla nich to jest niemożliwe. Dopiero kiedy tu przyjeżdżają, wszystko wychodzi na jaw. Ktoś mówi: „Europa, tam jest wszędzie zieleń. Ale czasami tam jest i śnieg”. A inny prostuje: „W Europie śniegi są wszędzie!”, „Cały czas?”, „Tak!”, „Nie, tam jest zieleń!”. Dopiero kiedy tu przyjeżdżasz, widzisz, że jest i tak, i tak. Są biedni i są bogaci.

- Planujesz zostać w Warszawie? Masz tu żonę, pracujesz...

Nie myślisz o wyjeździe?

S.S.: Na razie zostaję. Spróbuję tylko jakiś interes otworzyć u siebie w domu. A jak to się będzie układało, nie wiem. Może się okazać, że będę musiał od czasu do czasu tam wyjeżdżać. Czasem marzę, żeby mieć taką pracę, że trochę jestem tu, a trochę tam. Nie lubię siedzieć cały czas w jednym miejscu. Czasami myślę o tym, żeby poszukać stałej pracy, ale to może być dla mnie trudne. Będę dążył do tego, żeby samemu się zatrudniać. Jest to strasznie męczące, bo cały czas musisz wszystkiego pilnować, ale za to mogę pracować od 11.00 rano do 23.00. Gdy czegoś potrzebuję, to mogę się tu kontaktować, tam szukać. Mogę pracować, jak chcę. Chociaż jest to trudne. Muszę szukać różnych rzeczy, żeby je sprzedać. Czasami wstaję rano, przy komputerze jestem o 8.00 czy 9.00, a o 18.00 mówię: „Boże! Nawet śniadania jeszcze nie zjadłem”.

rozmawiał: Krzysztof Wittels

współpraca: Mamadou Diouf

My, warszawiacy: Daniel Oware Ghana



– Jak to się stało, że przyjechałeś na studia do Polski? Zaplanowałeś to? Bo w niektórych przypadkach to była loteria. Równie dobrze można było trafić do Czech, jak do Związku Radzieckiego...

Daniel Oware: Nie, to nie była żadna loteria. To było z premedytacją zaplanowane przez mojego ojca. Mam pięciu braci. Ojciec robił interesy w Polsce od lat 70. Było logiczne, że ktoś powinien kontynuować jego dzieło. Rozmawiał z nami o tym cały czas, przez kilka lat. Nikt nie chciał przyjechać do Polski, wszyscy wychowaliśmy się w Anglii. Ja się w końcu zgodziłem, ale pod przy-

musem. Przyjechałem z Anglii do Ghany na wakacje. W Anglii studiowałem prawo. Miałem pieniądze, bo tam możliwość pracy i studiowania była większa niż tu. W Ghanie spędziłem 4 miesiące zamiast 2, więc jakbym wrócił do Anglii, musiałbym powtarzać rok albo by mnie wywalili ze studiów. To była moja wina. Ojciec zapowiedział mi, że jeśli nie wróczę do Anglii na czas, to sam będę płacił za studia. Byłem kozakiem, byłem głupi, młody. Nie posłuchałem go. Wróciłem do Anglii i okazało się, że trzeba płacić za te studia. Dzwonię więc do tatusia, że mam taką trudną sytuację. Ojciec zaproponował mi: zapłacę za twoje studia pod warunkiem, że będziesz się uczyć w Polsce. Zgodziłem się. W ciągu trzech dni trafiłem do Polski, bezpośrednio do Łodzi na rok wstępny do Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców. To było 16. października w 1989 roku.

– Studiowałeś w Warszawie, ale to nie było Twoje pierwsze spotkanie z Polską.

D.O.: Tak, pierwszy raz przyjechałem do Warszawy, gdy byłem jeszcze smarkaczem, miałem 14 lat. Mój ojciec współpracował z Polską w latach 70. Wtedy to był dla mnie raj. Można było mieć dolary lub funty i żyć jak w raju. Na przykład taksówkarz czekał na nas 24 godziny przy hotelu „MDM” albo przy hotelu „So-

lec". To były dwa hotele, z których korzystaliśmy. Mogliśmy wchodzić do Baltony albo Peweksu. Gdy dorosłem i przyjechałem tu na studia, obserwowałem różnice, zmiany. To już nie była raj, to była walka o przetrwanie. Skończyły się dobre czasy dla obcokrajowców, wtedy zaczęto likwidować Peweksy i Baltonę. Kurs walutowy zaczynał się wyrównywać z kursami europejskimi.

Studia podjąłem na Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych oraz w Instytucie Stosunków Międzynarodowych. Ale podczas studiów lubiłem handlować. Mam to we krwi. Lubię robić różne biznesy, więc korzystałem z tego, że znałem język polski. Szybko się go nauczyłem. To nie były biznesy, które sam stworzyłem, to była kontynuacja tego, co robił mój tato. Poznał mnie ze swoimi kolegami, współpracownikami w Polsce. Wiedziałem więc, gdzie iść, żeby zdobyć jakieś informacje albo produkty do sprzedania. Robiłem to przez całe studia. Dzięki Bogu i dzięki temu nigdy nie zabrakło mi pieniędzy.

Oczywiście studiowałem systematycznie, uczyłem się bardzo dobrze i szedłem dalej. Napisałem pracę magisterską i musiałem podjąć ważne życiowe decyzje. Wyjechać do Ghany czy zostać w Polsce? Co mam robić? Chciałem wrócić do Ghany. Byłem przygotowany do tego, aby przejąć biznes od mojego ojca. Ale zostałem w Polsce. Dlaczego? Po pierwsze, przez historię miłosną. Poznałem swoją obecną żonę – Agnieszkę. Zakręciła mi w głowie, dlatego nadal jestem w Polsce. I mieszkam cały czas w Warszawie, nigdy nie zmieniłem mojego miejsca zamieszkania. A po drugie, dlatego że tutaj było dużo różnych sposobów na zarobienie pieniędzy. Dostałem wtedy pierwszą propozycję od zespołu Top One na występ z nimi. Mieli kolegę z Ghany, Franka, który nagle odszedł od nich do innego zespołu. Szukali kogoś na zastępstwo, żeby mogli kontynuować trasę koncertową. Zgodziłem się za 50 złotych za jeden występ. I pojechałem. Wtedy było mi trudno finansowo, musiałem się koncentrować na pisaniu pracy magisterskiej, więc nie miałem czasu na biznes, szukanie pieniędzy i tak dalej. Te 50 złotych, wtedy to było chyba 500 tysięcy, było dla mnie naprawdę bardzo dobrym źródłem utrzymania. Dlatego się zgodziłem. I lubiłem to. Po pierwszym koncercie spodobał się im mój styl improwizacji i komunikacji z publicznością. Zaproponowali mi natychmiast nagranie kilku piosenek na ich płytcie, która był w przygotowaniu. I tak się zaczęło. Jeździłem, koncertowałem z nimi około trzech lat. Nagraliśmy kilka piosenek, m.in. dla sztabu wyborczego Aleksandra Kwaśniewskiego. Wtedy były wybory prezydenckie. Zaproponowałem mojemu koledze, który był asystentem pana Borowskiego, żebyśmy zrobili piosenkę chwalącą pana Kwaśniewskiego. Trzeba było znaleźć zespół. Ponieważ byłem związany z Top One, zaproponowałem, że z nimi ponegocejuję. To trwało jakiś miesiąc. Obie strony się zgodziły. Powstała piosenka, została nagrana. Nie mogę tego oczywiście potwierdzić, ale są takie glosy, że dzięki tej piosence Kwaśniewski wygrał wybory. Dzięki tej piosenecie miałem dodatkowe możliwości rozwoju

mojego biznesu, stałem się w Polsce popularny. Otworzyła mi bardzo dużo drzwi, gdziekolwiek nie poszedłem i chciałem coś załatwić, np. jakieś sprawy administracyjne, od razu mi się udawało. Dzięki temu, że byłem w telewizji, ludzie mnie poznali, zarobiłem więcej na koncertach, zarobiłem więcej na mojej płytcie, którą zrobiliśmy z Top One. W międzyczasie moje piosenki pojawiły się na listach przebojów. W Radio Dla Ciebie była przez sześć tygodni na pierwszej pozycji. Byłem z tego bardzo zadowolony. Tak się więc stało, że ten cały mój biznes zmienił się w show biznes. Zaczynałem zarabiać pieniądze. Warszawa stała się dla mnie miejscem z mojego marzenia. Nie mogłem stąd wyjechać na dłużej niż trzy dni, bo musiałem wracać. Warszawa była dla mnie motorem działania. Dlatego kocham to miasto do tej pory, naprawdę. Nie wiem, jak by to wyglądało w innym miejscu.

Tutaj ludzie mnie rozpoznawali, kojarzyli mnie z tym politykiem. Ja to zrobilem dla moich zasad. Mimo że kończyłem nauki polityczne na studiach, nie mogłem brać aktywnego udziału w polityce, bo nie miałem głosu, nie miałem możliwości uczestniczenia w wyborach. Gdyby wówczas Wałęsa czy jakiś inny komitet wyborczy zwrócił się do mnie, też bym wykonał dla nich piosenkę wyborczą. Nie miała dla mnie znaczenia opcja polityczna. Żałuję tylko, że nie opatentowałem tego pomysłu. Ale cóż, stało się. Po piosence *Ole, Olek* wykryształizował się jeden z kierunków mojego biznesu, czyli pomysły na imprezy, lansowanie produktów, na reklamę. Podczas moich występów poznałem tutaj dużo dyskotek, klubów itd. Ludzie mnie znali i lubili, więc zacząłem organizować tam imprezy. Pierwsza odbyła się w klubie „Tango”. Wówczas przebojem była piosenka *Makumba*. Skorzystałem z tej sytuacji i zorganizowałem imprezę pod tytułem „Noc Makumby”. Wiedziałem, że jestem w stanie z naszą egzotyką, kolorem skóry, kulturą przyciągnąć Polaków. Chciałem, żeby zobaczyli jak się bawimy – my Afrykańczycy czy czarnoskórzy w ogóle, bo to mogą być też osoby z innych części świata. Chciałem, żeby zobaczyli, jak się integrujemy. I to był wielki sukces. Zaprosiłem gwiazdy. To także przyciągnęło ludzi. Wystąpiły: Kay-ah, Justyna Steczkowska, oczywiście Big Cyc. Impreza była udana i zacząłem zajmować się tym cyklicznie.

– Nadal współpracowałaś z „Tangiem”?

D.O: Tak. Wówczas poznałem Big Cyc. Pewnego dnia robiłem imprezę dla informatyków z branży IT. I miałem okazję zatrudnić Big Cyc. Początkowo Skiba miał do mnie pretensję, że zaprosiłem ich na „Noc Makumby”, a nie miałem prawa używać słowa „Makumba”. Wy tłumaczyłem mu, dlaczego tak zrobilem i staliśmy się kolegami, przyjaźnimi się, mam z nimi cały czas kontakt. Ale podczas występu dla tych informatyków Skiba powiedział ze sceny, że skoro Daniel myśli, że jest cwaniakiem, to niech zaśpiewa z nimi jedną piosenkę. W każdej sytu-

acji człowiek musi się jakoś znaleźć. Zaczęli grać jakąś piosenkę, a ja tak się wczułem, że naprawdę świetnie zaśpiewałem. Skiba stał i z wrażenia nie mógł się ruszyć. Po występie ich manager podszedł do mojej narzeczonej, Agnieszki, a obecnie żony, i zaproponował, żebym przyłączył się do zespołu Big Cyc. Lubilem ich, więc się zgodziłem. Przez 7 lat jeździłem z Big Cyc na koncerty. Oczywiście „byłem” Makumbą, śpiewałem to razem z nimi. Ten show biznes zaczynał się rozwijać.

Miałem też własny zespół Calabash. Występowałem z dwiema Polkami – Grażyną i Dagmarą, które śpiewały ze mną.

Nadal organizowałem cykliczne imprezy propagujące kulturę Czarnego Lądu, np. „Noc Safari”, „Noc Malibu”, „Sun Hit Awards” itp. Organizowałem je w różnych klubach: „Tango”, „Scena”, „Fontanna”. Zawsze na tych imprezach pojawiały się ówczesne gwiazdy muzyki polskiej.



- Kto przychodził na te imprezy?

D.O.: To były imprezy otwarte, biletowane oczywiście. Też jestem dumny z tego, że wymyśliłem czwartkowe imprezy. Bo od poniedziałku do środy ludzie ciężko pracują. A od piątku do niedzieli zespoły mają koncerty, więc trudno było je ściągnąć na występ. Jedyny dzień, w którym zespoły nie koncertowały zbyt często, to czwartek. Czwartek jest też dniem, w którym publika może się upić, a w piątek iść do pracy, bo wtedy nie ma już za dużo roboty. Tak sobie pomyślałem i tak zrobilem. Do tej pory widzę, że wszyscy robią czwartkowe imprezy.

Wpadłem też na to, żeby używać czerwonego dywanu.

- Dla VIP-ów?

D.O.: Dla gwiazd. Wynająłem z Teatru Wielkiego takie szlabany z łańcuszkiem, złocone. Zorganizowałem to jak w Hollywood. Wówczas nie było to jeszcze popularne na masowych imprezach.

- W którym klubie to było?

D.O.: W „Tango” i w „Scenie”. W „Scenie” były największe tego typu imprezy, połączone z tymi nagrodami muzycznymi. To było naprawdę bardzo atrakcyjne dla fanów od 16. czy nawet 12. roku życia. Czerwony dywan, szlaban, a do tego limuzyny. Dla każdej gwiazdy wynajmowałem limuzynę. Kierowca przywiózł jednego artystę i jechał po następnego. Oni czekali w hotelu „Marriott”. Przychodzili fani, chcieli autografy, przyjeżdżali paparazzi. Tak jak w Los Angeles, w Hollywood, dokładnie. Gwiazdy też korzystały z tego, bo mogły pozować. To było ponad 12 lat temu, kiedy takie sytuacje w Polsce nie były codziennością, jak dziś.

- To był prawdziwy show biznes...

D.O.: Tak, prawdziwy show biznes. Chociaż sam przestałem się bawić. Gdy szedłem do klubu, do dyskoteki, wszystko dostawałem za darmo, wszyscy mnie znali: bramkarze, managerowie. Każdy chciał ze mną robić biznes. Jak tam byłem, to się nie bawiłem, czułem się, jakbym był w pracy. Z tego powodu przestałem to robić. Ale nadal jeździłem z koncertami. To było fajne. A jeszcze wcześniej na jedną moją imprezę zaprosiłem Gołotę. To było w „Fontannie”. Zaproponowałem mu, żebyśmy zrobili piosenkę przed jego walką z Tysonem w Kalifornii. Miałem pomysł, że pojedę z nim i zaśpiewam, jako czarnoskóry człowiek wśród Afroamerykanów, jego piosenkę. To by ich wkurzyło, mogłoby nawet Tysona wkurzyć. Nie pamiętam, dlaczego nie doszło do tego wyjazdu. Słowa do piosenki napisał mi Bieniak. Pierwsze słowa napisałem ja, a muzykę Filip Siejka. Ale Gołocie nie podobały się słowa, dlatego że przypomniałem,

jak podczas wcześniejszej walki z Tysonem Gołota uderzył go poniżej pasa. Drugą piosenkę zaakceptował. Miała tytuł *Viva Gołota*, była w rytmie latynoamerykańskim. To był naprawdę dobry hit. Jeździłem na koncerty i byłem coraz popularniejszy, moja stawka poszła oczywiście w górę.

– A jak to dzisiaj wygląda? Cały czas jesteś gdzieś za granicą, przyjeżdżasz na chwilę do Warszawy, wyjeżdżasz znowu... Coś tam się dzieje...?

D.O.: Tak, coś się dzieje. Nie lubię robić jednej rzeczy. Nie lubię wrzucać wszystkich moich jajek do jednego kosza. Zawsze, od dziecka, robiłem coś obok czegoś. Ale nie chaotycznie, mam systematykę w tym, co robię. Jak zaczynam, uruchamiam maszynę, skaczę na następny temat, bo maszyna już sama zaczyna chodzić. I tak było z muzyką, show biznesem... Gdy już miałem rodzinę, musiałem trochę ograniczyć tę działalność. Już nic nie robię w show biznesie, ale mam bardzo dobry kontakt z zespołem Big Cyc. Czasami, gdy są w okolicy, występuję z nimi. Rozpocząłem następny etap mojego życia. Jak prawdziwy biznesmen wynająłem biuro i założyłem firmę konsultingową. Moimi najlepszymi klientami są rządy Nigerii i rządy Ghany. Wymyślам projekty, opracowuję je i przedstawiam im biznesplan. Czasami je odrzucają, czasami przyjmują.

– Jakiego typu to są projekty?

D.O.: To są projekty, które mają służyć rozwojowi kraju, odpowiadają na potrzeby życiowe ludzi. Patrzę na różne rozwiązania, które są stosowane w Polsce, przeważnie w Warszawie. Na przykład, w jaki sposób zmieniono system oczyszczania miasta. To był mój hit. Podobny patent opracowywałem dla Ghany. I zaakceptowali to. Podpisaliśmy kontrakt na urządzenia produkowane w Polsce. To samo powtórzyłem dla Nigerii.

Kiedy doszło do denominacji złotówki, natychmiast opracowywałem podobny projekt dla naszego rządu. Konsultowałem się przy tym z moim profesorem. To jest profesor ekonomii, który był moim opiekunem podczas studiów doktoranckich. Dopiero rok czy dwa lata temu w Ghanie skorzystali z tego projektu, zrobili denominację i nagle kraj się rozwija. To jest taki dar, który mam i go używam. Szukam produktów dla klienta i klientów dla produktów.

– Często jeździsz do Ghany?

D.O.: Tak. Teraz trochę mniej, ale do marca tego roku prawie co dwa tygodnie jeździłem do Ghany albo do Nigerii.

- Czyli masz tam stałe kontakty?

D.O.: Oczywiście. Mam tam kontakty biznesowe i rodzinne. Mam braci w Ghanie, którzy ze mną współpracują. Oni otrzymują ode mnie te projekty i je realizują. Też sprzedają pomysły.

Dwa, trzy lata temu obejrzałem nowy stadion w Kielcach. I zrobiłem projekt na budowę stadionu w Ghanie, bo wiedziałem, że jest potrzebna budowa nowych stadionów. No i właśnie polska firma rozpoczęła tam budowę.

- A jakie jeszcze projekty udało się zrealizować?

D.O.: W Ghanie?

- W Ghanie, w Nigerii.

D.O.: Tak jak powiedziałem, lubię, żeby było systematycznie, więc gdy robię coś w Ghanie, powtarzam to też w Nigerii. Udało mi się zakontraktować samochody Honkery i Lubliny dla policji w Ghanie i dla policji nigeryjskiej. Sprzedawaliśmy polskie traktory do Ghany i do Nigerii. Niestety, nie z Ursusa. Mój ojciec sprowadził traktory z Ursusa do Ghany chyba do 1989 roku. My mamy partnerów w Mrągowie. Tam jest fabryka traktorów. Współpracujemy też z firmami w Białymostku, Lublinie i Dobrym Mieście pod Olsztynem. To są moje regiony. To jest rozwijanie biznesu mojego tatusia.

- Zdecydowałeś się tutaj zostać. Podjęłeś taką decyzję z powodów rodzinnych, osobistych i biznesowych. Jak z perspektywy tych lat oceniasz Polaków, Polskę. Czy to jest Twój el dorado?

D.O.: Tak. Jestem osobą, która nie krytykuje, póki czegoś nie doświadczy na własnej skórze. Póki ktoś mnie nie uderzy, to jest wolny, tak jak ja. Nigdy nie krytykuję. Mówię: „Jeśli nie chcesz być w Polsce, jeśli ci się nie podoba – wróć do swojego kraju.”

Dla mnie Polska to jest moje miejsce, które znalazłem. Nie mam powodu do potępiania tego kraju i czuję się Polakiem. Mieszkam w Polsce od ponad 20 lat. Tu mam dom, wspaniałą rodzinę, przyjaciół, tu wybieram prezydenta i tu chcę pozostać.

rozmawiał: Krzysztof Wittels

współpraca: Mamadou Diouf

My, warszawiacy: Tobia Hiwot Etiopia



– Jak to się stało, że przyjechałaś do Polski?

Tobia Hiwot: Mój ojciec wykładał na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Afrykanistyki, a ja akurat zdałam maturę i chciałam poznawać świat.

– Gdzie się nauczyłaś języka polskiego?

T.H.: Najpierw podczas pobytu w Łodzi, później w Krakowie w Studium Języka Polskiego dla architektów.

– Co studiowałaś?

T.H.: Architekturę.

– Jak zapamiętałaś tamten okres? Jak się aklimatyzowałaś w Warszawie?

T.H.: Nie było to trudne, miałam wspierającą mnie rodzinę.

– Trzymałaś się z innymi Afrykańczykami czy tylko z Etiopczykami?

T.H.: Od początku studiów miałam przyjaciół z innych krajów Afryki. Pomagaliśmy sobie nawzajem, przyjaźniliśmy się. Akademik, w którym mieszkałam, był miejscem naszego wspólnego funkcjonowania – razem gotowaliśmy, imprezowaliśmy.

– W Łodzi miałaś jakieś kłopoty z Polakami? Czy raczej nie było w ogóle kontaktu?

T.H.: Podczas pobytu w Polsce nigdy nie miałam żadnego konfliktu. Jestem raczej bardzo łagodnym człowiekiem, wolę zawsze unikać konfliktowych sytuacji.

- A gdy przyjechałaś do Warszawy? Też była podobna atmosfera?

T.H.: Do końca studiów nie miałam bliskich przyjaciół z Polski, bo miałam dużo afrykańskich znajomych i brakowało też czasu na zawieranie nowych przyjaźni. Dopiero na piątym roku, poznaliłam chłopaka i coraz bardziej otwierałam się na polską kulturę. Spędziłam też święta w polskim stylu.

- Masz w Warszawie jakieś miejsca, które lubisz, gdzie przychodzisz, gdzie się spotykasz ze swoimi znajomymi?

T.H.: Od początku Warszawa kojarzy mi się z miejscem pracy. Traktuję ją jako miejsce pobytu.

- A jak zawodowo Ci się układało? Przyjechałaś do Warszawy, studiowałaś. Skończyłaś studia i co?

T.H.: Od początku studiów na Wydziale Architektury udzielałam korepetycji, później pracowałam jako nauczyciel języka angielskiego, co pozwalało mi mieć więcej czasu dla rodziny, na malowanie i tworzenie sztuki.

- Często jeździsz do Etiopii?

T.H.: Udało mi się do niej pojechać do Etiopii po 20 latach pobytu w Polsce.

- Czujesz się Etiopką? Czy pół-Polką, pół-Etiopką? Zadajesz sobie takie pytania?

T.H.: Nigdy nie wątpiłam, że jestem Afrykanką. Z całego serca kocham mój kraj i, co więcej, bycie Etiopką zawsze kojarzy mi się z pewnym rodzajem dumy. Jednocześnie jestem otwarta na inne kultury. Być człowiekiem oznacza jak najbardziej zrozumieć świat.

- Co sądzisz o Polsce, o Polakach?

T.H.: Mam serdecznych polskich przyjaciół, zawsze mogę na nich liczyć, mamy podobne dusze, ale Polacy nie zawsze okazują swoje uczucia na zewnątrz.

- Planujesz zostać w Warszawie? Masz tu dzieci, pracujesz. Myślisz o wyjeździe?

T.H.: Myślami zawsze jestem dalej, niż tam, gdzie mieszkam. Jak bywam w USA u moich rodziców, myślami bywam w Polsce. Jak jestem w Polsce, myślami jestem w Etiopii. Mam rodzinę i mam mnóstwo planów na przyszłość, ale na razie wolę, żeby zostały tajemnicą.

My, warszawiacy: Mamadi Kourouma Gwinea

- Jak to się stało, że przyjechał Pan do Polski?

Mamadi Kourouma: Pochodzę z Republiki Gwinei, jest to kraj leżący w Afryce Zachodniej. Pierwszymi Polakami, o których słyszałem, byli Zbigniew Boniek i Grzegorz Lato. Brali oni udział w mistrzostwach świata w Hiszpanii. Jak większość młodzieży z Afryki, byłem fanem piłki nożnej. Nazwa „Polska” kojarzyła się wtedy z futbolową potęgą. Przez przypadek Polska wtedy należała do tej samej grupy, co Kamerun, Peru i Włochy i była w niej pierwsza. Drugie skojarzenie z Polską to oczywiście Jan Paweł II. Nie jestem katolikiem, ale nie wyobrażałem sobie, że ktoś inny mógłby być papieżem. Trzecim Polakiem był Lech Wałęsa. Dowiedziałem się o nim z radia, w którym bardzo dużo o nim mówiono. Później, jako gimnazjalista, byliśmy uczeni na lekcjach historii o układzie warszawskim. Mówiono nam, że układ ten powstał w Warszawie jako przeciw-waga dla „zagrożenia” ze strony NATO, a na jego czele stał Związek Radziecki.

Po maturze dostałem się w Gwinei na uniwersytet w Konakry. Gwinea należała wówczas do bloku socjalistycznego, studenci otrzymywali stypendia z krajów takich, jak: Polska, były ZSRR, była Czechosłowacja, Rumunia, Bułgaria, Republika Federalna Jugosławii, Kuba itp. Mój najlepszy przyjaciel dostał stypendium właśnie w Polsce. Przyjechał tu w 1990 r. Najpierw w Łodzi uczył się przez rok języka polskiego w Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców przy Uniwersytecie Łódzkim, a potem na Politechnice Warszawskiej ukończył studia na Wydziale Inżynierii Lądowej. Po studiach zaczął pracę w swoim zawodzie. Pracuje teraz jako inżynier budowlany. Ja nie dostałem stypendium. Skończyłem studia w Gwinei, a później chciałem dalej studiować, albo w Europie, albo w Stanach. Planowałem doktorat albo studia na zupełnie innym kierunku. Złożyłem podanie do kilku krajów, w tym m.in. do Polski. Dostałem stypendium



w Polsce, dzięki czemu mogłem tutaj przyjechać. Poinformowano mnie jednak na wstępie, że nie mogą mi zapewnić możliwości robienia doktoratu z powodu zbyt dużej ilości kandydatów. Mogę natomiast przyjechać do Polski, jeżeli chcę studiować drugi kierunek. Pomyślałem sobie, że po przyjeździe do Polski sam zobaczę, jak to wszystko zorganizować. Przyjechałem do Polski 23 września 1999 r., czyli dokładnie jedenaście lat temu. Najpierw przyjechałem do Łodzi, gdzie uczyłem się języka polskiego. Skończyłem tam studium w grupie politechnicznej, ale niestety nie dostałem się na studia doktoranckie. Ponieważ nie chciałem stracić stypendium, musiałem dalej studiować. Studiowałem na Wydziale Elektrycznym. Jednocześnie chodziłem też na budownictwo. Dostałem się tam na staż, który trwał krótko – tylko rok – ale otrzymałem świadectwo jego ukończenia. Później złożyłem podanie na Uniwersytet Warszawski, na Wydział Geografii i Studiów Regionalnych. Dostałem się do IKR – Instytut Krajów Rozwijających się. Chodziłem na zajęcia dwa lata, a studia ukończyłem z wynikiem „bardzo dobrym”. W międzyczasie dorabiałem sobie w wielu miejscowościach, m.in. biorąc udział w kilku programach telewizyjnych, np. *Mamy Cię* Szymona Majewskiego, w którym wkręcałem Otylię Jędrzejczak; śpiewałem również u niego w chórkach gospel. Podczas wyborów Miss World w Warszawie opowiadałem historię o pięknych Polkach; w *Kryminalnych* grałem zagranicznego studenta; był jeszcze epizod w programie *Sędzia Anna Maria Wesołowska* i kilku innych. Później szukałem pracy w swoim zawodzie. W końcu trafiłem do belgijskiej firmy, w której pracuję jako inżynier budowlany.

– Nie jest to Pana jedyne zajęcie. Działa Pan także społecznie...

M.K.: Tak. Jestem również przedstawicielem Gwinejczyków w Polsce. Jest nas około 200. Nie jest to mało. Chyba zaraz po Nigeryjczykach, jesteśmy drugą co do wielkości grupą Afrykańczyków w Warszawie. Mój przyjaciel był prezesem Stowarzyszenia Studentów z Afryki. Nie było nas jeszcze wtedy tak dużo w Polsce, głównie były to osoby, które przyjechały na studia. Teraz jest nas znacznie więcej.

– Czym zajmujecie się w Stowarzyszeniu?

M.K.: Spotykamy się co trzy miesiące, rozmawiamy o naszym kraju i o Polsce. Zależy nam na tym, żeby Gwinejczycy mieli kontakt ze sobą. Nowi rodacy, przyjeżdżając do Polski, często mają różnego rodzaju problemy. Nie znają języka, mają problemy z załatwieniem spraw meldunkowych czy administracyjnych. Pomagamy im się zaaklimatyzować w nowych warunkach. Administracja polska jest bardzo skomplikowana. Nie tylko dla obcokrajowców, dla Polaków również. Najtrudniejszą sytuację mają ludzie, którzy nie umieją mówić po polsku. Staramy się im pomagać w różnych kwestiach: gdy ktoś ma problemy z prawem,

np. został zatrzymany, czy ma sprawę w sądzie. Jeśli został za coś ukarany, to pomagamy mu finansowo. Pomagamy też chorym leżącym w szpitalu. Staramy się odwiedzać ich jak najczęściej, żeby nie czuli się tu źle.

Jednym z głównych celów Stowarzyszenia jest jednak unikanie otwartych konfliktów między Gwinejczykami. Robimy wszystko, żeby załagodzić sytuacje, aby takie sprawy nie znalazły finału na policji czy też w sądzie. Zawsze udaje nam się łagodzić konflikty, zarówno między samymi Gwinejczykami, jak również między innymi Afrykańczykami a Gwinejczykami. Gdy tylko ktoś poinformuje nas o problemach, od razu działamy.

– Czyli jest to taka społeczna inicjatywa?

M.K.: Tak, ale nie tylko. Pomagamy także w poszukiwaniach rodzin. Często dzwonią do nas dzieci Gwinejczyków, które urodziły się w Polsce, z prośbą o pomoc w odnalezieniu rodziców, z którymi straciły kontakt. Pierwsze przyjazdy z Gwinei do Polski były na początku lat 60. W 1963 r. przyjechała pierwsza grupa Gwinejczyków. Powstawały pary polsko-gwinejskie, rodziły się dzieci, ale często te związki nie wytrzymywały próby czasu, różnic kulturowych, różne były przyczyny rozstań. Gwinejczycy wracali do kraju, kontakty się urywały. Teraz te dzieci do nas dzwonią: „Mój tata się nazywa tak i tak, urodziłem się 30 lat temu, chcę go znaleźć...”. I szukamy ich, dzwonimy. Udało nam się znaleźć kilka osób. Czasami też zgłaszą się do nas ludzie z Gwinei, którzy byli w Polsce 30, 40 lat temu i teraz chcą odnaleźć swoje dzieci. Wysyłają do nas imię, nazwisko, wiek. Ich również szukamy. Ale łatwiej jest znaleźć tatę albo mamę, którzy mieszkają w Gwinei, niż dzieci mieszkające w Polsce.

Razem z kolegą złożyliśmy podanie do rządu gwinejskiego, żeby otworzono w Warszawie konsulat honorowy. Do Polski przyjeżdża coraz więcej Gwinejczyków, a ambasadę mamy w Berlinie. Ludzie mieli problemy z załatwieniem spraw konsularnych. Nie było łatwo, ale udało nam się otworzyć konsulat. Działa już cztery lata. Mój kolega, dzięki któremu poznalem Polskę, jest konsulem, a ja jestem jego zastępca. Kiedy nie ma go w Polsce, ja prowadzę sprawy konsularne, jako jego zastępca. Natomiast, kiedy jest na miejscu, pomagamy sobie nawzajem. Gościmy w Warszawie również delegacje, które przyjeżdżają do Polski z Gwinei: ministrowie, ambasador... Ostatnio uczestniczyłem z ambasadorem Gwinei w Berlinie w ceremonii pogrzebowej prezydenta Polski sp. Lecha Kaczyńskiego na Placu Piłsudskiego w Warszawie.

– Polacy interesują się Gwineą?

M.K.: Oczywiście. Dostajemy zaproszenia z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z Kancelarii Prezydenta, gdy w Polsce są jakieś uroczystości. Przesyłają nam kartki z życzeniami podczas świąt. Coraz częściej gościmy polskich biznesme-

nów, którzy są zainteresowani możliwością załatwienia wizy do Gwinei. Dowiadują się, jakie są możliwości inwestowania w Gwinei, a także, jakie gwarancje mają te inwestycje. Dużo ludzi wyjeźdża do naszego kraju, żeby uczyć się tam gry na bębnach czy tańca. Gwinea jest w Afryce na pierwszym miejscu w grze na bębnach. Mamy tam najlepsze szkoły i najlepszych nauczycieli. Nawet wczoraj dałem dwie wizy do Gwinei. Od początku roku wydaliśmy już kilkadziesiąt wiz.

Gwinea jest biednym krajem. Jeżeli chodzi jednak o złoża surowców naturalnych, to jesteśmy jednym z najbogatszych krajów w Afryce. Mamy wszystko. Oczywiście w stanie surowym. Mamy jedne z największych na świecie złóż boksytów, z których wytwarzane jest aluminium. Zaraz po Australii jesteśmy największym światowym eksporterem tego surowca. Pozostałe surowce to złoto, diamenty, ropa, rudy żelaza, tytanu, niklu.

- Czym jeszcze zajmuje się Wasze Stowarzyszenie?

M.K.: Głównie staramy się utrzymywać bliskie kontakty ze sobą. Bierzemy czynny udział w organizowaniu wielu uroczystości, jak wesela czy narodziny dzieci. W Polsce nazywacie to chrztem, a u nas po narodzinach dziecka organizowana jest uroczystość z okazji nadania mu imienia, bo Gwinea jest prawie w 85% muzułmańska. 5–6% to są chrześcijanie, a reszta to wyznawcy religii tradycyjnych. Jeżeli ktoś nas informuje o śmiertci np. taty czy mamy – pomagamy mu symbolicznie, dając pieniądze. Modlimy się za zmarłego. W ten sposób dzielimy się z tą osobą bólem po stracie najbliższych. W lecie 2009 r. konsul stracił mamę w Warszawie i w ciągu 4–5 godzin wszyscy Gwinejczycy z Warszawy znaleźli się w jednym miejscu. Trzy dni po śmierci uczestniczyliśmy wszyscy w modlitwie przed wysłaniem ciała do Gwinei. Nie tylko Gwinejczycy, ale również wielu innych Afrykańczyków. Tak samo robimy, gdy narodzi się dziecko. Razem obchodzimy święta, w tym dwa najważniejsze święta dla muzułmanów. Jedno to jest Ramadan, a drugie nazywa się Święto Ofiar. Z tej okazji każdy muzułmanin, który ma możliwość, musi zabić barana. Wtedy spotykamy się i świętujemy razem z innymi Afrykańczykami. Obchodzimy też razem święta państowowe: 2 października mamy święto odzyskania niepodległości przez Gwineę.

- Organizuje Pan spotkania jako zastępca konsula czy prezes Stowarzyszenia?

M.K.: Nie robimy oficjalnych, państwowych obchodów. Zawsze jest to społecznie zorganizowana uroczystość. Planujemy przygotowanie oficjalnych obchodów, jednak zazwyczaj wiąże się to z pewnymi kosztami. Nie dostajemy pieniędzy z ambasady i ostatecznie musimy korzystać z pieniędzy „społecznych”. Aranżujemy wtedy plenerową imprezę tak, aby Polacy poznali jak najlepiej Gwineę. Urządzamy konkursy z nagrodami, które można wygrać, odpowiadając na pytania. Należy wymienić np. kraje, które siedzą z Gwineą, język urzędowy obo-

wiązający w naszym kraju, dominującą religię, imię i nazwisko prezydenta. W ten sposób staramy się promować nasz kraj.

– A gdzie się spotykacie?

M.K.: Zazwyczaj spotykamy się w siedzibie honorowego konsulatu. Jeżeli jest nas więcej, to wtedy wynajmujemy salę. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiego spędzania razem czasu, jak Polacy. Polacy, gdy się spotykają, muszą siedzieć, każdy ma swoje miejsce, talerz, odpowiednią liczbę dań. My tak nie musimy. Jedni siedzą, drudzy stoją, inni grają w karty, jeszcze inni oglądają telewizję, słuchają muzyki, rozmawiają czy tańczą. Nie jest tak, że każdy musi mieć swoje krzesło, swój talerz.

– Rozumiem, że jeśli chodzi o religię, to korzystacie z domu modlitwy na Wilanowie?

M.K.: Tak.

– W jakim języku są prowadzone modlitwy? W arabskim? Czy w polskim?

M.K.: W religii muzułmańskiej modlitwa jest bardzo ważna. Akurat kiedy dzwonił Pan do mnie, modliłem się i dlatego nie mogłem odebrać telefonu. Musimy się modlić pięć razy dziennie. Nieważne, czy jest się Polakiem czy Gwinejczykiem, każdy modli się w języku Koranu. Imamowie, którzy prowadzą nabożeństwa w meczecie, są w większości Arabami. Mówią po arabsku, ale zawsze jest ktoś, kto tłumaczy na język polski.

– Wspominał Pan o pogrzebach. Ilu Gwinejczyków jest pochowanych w Polsce?

M.K.: Od kiedy jestem w Polsce, pochowaliśmy tutaj troje Gwinejczyków. Jedną kobietę, która miała męża Polaka. Mieszkała dosyć długo w Polsce. Niestety nie zdążyłem jej dobrze poznać, ponieważ przyjechałem we wrześniu, a ona umarła w grudniu. Znam natomiast jej brata. Utrzymujemy poza tym bliski kontakt z jej trzema córkami.

– Gdzie została pochowana?

M.K.: Na cmentarzu tatarskim. Drugą osobą był lekarz, chirurg, pracował w Polsce przez wiele lat. Miał troje dzieci. Tutaj umarł. Pochowaliśmy go trzy lata temu. Trzecia osoba mieszkała w Łodzi, ale pochowaliśmy ją tu w Warszawie. Są dwa cmentarze dla muzułmanów. Jeden jest duży, chroniony, a drugi mniejszy. Na tym drugim jest pochowany rodak z Łodzi, a ta kobieta i lekarz są pochowani na tatarskim cmentarzu.

– Ożenił się Pan w Polsce?

M.K.: Tak, mam żonę Polkę. Jesteśmy małżeństwem od ponad trzech lat. Dokładnie w lipcu minęły trzy lata od ślubu.

- A na co dzień prowadzi Pan życie takie, jak w Afryce czy bardziej europejskie, polskie? Na przykład w kuchni?

M.K.: W naszym domu żyjemy tak, jak w Afryce. Nie tylko ja. Mimo że mam żonę Polkę, naprawdę nie jadamy po polsku. Jeżeli chcę skosztować polskiego jedzenia, najczęściej jedziemy do teściów. Na co dzień przygotowujemy posiłki na sposób afrykański, chociaż czasami nie jest to łatwe. We Francji czy Niemczech Afrykańczycy żyją bardziej po „afrykańsku” niż my, ponieważ tam wszystkie produkty są dostępne na miejscu. My musimy je ściągać z zagranicy. Jeżeli ktoś do mnie zadzwoni i mówi, że przyjeżdża do Polski, to od razu go proszę, żeby przyniósł mi np. gombo (okra), sumara, aloko (specjalna odmiana bananów, które się smaży na oleju), atcheke, pataty, oberżynę, ignam, maniok. Teraz mamy mniejsze problemy, ponieważ podróżowanie nie wymaga już wiz. Jeżeli ktoś ma pieniądze, jedzie do Francji w poniedziałek i wraca w środę z tymi produktami.

Kiedy obchodzimy święta, to oczywiście zapraszamy znajomych oraz ich polskie rodziny. Bardzo im smakuje to, co przygotowujemy. Kiedyś kolega z Kamerunu występował w programie *Rozmowy w Toku*. Podczas wywiadu jego żona powiedziała, że „surowe jedzenie Afrykańczyków śmierdzi, ale gdy już jest ugotowane to jest pyszne”. To jest prawda. Na przykład moja żona mówiła, że nie lubi podrobów. Gdy przynioszę baraninę, mówi: „Mamadi, nie chcę”. Ale jak ugotuję potrawę, a w środku są jelita, wątrobki itd., to ona je to ze smakiem i ostatnia odchodzi od talerza!

- Przyjechał Pan do Polski w ślad za swoim kolegą, skończył Pan drugie studia i zdecydował się zostać. Dlaczego?

M.K.: Moje plany ciągle się zmieniały. Celem był doktorat, ale to się nie udało. Później poznałem tutaj wielu ludzi. Mój przyjaciel mieszka tu prawie 20 lat, lepiej żyje mu się w Polsce niż w naszym kraju. Postanowiłem, że spróbuję na razie zostać. Założyłem rodzinę, na razie pracuję, ale nie mam zamiaru zostać w Polsce.

- Nie chce Pan zostać w Polsce?

M.K.: Do końca życia nie, ale do końca życia będę związany z Polską. Tu jest mój drugi dom. Razem z żoną będziemy zawsze między Gwineą a Polską.

- Dlaczego?

M.K.: W Polsce zyskałem dużo doświadczenia. Nie tylko zawodowego, ale również kulturowego, obyczajowego. Poznałem inny świat. Chcę to wykorzystać w moim kraju. Przede wszystkim jednak jest tam moja rodzina, mama, bracia, siostry. Chcę być z nimi na starość. I chcę pomagać innym w moim kraju.

– Co Pan sądzi o Polsce i o Warszawie?

M.K.: Warszawa ma mnóstwo zalet, ale i wad. Zalet jest jednak więcej. Wielkim plusem w Warszawie jest komunikacja miejska. Powietrze jest tutaj czyste. Przemoc w mieście nie występuje na tak dużą skalę. W ogóle w Polsce, w Warszawie ludzie są dosyć tolerancyjni. Nie mówię tego dlatego, że Pan jest Polakiem. Mówię tak, bo mam porównanie. Byłem w wielu krajach: we Francji, Niemczech, Belgii, Szwecji, Norwegii, Portugalii... Jest tam bardzo dużo Afrykańczyków. Ludzie już nas tam znają i często jest dużo problemów. Polacy, chociaż mniej nas znają, to jednak akceptują. Są też pomocni. Oczywiście wszędzie są głupi ludzie. U nas też są ludzie, którzy nienawidzą białych. Nie chodzi jednak o to. Chodzi o skalę takich zachowań. Jeśli masz problem, wielu Polaków potrafi ci zaoferować pomoc. W Warszawie na przykład ludzie pomagają, gdy stoisz na przystanku. Widzą, że masz inny kolor skóry, więc albo nie znasz Warszawy, albo nie znasz języka. Pytają: „Mogę Panu pomóc?”

Ale co jest dziwne. Jest taki stereotyp, że cudzoziemcy nie znają języka polskiego. Jak jesteś w Niemczech, Francji, Belgii, Norwegii czy Szwecji ludzie tam uważają, że wszyscy mówią w tamtejszym języku. „Dzień dobry” mówią na przykład po niemiecku w Niemczech czy po francusku we Francji. Polacy, gdy widzą, że jesteś z innego kraju pytają: „How are you?”. Ja na przykład nie jestem z kraju anglojęzycznego, a zawsze pytają mnie po angielsku. Skąd oni wiedzą, że jestem z kraju, w którym mówi się po angielsku? Jestem w Polsce, więc zdrowy rozsądek podpowiada, że lepiej pierwsze słowa skierować do mnie najpierw w języku polskim niż np. angielskim. Ten przykład obrazuje kolejny stereotyp, mianowicie że każdy Afrykańczyk mówi po angielsku. Jest też i tak, że stoję na przystanku, ktoś podchodzi i pyta, jak gdzieś trafić. Zazwyczaj pytają o to Polaków, a okazuje się, że ja wiem lepiej, ale mnie nie zapytają.

Jednym ze stereotypów jest również to, że wielu Polaków okazuje wielkie zdziwienie, że Afrykańczycy mieszkają w Polsce. Często zadają pytanie: „A dla czego akurat do Polski Pan przyjechał? Przecież zna Pan język francuski i mógłby Pan mieszkać np. we Francji, Belgii, Szwajcarii, Quebecu czy innym francuskojęzycznym kraju.” Ci ludzie myślą, że tutaj jest gorzej niż w innych krajach. Problemem jest na pewno brak dostatecznej informacji dla turystów, w szczególności w miejscowościach, do których trafiają zaraz po przyjeździe do Polski. Minusem jest także na pewno administracja. Administracja jest naprawdę skomplikowana. Nie tylko dla nas, dla Was również.

– Czy odkąd mieszka Pan w Warszawie, miał Pan jakieś nieprzyjemne sytuacje?

M.K.: Kiedyś na studiach wracaliśmy z dyskoteki około czwartej w nocy. Byłem z dwoma kolegami i koleżankami. Zostaliśmy zaatakowani ze względu na nasz kolor skóry. Na drugim końcu ulicy była inna grupa Polaków, 5–6 osób. Podeszli

i zapytali ich: „Co się stało? Dlaczego atakujecie tych ludzi?” I zaczęli się bić między sobą, aż jeden z nich straciłzęby. Musiałem zadzwonić po policję i karetkę. Policja przyjechała, nas jednak zwolnili. Byłem w szoku. Bo nas bronili. To było 7 lat temu, ale aż do teraz o tym myślę. Naprawdę. Przykrych wydarzeń osobiście w Polsce miałem mało, zdarzały się incydentalnie.

– Co Pan uważa za najważniejsze z tego, czego się Pan nauczył w Polsce? Co może Pan wykorzystać w Gwinei? Poza wiedzą techniczną. Co pan przywiezie tam ze sobą?

M.K.: Są dwie takie rzeczy. Sprawy biznesowe. Mam tutaj kontakty. Wiem, co się produkuje, a co jest potrzebne w Gwiniei. Są tu różne rzeczy, których u nas nie ma, a w Polsce są bardzo tanie. U nas też są różne produkty, które można by eksportować do Polski, na przykład owoce.

Druga sprawa, chciałbym założyć stowarzyszenie, które będzie łączyć Polskę z Gwinieą. Będę pracować nad tym, aby ludzie stali się bardziej tolerancyjni. Zarówno w Polsce, jak i w Afryce. U nas też jest wiele stereotypów na temat białych. To jest pokłosie czasów kolonialnych. Wielu Afrykańczyków wie, że kraje afrykańskie były wtedy źle traktowane, więc dla nich wszyscy Europejczycy to po prostu biali. Nie ma zachodniej czy wschodniej Europy, biali to biali. Źle zrobili, wykorzystywali nas. Są też tacy ludzie, którzy w ogóle nie mają pojęcia o Europie i Europejczykach. Trzeba im wyjaśnić: to już było, musimy to tolerować, musimy wiedzieć, że na przykład Francja też była pod okupacją Niemców, a teraz mają tak dobre stosunki. Musimy patrzeć w przeszłość, nie zawsze w przeszłość. Jest też wielu Polaków, którzy mają bardzo małą wiedzę o Afryce, np. myślą, że Afryka to jest jeden kraj, mimo że na tym kontynencie, na 30 mln km² są 53 państwa i ponad miliard ludzi. To więcej niż w Europie – więcej państw i większa powierzchnia kontynentu. Zabawna jest też prośba o przetłumaczenie „jednego zdania” na afrykański. Kiedy ktoś mnie pyta, skąd jestem, a ja odpowiadam, że z Gwiniei to od razu mówią: „Aaaaa wiem. Papua i Nowa Gwinea. Tak?”

Trzeba pokazać ludziom, że Afryka to różne kraje, różne kultury, tradycje, obyczaje, języki, zwyczaje, ale również kolory skóry. Trzeba pokazać ludziom, że nie każdy Afrykańczyk musi być czarny i nie każdy, kto ma czarny kolor skóry, musi być Afrykańczykiem. W Gwiniei panuje stereotyp, że każdy Polak to pijak, a to przecież nieprawda.

rozmawiał: Krzysztof Wittels
współpraca: Mamadou Diouf

Autorzy

dr **Paulina Codogni**, adiunkt w Zakładzie Europy Środkowo-Wschodniej w Instytucie Studiów Politycznych PAN oraz w Katedrze Stosunków Międzynarodowych w Collegium Civitas, autorka monografii „Rok 1956” i „Okragły Stół, czyli polski Rubikon” oraz współautorka hasła do „Słownika biograficznego Europy Środkowo-Wschodniej”.

dr **Mamadou Diouf**, fundator i Dyrektor Programowy Fundacji „Afryka Inaczej”. Z wykształcenia weterynarz, z wyboru poeta i muzyk. Pochodzi z Senegalu. Od 27 lat mieszka w Polsce. Gra i śpiewa w zespołach muzycznych Tam Tam Project i Djolof. Man. Prowadzi audycje radiowe poświęcone muzyce świata.

Michał Gołaszewski, student socjologii, współzałożyciel wytwórni muzyki niezależnej MonotypeRec. Zainteresowania związane głównie z fotografią oraz historią (głównie Warszawy) XIX i XX wieku.

dr Zbigniew Osiński, pracuje w archiwum Muzeum Powstania Warszawskiego. Doktor nauk humanistycznych w specjalności Nauki Pomocnicze Historii, Historia Nowożytna Polski. Tematem jego pracy doktorskiej był „Lęk w kulturze społeczeństwa polskiego w XVI i XVII wieku”. Praca została opublikowana w 2009 roku. W latach 2007- 2010 współpracował z Wydziałem Kadr i Odznaczeń Kancelarii Prezydenta RP.

Paweł Średziński, wspólnie z Mamadou współtworzył Fundację „Afryka Inaczej”, dzięki wsparciu Mamadou Dioufa i Mateusza Kasprzaka, stworzył serwis internetowy Afryka.org. Pomyśłodawca książki „Afryka w Warszawie”, z wykształcenia dziennikarz i historyk, zaangażowany w dialog międzykulturowy między Polską a Afryką.

Krzysztof Wittels – etnolog i archeolog; z zamiłowania varsavianista; związany zawodowo z trzecim sektorem, współrealizował projekty i wystawy poświęcone Warszawie m.in. „Narodziny Nowoczesnej Warszawy” i „Polacy z wyboru – rodziny pochodzenia niemieckiego w Warszawie XIX i XX w.”, brał udział w tworzeniu Wirtualnego Muzeum Fabryki.